

DAVID GIBBINS

ZŁOTO
KRZYŻOWCÓW

Z angielskiego przełożył
JACEK MANICKI

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
CRUSADER GOLD

Copyright © David Gibbins 2006

Alli rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Jacek Manicki 2007

Redakcja: Jacek Ring
Konsultacja historyczna: prof. Zbigniew Mikołajko
Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-539-2

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ozarów Maz.
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

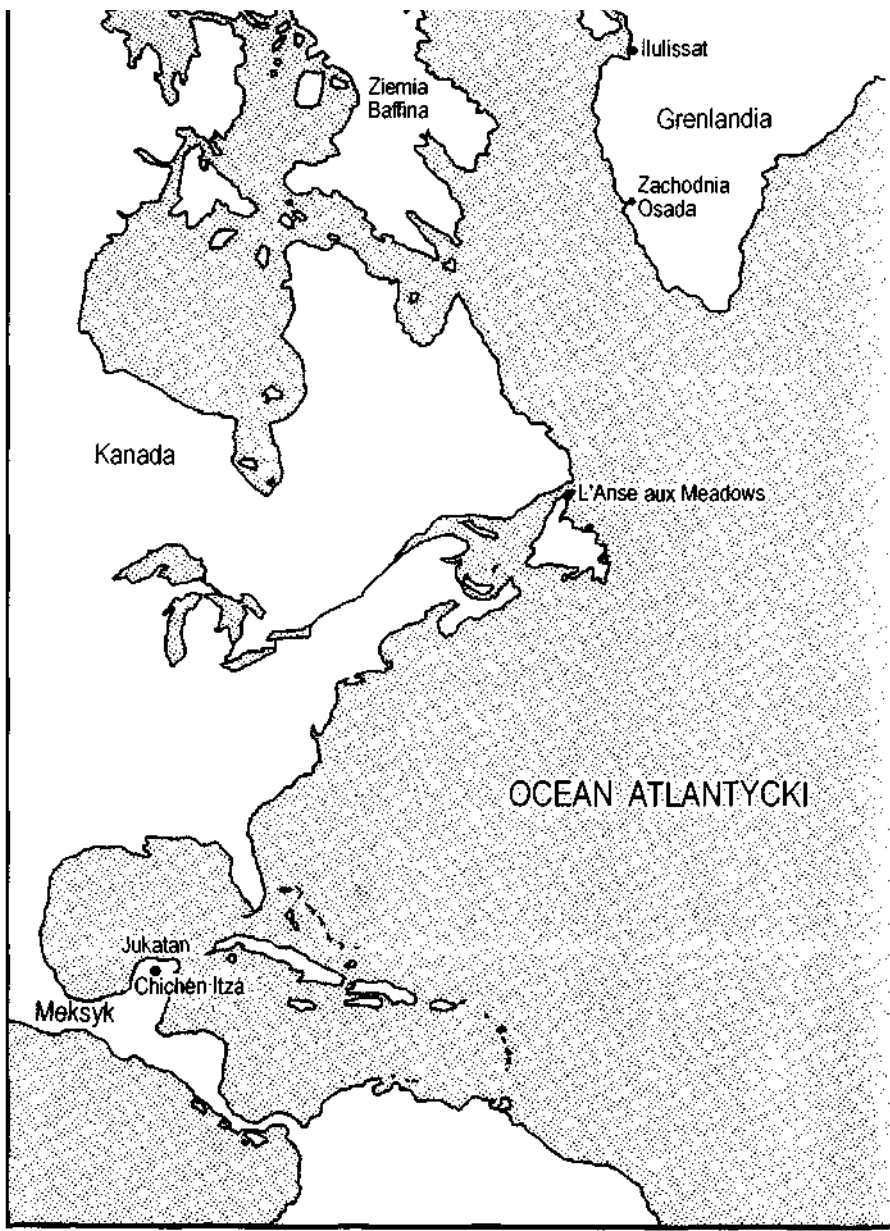
Podziękowania

Dziękuję z całego serca mojemu agentowi Luigiemu Bonomi z LBA, mojemu wydawcy Harriet Evans oraz całemu zespołowi redaktorskiemu Headline — Tessie Balshaw-Jones,

Gai Banks, Jenny Bateman, Alison Bonomi, Samowi Edenborough, Mary Esdaile, Nicki Kennedy, Rebecce McEwan, Tony'emu McGrathowi, Amandzie Preston, Rebecce Purtell, Johnowi Rushowi, Poppy Shirlaw i Ann Verrinder Gibbins. Podobnie jak w mojej poprzedniej powieści *Atlantyda*, wszystkie opisywane tutaj miejsca odwiedziłem osobiście i jestem niezmiernie wdzięczny tym, którzy mi to umożliwili. Dziękuję moim rodzicom za wiele wycieczek do katedry Hereford, na które zabierali mnie w dzieciństwie, i za towarzyszenie mi w późniejszych latach w niezapomnianej podróży do Rzymu. Brytyjskiemu Instytutowi Archeologii w Ankarze za stypendium, dzięki któremu mogłem zwiedzić Złoty Róg w Stambule, oraz prezesowi Komitetu Nauk Społecznych i Techniki NATO za zaproszenie do Kijowa. Załodze statku RV „Akademik Ioffe” za zabranie mnie do fiordu Ilulissat na Grenlandii — doprawdy niezapomniana przyгода — oraz Parks Canada za umożliwienie odwiedzenia

stanowiska archeologicznego w L'Anse aux Meadows. Steve'owi Aitkenowi i Tomowi D'Entremontowi za asystę podczas moich pierwszych prób nurkowania pod lodem oraz mojemu bratu Alanowi, bez którego nie poradziłbym sobie, nurkując w labiryncie jukatańskich grot. Dziękuję też Angie i Molly za nasze wycieczki do Stamford Bridge i na świętą wyspę Iona oraz LNG za towarzystwo.

Powieść ta jest fikcją. Nazwiska, postaci, nazwy instytucji, miejsca i wydarzenia są albo wytworem wyobraźni, albo autor nagina celowo fakty dla uprawdopodobnienia przyjętej przez siebie tezy, i nie należy ich traktować jak prawdziwych. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych lub fikcyjnych wydarzeń, organizacji lub osób, czy to żyjących, czy zmarłych, jest całkowicie przypadkowe. Tło faktograficzne omówiono w nocie Od Autora na końcu książki.



Kanada

Ziemia Baffina

Ilulissat

Grenlandia

Zachodnia Osada

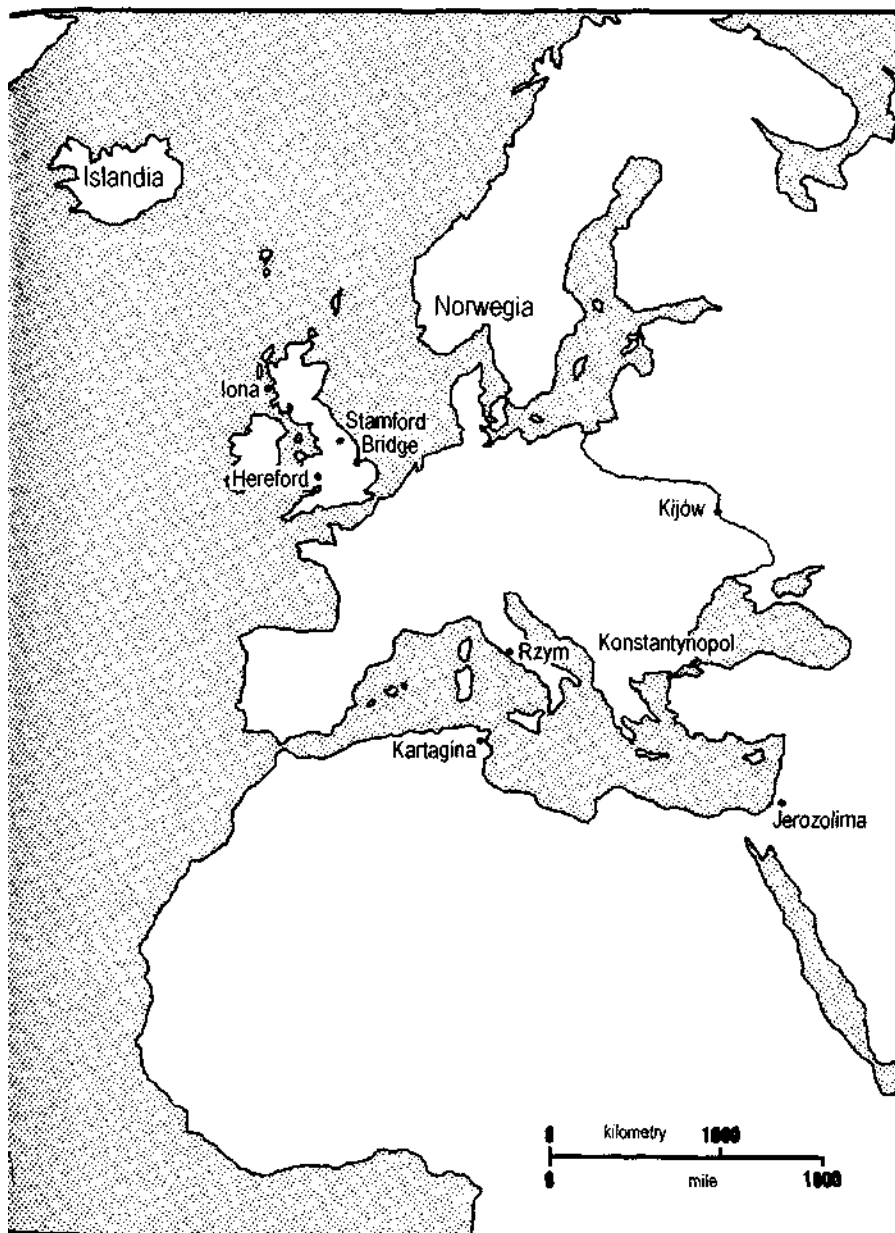
L'Anse aux Meadows

OCEAN ATLANTYCKI

Jukatan

Chichén Itzá

Meksyk



Łupy niesiono w ogóle bez żadnego porządku, ale spomiędzy wszystkich rzucały się w oczy te, które zabrano ze świątyni jerozolimskiej: złoty stół o wadze wielu talentów i świecznik tak samo sporządzony ze złota, lecz wykonany według innego wzoru, niż jesteśmy przyzwyczajeni w codziennym życiu. Ze środka podstawy wyrastał trzon, z którego odchodziły delikatne ramiona tworzące rodzaj trójzębu; każde zaś miało na końcu lampę wykutą z brązu. Było ich siedem, co podkreślało wielkie poszanowanie siódemki u Żydów (...). Kiedy uroczystości triumfalne dobiegły końca i w państwie rzymskim zapanował należyty ład, Wespazjan postanowił wnieść Świątynię Pokoju. W świątyni tej zebrano i przechowywano wszystko to, co dawniej zmuszało chcących je zobaczyć do podróży po całej ziemi zamieszkałej, gdyż dotychczas to, co pragnęli oglądać, było rozproszone w różnych miejscach. Tutaj znalazł także złote naczynia ze świątyni żydowskiej (...).

Józef [Flawiusz], *Wojna Żydowska VII*, 148—162

Oficyna wydawnicza Rytm, Warszawa 1992

Przekład: Jan Radożycki

Prolog

Dwa orły przednie nadleciały nad miasto od zachodu. Leciały nisko, powoli, mocno bijąc skrzydłami i kierując się prosto na podium. W pastelowym świetle świtu ich cienie przesuwane się po ścianach świątyń i pomnikach forum falowały i rosły, rzekłby kto — dwaj mieszkańcy Hadesu przybywają zająć należne im miejsce przy stole zwycięstwa.

W ostatniej chwili orły skręciły ostro na północ i oddaliły się wzdłuż Świętej Drogi. Stojący samotnie na podium mężczyzna w wieńcu laurowym poczuł na twarzy prąd powietrza wzniecony ich skrzydłami, zobaczył purpurowe refleksy słońca odbijającego się w szponach i rozbłyski tam, gdzie upierzenie przyprószone było złotem. Była to jego zdobyczna para, potomkowie wspaniałych orłów, które przywiózł do Rzymu pół życia temu w związku z innym triumfem. Podebrał je z gniazd na dzikich turniach północnych krańców imperium.

Teraz wzbily się majestatycznie ponad samo serce miasta, jakby wynoszone prądem wstępującym zmasowanego oddechu ludzi stłoczonych po obu stronach biegnącej dołem Świętej Drogi. W najwyższym punkcie zawisły na moment nieruchomo, jakby podtrzymane przez samego Jowisza, potem zwinęły

skrzydła i z ochrypłym krzykiem runęły w dół, by nad Świątynią Kapitolińską wyrównać lot i zniknąć z oczu tam, gdzie Pole Marsowe i czekające na sygnał do wymarszu legiony.

Zapadła pełna napięcia cisza, wszystkie oczy zwróciły się ku podium. Mężczyzna starym zwyczajem naciągnął na głowę opończę i uniósł prawą rękę dłonią skierowaną na zewnątrz. Dobry omen. Świętowanie największego w dziejach triumfu mogło się teraz rozpocząć.

Kiedy od Pola Marsowego dobiegło echo bębnow ruszającego pochodu, na podium wspiął się niewolnik i wyciągnął rękę.

— Prosto z mennicy, princepsie.

Mężczyzna wziął od niego monetę i szybko się odwrócił, żeby nie uronić nic z widowiska. Monetę uniósł tak, że obramował ją łuk triumfalny na początku Świętej Drogi, pod którym pojawi się za chwilę czoło pochodu. Był to srebrny denar wybitny z wojennych łupów, które przetransportowano z portu rzecznoego Ostia zaledwie wczoraj. Zmrużył oczy i odczytał inskrypcję na obwodzie. *IMP CAESAR VESPASIANUS AUG.* Imperator Cezar Wespazjan August, sprawujący władzę trybuna, konsul po raz trzeci, pontifex maximus.

Imperatorem był od niecałego roku i te słowa wciąż jeszcze przyprawiły go o drżenie serca. Spojrzał na wybitny pośrodku wizerunek przedstawiający zażywnego, niemłodego już, łysiejącego mężczyznę o wystającym podbródku, haczykowatym nosie, porytym bruzdami czole, z głębokimi zmarszczkami wokół oczu i ust. Nie była to twarz ładna, ale on mimo to odchrząknął z satysfakcją. Celowo kazał wykonać ten profil wedle dawnych wzorców republiki rzymskiej, bez upiększeń, z krostami i wszystkimi niedoskonałościami, na przekór swojemu niesławnemu poprzednikowi Neronowi, którego zniewieściałe wizerunki w greckim stylu starto i wymazano

w całym cesarstwie. Wespazjan był człowiekiem twardym, zdecydowanym, prawym, mocno stąpającym po ziemi.

Rzymianinem starej daty.

Przekręcił monetę i uniósł ją. Zabłyśta srebrem w pierwszych promieniach wstającego za jego plecami słońca. Na rewersie widniała zgięta w ukłonie, zapłakana kobieta z włosami upiętymi na wschodnią modłę. Obok niej stał rzymski legionowy sztandar, taki sam jak te, które powiewały dzisiaj nad Świętą Drogą. Poniżej widniało słowo, które kazał umieścić na wszystkich swoich monetach, słowo, które czyniło ten dzień jego koronnym triumfem.

IVDAEA

Judea podbita.

W tym momencie tłum, wyciszony przelotem orłów, znowu się ożywił. Natarczywe bicie bębnow dolutujące od jakiegoś czasu od strony Circus Maximus narosło nagle do zdudnionego łomotu. Pod łuk wkroczył olbrzymi słoń afrykański. Jego tułów kołysał się na boki, dotykając niemal dłoni wyciągających ręce gapiów. Na grzbiecie słońca siedzieli okrakiem dwaj olbrzymi nubijscy niewolnicy o muskularnych ramionach i walili unisono w bębny zawieszane po obu bokach zwierzęcia. Za słońciem kroczyło sześć westalek z włosami zaplecionymi w warkocze. Mieniające się białe szaty upodabniały je do wysłanniczek samych niebios. Dalej maszerowała kohorta gwardii pretoriańskiej w lśniących czarnych napierśnikach i hełmach z pióropuszcami, najroślejsi z roślących, rekrutowani spośród najlepszych wojowników imperium rzymskiego. Za pretorianami sunęła długa procesja mężczyzn i chłopców, senatorów, jeźdźców i członków rodziny Wespazjana, wszyscy odziani w purpurowe togi przetykane złotem. Między nimi, w niewielkich odstępach, toczyły się wozy wyładowane po brzegi bajecznymi bogactwami. Część z tych ostatnich

spoczywała na katafalkach i piedestałach, inne prezentowali gawiedzi niewolnicy ze wszystkich zakątków cesarstwa.

Wespazjan patrzył na przetaczające się powoli wozy. Każde nowe cudo wyrywało westchnienie zachwytu z piersi gawiedzi. Były tam wspaniałe pomniki bogów z połączanego brązu, nieprzebrane monarsze skarby z królestw Wschodu, niewolnicy o długich, skołtunionych włosach dźwigający ciężkie złote naszyjniki z Galii i Germanii, stopy szmaragdów i diamentów zza Indusu, bele połyskliwego jedwabiu z dalekiej krainy zwanej *Thina*. Wszelkie cuda, dla których ujrzenia ludzie przemierzali kiedyś świat, znalazły się dzisiaj w tym jednym miejscu, w tym wiecznym mieście.

Tylko Wespazjan wiedział, że większość tych skarbów oglądana jest po raz ostatni. Obok niego, na podium, spoczywała przygotowana przez jego architektów cienka marmurowa płyta, na której wyryto skomplikowany plan miasta z dominującą nad nim ogromną eliptyczną budowlą. Kiedy przetoczył się już ostatni wóz, Wespazjan spojrzął ponad procesją w kierunku Złotego Domu Nerona, na przyozdobioną wieńcem głowę potwornego kolosa wystającą ponad dachy świątyń. Na tym miejscu Wespazjan wznieś ogromny amfiteatr, największy z tych, jakie miasto dotąd widziało. Był to pierwszy z wielu projektów, które zaplanował, by i rzymski lud miał jakąś korzyść z wojennych zdobyczy.

Przed podium defilowała teraz barwna procesja ściągniętych z całego imperium karłów, pokurczy i innych cudaków, których bogowie stworzyli ku swej uciechu. Niektórych — dzieci z ogromnymi głowami, z uschniętymi kończynami, z olbrzymimi naroślami — niesiono na srebrnych tacach jak prosięta na ucztę. Był wśród nich nawet wrzeszczący potworek z jednym okiem pośrodku czoła, istny cyklop. Za nimi podążał rydwan, cesarska kwadryga zamiast w cztery konie zaprzężona w cztery kozły, którą powoził pokrzykujący gromko karzeł.

Karzeł był przebrany za greckiego boga, miał na głowie absurdalnie bujną perukę, a na szyi tabliczkę ze słowami *damnatio memoriae*, O, przeklęta pamięci. Była to groteskowa parodia powszechnie znieawidzonego Nerona. Wespazjan klepnął się po udach i parsknął śmiechem wraz z cizbą. Był człowiekiem ludu. Świątując swój triumf, dostarczał przy okazji poddanym rozrywki na epicką skalę. A najlepsze jeszcze przed nimi.

W procesji nastąpiła przerwa, a potem zagrały trąbki. Pod łukiem przejechało ramię w ramię dwóch jeźdźców, obaj przystrojeni w szkarłat, z wieńcami laurowymi, takimi jak cesarski, na głowach. Gawieź powitała ich rykiem aplauzu.

Wespazjan patrzył ze wzruszeniem, jak jego synowie, Tytus i Domicjan, przyjmują ów hołd. I nagle tłum oniemiał, nawet sam Wespazjan otworzył usta ze zdumienia. Za jeźdźcami toczyły się wielkie wozy, każdy zaprzężony w woły przystrojone białymi wieńcami i dźwigający ogromną teatralną dekorację wznoszącą się na całą wysokość łuku. Każda stanowiła żywy obraz, inscenizację jakiejś sceny rodzajowej z wojny, z jeńcami i legionistami w rolach statystów. Na jednej wieś i wycinani w pień jej mieszkańcy. Na drugiej

rzymskie maszyny oblężnicze kruszące gruby mur, na którym bronią się mężnie mieszkańcy miasta. Dalej inne sceny pogromów i niszczenia. Nieprzyjacielscy żołnierze szlachtowani na polu bitwy. Całe rodziny, które wołą popełnić samobójstwo, skacząc ze szczytów twierdz, niż się poddać.

Wspaniała świątynia splądrowana i puszczone z dymem wraz z zamkniętymi w niej kapłanami. Zwycięskie legiony maszerujące przez zburzone miasto, prowadzące za sobą zakuty w kajdany jeńców i wozy wyładowane łupem. Sceny spustoszenia tak upiorne, że nawet żądny krwi rzymski motłoch patrzył na to w milczeniu i zgotował owację dopiero wtedy, kiedy przetoczył się ostatni wóz.

Zbliżał się nieuchronnie moment kulminacyjny. Pod łuk wkroczyli jeńcy — setki mężczyzn, kobiet i dzieci skutych ze sobą łańcuchami, pod eskortą uzbrojonych we włócznie legionistów. Zgodnie z uświęconą przez czas tradycją wszyscy byli ubrani w czerwone togi, które nadawały im złowrogi wygląd i skrywały rany. Wespazjan pochylił się i przyglądał bacznie tym ludziom. Różnili się zdecydowanie od tamtych dzikookich barbarzyńców, których przyprowadził przed trzydziestu pięciu laty z Brytanii. Józef, jego żydowski informator, powiedział, że ów lud, z którego sam się zresztą wywodził, jest przekonany, że to ich Bóg, rozsierdzony szerzącym się zepsuciem i upadkiem obyczajów, postanowił ręką Rzymian oczyścić świątynie i zetrzeć z powierzchni ziemi miasta. Jemu jednak wyglądali na ludzi dumnych, głowy trzymali wysoko, nie przypominali w niczym jeńców targanych wyrzutami sumienia. Kroczył wśród nich przywódca rebelii Szymon, prowadzony w kajdanach przez dwóch legionistów, przystojny, brodaty mąż usiłujący trzymać się prosto i na pozór pogodzony z losem. Mijając podium, podniósł czarne oczy i przez moment — ale tylko przez moment — Wespazjanowi wydało się, że ten wzrok przewierca mu duszę.

Znowu zagrały trąbki, obwieszczając kulminację pochodu. Wespazjan oderwał wzrok od jeńców i pobiegł spojrzeniem w kierunku łuku. Słyszał od Józefa o łupach zagrabionych w świątyni i nie mógł się już doczekać, kiedy je ujrzy. Są wreszcie, nie zwalone niedbale na wozy jak poprzednie skarby, lecz niesione każdy oddzielnie, żeby wszyscy mogli je dobrze obejrzeć. Na przedzie święta zasłona, która oddzielała sanktuarium od reszty świątyni. Dalej ciężkie szaty liturgiczne wyższych kapłanów barwione cenną purpurą tyryjską i wyszywane klejnotami czystej wody. Potem zwoje ich starożytnej księgi, zbiór świętych praw, który Józef nazywał *Pentateuch*.

Dalej długa procesja obiektów rytualnych z samego sank-

tuarium — kielichy, talerze, naczynia do ablucji, wszystko to z litego złota — a za nimi ciężki złoty stół dźwigany przez czterech legionistów, spowity w dym unoszący się z kadzideł przytwierdzonych do wszystkich czterech naroży. Kiedy przyprawiająca o zawrót głowy woń cynamonu i kasji dotarła do podium, Wespazjan odniósł wrażenie, że oto przenosi się w lata swej młodości, które jako żołnierz spędził na Wschodzie. Otworzywszy oczy, zobaczył coś, co zaparło mu dech i wprawiło go w nabożny zachwyty.

Ze skłębnego dymu, który zalegał przed łukiem, wyłonił się skarb, jakiego w Rzymie jeszcze nie widziano. Józef dobrze to opisał, ale Wespazjan nie spodziewał się takiej masy złota, że musiało je nieść aż dwunastu legionistów. W miarę jak wynurzali się powoli z dymu, coraz lepiej rozróżniał kształt lśniącego obiektu wysokości dorosłego człowieka, albo i wyższego.

Z dwukondygnacyjnej ośmiobocznej podstawy wyrastała zdobna, zwężająca się ku górze kolumna z wygiętymi symetrycznie ku górze i sięgającymi tego samego poziomu odgałęzieniami po bokach. Przypominało to ogromny złoty trójząb boga morza Neptuna, z tą różnicą, że czubki zębów miały kształt ozdobnych lamp i było ich w sumie siedem. Za niosącymi wyszedł spod łuku niewolnik z płonąca pochodnią i podpalił kadzidło wypełniające każdą z lamp. Ludzi stłoczonych po obu stronach Świętej Drogi spowił biały dym, jak mgła o świtanu.

Wespazjan wiedział, że to menora, najświętszy symbol żydowskiej Świątyni. Józef powiedział mu, że siódemka ma dla tego ludu znaczenie szczególne już od czasów jego pierwszych proroków. Powiedział, że ograbienie świątyni z menory to niewyobrażalne świętokradztwo i będzie miało poważne następstwa. Przyrównał to do zrabowania Rzymianom statui wilczycy z Kapitolu.

Nagłe zamieszanie po prawej oderwało uwagę ciżby od menory. Nasycili już oczy bogactwem, teraz pragnęli krwi. Wespazjan wiedział, co za chwilę nastąpi, pora na rytualny akt, którego tradycja sięga czasów Romulusa i Remusa.

W oddali, pod Wzgórzem Kapitolińskim, pretorianie z dobytymi mieczami odpychali falujący tłum, który napierał szerokim kręgiem, by znaleźć się jak najbliżej ziejącej w ziemi dziury. Tam zginęli niegdyś Jugurta, wróg republiki rzymskiej, Gal Wercyngetoryks, wodzowie Brytów, których Wespazjan osobiście zawlókł na miejsce kaźni. Widział tam teraz żydowskich jeńców ustawionych na obwodzie kręgu. Zdjęto im już kajdany, ale oni stali nieruchomi i milczący. Brodatego mężczyznę pośrodku strażnicy dręczyli jak psa, naigrawając się z niego i poszturchując niczym zwierzę w amfiteatrze. Starał się utrzymać na nogach i zachować godność, ale nie stawiał oporu, kiedy zdzierano zeń tunikę i zarzucano mu pętlę na szyję. Tłum wył z zachwytu, kiedy jeniec, dżgany ostrzem włóczni, powlókł się na skraj dołu. Potknął się i znikł z oczu.

Wtedy właśnie padł na tę scenę oślepiający snop światła. To słońce wschodzące za plecami Wespazjana wyjrzało sponad świątyni boga wojny Marsa i rozbłysło tysiącem ogni w menorze oraz innych złotych łupach zgromadzonych na forum.

Ciżba oszalała. Jeszcze jeden dobry omen.

Wespazjan, mając w pamięci tamte czarne oczy, zwrócił pozbawioną emocji twarz na zachód.

Niech to się już skończy.

Na kilka chwil zapanowała taka sama cisza jak po przelocie orłów, potem z dołu wygramolił się człowiek w kapturze i uniósł rękę, w której coś trzymał. Tłum ryknął. Przyszła kolej na innych jeńców. Wespazjan patrzył z nieprzeniknioną twarzą, jak oddziela się dzieci od rodziców i odprowadza. Jakaś kobieta zemdląła.

Chwycono ją za włosy i ścięto na miejscu. Jakiś mężczyzna wyrwał się, żeby pobiec za swoim

dzieckiem, i zabił go jeden z Nubijczyków. Dzieci podprowadzano na skraj dołu w grupkach po troje, podrzynano im tam gardła i sypchano w głąb. Potem przyszła kolej na kobiety, po nich na mężczyzn. Mężczyznom ścinano głowy.

Gladiatorzy w hełmach zakrywających twarze machali jak jeden mąż wielkimi, zakrzywionymi mieczami w rytm bicia bębna, przywodząc na myśl wioślarzy na galerze. Trupy waliły się na trupy. W słońcu błyskała stal. Tłum falował, pijany widokiem krwi. Wespazjan zerknął znowu na menorę. Siedmiu jeńców, których kazał oszczędzić, zwisało ze słupów po drugiej stronie dołu. Ich nagie ciała spryskano czerwoną farbą. Wrócą do domu i zanosą swoim ziomkom na pustyni Judei wieść o zemście Rzymu, o umieszczeniu ich najświętszego przedmiotu w skarbcu zwycięzcy. Dopóki Rzym znajduje się w posiadaniu tego skarbu świątyni, nie ważą się już

przeciwno niemu powstać. Najmniejsza ruchawka i ich światło przewodnie zostanie bezpowrotnie zniszczone

Z Rzymem nie ma żartów.

Oprawcy doprowadzili swoje dzieło do końca. Teraz może się rozpocząć prawdziwa celebracja, wiele dni uczt i igrzysk, pobożności i świętowania. Kiedy gawiedź wyrzaskiwała jeszcze swoją egzaltację, woły, które ciągnęły wozy ze skarbami, zaprowadzono pod świątynię Jowisza, i ołtarz oraz statuetkę wilczycy zbryzgiwała już krew pierwszych składanych w ofierze zwierząt.

Wespazjan, obracając wciąż w palcach monetę, odwrócił się, żeby zejść z podium. Zrzucił purpurowy płaszcz i z pomocą dwóch niewolników wdział karmazynową togę. Dołączy na koniu do swoich synów, Tytusa i Domicjana, podążających za procesją i poprowadzi kapłanów do ołtarza pod świątynią Jowisza, gdzie jako pontifex maximus odprawi zwyczajowe rytuały. Na odchodnym spojrzał jeszcze raz na wyryty w marmurze plan i złożył sobie w duchu uroczystą przysięgę. Koniec

z erą podbojów. On zapoczątkuje erę odbudowy, powrót z dekadencji do cnot przodków. W miejscu, w którym teraz stoi, wzniesie Świątynię Pokoju, większą od wszystkich innych. Będzie w niej przechowywał po wsze czasy skarb tego pokonanego ludu. Wspomniał znowu tamte czarne oczy.

Uczyni, co w jego mocy, żeby menory nigdy więcej nie obnoszono triumfalnie po ulicach Rzymu. Odwrócił się, zawahał, a potem cisnął monetę daleko w tłum i patrzył, jak zatacza łuk nad połyskującym w słońcu złotym obiektem kultu, który niedługo zniknie na zawsze w pomroce dziejów.

1

— Chyba coś mamy!

Jack Howard oderwał oczy od mapy rozpostartej na stole nawigacyjnym, spojrzął na najeżoną minaretami panoramę Stambułu, a potem w dół, na pokład dziobowy statku, skąd doleciał ten podniecony okrzyk. Odłożył szybko cyrkiel nawigacyjny, z którego właśnie korzystał, i wybiegł na mostek. Przez cały ranek chodził podminowany. Dręczyło go niczym nieuzasadnione przecucie, że właśnie dzisiaj nastąpi przełom, i teraz serce waliło mu z podniecenia jak młot. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, dopadł do schodków, zjechał po poręczy trzy poziomy niżej i pobiegł pokładem wzdłuż lewej burty. Po paru sekundach był już wśród załogi na pokładzie dziobowym statku. Jego granatowy rybacki golf odcinał się kontrastowo od kombinezonów z logo IMU, Międzynarodowego Uniwersytetu Morskiego.

— No! Co tam?

Zanim szef załogi zdążył odpowiedzieć, powierzchnię wody, po lewej stronie dziobu, przebiła w białej kipieli pęcherzyków powietrza głowa jednego z nurków. Jack przechylił się przez reling i patrzył z napięciem, jak nurek

wypluwa ustnik regulatora i nadyma powietrzem kamizelkę stabilizującą.

— Weneckie! Z całą pewnością. Widziałem oznakowania.

Podawszy zdyszaniem głosem tę informację, nurek wypuścił powietrze z kamizelki i znikł znowu pod falami. Jack obserwował roje pęcherzyków powietrza wydychanego przez czterech nurków, którzy mieli towarzyszyć platformie podnośnikowej w jej drodze na powierzchnię. Była to dość ryzykowna operacja, bo „Sea Venture”, żeby utrzymać pozycję, musiał walczyć z prądem powierzchniowym o prędkości pięciu węzłów. Niewielka zmiana w szybkości tego prądu i nurkowie wraz ze swoim cennym ładunkiem zostaną zniesieni na jeden z najbardziej uczęszczanych szlaków wodnych na świecie.

Jack, oślepiiony refleksami odbijającego się w falach słońca, zmrużył oczy i jego ogorzała, opalona na brąz twarz pokryła się siateczką zmarszczek. Wpatrywał się w punkt na wodzie, w którym znikł nurek. Za jego plecami szcęknęła i obudziła się z jękiem do życia maszyna dźwigu. Lina naprężyła się i zaczęła powoli, centymetr za centymetrem, wynurzać, unosząc platformę z leżącego trzydzieści metrów niżej dna.

Zatrzeszczała, kiedy ładunek znalazł się w strefie oddziaływania prądu. Stłoczona przy relingu załoga wstrzymała oddechy. Chwilę potem z odmetów wynurzył się graniastosłup łańcuchów podczepionych do naroży platformy i Jack wiedział już, że niebezpieczeństwo minęło. Głęboko zanurzony kadłub „Sea Venture” ustawionego prawą burtą do czoła prądu, dziobem do starego miasta, będzie od tej chwili osłaniał platformę przed wszelkimi zawirowaniami.

Z mrocznych głębin zaczynał się wyłaniać ociekający wodą, podługowaty kształt. Jackowi krew uderzyła do głowy, poczuł znajomą falę adrenaliny, która zawsze towarzyszyła takiemu momentowi. Był obecny przy wielu z najdonioślejszych odkryć archeologicznych, a mimo to reagował wciąż bardzo

emocjonalnie na każde nowe znalezisko. Nawet najzwyczajniejszy przedmiot codziennego użytku mógł przecież otworzyć całkiem nowe okno w przeszłość i uprawdopodobnić jakieś ważne wydarzenia, o których wspominają mity i legendy.

Zaciskając dłonie na relingu, patrzył, jak przy narożach windowanej z morza platformy wynurzają się czterej nurkowie. Na widok tego, co na niej spoczywało, załoga oszalała z radości. Miesiące przygotowań i wiele dni znoejnej całodobowej pracy przyniosły rezultat.

— Bingo! — krzyknął do Jacka szef załogi. — Znowu miałeś rację.

— Bez waszego zaangażowania nie byłoby to możliwe. Było to wielkie spiszowe działo, długie co najmniej na dwa metry. Oczyszczony z wielowiekowego nalotu wierzch błyszczał jak złoto. Jack na pierwszy rzut oka rozpoznał w nim wczesny typ. Cylindryczna w tylnej części lufa zwężała się ku przodowi i przechodziła w ośmioboczną. Widział podobne w Portsmouth na szesnastwiecznej „Mary Rose”, okręcie flagowym Henryka VIII, oraz wydobyte z wraków hiszpańskiej armady. Ale to wyglądało na starsze, o wiele starsze.

Dźwig przeniósł ostrożnie platformę nad relingiem i opuścił ją na pokład dziobowy. Jack podszedł tam, za nim postępowwała podekscytowana załoga. Przykucnął i nie zwracając uwagi na rozbryzgi błota zmywanego strugą wody ze szlauchu, z nabożeństwem dotknął działa.

— Lew świętego Marka — powiedział. — Zgadza się, weneckie.

Pokazał wybrzuszenie w tylnej części. Ku wylotowi lufy spoglądał uskrzydłony lew z wieńcem na szyi, jeden z najbardziej charakterystycznych symboli średniowiecznej Europy.

Jack przesunął palcami po emblemacie, i dalej, ku tyłowi działa. Nagle uniósł drugą rękę, dając znak człowiekowi ze szlauchem, żeby skierował strumień gdzie indziej.

— Jest znak odlewni — powiedział z podnieceniem. — Przed samym otworem przytykowym.

— To data. — Szef załogi pochylił się nad Jackiem, osłaniając oczy przed rażącym słońcem. — *Anno domini*. Potem rzymskie cyfry. Trudno je odczytać... M, C, D...

— Tysiąc czterysta pięćdziesiąty trzeci — krzyknął ktoś.

— Boże — powiedział cicho Jack. — Wielkie Oblężenie. Nie musiał nikomu tłumaczyć, co to za data; wbił ją załodze do głów swoimi wykładami. 1453. Rok największego w dziejach konfliktu między Wschodem a Zachodem, starcie tytanów na tym skrzyżowaniu dróg między Europą a Azją. Rok ostatniego tchnienia wydawanego przez dogorywające cesarstwo rzymskie, którego obszar od czasów świetności, kiedy to Rzym władał większą częścią znanego świata, w ciągu tysiąca pięciuset lat skurczył się do tego krnąbrnego cypla. Dotykając zimnego metalu działa, poczuł przyływ energii. Spojrzał wzdłuż osi lufy w kierunku miasta. Ze swoimi minaretami i kopytami było jak klejnot wynurzający się z mirażu. Dotykał oto samej historii, wciągany w przeszłość z bezpośredniością, której nie dałby mu żaden podręcznik.

Po chwili wstał i rozprostował plecy. Wysoki, szczupły przewyższał o głowę większość członków załogi.

— To działa polowe, oblężnicze, znacznie większe od tych odcylcowych, które ładowano kartaczami i w które uzbrajano statki z tamtego okresu. Moim zdaniem mamy przed sobą jedno z dział, którymi sułtan Muhammad Drugi i Turcy osmańscy bombardowali umocnienia miasta. — Wskazał na linię brzegową, gdzie widoczne były jeszcze nadkruszone pozostałości bizantyjskich murów chroniących miasto od strony morza, zniszczone dodatkowo trzęsieniami ziemi i zębem czasu. — Osmanowie użyliby wtedy każdego

działa, jakie wpadłoby im w ręce. To zostało odlane kilka miesięcy wcześniej w Wenecji, potem zdobyte w bitwie albo

przez piratów i wykorzystane przeciwko połączonym siłom Bizancjum, w tym może i samym Wenecjanom, broniącym się za tamtymi murami. Tureckie media będą wniebowzięte.

Kiedy załoga rozeszła się do swoich zadań, Jack spojrzął ponownie na emblemat zdobiący działo. Podobnie jak jego przodkowie z Anglii — kapitanowie statków i badacze docierający do najdalszych zakątków globu — Wenecjanie również byli narodem żeglarzy i rozciągali swoje macki na cały śródziemnomorski świat, zakładając nawet kolonię kupiecką tu, w Konstantynopolu. Ich nie interesował imperializm ani podboje, lecz handel i spekulacja. A jednak stali się odpowiedzialni za jedną z największych zbrodni w dziejach cywilizacji, zbrodni, która przywiodła w to miejsce Jacka pragnącego ją za wszelką cenę wyjaśnić.

Jack wrócił na mostek, usiadł znowu za stołem nawigacyjnym i podwinął rękawy. Był chłodny, wczesnowiosenny poranek, ale mgiełka nad morzem już się rozwiała i słońce zaczynało przygrzewać. Obejrzał się na Toma Yorka, starszego kapitana IMU, schludnie ubranego, siwowłosego mężczyznę, który konferował z drugim oficerem, Estończykiem mającym doskonałą opinię rosyjskiej Akademii Żeglugi Morskiej, zamustrowanym niedawno na statek. York zerknął na Jacka i wskazał ruchem głowy na okno mostka, przez które obserwował przed chwilą wypadki rozgrywające się na pokładzie dziobowym.

— Na oko połowa piętnastego wieku. — York zaczynał swoją karierę w Royal Navy jako oficer artylerii i znał się jak nikt na uzbrojeniu dawnych okrętów. Jego wiedza w tym zakresie okazała się nieoceniona podczas niejednej ekspedycji IMU. — Nie mogę się doczekać, kiedy przyjrzę mu się z bliska. Same początki artylerii morskiej. Ale dla nas to za późno.

Jack kiwnął głową.

— Tysiąc czterysta pięćdziesiąty trzeci rok. Bez mała dwieście pięćdziesiąt lat za późno. My szukamy czegoś z okresu, kiedy na morzu nie stosowano jeszcze dział. Znaleźnisko jest wspaniałe i nie chcę zniechęcać załogi, ale daleko nam jeszcze do dokopania się do krucjat.

Jack przypatrywał się brzegowi. Na chwilę przesłonił mu widok zatłoczony do granic możliwości prom przepływający niebezpiecznie blisko ich stanowiska. Miasto oglądane poprzez mgiełkę fosforescencji nad jego kilwaterem zdawało się unosić na chmurze jak niebiańska zjawa. Stanowiło jeden z najwspanialszych widoków na świecie, resztki największej w dziejach cywilizacji. Jack patrzył na nie jak na przekrój stanowiska archeologicznego, tyle że tutaj, zamiast z nakładającymi się jedna na drugą warstwami, miało się do czynienia z totalnym chaosem, nici historii przeplatały się i nic nie było jednoznaczne. Najniższy poziom stanowiły kruszące się, spękane pozostałości murów Konstantynopola zaprojektowane przez cesarza Konstantyna Wielkiego, który w czwartym wieku naszej ery przeniósł tutaj swoją stolicę, porzucając chylący się od tamtego czasu ku upadkowi i popadający w ruinę Rzym. Ponad te mury wyrastały zbocza znacznie starszego greckiego akropolu Bizancjum, którą to nazwę przejęło średniowieczne imperium chrześcijańskie ze stolicą w Konstantynopolu sięgające swymi korzeniami Rzymu. Wyżej rozpościerał się wspaniały pałac Topkapi, oś metropolii, którą Turcy osmańscy, pokonawszy w roku 1453 Bizantyjczyków, przemianowali na Stambuł, oraz błyszczące serce najpotężniejszego państwa średniowiecznego świata. Jeszcze wyżej, nad nielicznymi już drewnianymi domami starego Istambułu, wznosiły się minarety i rozmieszczone kaskadowo kopuły Hagia Sofia, jednej z największych chrześcijańskich katedr na wschodzie, a od roku 1453 świętego miejsca islamu. I całkiem możliwe, ale tylko możliwe, że to

wielkie miasto skrywa dowód na migrację u zarania dziejów, na przybycie tutaj przedstawicieli wczesnej, wysoko rozwiniętej cywilizacji, ocalałej ze znajdującej się gdzieś po wschodniej stronie Morza Czarnego atlantydzkiej cytadeli zalanej przez wody potopu.

Nie chciało mu się wierzyć, że minęło już sześć miesięcy od czasu, kiedy błędzili z Katią w labiryntach bocznych uliczek tego miasta. Był to okres euforii, napawania się wielkim odkryciem, ale również okres pustki i straty, bolesny dla nich obojga. Katią wstrząsnęła do głębi prawda o imperium zła jej ojca. Poruszyło ją to do tego stopnia, że pomimo perswazji Jacka postanowiła wrócić do Rosji i wypowiedzieć tam wojnę nielegalnemu handlowi antykami. Dla Jacka poczucie osobistej straty było jeszcze bardziej dojmujące i do tej pory go nie opuściło. Stracił wtedy przyjaciela, Petera Howe'a, którego znał od dzieciństwa. Wspominał go, ilekroć spojrzał na utykającego Toma Yorka, ranionego w tej samej bitwie artyleryjskiej. Jack został na „Sea Venture” nad Atlantydą aż do ostatecznego odwołania poszukiwań. Potem przez wiele dni dręczyło go poczucie, że jego ambicje poszły na dno Morza Czarnego razem z wrakiem „Seaquesta”, że nie ma prawa narażać więcej życia innych w imię zaspokajania swojej żądzy przygód. Dopiero Katia, kiedy pochłonięci historią Bizancjum penetrowali całymi dniami Sztambuł, przywróciła mu pewność siebie. Przekonała, że powinien odgrzać chłopięce marzenie, które pielęgnował z Peterem Howe'em, marzenie o legendarnym zaginionym skarbie. Po rozstaniu z Katią na lotnisku oddał się temu marzeniu bez reszty i to ono sprowadziło go tutaj z powrotem.

— Zrobione!

Jack otrząsnął się z zadumy, podniósł z krzesła i wszedł do kabiny nawigacyjnej za mostkiem, z której dobiegł ten okrzyk. Radar oraz konsole do naprowadzania statku na pozycję

zepchnięto pod ściany ciemnego pomieszczenia, żeby zrobić miejsce dla stosów aparatury elektronicznej piętrzących się teraz wokół wielkoekranowego monitora komputerowego.

Pośrodku tego wszystkiego, niepomny obecności Jacka, siedział smagły, czarnowłosy mężczyzna o posturze rugbisty. Wlepiął oczy w ekran, na uszach miał słuchawki z antenkami.

— Całe szczęście, że zrzuciłeś tych parę kilogramów — powiedział Jack. — Bo musielibyśmy cię stamtąd odkopywać.

— Co? — Costas Kazantzakis posłał mu półprzymiotne spojrzenie i znowu wbił wzrok w ekran. Jack, podnosząc głos, powtórzył swoją uwagę.

— Dobra, dobra. — Costas zdjął z głowy słuchawki i odchylił się na oparcie fotela, na ile pozwalała na to ciasnota, którą wokół siebie stworzył. — Tak, co tu ukrywać, skłoniło mnie do tego przeciskanie się przez tamten podwodny tunel. Do dzisiaj noszę blizny. Bogowie Atlantydy ostrzegli mnie, żebym uważał z kaloriami.

Costas wykręcił szyję i spojrzał na upstrzony grudkami schnącego błota sweter Jacka.

— Znowu taplałeś się w błocie?

— Działo obłąknicze. Z tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego.

Costas odchrząknął i nagle nasadził słuchawki z powrotem na głowę, bo ekran rozbłysł kolorami. Jack patrzył z czułością na przyjaciela pochłoniętego znowu swoją pracą. Costas był genialnym inżynierem, absolwentem wydziału techniki podwodnej Massachusetts Institute of Technology i od dziesięciu lat, czyli od założenia IMU, towarzyszył Jackowi w wielu ekspedycjach. Jego ścisły umysł był idealnym uzupełnieniem dla archeologicznej wiedzy Jacka. Costas nie próbował nawet rozplątywać zasupnanych nici historii ani silić się na jakiegokolwiek interpretacje. Dla niego istniały tylko te problemy, które mógł rozwiązać, posługując się swoją wiedzą techniczną.

a jedynym wyzwaniem były odmawiające posłuszeństwa urządzenia.

— Co się dzieje?

Do kabiny nawigacyjnej wcisnął się zażywny mężczyzna. Maurice'a Hiebermeyera, mimo że był w szortach i rozpiętej koszuli, powlekała jak zawsze warstewka potu. Jack obejrzał się i skinął mu na powitanie głową.

— Costas uruchomił chyba wreszcie to urządzenie.

Jack wiedział, co się zaraz stanie. Hiebermeyer, jak sęp spadający na ofiarę, przyleciał poprzedniego wieczoru helikopterem z Instytutu Archeologii w Aleksandrii. Przygnała go nadzieja, że Jack natrafił na stanowisku w stambulskim porcie na jakieś problemy nie do przewyciężenia i będzie bardziej skory do współpracy nad jego projektem. Kiedy przed sześcioma miesiącami rozmawiali po raz ostatni na „Sea Venture”, Hiebermeyer wspominał o odkryciu jeszcze jednego intrygującego starożytnego zapisu w nekropolii, z której pochodził papirus z tekstem wspominającym o Atlantydzie, i od tamtego czasu bombardował IMU telefonami i e-mailami.

— Jack, musimy... — zaczął, wachlując się kartonową teczką, którą ze sobą przyniósł.

— Może później — wpadł w słowo tęgiemu egiptologowi Jack, uśmiechając się przepraszająco. — Mamy tutaj napiętą sytuację i muszę się skoncentrować. Wybacz, Maurice. Wstrzymaj się z tym, dopóki nie skończymy. — Odwrócił się do ekranu. Hiebermeyer posłusznie zamilkł.

— No!

Ekran zafalował kolorem i obaj mężczyźni pochyłili się nad Costasem, wyętzając wzrok. Zobaczyli obraz wideo — zalaną światłem szarą masę ze sterczącym pośrodku ramieniem mechanicznego chwytaka.

— Znajdujemy się teraz prawie szesnaście metrów pod dnem morza, pięćdziesiąt jeden metrów poniżej naszego

aktualnego położenia. — Costas zdjął słuchawki i odchylił się na oparcie fotela. — Za kilka sekund nastąpi automatyczne przełączenie kamery na sonar i będziemy mieli szperacz z powrotem na linii.

— Jaki szperacz?

Costas zerknął przepaszająco na Hiebermeyera i podał mu plastikowy model, który do tej pory ścisnął w rękę jak talizman — dziwny cylindryczny kształt przypominający trochę zdalnie sterowanego robota, za którego pomocą penetrowali neolityczną osadę w głębinach Morza Czarnego.

— To skrzyżowanie zdalnie sterowanego robota z podwodnym odkurzaczem i poddennym sonarem — wyjaśnił z dumą. — Jest sterowany stąd za pośrednictwem kabla i potrafi przekopywać się przez osad z milimetrową precyzją, przesyłając ostre, wyraźne obrazy. W tej chwili ryje w tonach osadu terragennego. Znajdujemy się na skraju kanału żłobionego przez Bosfor, ale i tutaj mnóstwo tego ziemnego osadu, przybywa go kilka metrów na stulecie. Żeby znaleźć to, czego szukamy, musimy zejść naprawdę głęboko. Ten łańcuch zapada się dodatkowo pod własnym ciężarem.

— Aha, łańcuch — mruknął Hiebermeyer. — Jaki łańcuch? Jack odwrócił się do żółtej mapy podejść do stambulskiego portu, przypiętej do ściany obok Costasa. Pozycja „Sea Venture” zaznaczona była wyraźnie na zewnętrznym skraju ujścia, które wijąc się, przecinało miasto i tworzyło jeden z największych naturalnych portów świata. Dla starożytnych Greków był to Chryzókeras, Złoty Róg, ślad po gigantycznym mitycznym byku, który utonął w Bosforze, brnąc tamtędy ku Morzu Czarnemu. Trzem mężczyznom mającym świeżo w pamięci posąg atlantydzkiego byka nieodparcie się to z czymś kojarzyło. Jack wzięł ołówek i nakreślił cienką linię w poprzek ujścia.

— W okresie bizantyjskim Złoty Róg był w razie za-

grożenia przegradzany potężnym, długim na blisko kilometr łańcuchem o ogromnych ogniach z kutego żelaza, zawieszanym na wbitych w dno słupach i na barkach. Jego końce umocowane były tutaj, do wieży, niedaleko skraju murów obronnych, gdzie ujście spotyka się z Bosforem, i tutaj, trzysta metrów od nas, na brzegu Galaty. Pierwsza wzmianka o tym łańcuchu pochodzi z ósmego wieku naszej ery, odegrał on ważną rolę podczas Wielkiego Oblężenia w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim, ale znane nam są tylko dwa przypadki, kiedy ponoć został sforsowany. Po raz pierwszy w jedenastym wieku przez bandę najemnych wikingów, którzy jakoby przenieśli nad nim swoje długie łodzie. Po raz drugi, co jest trochę lepiej udokumentowane, w roku tysiąc dwieście czwartym przez weneckie galery, które rozerwały go taranami. Łańcuch naprawiono, ale jakieś uszkodzone ogniwo mogło opaść na dno. Gdyby udało nam się je znaleźć, mielibyśmy oznaczoną warstwę, która odpowiada dacie grabieży, i byłibyśmy w domu.

— Pierwsze ogniwo naszej historii. — Costasowi nie udało się pokryć tym kalamburem zdenerwowania. Cicho bębnił palcami w biurko i zerkał raz po raz na ekran. Obraz pociemniał i jedynym dowodem na to, że szperacz robi swoje, był wskaźnik głębokości w narożniku, który wolno opadał co każde pięć centymetrów przebytej przez robota drogi.

— A skąd wiecie, że szukać należy właśnie tutaj? — zainteresował się Hiebermeyer, zapominając na chwilę o własnym projekcie.

— Pewności nigdy nie ma, ale piętnastowieczny manuskrypt znaleziony w zeszłym roku w archiwach Topkapi podaje dokładne współrzędne pomiędzy znanymi monumentami na linii brzegowej.

— Kiepska sprawa. — Costas spojrzął na zegar ścienny i poprawił się niespokojnie w fotelu. — Jeśli to działa było

z tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego, to od docelowej warstwy dzieli nas dobre pięć metrów zbitego osadu dennego. A za dwadzieścia minut „Sea Venture” musi zmienić pozycję.

Jack, podzielający obawy przyjaciela, zacisnął usta. Taką sytuację na stanowisku mieli po raz pierwszy. Była to nieustanna zabawa w kotka i myszkę na jednym z najbardziej uczęszczanych szlaków wodnych na ziemi. Administracja portu przyznała im sześciogodzinne okno na każdy dzień poszukiwań, ale i tak musieli co chwila usuwać się z drogi to jakiemuś promowi, to znowu statkowi handlowemu, a niektóre z tych jednostek miały tak głębokie zanurzenie, że śruby napędowe wzruszały osad z dna. Jack miał pełne zaufanie do Toma Yorcka i jego umiejętności nawigowania w tych warunkach, a system dynamicznego pozycjonowania „Sea Venture” umożliwiał powrót dokładnie na tę samą pozycję, nic jednak nie chroniło stanowiska na dnie, a co ważniejsze dla Costasa, nie było żadnej gwarancji, że jego najnowszy wynalazek nie zostanie pogrzebany na zawsze z całą resztą świadectw historii.

Hiebertmeyer wyczuł napięcie i zwrócił się do Jacka:

— No więc jakie jest to twoje chłopiące marzenie?

Jack wziął głęboki oddech, kiwnął głową i podszedł do konsoli komputera stojącego w drugim końcu pomieszczenia. Opowiadał już o tym po wielokroć załodze i mediom, powtarzał do znużenia zarządowi IMU i tureckim władzom, ponawiając uparcie próby zdobycia aprobaty dla projektu, i przy każdej takiej okazji dreszczyk emocji przebiegał mu po krzyżu.

— Wielkie Oblężenie tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego roku było jednym z punktów zwrotnych historii — zaczął. — Podzwonnym dla największego imperium świata, wydarzeniem, które dało islamowi trwałe przyczółki w Europie. Ale dla samego miasta Konstantynopol bardziej brzemiennie w skutki było to, co zaszło dwieście pięćdziesiąt lat

wcześniej. Profanacja i gwałt na niewyobrażalną skalę, akt barbarzyństwa porażający nawet jak na średniowieczne normy. A dopuścili się go nie niewierni, lecz chrześcijanie, ni mniej, ni więcej, tylko krzyżowcy spod znaku Krzyża Świętego.

— Krucjaty — mruknął Hiebermeyer. — No tak, oczywiście.

— Tym razem nie pociągnęli do Ziemi Świętej.

— Przypomnij sobie, co wbijał nam do głów w Cambridge profesor Dillen — mruknął Hiebermeyer. — Największe zbrodnie przeciwko chrześcijaństwu popełniali sami chrześcijanie. — Obaj w tym samym roku ukończyli studia, a potem, kiedy Jack po odsłużeniu wojska w Royal Navy wrócił na uczelnię, by robić doktorat, studiowali razem pod kierunkiem tego słynnego naukowca historię chrześcijan i żydów.

— Był rok tysiąc dwieście czwarty — podjął Jack. — Papież Innocenty Trzeci wezwał do czwartej krucjaty, jeszcze jednej z góry skazanej na niepowodzenie próby odbicia Jerozolimy z rąk niewiernych. Jak doszło do tego, że szlachetni rycerze biorący udział w tej wyprawie dali się nakłonić do zboczenia z drogi i zamiast ruszyć na innowierców, złupili największą skarbnicę wschodniego chrześcijaństwa, to jedna z najbardziej niesamowitych sag w dziejach.

Mały ekran przed nimi rozbłysł i ukazał się rozpoznawalny na całym świecie obraz — cztery wykute kunsztownie w miedzi i pozłacane konie na tle zdobnej fasady bazyliki.

— Konie Świętego Marka — mruknął Hiebermeyer.

— Niejeden turysta opuściłby aparat, gdyby wiedział, skąd wzięły się te rzeźby w Wenecji. — Jack już się rozkręcił, w jego głosie pobrzmiwało wzburzenie. — Przywódcom krucjaty potrzebny był ktoś, kto przewiezie ich rycerzy z całym rynsztunkiem przez Morze Śródziemne do Ziemi Świętej. A któż nadawał się na takiego przewoźnika lepiej niż Wenecjanie, największa potęga morska tamtych czasów? Ale Wenec-

janie chowali w zanadrzu inne plany. Imperium bizantyjskie ze stolicą w Konstantynopolu, zajmując nowe terytoria na Adriatyku, zaczynało się przybliżać do Wenecji, a to się Wenecjanom nie podobało. W Konstantynopolu zamordowano weneckiego kupca. Weneckiego dożę Dandola uwięziono tam przed laty i oślepieno, i doża pałał w głębi ducha żądzą zemsty. Kiedy okazało się, że rycerstwu gromadzącemu się w wyznaczonej na punkt zborny Wenecji brakuje pieniędzy na opłacenie transportu morskiego, krzyżowcy znaleźli się praktycznie na łasce Wenecjan. Dodać do tego, że w ich szeregach znajdował się pretendent do bizantyjskiego tronu, i stało się. Papież Innocenty Trzeci mimowolnie opłacił ze swej kiesy grabież drugiego miasta chrześcijaństwa, najważniejszego miejsca Kościoła wschodniego. Po przybyciu do Konstantynopola krzyżowcy zapomnieli o Krzyżu Świętym i zaczęli się zachowywać jak inne łupieżcze armie średniowiecza, wykazując się przy tym okrucieństwem i barbarzyństwem, które nie miały sobie równych nawet w tamtym okresie.

— Tak, wiem.

— Bo wyobraź sobie, że do Londynu wdziera się jakaś zdziczała armia i demontuje wszystkie pomniki, bezcześci opactwo Westminsterkie, ogałaca do ostatniego eksponatu British Museum, puszcza z dymem British Library. Wszystkie symbole państwowości i skarby imperium utracone w jednym skąpanym we krwi akcie rozbuchanego wandalizmu. W Konstantynopolu pobożni rycerze wyładowali swój zapał do krzewienia wiary na wielkich kościołach, przede wszystkim na Hagia Sofia, grabiąc święte relikwie tysiąca lat chrześcijaństwa. Zniszczyli biblioteki, spadkobierczynie tych starożytnych w Aleksandrii i Efezie — niewyobrażalna strata dla cywilizacji. Splądrowali hipodrom, starożytny tor wyścigowy będący chlubą miasta, zostawiając tylko fragmenty rzeźb,

które można tam teraz oglądać, i parę pomników zbyt wielkich, by je zabrać.

— Egipski obelisk Totmesa Trzeciego — mruknął Hiebertmeyer, kiwając głową.

Jack pokazał na ekran.

— Wiemy, że do Konstantynopola trafiły wszystkie najwspanialsze skarby zachodniej cywilizacji. W miarę rozrastania się imperium rzymskiego bezcenne dzieła sztuki z Egiptu, Grecji i Bliskiego Wschodu ściągane były najpierw do Rzymu. Potem Konstantyn, przenosząc stolicę, zabrał ze sobą większość tych skarbów, przewożąc je statkami przez Morze Śródziemne z Rzymu do Konstantynopola. Oryginalne Konie Świętego Marka powstały w piątym wieku przed Chrystusem w Grecji, być może zdobyły tam słynną świątynię Zeusa Olimpijskiego. Pięć wieków później są już w Rzymie, u zwieńczenia łuku triumfalnego Nerona na Forum, i stanowią fragment rzeźby wyobrażającej cesarza powożącego kwadrygą. Łuk został zburzony przez Wespazjana, ale jego wizerunek

przetrwał na monetach bitych przez Nerona. Cztery wieki później konie stoją tutaj, w Konstantynopolu, być może w hipodromie, obok tego obelisku. A zwróć uwagę, że przed rokiem tysiąc dwieście czwartym Konstantynopol nie został ani razu splądrowany. Skarby, które według naocznych świadków zostały zrabowane przez krzyżowców, mogą być tylko częścią tego, co tam się znajdowało. Część łupu została przetopiona na sztaby, z części wybito monety. Inne skarby, świadectwo tej niesłychanej zbrodni, takie jak Konie Świętego Marka, przewieziono statkami do Wenecji i ojczyzn krzyżowców — Francji, Hiszpanii, Niderlandów, Anglii — gdzie być może spoczywają do dzisiaj w tajnych podziemiach wielkich katedr i klasztorów. Z kolei inne obiekty, zwłaszcza antyki o pogańskiej symbolice, zbezczeszczone i wrzucono do Złotego Rogu. — Zawiesił na moment głos. — Kiedy ta historia

stała się dla mnie i Pete'a Howe'a obsesją, szybko obaj doszliśmy do przekonania, że jedno z największych na świecie cmentarzysk starożytnej sztuki może się rozpościerać na tym morskim dnie, które mamy teraz pod sobą.

W tym momencie Costas zaszurał fotelem, przysuwając się z nim do swojego monitora. Hiebermeyer, nie odrywając wzroku od Koni Świętego Marka, położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

— A więc twierdzisz, że cokolwiek znajdowało się kiedyś w starożytnym Rzymie, mogło zostać przewiezione tutaj — powiedział cicho. — W zeszłym roku, wkrótce po twojej przygodzie na Morzu Czarnym, wezwano mnie do Rzymu, żebym przetłumaczył pewien egipski tekst kapłański znaleziony tam, gdzie stała Świątynia Pokoju Wespazjana, w pobliżu miejsca, w którym wcześniej znaleziono fragmenty wyrzeźbione w marmurowej płycie planu miasta. Okazało się, że jest to szereg tabliczek z brązu przytwierdzonych do kolumnady otaczającej świątynię, każda o identycznej treści we wszystkich najważniejszych językach cesarstwa rzymskiego. Łacina, greka, egipski, aramejski, co tylko chcesz. Były to proklamacje wyszczególniające zwycięstwa Wespazjana i opiewające triumf Rzymu. Dotyczyły wojny żydowskiej.

Jack oderwał wzrok od Costasa i spojrzął na Hiebermeyera pociemniałymi nagle oczyma.

— Domyślasz się, do czego zmierzam? — spytał Hiebermeyer. Jack milczał.

— Boże kochany. — Niemiecki akcent Hiebermeyera stał się bardziej wyraźny, głos mu się łamał. — Żydowskie skarby z Przybytku. Wespazjan złożył je w Świątyni Pokoju, żeby nigdy już nie były obnoszone po ulicach. Przeszły do legendy. — Zniżył głos do szeptu. — Czyżby przed upadkiem Rzymu zostały przewiezione w tajemnicy do Konstantynopola?

— Chodziło mi to już po głowie — przyznał cicho Jack. Hiebermeyer zdjął z nosa małe, okrągłe okulary i otarł z potu czoło.

— Święte naczynia z wewnętrznego sanktuarium. Złoty stół. Menora. — To ostatnie słowo z trudem przeszło mu przez wyschnięte gardło. — Masz pojęcie, w co moglibyśmy wdepnąć?

— Mam — mruknął Jack.

— Tutaj nie chodzi o jakiś tam legendarny skarb. Tu chodzi o współczesne uwarunkowania. Menora jest symbolem dzisiejszego państwa Izrael. Jedno nieopatrzone słowo, że jesteśmy na tropie zaginionego skarbu z żydowskiej Świątyni i może dojść do wybuchu. Dosłownie.

— To nie wyjdzie poza te cztery ściany — powiedział Jack. W tym momencie od konsoli dobiegł triumfalny okrzyk, a potem radosna wiązanka brooklyńskiego slangu. Jack z Hiebermeyerem w jednej chwili znaleźli się za Costasem, do kabiny zajązrał drugi oficer. Jack zerknął na niego przelotnie przez ramię i szybko przeniósł wzrok z powrotem na ekran. Już wiedzieli, co wywołało u Costasa ten wybuch entuzjazmu.

Na ekranie widniał wielobarwny obraz, ostry i wyraźny jak trójwymiarowa grafika komputerowa, bezsprzecznie z wytworem ludzkich rąk pośrodku — pociemniałą, skręconą masą zarytą w osadzie dennym. Było to ogromne metalowe ogniwo w kształcie ósemki, długie na co najmniej metr, zespolone w przewężeniu. Drugie, szczepione z nim ogniwo, nie mieściło się już w kadrze i nikło za prawą krawędzią ekranu, ale to widziane w całości było pokiereszowane i wykrzywione w miejscu, gdzie oderwano ogniwo sąsiadujące z nim od lewej strony.

— Coś fantastycznego! — Jack klepnął Costasa w plecy. Ogarniała go euforia; nie odrywając oczu od ekranu, wybiegał już myślami do następnej fazy poszukiwań. Kamera robiła

najazd na brzeg odsłoniętego metalu. W ostatnie ogniwo wkliniowana była najeżona drzazgami masa wyrwanego z jakiejś większej całości drewna, ani chybi fragment wręgi z przybitymi do niej, zachodzącymi na siebie deskami poszycia kadłuba, wzdłuż których ciągnęły się szeregi regularnie rozmieszczonych wybruszeń w miejscach, gdzie beztlenowy szlam zakonserwował na ponad osiem stuleci metalowe łebki gwoździ. Jack i Hiebertmeyer sapnęli mimowolnie, uświadamiając sobie, co jeszcze tkwi w ogniwie. To białe przypominające wiązkę chrustu było zmiażdżonym ludzkim szkieletem. Ręce przetknięte przez oko ogniwa pod groteskowymi kątami, czaszka zniekształcona i ledwie rozpoznawalna, ale nadal z rdzawobrązową aureolą tam, gdzie ongiś nasadzony był na nią dopasowany stożkowy hełm z ochroniaczem nosa.

— Masz swój łańcuch i na dodatek jedną jego ofiarę - powiedział Costas. — No, pora się stąd wynosić.

Costas wduślił na konsoli przycisk odczepiający przewód, który łączył centrum sterowania z robotem, i w tym samym momencie zadudniły silniki statku. Jack zostawił przy nim Hiebertmeyera i wyszedł z kabiny nawigacyjnej na mostek. Tę godzinę, na którą „Sea Venture” będzie się musiał usunąć z toru wodnego, wykorzysta na przekazanie wiadomości o znalezisku załodze. Spojrzał przez okno ponad nadpływającym już rudowęglowcem na niskie przęsła mostu Galata.

Trwał poranny szczyt, w obie strony sunęły po nim rzeki pojazdów, balustrady oblegali liczący nie wiadomo na co wędkarze nieświadomi prawdziwych skarbów zaściełających być może dno, które mają pod stopami. Choć z drugiej strony te lekko wzburzone wody, po których pływały niegdyś paradne barki cesarzy i sułtanów, w rezultacie trwającej od dekady operacji oczyszczania znowu zaczynały nabierać przejrzystości. Jack przeniósł wzrok dalej, na panoramę miasta. Czuł znowu tę pokusę, która wciągnęła ich kiedyś z Katią w zgłę-

bianie najskrytszych sekretów Stambułu. Pomimo całego chaosu i mrocznej historii miasto to było dla niego symbolem nadziei, miejscem, które roznieciło w nim na nowo towarzyszącą mu od dzieciństwa pasję odkrywania tajemnic przeszłości.

Spojrzał na roziskrzoną wodę rozcinaną dziobem „Sea Venture” i burzoną dodatkowo dyszami stabilizatorów statku. Rozpierała go radość, że dokonał odkrycia, dzięki któremu może się ziścić jego marzenie i które może stanowić odskocznię do jeszcze bardziej sensacyjnych znalezisk w przyszłości. Ten łańcuch naprowadził ich na przełomowy moment historii i udowodnił, że znajdują się na zewnętrznych obrzeżach portu, gdzie zatopiono odrzuty z grabieży Konstantynopola. Teraz wystarczyło tylko posuwać się dalej w głąb Złotego Rogu, a prędzej czy później powinni na coś natrafić. Ale jak zwykle radość studził niepokój. Byli teraz pod presją. Wciąż daleka droga przed nimi, a będą przecież musieli wykazać się jakimiś konkretnymi znaleziskami, jeśli chcą, żeby władze przedłużyły im zezwolenie na prowadzenie badań na szlaku wodnym; to działo i ogniwa łańcucha dowiodły, że miał rację, ale rozbudzą również większe oczekiwania. Spojrzał znowu na skrzące się wody Złotego Rogu i osłaniając oczy przed bijącym od nich blaskiem, modlił się żarliwie, żeby tym oczekiwaniom sprostać.

2

Maria de Montijo poprawiła się niemal niezauważalnie na stołku i przymknęła na moment oczy. To był jej najdłuższy, jak dotąd, dzień na terenie katedry. Zdawała sobie sprawę, że adrenaliny na długo już nie wystarczy i tylko patrzeć, jak pojawią się problemy z koncentracją. Za oknem ściemniało się, szare, dżdżyste angielskie popołudnie przechodziło w wieczór. Rozprostowała plecy, zamrugała i uniosła do krawędzi ramy tackę z akcesoriami do czyszczenia. Panująca w pomieszczeniu cisza, mącona jedynie szelestem bębniącej o szyby mżawki, wywoływała wrażenie, że czas stanął w miejscu i cała uwaga świata skupia się na oświetlonej mikroreflektorkiem, wykaligrafowanej inkaustem literze, którą miała tuż przed oczyma. Oddychała powoli, miarowo, przy końcu każdego wydechu wprawiając w ruch pędzelek z wprawą zawdzięczaną wieloletniej praktyce. Po piętnastu minutach wyprostowała się i oddała tackę asystentowi.

— No — powiedziała. — Gotowe.

Cofnęła ostrożnie lampę na wisięgniku, by oświetlić całą inskrypcję, efekt ponadtygodniowej mozolnej pracy. Po usunięciu patyny wieków litery nabrały wyrazistości i poczerniały,

Wyglądały teraz tak, jakby naniesiono je przed kilkoma dniami.

*Tuz ki cest estorie ont. Ou oyront ou lirront ou ueront.
Prient a ihesu en deyte. De Richard de haldingham o de
Lafford eyt pite. Ki lat fet e compasse. Ki ioie en cel li
seit done.*

Nieznany jej starofrancuski przydawał jeszcze tajemniczości człowiekowi, który ułożył ten tekst. Kontemplowała go przez chwilę, potem spojrzała zachęcająco na asystenta, szczupłego młodzieńca w okularach w drucianych oprawkach, i ten pochylił się skwapliwie, żeby dokonać tłumaczenia.

— *Wszyscy ci, którzy posiadają to dzieło, a także ci, którzy je widzieli, czytali alibo o nim słyszeli, niechaj modlą się do Jezusa, Pana naszego, aby okazał łaskę Richardowi of Holdingham i of Sleaford, ktoren je stworzył i przyozdobił, i aby dał mu wieczne odpoczywanie w niebiesiech.*

Prawdę powiedziawszy, powinni teraz dopisać do ostatnich słów Richarda swoje imiona, bo skończyli pracę w tym samym miejscu, gdzie przed blisko siedmiuset laty skryba po raz ostatni oderwał gęsie pióro od pergaminu.

Dwadzieścia minut później Maria stała pośrodku pomieszczenia i patrzyła na mapę, po raz ostatni sycąc oczy jej widokiem, zanim zabytek trafi z powrotem pod szkło ochronne. Przy zgaszonej lampie punktowej przytłumione oświetlenie sali zdawało się podkreślać wiek welinu, uwypuklając cienie i zafalowania na jego powierzchni w miejscach, gdzie jagnięca skóra z upływem lat zbiegła się i odkształciła.

Konserwację manuskryptów powierzała zazwyczaj personelowi technicznemu swojego instytutu w Oksfordzie. Kiedy

jednak instytutowi zlecono odświeżenie Mappa Mundi z katedry w Hereford, nie oparła się pokusie. Oto nadarzała się niepowtarzalna okazja popracowania nad największym z ocalałych trzynastowiecznych iluminowanych manuskryptów, dotknięcia własną ręką tej najważniejszej i najsłynniejszej na świecie mapy.

Oczy przyzwyczajały się do półmroku i znajoma forma zaczynała nabierać kształtów. Wielki kwadratowy pergamin wypełniała niemal w całości kula ziemiska o średnicy ponad czterech stóp. Pośrodku Jerozolima, poniżej Morze Śródziemne w kształcie litery T, rozdzielające Azję, Afrykę i Europę. W dolny lewy róg wciśnięte Wyspy Brytyjskie, a w egzerdze za nimi inskrypcja, którą przed chwilą oczyszczała. Na całej mapie mrowie miniaturowych rysunków z podpisami po łacinie i po francusku, jedne ilustrujące opowieści biblijne, inne przedstawiające dziwaczne stwory i mityczne miejsca.

Istny róg obfitości faktów i fantazji, szczyt ekspresji średniowiecznego umysłu. Ale również świadectwo ignorancji. Ze swoim uporządkowaniem i arbitralnością mapa zdawała się pretendować do miana ostatecznego i niepodważalnego przedstawienia świata zamieszkanego przez ludzi, a przecież za wąskim paskiem oceanu okalającym chrześcijańską domenę niczego już nie zaznaczono. W odczuciu Marii postać Chrystusa na ścianie pod powałą zdawała się wydawać sądy nie tylko o zmarłych, ale i o żyjących, o ludziach tak w sobie zadufanych, że w ich mniemaniu mrowie ozdobników, którymi upstrzyli swoją *mappa mundi*, oddawało w pełni ogrom boskiego stworzenia.

— Doktor de Montijo! Szybko! Proszę wrócić.

Drobny mężczyzna w sutannie dogonił Marię, kiedy ta, osłaniając się parasolką przed uporczywą angielską mżawką,

szybkim krokiem przemierzała dziedziniec katedry. Wieczorem musiała być z powrotem w Oksfordzie i śpieszyła się na pociąg.

— O co chodzi? — spytała z lekkim hiszpańskim zaśpiewem.

— Bo za trzy godziny prowadzę w swoim instytucie seminarium poświęcone Richardowi of Holdingham, a muszę się jeszcze przygotować.

— Obawiam się, że pani nie zdąży — wysapał podekscytowany człowieczek. — Robotnicy remontujący Starą Bibliotekę Łańcuchową dokonali właśnie niebywałego odkrycia. Pani asystent już tam jest.

Ksiądz poprowadził Marię ku północnej kruchcie. Miodowy odcień zwietrzałego piaskowca użytego na przypory sprawiał, że od zewnątrz Hereford wyglądała mniej posępnie od wielu innych angielskich katedr, za to wewnątrz robiło wrażenie porażające. Maria spojrzała na ołtarz na końcu szpaleru masywnych kolumn, od których odbiegały mniejsze łuki podtrzymujące stropy nawy bocznych, a wyżej żebra i szerokie żagle sklepienia nawy głównej. Idąc za księdzem północną nawą, czuła zapach wilgotnego, murszejącego kamienia i coś jakby mdlący odór zgnilizny, którym mury katedry nasiąkały jeszcze długo po zamurowaniu ostatniej krypty grzebalnej.

Nawa niewiele się zmieniła od czasu, kiedy po raz ostatni przechodził nią Richard of Holdingham. Maria otarła się ramieniem o kolumnę i dreszcz przebiegł jej po krzyżu. Odniosła wrażenie, że cofa się w czasie i stąpa po śladach tego wielkiego człowieka. Za jego życia monumentalne mury wzniesione przez Normanów miały zaledwie sto lat, ale w czasach anglosaskiego królestwa Mercja stał w tym miejscu kościół katedralny pod wezwaniem świętego Ethelberta, króla Wschodniej Anglii zamordowanego bestialsko niedaleko stąd. W czasach Richarda ściągali tu z daleka pielgrzymi, by złożyć

hołd Tomaszowi Becketowi, arcybiskupowi zamordowanemu w Canterbury, którego emaliowany relikwiarz przetrwał aż do naszych czasów i obok Mappa Mundi stanowił jeden z największych skarbów katedry.

Minęli północny transept i dotarli do schodów prowadzących na chór, przy których przez ostatnie stulecie eksponowana była mapa, zanim przeniesiono ją na obecne miejsce, do wzniesionego specjalnie muzeum sąsiadującego z katedrą.

Dokładnie naprzeciwko pustego miejsca na ścianie znajdowało się wejście do niskiego korytarzyka prowadzącego do zewnętrznych przybudówek katedry. Na jego końcu widać było początek spiralnych schodków.

— Prace konserwacyjne są już prawie na ukończeniu — odezwał się ksiądz. — Ale ostrożności nigdy za wiele. — Podał Marii żółty kask ochronny i sam też taki nałożył, nic sobie nie robiąc z tego, że nie pasuje do sutanny. Wstąpiła za nim na strome, kręte schodki, jego głos dobiegał do niej zdudniony przytłumionym echem.

— Katedra z piaskowca jest jak drewniany statek — wyjaśniał. — Nie konserwować starego kadłuba, a po jakimś czasie wymiany będą wymagały wszystkie deski poszycia. Jak w przypadku HMS „Victory”. Piaskowiec nie należy do najtrwalszych materiałów budowlanych. Przenosiliśmy bibliotekę i skorzystaliśmy z okazji, żeby wymienić te kamienne bloki, które najbardziej nadgryzł ząb czasu.

Zbliżali się do izby, gdzie mieściła się do niedawna słynna na cały świat Biblioteka Łańcuchowa katedry Hereford z unikatowym zbiorem inkunabułów, ksiąg drukowanych przed rokiem 1500, oraz 227 woluminów manuskryptów, z bezcennym *Hereford Gospels* z ósmego wieku na czele. Książki oraz półki, do których były przykute łańcuchami, przeniesiono teraz do tego samego muzeum co mapę, swego czasu również przechowywaną w bibliotece.

Wspiąwszy się na poziom stropu naw bocznych, przecisnęli się między stosami bloków piaskowca przywiezionych niedawno z kamieniołomu i zatrzymali w wejściu.

W mdłym świetle gasnącego dnia, sączącym się jeszcze przez wąskie okienka, rozróżniali jaśniejsze plamy na ścianach tam, gdzie kiedyś ciągnęły się półki. Izba, której podłoga zasłana była narzędziami do przecinania i ociosywania oraz stertami okruców zwietrzałego piaskowca, nie przypominała teraz biblioteki, lecz średniowieczny warsztat kamieniarski.

Pod przeciwległą ścianą, przy otworze po dwóch wydłubanych z niej blokach, tłoczyła się grupka robotników. Otwór był na tyle szeroki, że mogła się przez niego przecisnąć szczupła osoba. Po chwili pojawiła się w nim głowa rozczochranego blondyna w okularach oblepionych kurzem.

— Maria! Nie uwierzysz!

Jeremy Haverstock był jej najlepszym, jak dotąd, doktorantem i niezrównanym znawcą języków starogermańskich. Pociągała go przygoda, a od jakiegoś czasu nie ruszał się z Oksfordu, zajęty pisaniem swojej dysertacji, zabrała go więc ze sobą do Hereford, żeby się trochę rozerwał i przeżył coś wyjątkowego. Zachęcała go do podróżowania szlakiem starych klasztornych bibliotek, od kiedy przyleciał z Ameryki, a on wciąż tryskał zaraźliwym entuzjazmem turysty po raz pierwszy stykającego się z historią. Uśmiechnęła się mimowolnie i ruszając za księdzem przez zabałaganione pomieszczenie, ściągnęła z kasku na nos maskę przeciwpylową.

— Ważą się twoje losy — powiedziała. — Jeśli to coś pośledniejszego od Biblii Augustiańskiej, to sam poprowadzisz seminarium.

— To coś lepszego. O wiele.

Widziała już wyraźnie jego twarz. Pomimo chłodu panującego w pomieszczeniu, z czoła ściekały mu strużki potu.

— Chodź tu do mnie.

Po chwili Maria stała już obok Jeremy'ego w wąskiej jakby niszy. Rozdrażnienie, w jakie wprawiał ją pył wciskający się w falujące kasztanowe włosy i osiadający na skórzanej kurtce, przeszło jak ręką odjął, kiedy zobaczyła, co ma przed sobą. Robotnicy przebili się do szerokiej na metr przestrzeni między ścianą biblioteki a grubym zewnętrznym murem katedry. Marie ujrzała wyszczerbione, prowadzące w dół spiralne schody zamurowane najwyraźniej dawno temu w trakcie jakiejś przebudowy. Studnia, w której nikły, zasypana była do wysokości trzeciego stopnia czymś, co wyglądało na gruz, na odłamki zerodowanego piaskowca pokryte czerwonym pyłem. Zgięła się we dwoje, żeby przyjrzeć się lepiej temu śmietnikowi. Stojący z tyłu Jeremy przyświecał jej latarką.

— *Es estupendo* — wyrwało jej się bezwiednie w ojczystym hiszpańskim. Patrzyła z niedowierzaniem.

— A nie mówiłem? — Jeremy wcisnął się obok niej — Istna jaskinia Ali Baby.

To nie był gruz po dawnych robotach kamieniarskich, lecz masa zbrązowiałych i pożółkłych pergaminów — część zlepiona ze sobą na podobieństwo zakrzepłych brył papier mache, ale większość niezłe zachowana, z widocznymi wciąż literami.

— Mnie to wygląda na porządki w bibliotece — orzekł Jeremy. — Strzępy podartych zwojów, księgi zniszczone do tego stopnia, że nie dało się już ich uratować. Same rękopisy. Na oko wszystkie sprzed czternastego wieku. Konserwator zabytków przypomina sobie, że te schody uznano za niepotrzebne i zamurowano w czternastym wieku, przed ukończeniem transeptu.

Maria przesunęła się nieco w bok i pokazała palcem miejsce, gdzie padał cień jej głowy. Dygotała z podniecenia.

— Spójrz tylko — wykrztusiła. — To nie jest sama makulatura. Tam widzę nietknięty foliał.

Jeremy, który miał dłuższe ręce, wyłowił ze strzępów pergaminu oprawną w skórę księgę. Maria z nabożeństwem zdmuchnęła kurz z wiekowej brązowej okładki i otworzyła ją.

— *Historia ecclesiastica gentis Anglorum* — przeczytała powoli, nie wierząc własnym oczom. — *Kościelna historia ludu angielskiego* pióra Bedy Czcigodnego. I po łacinie, co znaczy, że to jedna z oryginalnych kopii. Dziewiąty, może nawet ósmy wiek.

Jeremy ostrożnie oddzielił od tylnej okładki przyklejony do niej arkusz pergaminu. Ułożywszy go sobie na dłoniach, zaczął czytać półgłosem, szybko przebiegając oczyma tekst. W pewnym momencie zamilkł.

— Co jest? — spytała Maria, spoglądając na niego z roztargnieniem.

— Nie do wiary — szepnął. — To dwunastowieczna kontynuacja *Kroniki anglosaskiej*. Są tu wzmianki o królu Henryku Drugim i o królu Janie. To najpewniej ostatni ze znanych nam dokumentów spisanych w staroangielskim, języku, który Normanowie tak usilnie starali się wypłenić. Czyli potwierdza się moja teza, że w tajnych skryptoriach średniowiecznych katedr podtrzymywana była anglosaska tradycja. Może jestem nieskromny, ale śmiem twierdzić, że doktorat mam już w kieszeni.

Maria, wodząc wzrokiem po okolicach miejsca, w którym leżał Beda, wypatrzyła pośród porwanych pergaminów jeszcze kilka nietkniętych woluminów.

— To było coś więcej niż porządki — orzekła cichym głosem. — Nie od dziś głowiono się, dlaczego tych dwóch fundamentalnych dzieł traktujących o anglosaskiej historii

nie ma w zbiorach herefordzkiej biblioteki, chociaż znaleźć w niej można manuskrypty liturgiczne nawet z początków ósmego wieku. Mógł to być jakiś nadgorliwy bibliotekarz robiący w pośpiechu miejsce dla nowszych dzieł. Ale kto wie, czy nie mamy tu czasem do czynienia z czymś więcej, z rozmyślnym usunięciem z biblioteki dzieł o historii Anglosasów, z próbą ukrycia wszystkich tych tekstów, które normańska arystokracja uważała za wywrotowe.

Zamknęła ostrożnie wolumin i przytuliła go do piersi, patrząc jednocześnie z niepokojem na fragmenty pergaminów, które odłamały się i rozsypały w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, z którego Jeremy go wyciągnął.

— Zabieramy księgę Bedy i te luźne stronicie *Kroniki* — zdecydowała. — Ale resztę musimy zostawić *in situ* i zamurować z powrotem wejście do czasu skompletowania ekipy konserwatorskiej. Nie wolno nam dłużej wystawiać tych pergaminów na działanie powietrza. — Zerknęła na Jeremy'ego, który z powagą na twarzy przecierał okulary. — I odpuszczam ci — dodała z uśmiechem. — Niewykluczone, że natknąłeś się na największą skarbnicę wiedzy o dawnej historii Anglii, jaką kiedykolwiek odkryto.

Kiedy odwracali się do wyjścia, wzrok Jeremy'ego przyciągnął nietypowy kształt sterczących z morza pergaminowych strzępów. Był to koniec zrolowanego zwoju, być może starszego od oprawnych w skórę manuskryptów. Nie potrafił się oprzeć pokusie. Korzystając z tego, że Maria przymierzająca się już do otworu w ścianie, jest odwrócona do niego plecami, pochylił się i sięgnął po zwój.

Maria, słysząc za sobą znaczące chrząknięcie, obejrzała się. Jeremy z miną winowajcy pokazał wzrokiem na metrowej długości zwój spoczywający na kartach *Kroniki*.

— Musimy to zostawić — fuknęła gniewnie.

— Jeśli nadal chcesz poprowadzić dzisiejsze seminarium, to nie musimy.

Maria odwróciła się zaintrygowana. Jeremy odwinął kilkanaście centymetrów zwoju. Widniał tam fragment wielkiego koła, a w jego obrębie jakieś wyblakłe kształty wyglądające na kontury rysunków i naniesione maczkiem inskrypcje.

Zorientowała się natychmiast, co ma przed oczami. Dziesięć lat temu postawiła w swojej pracy doktorskiej tezę, że Mappa Mundi z Hereford jest kopią, dziełem wybitnego artysty, ale nie uczonego. Tylko w ten sposób dało się wyjaśnić jej najbardziej rażący błąd — słowo AFFRICA naniesione na Europę i EUROPA na Afrykę. Biskup Hereford zamówił mapę u Richarda of Holdingham i ten sporządził jej szkic w swojej rodzimej katedrze w Lincoln, ale ostateczna wersja dokończona została już bez jego udziału przez artystę z Hereford biegłego w kaligrafii i iluminowaniu, ale niezbyt oświeconego i dokładnego. Jego ignorancja objawiała się w drobnych szczegółach, od małych poprawek, które wprowadzał od siebie w imię ascetyzmu kosztem rzetelności, po przekłamania w ortografii i pisowni nazw geograficznych.

Teraz miała pewność, że to oryginalny szkic sporządzony przez samego Richarda, kartografa i mnicha, którego wizja świata fascynowała ją od studenckich lat. Patrzyła z nabożeństwem na mapę opisaną precyzyjnie, pewną ręką. Tuż pod lewą dłonią Jeremy'ego, tą, którą trzymał sam zwój, widniały zblakłe litery EUROPA, biegnące, tak jak trzeba, przez Francję i Italię. Obok jego prawej dłoni, którą rozwijał zwój, widać było wydłużony kształt Wysp Brytyjskich z zaznaczonymi wyraźnie Hereford i Lincoln.

Kiedy Jeremy przesunął prawą dłoń ku dolnej krawędzi pergaminu, zauważyła coś dziwnego.

— Boże — szepnęła. — Nie ma egzergi.

Wymyślne ozdobniki wypełniające miejsce między kulą

ziemską a krawędziami kwadratowego pergaminu na ukończonej Mappa Mundi były najwyraźniej dziełem samego artysty, dekoracją, która Richarda nie interesowała, upiększeniami pod gust katedralnej hierarchii. Wyjaśniałoby to dziwaczną paradę wizerunków — od myśliwych i duchownych po odwołania do rzymskich cesarzy — które artysta przerysował zapewne z innych znanych sobie map i manuskryptów.

Maria zauważyła, że w narożu nie ma dedykacji, którą z takim mozołem odświeżała na Mappa Mundi, a to znaczyło, że jej autorem nie był mistrz, lecz wykańczający jego dzieło artysta. Richard odwiedzał zapewne katedrę, żeby przedyskutować szczegóły zlecenia, ale wszystko wskazywało na to, że nie był obecny przy nanoszeniu dedykacji. To rozwiązywało zagadkę, dlaczego nie skorygowano zamiany nazw kontynentów. Richard takiego błędu na pewno by nie przeoczył. Maria patrzyła na puste miejsca z poczuciem zawodu, z wrażeniem, że postać Richarda znowu wymyka jej się z rąk i cofa w mroki przeszłości.

Jeremy przestąpił z nogi na nogę i w tym momencie Marii wydało się, że brązowe i żółtawe przebarwienia w narożu pergaminu, tam gdzie powinna widnieć dedykacja, układają się w określony kontur.

— Daj go pod światło — rzuciła. — Tu coś jest.

Nachyliła się. Tak, to był zdecydowanie jakiś zatarty obrys. Jeszcze jeden ład nieregularny w kształcie, niewiele większy od Wysp Brytyjskich, wciśnięty w róg pergaminu.

— Narysowano go poza zewnętrznym oceanem otaczającym świat, a więc nie wchodził w skład mapy — powiedziała. — Richard naszkicował tu pewnie jeden z kontynentów. Spójrz tylko, widać, gdzie zeszkrobywał nożem inkaust, żeby go usunąć.

Jeremy wychylił się zza pergaminu, żeby spojrzeć na niego od góry. Kosmyk jego blond włosów zadyndał Marii przed nosem.

— Pewien nie jestem — mruknął. — Jakby mi się to z czymś kojarzyło, ale raczej nie z Mappa Mundi. Może gdybym popatrzył od przodu...

Urwał, i wymienili zdumione spojrzenia.

— Mapa Winlandii — wyszeptła Maria.

Z wałącym jak oszalałe sercem wyciągnęła szkło powiększające i przystąpiła do oględzin konturów. Przed paroma tygodniami byli oboje w Yale na konferencji poświęconej najnowszym ustaleniom dotyczącym daty powstania słynnej mapy Winlandii, którą uważano obecnie za sfalszowaną, ale wykreśloną na podstawie jakiejś zaginionej mapy powstałej około pięćdziesięciu lat przed Kolumbem, mapy przedstawiającej zarys linii brzegowej lądu odkrytego jakoby wieki wcześniej przez wikingów na zachód od Grenlandii.

— Niewiarygodne — wykrztusiła Maria. — Zgadza się co do joty. Jest tu rzeka prowadząca do jeziora i duża zatoka poniżej. Legenda też wygląda identycznie... średniowieczna łacina.

Pod szkłem powiększającym rozmazana smuga nad konturem nabrała czytelności: *Vinlanda Insula a Byarno repa et Leipho socijs*.

— Wyspa Winlandia — wymruczał Jeremy. — Odkryta przez Bjarniego, któremu towarzyszył Leif.

— To dowodzi ponad wszelką wątpliwość autentyczności mapy Winlandii. — powiedziała Maria z wypiekami na twarzy. — Ale jeśli tę naprawdę wyrysował Richard of Holdingham, to powstała ponad dwa stulecia przed mapą Winlandii. O wczesnej historii Anglii możesz na jakiś czas zapomnieć. Kto wie, czy nie odkryłeś właśnie najstarszej ze znanych map Ameryki Północnej.

Popatrzyli na siebie oszołomieni. Mappa Mundi i ten szkic datowane były na trzynasty wiek, a więc na okres poprzedzający o blisko trzy stulecia pierwsze europejskie wyprawy, które doprowadziły do odkrycia Nowego Świata. Wyrysowane zostały na setki lat przed mapami, które uważano za pierwsze próby zobrazowania amerykańskiej linii brzegowej.

— Tu jest jeszcze coś napisane.

Maria, zaabsorbowana górną częścią opisu, nie zauważyła drugiej zatartej inskrypcji pod rysunkiem. Teraz spojrzała na nią przez szkło powiększające.

— Tego zdecydowanie nie ma na mapie Winlandii — wymruczała. — Alfabet rzymski, ale język ani łaciński, ani francuski. Przypomina mi staronordycki.

Oddała Jeremy'emu lupę i wzięła od niego zwój. Nie było co ukrywać, że ustępowała mu w znajomości języka wikingów.

— Widzę tu jakiś dziwny znak runiczny — mruknął. — Stoi na początku inskrypcji jak iluminowana litera średniowiecznego tekstu. Pionowy trzon z odgałęzieniami po obu stronach, wyginającymi się ku górze. Symetryczny. W sumie sześć, nie, siedem odnóg, wliczając w to trzon. Bardzo dziwne.

— Potrafisz odczytać coś jeszcze?

— *Harald Sigurdsson*. — Jeremy zawiesił głos i podniósł na nią wzrok. — To Harald Hardrada, Harald Srogi, król Norwegii. Zginął w bitwie pod Stamford Bridge w roku tysiąc sześćdziesiątym szóstym, kiedy próbował objąć tron angielski, zaledwie kilka tygodni przed najazdem Normanów.

— To niemożliwe — wyszeptwała z niedowierzaniem Maria. — Czytaj dalej.

— *Król nasz, Harald Sigurdsson, przybił do tego lądu ze swą wierną drużyną i skarbem z Michelgardu* — tłumaczył powoli Jeremy. — *Tutaj uczują z Thorem z Walhalli i czekają na Ragnarók, dzień ostatniej bitwy.*

Podniósł wzrok i spojrzał z niedowierzaniem na Marię.

— Czy Michelgardem wikingowie nie nazywali czasem Konstantynopola?

Maria była tak wstrząśnięta, że przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa. Zrolowała z powrotem zwój i oddała go Jeremy'emu.

— Strzeż tego jak źrenicy oka. Nikomu ani mru-mru. —
Wzięła pod pachę księgę Bedy i sięgając po telefon komórkowy, ruszyła do otworu w ścianie. Miała się już przez niego przecisnąć, kiedy Jeremy zawołał za nią z podnieceniem.

— Wiedziałem, że już gdzieś widziałem ten znak runiczny. Zresztą to wcale nie jest run. Nie mam zielonego pojęcia, co robi na tej inskrypcji, ale to może być tylko jedno. Symbol żydowskiej menory.

3

— Nie do wiary — mruknął Jack. — Wiedziałem, że Harald Hardrada był ze swoimi wikingami w Konstantynopolu, ale do głowy by mi nie przyszło, że przepłynął Atlantyk. To raz na zawsze odbiera palmę pierwszeństwa Krzysztofowi Kolumbowi.

— A toś mi zabił klina — mruknął Costas. — Wikingowie w Konstantynopolu?

Jack pociągnął łyżeczek kawy i wstał.

— Zaczekaj tutaj.

Od niecałej godziny obaj byli w Anglii. Rano przylecieli z Turcji do bazy lotnictwa morskiego Royal Navy w Culdrose, a stamtąd helikopterem Lynx do pobliskiego kampusu Międzynarodowego Uniwersytetu Morskiego. Costas, po uruchomieniu w Złotym Rogu swojego robota do prac poddennych, i tak miał wracać do Anglii, bo był potrzebny na innym stanowisku archeologicznym IMU u wybrzeży Grenlandii. Jack podjął decyzję o powrocie poprzedniego dnia wieczorem, po telefonie od swojej przyjaciółki Marii de Montijo z Hereford. Rozłączywszy się, zwołał natychmiast nadzwyczajną odprawę załogi i poprosił Hiebermeyera o przejęcie nadzoru

archeologicznego nad stanowiskiem. Maurice, rozczarowany brakiem sukcesów na pustyniach Egiptu, z radością przyjął tę propozycję.

— Lepiej się pośpiesz. — Costas wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni poplamionego oliwą kombinezonu i odczytał SMS-a. — Lada chwila tu będą.

Jack kiwnął głową i wyszedł z patio, na którym siedzieli. Po drodze do swojego gabinetu zatrzymał się na chwilę, żeby spojrzeć na rozległą panoramę Carrick Roads, wijącego się ujścia rzeki spływającej z wyżyn Kornwalii do kanału La Manche i Atlantyku. Jego przodkowie pokolenia temu właśnie stąd wyruszyli w morze, by wykuwać przyszłość Anglii, a przy okazji zbijać własną fortunę. Howardowie walczyli pod komendą Drake'a przeciwko hiszpańskiej armadzie i towarzyszyli Nelsonowi pod Trafalgarem, zwozili do domu bogactwa Indii i wykreślali mapy najdalszych obszarów oceanów.

Jack miał pewność, że podtrzymuje rodzinną tradycję sięgającą tysiąca lat przed podbojem Anglii przez Normanów. Tę posiadłość w Kornwalii pod powstający Międzynarodowy Uniwersytet Morski podarował ojciec Jacka, ale to Jack wymarzył sobie i stworzył IMU i to on doprowadził do jego rozkwitu. Przy hojnym finansowym wsparciu ze strony Eframa Jacobovicha, starego przyjaciela, obecnie potentata w dziedzinie oprogramowania komputerowego, rezydencję i budynki towarzyszące przekształcono w nowoczesny ośrodek naukowo-badawczy rywalizujący skutecznie z najlepszymi instytutami oceanograficznymi świata. Starą stocznnię u ujścia rozbudowano w wielki kompleks zaplecza technicznego, wyposażony w suchy dok dla statków badawczych IMU oraz eksperymentalny zbiornik do testowania jednostek podwodnych. Na zalesionym wzgórzu sąsiadującym z kompleksem wznosił się elegancki neoklasycyzycki budynek Howard Gallery,

jednego z przodujących w świecie prywatnych muzeów sztuki, w którym urządzano również gościnnie wystawy eksponatów wypożyczanych z muzeum morskiego IMU w Kartaginie nad Morzem Śródziemnym. Przed kilkoma tygodniami Jack otworzył jedną z najbardziej zachwycających wystaw, zapierającą dech w piersiach ekspozycję znalezisk wydobytych w ubiegłym roku z wraku minojskiego statku z epoki brązu. Reklamujący wystawę plakat przedstawiający złoty dysk i wspaniałą rzeźbę byczego łba zdobił

teraz ścianę gabinetu Jacka, zajmującego dawny szesnastowieczny salon i stanowiącego centrum koordynacyjne wszystkich prac badawczych i eksploracji prowadzonych przez IMU jak świat długi i szeroki.

Chwilę później Jack był już z powrotem na patio z mapą Europy. Rozwinął ją na stole, przyciskając brzegi kubkami po kawie. Położył dłoń na Skandynawii, a potem przeniósł ją na Morze Czarne. Costas przysunął się z krzesłem bliżej.

— Bizantyjczycy nazywali ich Waregami — zaczął Jack. — Rośli, jasnowłosi, budzący grozę barbarzyńcy z północy służący w charakterze najemników w legendarnej gwardii wareskiej cesarza bizantyjskiego, odpowiednicze gwardii pretoriańskiej starożytnego Rzymu. W czasach Hardrada gwardia wareska składała się głównie z wikingów, nordyckich wojowników ze Skandynawii, którzy swoim zachowaniem szybko i w pełni zasłużenie zyskali sobie jak najgorszą sławę. Grabili i pustoszyli wybrzeża Morza Czarnego pod małą przekonującą przykrywką forpoczty chrześcijańskiego cesarza, a w istocie byli pogańską hordą berserków, wracających potem do rodzimych północnych krain z łupami i krwawymi opowieściami o swoich wojennych wyczynach. Kiedy w roku tysiąc dwieście czwartym krzyżowcy łupili Konstantynopol, w gwardii służyło już wielu Anglików, potomków anglosaskich wojowników, którzy ratowali się ucieczką z Anglii

w tysiąc sześćdziesiątym szóstym, po bitwie pod Hastings, w której książę Normandii Wilhelm pokonał króla Anglii Harolda.

— Masz na myśli tego drugiego Harolda? — upewnił się Costas.

Jack kiwnął głową.

— W żyłach wszystkich pretendentów ubiegających się w roku tysiąc sześćdziesiątym szóstym o angielski tron płynęła krew wikingów. Normanowie — ludzie z północy — byli potomkami tych wikingów, którzy wiek wcześniej osiedli we Francji. Anglosascy przodkowie króla Anglii Harolda sami przybyli z Danii i północnej Germanii. Ale jedynym wikingiem pełnej krwi wśród pretendentów w tysiąc sześćdziesiątym szóstym był król Norwegii, Harald. Jego najbardziej się bano, a wojennego rzemiosła nauczył się dziesiątki lat wcześniej, dowodząc gwardią wareską w Konstantynopolu.

Costas zmierzył palcami odległość i pokręcił głową.

— Przecież to dwa tysiące mil od Norwegii.

— Wikingowie wyprawiali się nie tylko na zachód, gdzie docierali do Wysp Brytyjskich i dalej, ale również na wschód — wyjaśnił Jack. — Już w ósmym wieku naszej ery skandynawscy kupcy penetrowali rzeki środkowej i wschodniej Europy, od Wisły, która wpada do Bałtyku, po wpadający do Morza Czarnego Dniepr. Szukali bajecznych bogactw, legendarnych skarbów Orientu, w pogoni za srebrem i drogimi kamieniami dotarli do centralnej Azji i zagłębili się w świat islamu. W końcu założyli wikińskie królestwo Rus, kolebkę współczesnej Rosji. Ze swojej twierdzy w Kijowie mieli już prostą drogę do miejsca, które nazywali Michelgardem — Wielkim Miastem. Dniepr był rzeką niebezpieczną dla żeglugi, ale prowadził do niewyobrażalnych bogactw.

— Iw ten sposób dotarli do Konstantynopola? — spytał z powątpiewaniem Costas.

Jack uśmiechnął się.

— Tak było. Jeśli nie wierzysz, spójrz na skarby wikingów odkrywane w ich rodzimej Skandynawii — całe skrzynie srebrnych arabskich monet, którymi płacono im za skóry, niewolników i bursztyn.

Costas wciąż z niedowierzaniem patrzył na odległość dzielącą Norwegię i dzisiejszy Sztambuł.

— Jeśli nadal nie jesteś przekonany, to zerknij na to — powiedział Jack, podając mu fotografię marmurowej balustrady pokrytej starożytnym graffiti. — Widzisz te linearne symbole na krawędzi? To runy, litery wikingów, prawdopodobnie z jedenastego wieku. Są zbyt zatarte, żeby odcyfrować cały napis, ale imię można odczytać. „Halfdan tu był”, coś w tym sensie. Wiesz, gdzie zrobiono to zdjęcie? Tysiące turystów przechodzi co roku obok tego napisu. Widnieje w alkwie, wysoko nad nawą Hagia Sofia, w samym sercu starożytnego Konstantynopola. Halfdan prawie na pewno służył w gwardii wareskiej, a biorąc pod uwagę datę, mógł nawet być jednym z ludzi Haralda Hardrada.

W tym momencie usłyszeli nadlatujący od wschodu helikopter. Lynx wynurzył się z chmur i zniżając lot, skierował ku nadbrzeżnemu lądowisku.

— Wierzę ci na słowo. — Costas uśmiechnął się i oddał Jackowi fotografię. — Chodźmy przywitać się z gośćmi.

Po paru minutach stali już na skraju lądowiska dla helikopterów. Pilot wyłączył bliźniacze silniki turbośmigłowe rolls-royce gem i główny wirnik Lynksa przestał się obracać.

W drzwiach przedziału pasażerskiego pierwsza pojawiła się uderzająco piękna kobieta w skórzanej kurtce i dżinsach. Długie kasztanowe włosy miała zebrane w luźny kok. Maria de Montijo była bliską przyjaciółką Jacka. Poznali się w Cambridge i z Maurice'em Hiebermeyerem oraz Eframem Jacobovichem tworzyli tam przez cały okres studiów zgraną

paczkę. Maria i Jack pomagali sobie w trudnych chwilach i bardzo się zżyli. Maria była od samego początku zaangażowana w projekt Złoty Róg, nic więc dziwnego, że o zadziwiającym odkryciu w katedrze Hereford pierwszej powiadomiła właśnie Jacka.

Teraz z uśmiechem na śniadej twarzy uściśkała Jacka, a potem Costasa.

— Witaj, Jack. Jeremy'ego, mojego doktoranta z Ameryki, już znasz.

Szczupły młody człowiek, który wyskoczył za Marią z helikoptera, odgarnął z czoła jasne włosy i wyciągnął rękę. Poznali się przed kilkoma tygodniami, kiedy to Jack odwiedził oksfordzki Instytut Studiów nad Średniowieczem i poprosił o przetłumaczenie znalezionej w Topkapi manuskryptu, relacji naocznego świadka oblegania przez krzyżowców Konstantynopola, zawierającej informacje niezbędne do ustalenia, w którym miejscu wejście do portu przegradzał łańcuch.

Znajomość średniowiecznej greki, którą popisał się wtedy Jeremy, zaimponowała Jackowi i przekonała go do entuzjastycznej opinii, jaką wystawiała swojemu pupilowi Maria.

— Od dawna poza Stanami? — zagadnął przyjaźnie Costas.

— Trzy lata. — Jeremy poprawił okulary na nosie i spojrzął z góry na niższego od siebie Costasa. — W Princeton czeka na mnie stanowisko wykładowcy, ale jakoś nie mogę się stąd wyrwać.

— Znam ten ból — westchnął Costas. — Sam próbuję, ale za każdym razem znajdzie się coś, co mnie tu zatrzyma. — Wskazał głową na Jacka i uśmiechnął się. — Na szczęście pracuję dla międzynarodowej instytucji, dzięki czemu nie muszę przez cały rok nasiąkać tym angielskim kapuśniaczkim.

— Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam ojca Patricka O'Connora. — Maria szerokim gestem wskazała na helikopter,

z którego z pomocą pilota wysiadał mężczyzna w charakterystycznej czarnej sutannie jezuickiego księdza, z dwoma sfatygowanymi skórzanymi nesesperami w rękach. Podziękowawszy skinieniem głowy pilotowi, mężczyzna podszedł pewnym krokiem na skraj lądowiska, postawił nesesy i potrząsnął zdecydowanie ręką Jacka.

— Doktorze Howard, bardzo się cieszę, że w końcu dane mi jest pana poznać. Maria wiele mi o panu opowiadała, no i oczywiście widziałem pana w telewizji po tych wspaniałych zeszłorocznych odkryciach.

Jack przyjrzał się mężczyźnie. Akcent jakby z lekka irlandzki, chociaż niewykluczone, że bostoński. Wyglądał na trzymającego formę pięćdziesięciolatka. Resztkę siwych włosów miał krótko przystrzyżoną, ale ogorzała twarz i ruchy zdradzały człowieka, który nie przesiedział całego życia w klasztorze.

— Wiem od Marii, że doktoryzował się ksiądz z wczesnej historii Kościoła — powiedział Jack.

— Studiowałem w Trinity College w Dublinie, a potem w Heidelbergu — odparł O'Connor. — Potem odnalazłem swoje powołanie. Dwadzieścia lat w Ameryce Środkowej, głównie w Meksyku, wypełnionych tym, co my, jezuici, umiemy najlepiej — budowaniem szkół, opieką nad chorymi, staraniami o zaprowadzenie człowieczeństwa tam, gdzie czasami niewiele go już pozostało.

— A potem znowu wezwała księdza akademia.

O'Connor kiwnął głową.

— Przed pięciu laty. Uznałem, że spełniłem już duszpasterski obowiązek i zgłosiłem swoją kandydaturę na wakat w bibliotece watykańskiej. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, kiedy zaproponowano mi jakby stworzony dla mnie etat w Departamencie Starożytności na stanowisku inspektora zabytkowych budowli i archeologii. Odpowiadam za cały

Rzym pod kontrolą Watykanu, aż do renesansu, a przy tym mam wiele czasu na prowadzenie własnych badań. Poleciałem do Oksfordu na seminarium Marii poświęcone Richardowi of Holdingham i Mappa Mundi, bo to jeden z głównych obszarów moich zainteresowań. I sądzę, że mogę wnieść coś od siebie do sprawy.

— Po to tu jesteśmy — powiedział Jack. — Przejdźmy więc do rzeczy.

Po szybkiej kawie na patiu Jack zaprosił wszystkich do swojego gabinetu. Prawie całą długość dawnego salonu zajmował masywny drewniany stół. Jego sękaty blat wykonany został podobno z desek wraków łodzi, którymi norwescy najeźdźcy przybili do brzegów Anglii. Jack, zasiadając przy nim, odczuwał zawsze presję swojego pochodzenia, zupełnie jakby dotrzymywały mu towarzystwa duchy przodków, którzy przy tym samym stole planowali ongiś wojenne i odkrywcze wyprawy. Teraz, zamiast cyrkli nawigacyjnych i pergaminowych map, stół pokrywały narzędzia dwudziestopierwszowiecznego eksploratora — komputerowe stacje robocze i konsole komunikacyjne. Maria dołożyła do tego wielką, czarną kartonową teczkę, a Jack ustawił po drugiej stronie ekran wideo podłączony do laptopa stojącego obok tej tecki.

Do gabinetu wpadł zdyszany Costas, który wyskoczył na chwilę do kompleksu technicznego. Jack zamknął za nim drzwi i przygasił światło. Maria i O'Connor zajęli miejsca u szczytu stołu, Jeremy usiadł z boku, Jack i Costas naprzeciwko niego.

— Nie powiedziałam ci przez telefon o wszystkim, bo chciałam ci to pokazać osobiście — zaczęła powoli Maria, kładąc dłonie na teczce. — Kiedy przedwczoraj wieczorem wróciłam do Oksfordu, zastałam tam ojca O'Connora i bez namysłu wprowadziłam go w temat. Jest najwybitniejszym autorytetem od tego, co za chwilę zobaczycie.

Chciała otworzyć teczkę, ale O'Connor przytrzymał jej rękę.

— To, o czym tu rozmawiamy, musi pozostać w tajemnicy — powiedział zniżonym głosem. — Nadejdzie może czas, kiedy ta historia trafi na pierwsze strony gazet, ale w tej chwili nawet najmniejszy przeciek może wszystko zepsuć. I nie mówię tylko o archeologii. Tu chodzi o ludzkie życie, być może niejedno.

Puścił nadgarstek Marii i przesunął wzrokiem po twarzach obecnych. Wszyscy kiwnęli głowami. Maria, zerknąwszy na niego raz jeszcze, otworzyła teczkę i zsunęła ochronną bibułę z cennego znaleziska, które wprawiło ją przed dwoma dniami w takie osłupienie w przypadkowo odkrytej wnęce katedry.

Costas gwizdnął cicho. Podnieśli się z Jackiem z miejsc i wyciągnęli szyje. Welin miał około metra kwadratowego. Rozwinięto go i przyciśnięto sztywnym arkuszem przezroczystego poliuretanu. Chociaż przeleżał siedemset lat w zakurzonym katedralnym zakamarku, czerń inkaustu, którym nakreślono kontury mapy, ani trochę nie zbladła.

— Coś fantastyczne! — mruknął Jack. — Dawno już nie widziałem Mappa Mundi, ale wszystko wygląda mi tu znajomo. Morze Śródziemne i Morze Czerwone układające się w literę T oddzielającą kontynenty, Azja na górze, Jerozolima pośrodku. A Europa i Afryka nawet prawidłowo opisane.

O'Connor kiwnął głową.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to oryginał, mapa wykreślona przez Richarda of Holdingham w Lincoln, którą następnie skopiował i ozdobił iluminator z Hereford. Spójrzcie teraz na dolny lewy narożnik.

Jack zauważył tam już wcześniej linijki zatartego tekstu i niewyraźny rysunek, ale najpierw chciał ogarnąć wzrokiem całą mapę. Teraz przyjrzał się bliżej miejscu poza zachodnim obrzeżem świata, które pokazywała Maria. Nie przypominało to w niczym inskrypcji naniesionej tam na wykończonej mapie.

— Boże, przecież to runy — zawołał podniecony. — Dawno nie miałem z nimi do czynienia, ale to na pewno one.

Wskazał palcem mniejszą z dwóch inskrypcji i zerknął na Jeremy'ego, który wyrecytował z pamięci:

— *Król nasz, Harald Sigurdsson, przybił do tego lądu ze swą wierną drużyną i skarbem z Michelgardu. Tutaj uczują z Thorem z Walhalli i czekają na Ragnarók, dzień ostatniej bitwy.*

— Ragnarók to mityczna bitwa u kresu czasu, w której wojownicy z Walhalli będą szukali ostatecznej sławy — powiedziała Maria. — Druga inskrypcja i rysunek nie różnią się praktycznie od mapy Winlandii, to ta sama linia brzegowa lądu, który Leif Erikson odkrył około roku tysięcznego na zachód od Grenlandii. Sigurdsson to rodowe nazwisko Haralda Hardrada. Z tego by wynikało, że dwa pokolenia po pierwszych wikingach, którzy przetarli szlak, do Ameryki dotarł również Hardrada z towarzyszami.

— I ze skarbem z Michelgardu, czyli Konstantynopola — wymruczał z podnieceniem Jack. — Po to właśnie się tu spotkaliśmy. Chciałbym tylko wiedzieć, co on tam ze sobą zabrał. Bo chyba nie pełną łódź rzeźb klasycznych.

— Proszę bliżej przyjrzeć się tym runom — powiedział O'Connor. — Wtedy zrozumie pan, po co się tu zebraliśmy.

Jack przebiegł wzrokiem tekst od dołu do góry — od dolnych linijek, gdzie inkaust był wyraźniejszy, do bardziej zatartej inskrypcji na górze. Symbole przypominały standardową wersję *futhark*, nordyckiego alfabetu runicznego, nazwanego tak od swoich pierwszych sześciu liter. Nie zauważył niczego wyjątkowego, zastanowił go tylko symbol na samym początku, nieco większy od pozostałych, tak jak pierwsza litera iluminowanego manuskryptu.

Wziął od Jeremy'ego szkło powiększające i pochylił się nad welinem.

— Tu widzę coś dziwnego — powiedział. — Wygląda jak symbol *futhark* odpowiadający literze F, z ramionami wygiętymi ku górze po prawej stronie, tylko że są trzy ramiona zamiast dwóch i symetrycznie przedstawione po drugiej stronie.

Jeremy pokręcił niecierpliwie głową.

— Niech pan zapomni na chwilę o runach. Proszę spojrzeć na to tak, jakby pan ich nie znał.

Jack popatrzył błędnym wzrokiem na Jeremy'ego, potem znowu pochylił się nad mapą. I nagle szczęka mu opadła. O mało nie upuścił szkła powiększającego.

— Menora!

— To Jeremy pierwszy skojarzył — odezwała się Maria po chwili milczenia, jakie zapadło. — Ja byłam całkowicie pochłonięta tą nadzwyczajną mapą.

— W pełni zrozumiałe — powiedział z uśmiechem Costas.

— Przodkowie mojego ojca byli sefardyjskimi Żydami — wyznała cichym głosem Maria. — Niedługo po tym, jak wasi krzyżowcy próbowali ocalić Ziemię Świętą, wygnał ich z Hiszpanii chrześcijański król. To jedna z największych ironii historii.

Jack, z miną wyrażającą kompletne zagubienie, usiadł powoli. O'Connor przyciągnął do siebie laptop i załadował do napędu płytę CD.

— Wybaczcie, że się wtrącam — powiedział — ale skoro rozmawiamy o menorze, to musimy coś wiedzieć o jej historii. Tak się składa, że tajemnica zaginionego żydowskiego skarbu ze Świątyni to jeszcze jedna z moich pasji.

4

Chwilę później na ekranie w drugim końcu stołu pojawiła się panorama starożytnego Rzymu. Na pierwszym planie wznosił się wysoki marmurowy łuk o idealnie dobranych proporcjach, z zerodowaną powierzchnią pokrytą płaskorzeźbami. Były wśród nich trofea, sztandary, wieńce laurowe i skrzydlate boginie zwycięstwa stojące na globach. W tle majaczyła ogromna, wielokondygnacyjna fasada Koloseum.

— Najtrwalsza pamiątka po dynastii Flawiuszów: cesarzu Wespazjanie oraz jego synach Tytusie i Domicjanie — powiedział O'Connor. — Łuk Tytusa stoi nad Świętą Drogą w centrum Rzymu. Budowę Koloseum sfinansowano z łupów zagarniętych podczas wojny żydowskiej, a otworzył je Tytus w roku pańskim osiemdziesiątym. Wzięło swoją nazwę od ogromnego, odlanego z brązu posągu — kolosa Nerona — który przeniesiono w jego pobliże.

— Ale to było dopiero w średniowieczu — wtrącił Jeremy. — Nazwa Koloseum pojawia się po raz pierwszy w ósmym wieku naszej ery, w dziele *Historia ecclesiastica gentis Anglorum* Bedy Czcigodnego. — Popatrzył zawsty-

dzony po obecnych. — Tę księgę również znaleźliśmy w bibliotece katedry Hereford.

— Wojna żydowska — mruknął Costas. — Jeszcze jeden pretekst do gwałtu i grabieży na kolosalną skalę.

— Była iście upiorna, nawet jak na rzymskie standardy — przyznał O'Connor. — W latach sześćdziesiąt sześć — siedemdziesiąt w bitwach oraz w represjach, które trwały kolejne trzy lata, unicestwiono prawdopodobnie większy odsetek narodu żydowskiego niż podczas nazistowskiego holocaustu. Ale historia jest bardziej złożona, niż mogłoby się wydawać.

Państwo żydowskie pod panowaniem Rzymu cieszyło się nadzwyczaj dużą autonomią i utrzymywało bliskie stosunki z cesarzami. Król Herod Agrypa z Judei kształcił się w Rzymie i był przyjacielem cesarza Klaudiusza. Pokolenie później żydowski historyk Józef, opowiedziawszy się podczas rebelii po stronie Rzymu, został powiernikiem Wespazjana. Miał złą prasę, bo Żydzi nigdy mu tego nie wybaczyli, ale jego pisma są nieocenione, bo to jedyne relacje naocznego świadka wojny oraz parady zwycięstwa, która odbyła się w Rzymie w siedemdziesiątym pierwszym roku.

— A co z tym łukiem?

— Zbudowano go na miejscu wcześniejszego łuku, tego, pod którym oczom nieprzebranych tłumów zgromadzonych na forum ukazało się czoło pochodu triumfalnego. — O'Connor nacisnął klawisz i na ekranie pojawiło się zbliżenie inskrypcji na attyce łuku. — *Senatus populusque Romanus* i tak dalej — przeczytał. — „Senat i lud rzymski boskiemu Tytusowi, synowi boskiego Wespazjana, Wespazjanowi Augustowi”. To oznacza, że łuk został wzniesiony przez cesarza Domicjana, który wstąpił na tron w roku osiemdziesiątym pierwszym, po śmierci brata Tytusa. Z kilkoma osławionymi wyjątkami, takimi jak Neron, tytuł „boski” przyznawano cesarzom dopiero po ich śmierci. Rzeźba na sklepieniu łuku

przedstawia nawet apoteozę Tytusa wzlatającego do nieba na grzbiecie wielkiego orła.

— Triumf miał charakter rodzinny — dodał Jack, który doszedł już do siebie po szoku, jakiego doznał na widok symbolu menory. — Zgodnie z tradycją, Wespazjan, jako ówczesny cesarz, był głównym celebrantem, ale senat rzymski przegłosował podwójny triumf, dla uznania zasług zwycięskiego generała Tytusa. Domicjan, honorując wspaniałe dokonania brata i ojca, podnosił własny prestiż.

O'Connor przełączył jedno po drugim kilka kolejnych zdjęć, z których każde przybliżało ich do łuku. Mieli wrażenie, że idą Świętą Drogą w kierunku Koloseum. W przejściu pod łukiem widzieli serce starożytnego Rzymu, galimatias ruin na starym Forum z potrzaskanymi kolumnami, pozostałościami sądów, świątyń i murowanymi ścianami senatu. W tle majaczyło Wzgórze Kapitołińskie, gdzie pod średniowiecznym pałacem wzniesionym przez Michała Anioła i ekstrawaganckim pomnikiem Wiktora Emanuela, który dominuje nad współczesną panoramą Rzymu, kryły się w ziemi fundamenty świątyni Jowisza.

— A teraz coś nieprawdopodobnego — oznajmił z nieskrywanym entuzjazmem O'Connor. — Dla mnie to właśnie tutaj, jeszcze bardziej niż na arenie Koloseum, ożywa starożytna historia. Stojąc pod łukiem, człowiek odnosi wrażenie, że tych kilka chwil o świcie sprzed dwóch tysięcy lat powtarza się tutaj bez końca, że odcisnęły się w marmurze. Czuje się wprost podniecenie zwycięzców, napięte wyczekiwanie gawiedzi, przerażenie skazańców. Słyszy bicie w bębny, dech w piersiach zapiera to przybierające na sile, pulsujące dudnienie, z jakim nadciąga pochód. Ilekroć tam stanę, ciarki przechodzą mi po plecach.

Zatrzymał się na fotografii zerodowanego panelu.

— To prawa wewnętrzna ściana łuku, patrząc w kierunku

forum — wyjaśnił. — Widzicie tu państwo Tytusa w kwadrydze — zaprzężonym w cztery konie rydwanie — którą powozi bogini Roma. Postępujący za nim kapłani niosą topory na długich styliskach, których użyją podczas składania ofiary z byków na stopniach świątyni Jowisza.

Ponownie nacisnął klawisz.

— A to znajduje się na lewej wewnętrznej ścianie łuku. Odchylił się na oparcie krzesła, dając obecnym czas na przyjrzenie się fotografii. Płaskorzeźba była nadkruszona i zatarta, ale w centralnej części dosyć dobrze zachowana. Zaliczała się z pewnością do arcydzieł rzymskiej płaskorzeźby. Po prawej stronie widniał widziany z ukosa łuk triumfalny z dwoma kwadrygami na szczycie. W tle jak sztandary powiewały transparenty z pustymi miejscami tam, gdzie niegdyś wymalowane były inskrypcje z nazwami miast i ludów pokonanych w wojnie. Poniżej uwieczniono scenę, która przez blisko dwa tysiące lat podsyciała determinację pewnego ludu do odbudowy swojej najświętszej świątyni, a ich wrogów do robienia wszystkiego, żeby im to uniemożliwić. Przedstawiała pochód żołnierzy odzianych w tuniki, ukoronowanych wieńcami zwycięzców żołnierzy, dźwigających na ramionach, żeby każdy mógł zobaczyć, dwie platformy z bogato zdobionymi obiektami na każdej. Na tej po prawej, oddalającej się w kierunku łuku, stał stół ozdobiony trąbami — wielki ołtarz żydowskiej Świątyni. Na lewej zaś, tej na pierwszym planie, niezwykle w kształcie, lecz rozpoznawalny na pierwszy rzut oka przedmiot — zwężający się ku górze trzon z trzema wyginającymi się koncentrycznie ku górze ramionami po obu stronach, każde kończące się na tym samym poziomie i zwieńczone zdobnym kwiatonem przywodzącym na myśl lampę.

Costas gwizdnął przez zęby.

— A to ci świecznik!

— Menora — powiedział z ledwie tłumionym podniece-

niem O'Connor. — Najbardziej czczony symbol judaizmu, zajmujący główne miejsce w sanktuarium Świątyni. Menora reprezentuje światło Boga, jest starożytnym symbolem siedmiogałęzniego Drzewa Życia. Menora ze Świątyni była najświętszym po Arce Przymierza skarbem ludu żydowskiego.

— Ile miała lat? — spytał Costas.

— Niektórzy utrzymują, że menora ze Świątyni to ni mniej, ni więcej tylko ta z Przybytku, wykonana ściśle według instrukcji, których Bóg udzielił Mojżeszowi na górze Synaj — powiedział O'Connor. — W rabinicznej tradycji Bóg pokazał Mojżeszowi menorę narysowaną ogniem, od którego bił blask czystego złota. Pierwsza wzmianka o menorze pojawia się w *Pentateuchu* — Pięcioksięgu, zasadniczej części Tory, żydowskiego Starego Testamentu. W Księdze Wyjścia Bóg każe Izraelitom zbudować na pustyni sanktuarium, ich Przybytek, który stał się potem wzorem dla Świętego Świątyni — sanktuarium w Świątyni wzniesionej przez króla Salomona w Jerozolimie na tysiąc lat przed przybyciem Rzymian. — Tu przymknął oczy i wyrecytował z pamięci: — „Zrobisz też świecznik ze szczerego złota. Sześć ramion będzie wychodzić z jego boków; trzy ramiona świecznika z jednego jego boku i trzy ramiona świecznika z drugiego jego boku. I uczynisz siedem lamp, i ustawisz te lampy w ten sposób, ażeby oświetlały tę stronę, która jest przed nimi. Z talentu szczerego złota należy wykonać świecznik...”*

— Talent — mruknął Costas, pocierając w zamyśleniu brodę.

— Ile to było?

— Biblijny talent miał około trzydziestu czterech kilogramów — odparł O'Connor — czyli siedemdziesiąt pięć funtów, jeśli kto woli. Ale nie bierzcie tego państwo dosłownie. Talent był wówczas największą ze znajdujących się w po-

* Biblia Tysiąclecia; Księga Wyjścia 25; 31—39.

wszechnym użyciu jednostką masy i w Starym Testamencie użyto go metaforycznie, jako synonim bardzo dużego ciężaru.

— Z tej płaskorzeźby wynika, że do dźwigania menory trzeba było co najmniej dziesięciu rzymskich żołnierzy, po pięciu z każdej strony — zauważył Costas, patrząc na ekran. — Podstawa ma chyba z metr średnicy, a zakładam, że też jest ze złota. Jeśli łuk zbudowano i ozdobiono płaskorzeźbami dziesięć lat po tym triumfalnym pochodzie, to w Rzymie żyli jeszcze ludzie pamiętający oryginał i rzeźbiarz prawdopodobnie nie przesadził. Wliczając podstawę, mamy tu do czynienia ze stu pięćdziesięcioma, może stu osiemdziesięcioma kilogramami złota, czyli lekko z trzema albo i czterema talentami. To miliony dolarów po dzisiejszych cenach sztabki złota.

— Ona jest bezcenna — zachnął się O'Connor. — To symbol narodowy, symbol całego ludu. Nikomu nie przysłoby do głowy, żeby wyceniać menorę według samej wagi.

— I tu bym się z księdzem nie zgodził. — Jeremy, zerknął nieśmiało na O'Connora, ale głos miał stanowczy. — Wikingowie narodowe symbole mieli w wielkim poważaniu. Costas słusznie przelicza menorę na sztabki złota. W ojczyźnie wikingów podstawowym kruszcem było srebro, złoto spotykało się tam sporadycznie. W wojennym łupie przeciętnego wikinga trafiało się rzadko. Sto pięćdziesiąt kilogramów złota zapewniłoby Haraldowi Hardradzie pozycję najpotężniejszego człowieka w całej Skandynawii. Kiedy więc nadarzyła się okazja do szybkiego rabunku, wybrał ze swoimi towarzyszami największy złoty obiekt, jaki był pod ręką. Zastąpmy Rzymian niosących menorę wikingami i otrzymujemy scenkę z pewnej burzliwej nocy w Złotym Rogu jakiś tysiąc lat później.

Jack, słuchając Jeremy'ego, kiwał głową. Ten młodzieniec coraz bardziej mu się podobał.

— Nadzwyczajna wizja. Zanim jednak przejdziemy do wikingów, zastanówmy się, jak, u licha, menora trafiła do Konstantynopola.

Pół godziny później Jack stał z Marią i Jeremym przed budynkiem wielkości hangaru dla samolotów, wzniesionym niedaleko ujścia rzeki. O'Connor poprosił o przerwę i udostępnienie bazy danych IMU, tłumacząc, że musi zweryfikować kilka istotnych faktów. Jack wykorzystał tę przerwę na oprowadzenie Marii i Jeremego po kampusie. Kiedy dochodzili do kompleksu zaplecza technicznego, rozsunęły się wrota głównej hali i ich oczom ukazało się osobliwe urządzenie spoczywające na skrzyni ciężarówki.

— To moje najmłodsze dziecko — doleciał ich głos Costasa.
— Chodźcie, to wam pokażę.

Wypatrzyli go w głębi hali, za ciężarówką, gdzie w usmarowanym, poplamionym olejem kombinezonie kierował grupą robotników. On też skorzystał z przerwy w naradzie i wrócił do swoich zajęć. Hangar był jednym wielkim biurem konstrukcyjnym — część projektów nie zesłała jeszcze z desek kreślarskich, inne znajdowały się już na etapie prototypu. W blasku palnika spawalniczego Jack zobaczył pokiereszowany kształt ADSA, autonomicznego głębinowego antropoda, w którym przed sześcioma miesiącami wydostał się z wraku „Seaquesta”. Po obu jego stronach stały akwapody, jednoosobowe pojazdy głębinowe, z których po raz pierwszy zobaczyli z Costasem oblepione mułem mury Atlantydy. Ich metalowe korpusy powleczone były nadal żółtym nalotem, którym obrosły w zasiarczonych wodach Morza Czarnego.

— Prawie skończyliśmy — zawołał Costas. — Jeszcze tylko ostatnia próba systemów i gotowe.

Jack i Maria ruszyli w jego kierunku, lawirując między stosami sprzętu i na wpół ukończonymi konstrukcjami, pochód zamykał Jeremy. Na znak Costasa wyłączono generator i niezemiński hałas ścichł. Costas skinął na nich, żeby podeszli do urządzenia na ciężarówce. Twarz promieniała mu z podniecenia.

— Widzieliście pewnie coś podobnego na naszych zdjęciach ze Złotego Rogu — zwrócił się do Marii i Jeremy'ego. — To był szperacz, poddenny świder, którego używamy do przewiercania się przez morskie dno do zalegających pod nim średniowiecznych warstw. Dla tego tutaj nie wymyśliłem jeszcze nazwy, ale jest przeznaczony do podobnych zadań. Dostrzegacie różnicę?

— Niech rzucę okiem. — Jeremy pochylił się i przyjrzał uważnie przedniej części urządzenia. Odchrząknął, pochylił się jeszcze niżej, zajrzał pod spód i wyprostował się. Nie zwracając uwagi, że ubrudził sobie smarem klapę tweedowej marynarki, zsunął okulary na czoło, przymrużył oczy i spojrzał na Costasa.

— To do przecinania się przez lód.

— Nieźle. — Costas uniósł brwi i puścił oko do Jacka. — Jakieś inne spostrzeżenia?

— Widzę tu półprzewodnikowy element grzewczy wokół obwodu — podjął Jeremy. — Prawdopodobnie w ceramicznej otulinie. A to pudełko za nim to pewnie wysokoenergetyczny laser.

— Jestem pod wrażeniem. Nieźle jak na historyka średniowiecza. Rozminąłeś się z powołaniem.

— Składając dokumenty do Rhodes, wahałem się między naukami technicznymi a anglosaskim, nordyckim i celtyckim. Chodziłem do bardzo konserwatywnej szkoły.

— I wyciągnąłeś krótszą zapalną.

— Tu się nie zgodzę — wtrąciła Maria. Roześmiali się

wszyscy, a Jeremy spojrzął ponuro na urządzenie. Costas klepnął go usmarowaną dłońią w plecy i zwrócił się do Jacka.

— Wysyłamy to samolotem dziś wieczorem — powiedział poważnym już tonem. — Przed paroma minutami miałem telefon od Jamesa Macleoda. Donosi, że warunki na lodzie są idealne. Jeszcze dzień, dwa i letnie topnienie może wprowadzić zbyt duży element ryzyka. Jutro rano sam lecę na Grenlandię wszystkiego dopilnować. Aha, jeszcze jedno. Macleod wspominał o jakimś miejscowym dziadku, który twierdzi, że widział w lodzie dziwne deski, jakby z poszycia statku. Podobno ma to coś wspólnego z jakąś ekspedycją, która przybyła tam z Europy przed drugą wojną światową. Macleod upiera się, że powinieneś pogadać z tym dziadkiem, i to im pręcej, tym lepiej. Stary, jak zrozumiałem, jest już jedną nogą w grobie. Wiem, że opóźniłoby to twój powrót do Sztambułu, ale mógłbyś się ze mną zabrać.

Jack wyłączył telefon komórkowy, usiadł i obrócił się w fotelu twarzą do stołu konferencyjnego. Po rozmowie z Maurice'em Hiebermeyerem i Tomem Yorkiem z „Sea Venture” miał już pewność, że w Złotym Rogu przez najbliższe czterdzieści osiem godzin jeszcze się bez niego obejdą. Wiedział teraz, że najsmakowitszego kęsa należy chyba szukać gdzie indziej, w miejscu, o którym nigdy by nie pomyśleli. Jednak w Złotym Rogu nadal mogły zalegać skarby o nieocenionej historycznej wartości. Po odnalezieniu działa i łańcucha zespół płynął na fali euforii i zapoczątkował już penetrację sondą osadów w porcie, ale robił to na chybił trafił i mogło upłynąć wiele dni, zanim się na coś natkną.

— No dobrze — zagaił. — Co książkę tam ma?
O’Connor otworzył niewielką książkę z zielonym grzbietem. Tekst po jednej stronie wydrukowany był w języku

greckim, po drugiej w angielskim. Costas wymówił się nawałem zajęć i nie było go w gabinecie, ale Maria i Jeremy siedzieli przy stole i wpatrywali się w księdza z napięciem.

— W swojej księdze *Wojna żydowska* — zaczął O'Connor — Józef pisze, że Wespazjan kazał złożyć skarby w świątyni Jowisza. Ale my wiemy, że kilka lat później, po ukończeniu Świątyni Pokoju, zostały przeniesione właśnie tam. Potem przez setki lat nie ma już nigdzie najmniejszej wzmianki o menorze.

— Przecież cesarz nie przepuściłby żadnej sposobności do pochwalenia się swoim łupem, do pokazywania go rzymskiemu ludowi przy okazji rozmaitych parad i świąt.

— Wespazjan był prawdziwym uosobieniem cnót rzymskich okresu cesarstwa — wtrącił Jack. — Podbój, stabilizacja, budowanie. W młodości dowodził legionem podczas podboju Brytanii, a już jako cesarz nadzorował podbój Judei. Potem wziął się do zaprowadzania w państwie ładu po katastrofalnych rządach Nerona. Skupiał się wyłącznie na budowaniu. Świątyni Pokoju, monumentów na forum zniszczonych podczas wielkiego pożaru Rzymu w sześćdziesiątym czwartym roku, za Nerona, a przede wszystkim Koloseum. Nie musiał już trąbić naokoło o swoich triumfach.

— W tym może być coś więcej — powiedział ostrożnie O'Connor. — Widzicie, państwo, w relacji Józefa z pochodu triumfalnego zastanawiające jest to, że opisuje w niej tylko egzekucję Szymona, charyzmatycznego żydowskiego przywódcy, którego przywleczono w kajdanach do Rzymu, a nie wspomina słowem o losie setek innych żydowskich jeńców, mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektórzy podejrzewają, że po zakończeniu procesji doszło do krwawej rzezi i ten widok tak wstrząsnął Józefem, że nie mógł się potem przemóc do jej opisania. Mimo wszystko byli to jego ziomkowie, a on nigdy nie wyrzekł się wiary żydowskiej. Wespazjana też do głębi

poruszyła ta masakra. Był zaprawionym w bojach żołnierzem, bezwzględny wobec nieprzyjaciół, jak wszyscy Rzymianie, ale przy tym słynął ze swojej niechęci do niepotrzebnego rozlewu krwi. Może pod pretekstem jakiegoś złego omenu zakazał celebrowania w przyszłości zwycięstwa nad Żydami i w tajemnicy polecił swoim kapłanom, żeby trzymali menorę pod kluczem i już nigdy nikomu jej nie pokazywali.

— I tu ślad się urywa — mruknęła Maria.

— Pozostaje nam tylko zdać się na Prokopiusza. — O'Connor wskazał na leżącą przed nim książkę. — Był naocznym świadkiem ostatniej znaczącej próby zjednoczenia imperium rzymskiego, kiedy to bizantyjski generał Belizariusz odbił Rzym z rąk Wandalów i Gotów, którzy w piątym wieku naszej ery najechali południowe prowincje.

— Coś niebywałego, że menora uchowała się tak długo w Rzymie i nikt jej nie zrabował. — Jack pokręcił głową. — Bo trudno nazwać tamte stulecia okresem pokoju i harmonii. Weźcie takiego Kommodusa, niedorozwiniętego syna Marka Aureliusza. Ubzdurał sobie, że jest Herkulesem i przetopił większość cesarskiego skarbu, by mieć czym płacić gladiatorom za walki. Albo anarchię trzeciego wieku, kiedy to w ciągu pięćdziesięciu lat Rzym miał ponad trzydziestu cesarzy z rządu. O tym, że w Świątyni Pokoju przechowywane są łupy wojenne, wiedzieli wszyscy i z pojawieniem się każdego nowego pretendenta do tronu czerpano zapewne pełnymi garściami ze znajdującego się tam złota, żeby opłacać nim armie najemników.

— Zdecydowanie. — O'Connor zawiesił głos, potem spojrzał na Jacka i podjął cicho: — Jeszcze raz muszę prosić państwa, żeby to, co teraz powiem, nie opuściło tych czterech ścian. Odpowiedź patrzy na nas z tej fotografii Łuku Tytusa. W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym zespół konser-

watorów badał go sonarem i odkrył w attyce, za dedykowaną inskrypcją, tajną komorę.

Jack zrobił wielkie oczy.

— Chyba nie chce nam ksiądz zasugerować, że menora ukryta była we wnętrzu łuku?

O'Connor znowu się zawahał, potem wyciągnął zza pazuchy sutanny brązową kopertę.

— Mało kto wie, że Łuk Tytusa znajduje się pod patronatem Watykanu, jest jednym z wielu starożytnych rzymskich zabytków poświęconych w średniowieczu przez Kościół dla przypieczętowania papieskiego nadzoru nad wszystkim, co pogańskie. Mój poprzednik z watykańskiego Departamentu Starożytności zabiegał po wielokroć o zezwolenie na otwarcie komory, ale kardynałowie za każdym razem odrzucali jego wnioski. Podejrzewam, że właśnie ta namolność była powodem, dla którego pozbyto się go z Watykanu. Mnie udało się w zeszłym miesiącu podczas prac konserwatorskich prowadzonych przy łuku. Pewnego wieczoru, kiedy weszliśmy z kierownikiem zespołu konserwatorskiego na rusztowanie, żeby skontrolować postęp prac, obluźował się jeden z kamiennych bloków, za którymi znajduje się komora. Oczywiście przypadek, rozumieją państwo.

Jack uniósł brwi, a O'Connor wyjął z koperty fotografię i podsunął mu ją po blacie. Przytrzymał ją jeszcze przez chwilę palcami, nie spuszczać wzroku z Jacka.

— To nie tylko moja praca. To coś o wiele, wiele więcej.

Jack wziął fotografię, Maria i Jeremy wyciągnęli szyje. Zdjęcie zrobione było przy użyciu flesza i przedstawiało wnętrze niewielkiej niszy z brązowymi i zielonymi zaciekami na wygładzonych ściankach. Na spodzie leżały kupki rozłożonej materii upstrzone kawałkami drewna i tkaniny. Przywodziło to na myśl grobowiec egipskiego faraona obrabowany jeszcze w starożytności.

— Udało mi się sięgnąć do środka i zaczerpnąć garść tego czegoś, co później w tajemnicy poddałem analizie — podjął cicho O'Connor. — Drewno przegniło, ale to akacja, o której mowa w Starym Testamencie. Prawdopodobnie użyto jej do zbudowania nosidła, które musiało wytrzymywać duże obciążenie. A tkanina to jedwab farbowany purpurą tyryjską, cennym barwnikiem uzyskiwanym z muszli rozkolca znajdujących na wybrzeżu Libanu.

— Boże drogi — mruknęła Maria. — Kotara ze Świątyni, święta zasłona Świętego Świętych odgradzająca sanktuarium od reszty Świątyni.

O'Connor kiwnął głową.

— Rzymianie owinęli nią prawdopodobnie menorę i złoty stół.

— A więc one spoczywały przez cały ten czas we wnętrzu łuku, bezpośrednio nad symbolem menory na płaskorzeźbie. — Jack potrząsnął z niedowierzaniem głową. — Kapłani musieli je tam przenieść pod osłoną ciemności ze Świątyni Pokoju. To tylko o rzut kamieniem.

— A setki lat później któryś z wtajemniczonych musiał zdradzić sekret, może ratując w ten sposób własną skórę podczas najazdu barbarzyńców — dodał O'Connor. — W roku czterysta dziesiątym Rzym został złupiony przez Gotów pod wodzą Alaryka, a potem znowu, w czterysta pięćdziesiątym, splądrowali go Wandalowie. Według Prokopiusza, Genzeryk, król Wandalów, zrabował żydowskie skarby i przewiózł je do Kartaginy w Afryce Północnej. Potem, w roku pięćset trzydziestym trzecim, Belizariusz odbił Kartaginę z rąk Wandalów i kazał przewieźć skarby do Konstantynopola. Prokopiusza pisze, że cesarz Justynian był bardzo pobożny i kazał je zwrócić Jerozolimie, ale ja w to nie wierzę. Nie ma żadnego wiarygodnego zapisu, który potwierdzałby, że skarby Świątyni wróciły kiedykolwiek do Ziemi Świętej.

— To znaczy, że menora tak naprawdę została w Konstantynopolu. — Maria spojrzała bystro na O’Connora. — Czy to możliwe, że pogłoskę o jej zwrocie w Jerozolimie rozpuszczono celowo, dla zmylenia tropów?

— Powiedziałbym nawet, że bardzo możliwe — orzekł O’Connor. — Prokopiusz został z czasem prefektem Konstantynopola i znalazł się w najbliższym otoczeniu Justyniana. Obrządki i przesady pogańskiego Rzymu nie odeszły w zapomnienie wraz z nastaniem chrześcijaństwa, a cesarze złotego wieku nadal cieszyli się szacunkiem. Kto wie, może wydany przez Wespazjana zakaz publicznego pokazywania menory nie stracił przez stulecia swej mocy i plotka o zwróceniu skarbów Jerozolimie miała na celu utrzymanie w tajemnicy faktu, że znajdują się w Konstantynopolu. A samo to, że Bizantyjczycy byli chrześcijanami, nie znaczy jeszcze, że bardziej niż z Rzymianami z czasów Wespazjana utożsamiali się z Żydami. Według mnie menora została ukryta na kolejne pięćset lat, być może głęboko w kryptach nowej katedry Justyniana — Hagia Sofia w Konstantynopolu.

— Niektórzy uważają, że żydowskie skarby nigdy nie opuściły Rzymu, że zostały potajemnie przejęte przez papieżstwo i po dziś dzień leżą ukryte w Watykanie. — Jack patrzył przenikliwie na O’Connora, zastanawiając się, ile też ksiądz jest skłonny wyjawić. — Wiadomo przecież, że jeszcze przed najazdem barbarzyńców Kościół, zaraz po tym, jak Konstantyn przeszedł w czwartym wieku na chrześcijaństwo, zaczął zajmować rzymskie świątynie i ogałacać je z artefaktów.

O’Connor nie odpowiedział od razu. W końcu odezwał się stłumionym, ale stanowczym tonem:

— To prawda, że Watykan ukrywa przed światem niewyobrażalne skarby, bezcenne dzieła sztuki, na których od stuleci nie spoczęło ludzkie oko. Przechowywane są pod kluczem w korytarzach katakumb pod bazyliką świętego Piotra, do

których nawet ja nie mam dostępu. — Spojrzał z powagą na Jacka. — Ale mogę pana zapewnić, że nie ma wśród nich menory. W przeciwnym razie nie byłoby mnie tu dzisiaj. Administracja papieska kazałaby mi przysiąc, że dotrzymam tajemnicy. Niech pan pomyśli o naszej historii. Skarby z żydowskiej Świątyni reprezentowałyby ostateczny triumf chrześcijaństwa, odpłatę za współdziałanie Żydów w męczeńskiej śmierci Chrystusa. Gdybyśmy znajdowali się w ich posiadaniu, byłaby to najpilniej strzeżona tajemnica świata. Jedno słówko i kolejna wojna gotowa.

— Wojna? — prychnął sceptycznie Jeremy.

— Całkowite zerwanie stosunków pomiędzy Watykanem a Izraelem. Na całym świecie odżywiają odwieczne animozje między Żydami a chrześcijanami, podsycając na przerażającą skalę antysemityzm i ultrasyjonizm. A zwrócenie skarbu Jeruzolimie doprowadziłoby na Bliskim Wschodzie do niekontrolowanego wybuchu, którego tak się wszyscy obawiamy.

Część ortodoksyjnych Żydów uznałoby fakt powrotu menory do Jeruzolimy za pierwszy krok na drodze do odbudowy Świątyni w miejscu, gdzie stoi obecnie meczet Al-Aksa, jedno z najświętszych miejsc islamu. Menora utwierdziłaby Izrael w jego poczuciu misji, którą ma do wypełnienia, podbudowałaby fundamentalistów i przekonała niezdecydowanych. I świat arabski straciłby raz na zawsze złudzenia, że poprzez negocjacje zdoła kiedykolwiek doprowadzić do spełnienia swych żądań.

— Ciekawe, że nigdy nie szukali jej w Rzymie naziści — powiedział Jack.

— Druga wojna światowa była mrocznym okresem w dziejach Kościoła — odparł ponuro O'Connor. — Papież nigdy nie dał Hitlerowi pretekstu do splądrowania Watykanu. Ale od tamtego czasu do naszych wrót niejedni już pukali. Syjonistyczni fanatycy, wyznawcy teorii spiskowych, poszukiwacze

skarbów przekonani, że są w pół drogi do znalezienia świętego Graala. Zapewniam państwa, że wszyscy oni brną w ślepy zaulek.

W tym momencie za drzwiami zakotłowało się i do gabinetu wpadł Costas.

— Przepraszam, że przerywam — wysapał — ale to cię powinno zainteresować. — Podbiegł do Jacka i wręczył mu kartkę papieru. — Pamiętasz tamte odłamki desek w ogniwie łańcucha ze Złotego Rogu? Powiedziałeś, że jakoś dziwnie ci wyglądają.

— Zachodziły na siebie i były pozbijane żelaznymi gwoździami. — Jack usiłował wyprzeć z myśli menorę i skoncentrować się na niezwykłym znalezisku z poprzedniego dnia. — To raczej wczesnośredniowieczny sposób budowania statków, właściwy północno-zachodniej Europie. Nie pasuje mi do weneckiej galery z tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego.

— No to masz swoją odpowiedź. — Podniecony Costas pochylił się, opierając obiema rękami o stół. — Przyszły właśnie wyniki analizy próbki, którą ze sobą przywieźliśmy. To skandynawski dąb. I pochodzi z dziobu długiej łodzi, a nie ze śródziemnomorskiej galery. Ten dziób przypuszczalnie ugrzązł w ogniwie łańcucha i odłamał się od kadłuba, ale nie doprowadziło to do zatonięcia łodzi. I zwróć uwagę na datę określoną na podstawie układu słoï.

— Tysiąc czterdziesty drugi, plus minus rok — przeczytał z najwyższym zdumieniem Jack.

Jeremy wydał zwycięski okrzyk i tracąc nad sobą panowanie, zerwał się z krzesła.

— Pasuje jak ulał! W tysiąc czterdziestym drugim Harald Hardrada uciekł z Konstantynopola. Jego łódź mogła zostać zbudowana rok wcześniej, gdzieś na wybrzeżach Bałtyku. Nie znaleźliście ogniwa z łańcucha zerwanego podczas grabieży Konstantynopola przez krzyżowców w tysiąc dwieście

czwartym. Znaleźliście łańcuch sforsowany półtora wieku wcześniej przez bandę najemnych wikingów uciekających swoim drakkarem ze Złotego Rogu.

Costas zerknął na widniejącą wciąż na ekranie fotografię żołnierzy dźwigających łup w pochodzie triumfalnym zmierzającym w kierunku łuku.

— I teraz wiemy, co obciążało łódź do tego stopnia, że łańcuch pękł, gdy w niego uderzyła.

— Menora. — Jack pokręcił głową, a potem uśmiechnął się szeroko do Costasa. — Jestem zmuszony przyznać ci rację. Kolejny punkt dla nauki.

5

Samolot położył się na skrzydło i Jack, zerknąwszy w okno, zobaczył pod sobą niezmierny przestwór oceanu. Był bezchmurny wczesny poranek i ponad trzydzieści tysięcy stóp niżej słońce odbijało się w falach. Pół godziny po dotankowaniu i starcie z Rejkiawiku stracili ląd z oczu, ale zaraz za kręgiem polarnym na powierzchni morza zaczęło się pojawiać coraz więcej białych kształtów. Część z nich stanowiły ogromne bryły bieli okolonej turkusem tam, gdzie góra lodowa zanurzała się setki metrów pod wodę. Teraz te góry łączył morski lód, spękana biała mozaika rozciągająca się we wszystkie strony jak okiem sięgnąć, i Jack odróżniał już na zachodzie pierwsze języki lądu. Nachylił się do siedzącej naprzeciwko Marii i pokazał za okno.

— Widać już pokrywę lodową Grenlandii.

— Dech w piersiach zapiera.

Twarz Marii płonęła z podniecenia i Jack po raz kolejny pogratulował sobie, że zabrał ją w tę podróż. Przed trzema dniami, po odlocie O'Connora do Rzymu, Jack zadzwonił do Jamesa Macleoda, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o odkryciu w lodzie, o którym meldował mu Costas. Okazało

się, że to coś więcej, o wiele więcej, niż można było przypuszczać, i że w tej sytuacji wizyta Jacka staje się nieodzowna.

Z analizy próbki pobranej przez sondę lodową wynikało, że opowieści o uwięzionej w lodzie łodzi nie są tylko lokalną legendą. Jack dowiedział się również o jeszcze jednym nadzwyczajnym odkryciu, które wymagało ekspertyzy Marii i Jeremy'ego, i ci ochoczo skorzystali z propozycji spędzenia z nim kilku dni na nowym statku badawczym IMU odbywającym dziewiczy rejs w ramach najniezwyklejszego z dotychczasowych projektu.

Siedzieli teraz w przedniej części embraera EMB-145XR, niewielkiego lśniącego odrzutowca wykorzystywanego przez IMU do przerzucania personelu w dowolny zakątek świata. Po drugiej stronie przejścia między fotelami, nad górą papierzyk i książek, postukując od czasu do czasu w klawisze laptopa, garbił się Jeremy. Jack zamknął wprowadzenie do staronordyckiego, które właśnie czytał, i zapatrzył się w okno.

Od kilku dni, z rozpalającą się na nowo chłopcą pasją, studiował burzliwy żywot Haralda Hardrady. Rodzina Jacka ze strony matki pochodziła z nadmorskiego Yorkshire. Byli to wszystko wysocy, jasnowłosi ludzie, którzy zachowali nawet lekko skandynawski akcent, i Jack zawsze odczuwał silną więź ze swoimi norwesкими przodkami. Hardrada był największym bohaterem wikingów, ale nie dane mu było osiągnąć w życiu tego, na co było go stać. Mógł zasiąść na tronie, otwierала się przed nim świetlana przyszłość. Mało brakowało, a zwyciężyłby w bitwie pod Stamford Bridge, a wtedy historia Anglii, ba, historia całego świata, potoczyłaby się zupełnie inaczej. Jack pojechał poprzedniego dnia pod York, gdzie rozegrała się ta bitwa, i snuł się samotnie po błotnistych polach, starając się wyczuć szóstym zmysłem miejsce, w którym Harald po raz ostatni wzniósł do ciosu swój topór bojowy. Prawie mu się to udało, niemal czuł obecność słynnego

wikinga, nie był jednak usatysfakcjonowany. Coś mu się tu nie zgadzało.

W fotelu naprzeciwko, obok Marii, drzemał, pochrapując, Costas. Głowa opadała mu powoli, by dotknąwszy podbródkiem piersi, poderwać się z powrotem. Całą noc spędził w laboratorium technicznym, dopracowując sondę lodową, i wsiadł bladym świtem do samolotu w swoim ulubionym, brudnym, wyświechtanym kombinezonie IMU. Nieogolony, potargany bardziej niż kiedykolwiek, przypominał swojego dziadka, greckiego poławiacza gąbek, który zbił potem majątek na handlu morskim, ale pilnował, żeby rodzina nie zapominała o swoich korzeniach. Costas swoim wyglądem rozwinął mimowolnie dziadkową wolę w sztukę piękną.

Teraz chrapnął głośno i poprawił się w fotelu. Jack z Marią wymienili uśmiechy i znowu spojrzeli w okno. Rysowała się już za nim nieregularna wschodnia linia brzegowa Grenlandii — skaliste pasmo oddzielające ocean od lądolodu, nagie ściany granitu obramowujące zatoczki wypełnione potrzaskanymi płytami kry. Wkrótce byli już nad samym lądolodem, sfalowanym kobiercem roziskrzanej bieli, ciągnącym się aż po horyzont, usianym kieszeniami wody z tającego lodu, które w blasku porannego słońca lśniły jak turkusy.

Było to jedno z najbardziej nieprzyjaznych człowiekowi miejsc na ziemi, a jednak piękno krajobrazu budziło w Jacku ducha badacza i sprawiało, że w pełni rozumiał, co kierowało norweskimi awanturnikami, którzy przed tysiącem lat pierwsi przybili do tych brzegów.

— Jednego tutaj nie rozumiem. — Costas ocknął się raptownie, nawiązując od razu do rozmowy, którą prowadzili przed godziną, tak jakby w ogóle jej nie przerywali. — Harald Hardrada poległ w Anglii w tysiąc sześćdziesiątym szóstym, zgadza się? Dlaczego więc inskrypcja na mapie sugeruje, że umarł gdzieś tutaj?

Jack popatrzył na Costasa z rozbawieniem i obaj spojrzeli na Jeremy'ego, który całkowicie pochłonięty swoją pracą wertował plik jakichś kartek.

— Jeremy? — ponagliła go Maria.

— Mhm?

— Co z Ragnarókiem z inskrypcji na mapie? Jak go pogodzić ze śmiercią Haralda pod Stamford Bridge?

— Oj, to pewnie tylko przenośnia — odparł Jeremy. —

Wszyscy wikingowie zarąbani w bitwie szli do Walhalli, gdzie służą Odynowi i czekają na ostateczną rozprawę ze złem, do której ma dojść w Ragnarók. Walhallę umiejscawiano na zachodzie, za skrajem świata. Inskrypcja niekoniecznie musi świadczyć o tym, że Harald ze swoimi towarzyszami dokonał tam żywota.

— A skarb z Michelgardu?

— Niestety, tu wam nie pomogę.

— Jeremy, masz mój egzemplarz Sturlussona? — W głosie Marii pojawił się ton irytacji. Jeremy, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa, podał jej książkę. Wzięła ją i pokazała Costasowi okładkę. Widniał na niej konny rycerz w kolczudze, hełmie z osłoną na nos i dużą tarczą na ramieniu.

— Krzyżowiec? — zaryzykował Costas.

— Blisko — odparła Maria. — To postać z gobelinu znalezionego w Norwegii, datowanego na dwunasty wiek, czyli powstałego mniej więcej sto lat po śmierci Haralda. Jednak z braku jakiegokolwiek portretu tego ostatniego pozostaje nam wyobrazić sobie, że mniej więcej tak mógł wyglądać on i jego ludzie. Waregowie z konstantynopolskiej gwardii przybocznej byli wikingami z urodzenia i wychowania, i posługiwali się tymi samymi budzącymi grozę toporami bojowymi, z których zasłynęli wikingowie. Długimi, jednosiecznymi, straszliwymi w walce. Waregowie odziedziczyli opinię po swoich poprzednikach, wikingach, którzy nękali zachodnią

Europę i dotarli nawet na Morze Śródziemne, skąd terroryzowali Francję i Italię. Ale Waregowie byli również swego rodzaju kosmopolitami i całe dorosłe życie spędzali w Konstantynopolu, najnowocześniejszym mieście średniowiecznego świata, w służbie bizantyjskich cesarzy. Uzbrojeniem i ubiorem nie odstawali od krzyżowców, a greką postępowali się równie dobrze jak nordyckim. Harald Hardrada brał nawet udział w wyprawie do Ziemi Świętej.

— Do Ziemi Świętej? — zdumiał się Costas. — Z tego co wiem, krucjaty zaczęły się dopiero w jedenastym wieku. Całe pokolenie po śmierci Haralda!

— Haralda Hardradę można uznać za pierwszego krzyżowca.

— Oczywiście błyszczały entuzjazmem. — Chociaż urodził się poganinem i na pewno nie zabiegał o odpust, w Ziemi Świętej reprezentował interesy Kościoła chrześcijańskiego.

Trzeba ci wiedzieć, Costas, że krucjaty, które znamy, to tylko część historii, historii opowiedzianej z punktu widzenia Zachodu. Kościół bizantyjski od wieków próbował wyprzeć Arabów z Ziemi Świętej. W roku tysiąc trzydziestym szóstym cesarz bizantyjski Michał zawarł z arabskim kalifem Egiptu traktat, na mocy którego uzyskał zezwolenie na odnowienie kościoła Grobu Świętego, świątyni wzniesionej w Jerozolimie nad grota, w której złożono ciało Chrystusa. Rok później Hardrada na czele gwardii wareskiej eskortował bizantyjskich rzemieślników w drodze do Jerozolimy. Był to widok jakby żywcem wyjęty z późniejszych krucjat — wysocy, jasnowłosi, uzbrojeni po zęby jeźdźcy brnący przez pustynię. Tyle że Harald naprawdę z powodzeniem pacyfikował Ziemię Świętą.

Poddały mu się bez walki wszystkie miasta i zamki Palestyny, oczyścił drogi z rzezimieszków i rabusiów. Łupy, prawdopodobnie na polecenie cesarza bizantyjskiego, oddał kościołowi Grobu Świętego. Kąpał się nawet w rzece Jordan, jak na każdego szanującego się pielgrzyma przystało.

— To nie wszystko. — Jeremy oderwał się w międzyczasie od swojej pracy i przysłuchiwał uważnie opowieści Marii. — Po powrocie z Jerozolimy Hardrada przez trzy lata prowadził w imieniu cesarza kampanię w centralnym regionie Morza Śródziemnego, na Sycylii i w Italii. W tamtych czasach Sycylia była emiratem, Arabowie zajęli ją podczas tego samego wielkiego dżihadu, w wyniku którego muzułmańskie armie podbiły Ziemię Świętą i pręc na zachód, dotarły aż do Hiszpanii. Harald poprowadził armię pod znakiem krzyża, by odbić z rąk niewiernych ziemie Kościoła. Bizantyjczycy nazywali swoich wrogów Saracenami. Z tym samym przeciwnikiem mieli do czynienia kilka pokoleń później krzyżowcy. Wojna Haraldą była pierwszym poważnym starciem pomiędzy chrześcijaństwem a islamem, początkiem konfliktu, który zaowocował krucjatami i trwa po dziś dzień. Spośród wszystkich przywódców sił chrześcijaństwa Hardrada wzbudzał największy postrach, obawiano się go nawet bardziej niż Ryszarda Lwie Serce czy Baldwina z Flandrii. Arabowie nazywali go Ra'd Szamal, Piorun Północy.

— Chwacki gość — mruknął Costas. — I mówicie, że pochodził z Norwegii?

Maria pomachała książką, którą wzięła od Jeremy'ego.

— To nasze główne źródło wiedzy o nim, *Saga o królu Haraldzie*, napisana na początku trzynastego wieku przez islandzkiego poetę Snorriego Sturlussona. Stanowi część *Heimskringla*, historii królów Norwegii. Znajdujemy tu opis wyglądu Haraldą: bardzo wysoki, jasnowłosy, z jasną brodą i długimi wąsami — klasyczny wiking. Naprawdę nazywał się Harald Sigurdsson i przyszedł na świat w roku tysiąc piętnastym. Dopiero później nadano mu przydomek Hardrada, w wolnym tłumaczeniu „Dzierzymorda”, Harald Srogi. W wojennym rzemiośle zaczął się uprawiać wcześniej. W wieku piętnastu lat walczył u boku swojego przyrodniego brata,

króla Olafa Świętego, w bitwie pod Stiklestad przeciwko innej norweskiej armii. Olaf poległ, a Harald zbiegł na wschód, najpierw do Szwecji, potem do Nowogrodu i Kijowa, gdzie jako najemnik służył księciu Rusi Jarosławowi.

— A jak trafił do Konstantynopola? — spytał Costas, spoglądając na mapę.

— No cóż, tam można się było lepiej obłowić. Harald przybył do Konstantynopola jako osiemnastolatek i zaciągnął się do gwardii wareskiej. Szybko awansował na *atrologusa*, dowódcę gwardii, i przez dziewięć lat w imieniu cesarza Bizancjum plądrował region Morza Śródziemnego. W tysiąc czterdziestym drugim zbiegł z Konstantynopola. Wrócił do Norwegii obławowany łupami i odzyskał tron. Dwadzieścia cztery lata później, lata, podczas których spustoszył Danię i żelazną ręką rządził Norwegią, ambicja doprowadziła go do fatalnego starcia z królem Anglii, Haroldem, w bitwie pod Stamford Bridge. Była to kariera od początku do końca skąpana we krwi, ale w jej wyniku Harald wyegzekwował swoje prawa do tronu i został najbogatszym i wzbudzającym największy lęk władcą średniowiecznego świata.

— To całkiem możliwe, że odwiedził Winlandię — mruknął Jack. — Islandia i Grenlandia były praktycznie nordyckimi koloniami, odkryli je norwescy wikingowie i król formatu Haralda Hardrada na pewno chciał rozciągnąć na nie swoje wpływy. A dochodzi tu jeszcze czynnik sławy. Wyprawa do Winlandii została uznana za czyn bohaterski i umocniła jego opinię nieustraszonego wojownika i poszukiwacza przygód.

— Nie byłby jedynym śmiałkiem, który się na to poważył — powiedziała Maria. — Islandzkie kroniki wspominają o biskupie Grenlandii, który wyruszył do Winlandii i słuch o nim zaginął.

— Ale coś mi się tu nie zgadza. — W głosie Jacka pobrzmiwało powątpiewanie. — Jeśli Harald rzeczywiście popłynął do Winlandii, to najwyraźniej przeżył, bo przed rokiem tysiąc sześćdziesiątym szóstym był z powrotem w Norwegii. Nagłaśniając swój sukces, mógł tylko zyskać. Rozciągnął przecież swoją władzę na zachodnie kolonie wikingów i wykazał się odwagą. Powinno to znaleźć odbicie w sagach, a przecież *Heimskringla* nic o podobnym dokonaniu nie wspomina. Mamy tylko to tajemnicze napomknienie na mapie z katedry Hereford. Nie rozumiem.

— A co z jego skarbem? — spytał Costas. — Tym, który zagrabiał z warezami?

— To fantastyczna historia. — Maria przekartkowała książkę i znalazła stosowną stronę. — Posłuchajcie: „Jego bogactwa były tak ogromne, że nikt w północnej Europie nie widział jeszcze takich u jednego człowieka. Podczas pobytu w Konstantynopolu Harald trzy razy brał udział w plądrowaniu pałaców: to taki zwyczaj, że kiedy umiera cesarz, warezom przysługuje prawo splądrowania pałaców — wolno im przetrząsnąć wszystkie pałace, w których cesarz trzyma swoje skarby, i uszczknąć sobie z nich tyle, ile każdy zdoła unieść”.

— Taką to cenę trzeba zapłacić za lojalność najemników — westchnął Costas.

— Z tego wynika, że po śmierci cesarza warezowie nie tylko wynosili z pałaców, ile zdołali udźwignąć, ale musieli też wiedzieć, gdzie szukać. Mimo wszystko ich głównym zajęciem w Konstantynopolu było strzeżenie cesarskiego skarbcza. Tylko że z tym plądrowaniem pałaców Snorri bez wątplenia przesadził, chciał przemówić do wyobraźni wikingów, którzy będą go czytali. Największe skarby trzymane były zapewne pod kluczem.

— Na przykład menora — mruknął Costas.

Maria kiwnęła głową.

— Ale posłuchajcie dalej. To jeszcze lepsze. Nadszedł rok tysiąc czterdziesty drugi i Haraldowi, po dziesięciu latach w służbie cesarza, sprzykrzyło się wojowanie. Zdobył już sławę i łupy i zaczął przemyślać o odzyskaniu tronu Norwegii. Po powrocie do Konstantynopola z ostatniej wyprawy wojennej oznajmił, że występuje z gwardii wareskiej. Ówczesny cesarz, Michał Kalafates, był człowiekiem słabego charakteru i nie stawiał większych przeszkód, ale cesarzowa Zoe wpadła w furię. Już od dłuższego czasu krzywym okiem patrzyła na Haralda. Podobno naraził się cesarzowej, prosząc o rękę jej pięknej siostrzenicy Marii. Zoe kategorycznie odmówiła. Wągowie opowiadali później, że Zoe sama upatrzyła sobie Haralda i to była prawdziwa przyczyna, dla której tak się wściekła, słysząc, że ten zamierza opuścić Konstantynopol.

— Miłosny trójkąt — zachichotał Costas. — Piorun Północy trafił w końcu na swego.

— Tak czy owak, Haralda wtrącono do lochu, ale wypuszczono stamtąd za wstawiennictwem jakiejś tajemniczej damy, być może innej kochanki. Po wyjściu na wolność Harald skrzyknął swoich Wągów i zemścił się okrutnie na cesarzu, oślepiając go podczas snu. Tej samej nocy wtargnął do komnat Marii i porwał ją. A oto jak opisuje Snorri co się potem wydarzyło: „Zeszli do wareskich galer i zabrali dwie z nich. Powiosłowali do Bosforu i tam drogę zagroził im łańcuch przeciągnięty w poprzek cieśniny. Harald kazał wszystkim swoim ludziom, którzy nie byli przy wiosłach, przebiec z całym swoim rynsztunkiem i dobytkiem na rufy. Dzięki temu dzioby poszły w górę i galery nasunęły się kilami na łańcuch. Kiedy wytraciły impet i osiadły na łańcuchu, Harald kazał wszystkim swoim ludziom przebiec na dzioby. W wyniku tego galera Haralda przechyliła się w przód i ześliznęła z łańcucha; ale druga łódź zaklinowała się między ogniwoami

i przełamała. Utonęła prawie cała załoga, tylko nielicznych wyłowiono z morza".

— A nie mówiłem? — ożywił się Jeremy. — Deski z ogniwa, które znaleźliście w Złotym Rogu, pochodzą z drugiej łodzi Harald. Snorri nie napisał, że łódź zatoneła, co wyjaśnia, dlaczego znaleźliście tylko fragment odłamane go dziobu. Czaszka ze śladem po hełmie należy zapewne do jednego z Waregów, którzy się utopili.

— A co się stało z twoją imienniczką? — Jack spojrział na Marię.

— Snorri pisze, że Waregowie, zaraz po wypłynięciu na Morze Czarne, nie dość, że wysadzili Marię nietkniętą na brzeg, to jeszcze odprowadzili pod eskortą do Konstantynopola. Może porywając ją, Harald chciał zagrać na nosie Zoe, a sam planował już małżeństwo z Elżbietą, córką księcia Jarosława, którą prawdopodobnie poznał jeszcze w Kijowie, zanim przystał do Waregów. — Maria uśmiechnęła się do Jacka. — Ale niektórzy utrzymują, że Maria z nim została i do końca była jego kochanką i jedyną prawdziwą miłością.

— I myślisz, że to tamtej nocy wykradziona została menora? — drążył Costas.

— Tak. Skoro Waregowie nie skąpili czasu na uprowadzenie Marii, to bez wątpienia największy z zakazanych skarbów Konstantynopola znajdował się już w ich rękach.

— I stąd może symbol menory na mapie z Hereford. — Costas wpatrywał się przez chwilę w przestrzeń, zatopiony w myślach. — Jeśli wikingów interesowało tylko złoto przetopione na sztaby, to dziwne, że po latach, kiedy Richard of Holdingham pisał tę runiczną inskrypcję, kształt menory jeszcze coś znaczył. Może tego znaczenia przydawał jej fakt, że była skarbem zakazany, a nie zwyczajnym pałacowym łupem. Może stała się symbolem męstwa Harald, jego waleczności, trofeum wojennym jak za czasów rzymskich, opiewa-

nym przez wikingów w sagach i podczas uczt. Po powrocie do domu Waregowie, w zamian za opowieści o wypadkach ostatniej nocy w Konstantynopolu, pili pewnie za darmo do śmierci.

Wszyscy spojrzeli na Jeremy'ego. Ten odwrócił wzrok, zerknął na ekran laptopa, a potem na Costasa. Milczał jeszcze chwilę, a potem powiedział dziwnie zmienionym głosem:

— Chyba macz rację. Ale niewykluczone, że to nie wszystko.

W tym momencie z głośników popłynął głos pilota oznajmającego, że podchodzą do lądowania w Kangerlussuaq, dawnej bazie lotnictwa Stanów Zjednoczonych, a obecnie największym lotnisku międzynarodowym na zachodnim wybrzeżu. Jack wyjrzał przez okno i zobaczył zbliżającą się Cieśninę Davisa, szeroki oceaniczny kanał pomiędzy zachodnią Grenlandią a kanadyjską Arktką. Pod nimi przesuwaty się kręte fiordy i połacie zieleni, potwierdzając, że mogły się tu ongiś znajdować osady wikingów, co było nie do pomyślenia na nagim, niegościnnym wschodnim wybrzeżu. Samolot położył się ostro na skrzydło i zawróciwszy na wschód, wyrównał lot nad najdłuższą ze wszystkich zatoką, Sondre Stromfjord, z ponurą, rzadko zabudowaną osadą Kangerlussuaq rozrzuconą po dolinie u jej szczytu. Kilka minut później pilot wypuścił podwozie i Jack dostrzegł dwa samoloty stojące na stanowiskach parkingowych byłego wojskowego lotniska pośrodku doliny. Były to Antonów AN-74 — transportowiec, który przyleciał tu przed nimi z cennym sprzętem Costasa — oraz helikopter Lynx z charakterystycznym logo Międzynarodowego Uniwersytetu Morskiego IMU.

— Przed nami fiord lodowy. Po lewej widzicie wierzchołki gór lodowych wystające ponad mgłę.

James Macleod oderwał na moment rękę od drążka sterowego i pokazał nad siedzącym obok Jackiem poszarpane białe iglice przywodzące na myśl przebijające się przez chmury szczyty odległych gór. Maria i Jeremy zajmujący miejsca w przedziale pasażerskim za ich plecami wychylili się, żeby też zobaczyć. Trzygodzinna różnica między czasem lokalnym a angielskim sprawiała, że był jeszcze wczesny ranek i słońce nie zdążyło wypalić morskiej mgły powstającej w wyniku mieszania się zimnego powietrza spływającego znad pokrywy lodowej z cieplejszym, zalegającym nad morzem. Letnie słońce przygrzewało i na wysokości trzech tysięcy stóp było cieplej niż przy powierzchni lądolodu, ale i tutaj słupek rtęci wskazywał kilka stopni poniżej zera i wszyscy mieli na sobie ocieplane kombinezony lotnicze oraz hełmy — zabezpieczenie na wypadek turbulencji, do których dochodziło, kiedy helikopter napotykał na swej drodze termiczne prądy wstępujące, powstające nad otwartym lądem i nad wodą wzdłuż wybrzeża.

— Mamy piętnaście minut do oczyszczenia lądowiska dla helikopterów. Zdążymy odbyć krótką wycieczkę krajoznawczą.

Kiedy wylądowali w Kangerlussuaq, Macleod już czekał i poprowadził ich prosto do gotowego do startu Lynksa. Lot na północ, do fiordu lodowego Ilulissat na zachodnim wybrzeżu Grenlandii, niecałe dwieście pięćdziesiąt kilometrów za kręgiem polarnym, trwał niespełna godzinę. Lecieli za wielkim helikopterem transportowym Chinook, stacjonującym w Thule, czynnej jeszcze bazie lotnictwa Stanów Zjednoczonych na Grenlandii. Rząd USA udostępnił go im grzecznościowo, wnosząc tym samym swój wkład w projekt IMU. Costas postanowił zabrać się chinookiem, bo chciał mieć na oku swój sprzęt. Jack wyobrażał go sobie, jak siedzi w ładowni i ogryzając nerwowo paznokcie, wpatruje się w owoc swojej

wielomiesięcznej pracy zawieszony w sieci transportowej nad otchłanią. Przed chwilą chinook znikł im z oczu w morskiej mgłę u szczytu fiordu.

— Stąd pochodziła góra lodowa, która zatopiła „Titanica” — powiedział Macleod z uwypuklonym przez interkom akcentem z Glasgow. — To jedna z najszybciej się przemieszczających glacialnych strug lodu na świecie. — Skierował helikopter na wschód, w stronę łądu, i zwiększył szybkość do maksimum. Po kilku minutach wylecieli z mgły i zobaczyli przed sobą ogromną zwartą kopułę pokrywy lodowej Grenlandii. — Lodowiec Ilulissat jest głównym ujściem dla naprężeń występujących w pokrywie lodowej. Spływa tutaj, zrzucając lód do morza. Widzicie, gdzie teraz zaczyna się ten zrzut.

Macleod wprowadził Lynksa w szeroki łuk, zawracając w kierunku morza. Zobaczyli miejsce, w którym pofałdowana, jednolita pustynia lodowa zaczynała pękać i rozszczepiać się w karbowaną masę zdającą odsuwać się od niej ku zachodowi.

— Możecie mi wierzyć albo nie, ale to przemieszczanie przebiega w niewiarygodnym tempie — podjął Macleod. — Prawie osiem mil na rok. Szczeliny powstają wskutek naprężeń w lodowcu sunącym po skalnym podłożu, które miejscami znajduje się prawie trzy tysiące stóp poniżej. To jak rzeka rwąca przez katarakty. A teraz ciekawostka.

Przesunął drążek sterowy i zanurkowali nad lodowiec. Naprzeciw wybiegały im gigantyczne fałdy i rysy splekanej powierzchni. Macleod w ostatniej chwili wyrównał lot i w tym samym momencie pochłonęła ich morska mgła. Lodowiec ukazywał się teraz ich oczom tylko na krótkie chwile, kiedy mgłę rozwiewały łopaty wirnika. Widzieli wtedy połacie bieli pocięte szerokimi ciemnoniebieskimi szczelinami.

— W rzeczywistości znajdujemy się ponad pięćset stóp nad lodowcem — uspokoił ich Macleod. — Nie zapominajcie, jak ogromne są te formacje. — Przez kilka minut leciał przez mgłę na przyrządach, potem popchnął lekko drążek sterowy i zaczęli opadać. Wyrównał lot, kiedy wysokościomierz wskazał dwieście pięćdziesiąt stóp ponad poziomem morza. — No, jesteśmy.

Lynx zawisł w powietrzu, mgła rozstała się i ujrzeli niesamowity widok. Była to gigantyczna ściana lodu wypiętrzona niemal do wysokości, na której unosił się helikopter, i rozciągająca w obie strony jak okiem sięgnąć. Nie był to jednak lity, zwarty lód. Rozszczepiał się na masę wież i kanionów, żłobiły go niebieskie smugi spływającej z góry i zamarzającej znowu wody ablacyjnej. Cała ta

masa wyglądała dziwnie krucho i nietrwale, odnosiło się wrażenie, że wystarczy najmniejszy wstrząs, a runie kaskadą w morze.

— Czoło lodowca — oznajmił Macleod. — A raczej rumowisko gór lodowych, które już się od niego oderwały i zakleszczyły u szczytu fiordu. Krawędź właściwego lodowca znajduje się ponad pięć mil morskich na wschód od nas, w kierunku pokrywy lodowej, tam skąd przylecieliśmy.

— Jezu! — zachrypiął w intercomie głos Jeremy'ego, któremu po raz pierwszy zabrakło słów. — Czyli stąd biorą się góry lodowe dryfujące po północnym Atlantyku?

— Dziewięćdziesiąt procent — odparł Macleod. — Dwadzieścia miliardów ton rocznie, wystarczająco, by wpływać na globalny poziom mórz. Ta ściana lodu wydaje się może dość statyczna, ale od jakiegoś czasu przyśpiesza i tak naprawdę przybliży się do nas z szybkością około pięciu metrów na godzinę. Niektóre z największych gór lodowych zostaną stąd wypchnięte w stanie prawie nienaruszonym, ale większość

cieli się, czyli rozpada na mniejsze góry i zdradliwe niewielkie bryły zwane growlerami. Co roku do zatoki Disko wypływa z tego fiordu około dziesięciu tysięcy dużych gór lodowych. Niesione przez prąd, dryfują w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara wokół Zatoki Baffina i docierają aż do Nowej Fundlandii na południu oraz do Islandii na wschodzie.

— Jedna właśnie się cieli — zawołał Jack.

I rzeczywiście, dokładnie na wprost nich, z trzaskiem słyszalnym nawet poprzez warkot helikoptera, oderwała się niespodziewanie ogromna lodowa bryła. Zsunęła się majestatycznie w wodę i znikła pod powierzchnią, by po chwili wystrzelić w górę niemal na całą wysokość i zanurzyć się znowu, ale już płycej. Podskakiwała tak przez jakiś czas na wodzie z malejącą amplitudą, aż w końcu znieruchomiła. Ponad pak lodowy zalegający przed ścianą wystawał tylko jej postrzępiony wierzchołek.

— Teraz już wiem, ile góry lodowej kryje się pod powierzchnią wody — powiedział z przejęciem Jeremy. — Te większe szorują pewnie po dnie.

— Żebyś wiedział. Czasami szorują, czasami się o nie obijają. — Macleod odchylił mały ekran wideo wpuszczony w sufit kokpitu i przebiegł palcami po klawiaturze. Na ekranie pojawiła się mapa batymetryczna fiordu.

Jack gwizdnął.

— Głęboko.

— Ponad tysiąc metrów.

— Ten podwodny grzbiet w poprzek wejścia do fiordu to, jak przypuszczam, granica, do której sięgnął maksymalnie jęzór lodowca — powiedział Jack.

— Duńczycy, którzy osiedlili się tutaj w osiemnastym wieku, nazwali go Isfieldsbanken, progiem — odparł Macleod. — To ogromne wypiętrzenie osadów dennych ze-

pchniętych przez lodowiec. Od grani progu do powierzchni jest zaledwie sto dwadzieścia metrów, a więc większe góry lodowe się na nim zatrzymują. Do niedawna wyznaczał granicę jezora lodu, skupiska gór zatykających fiord.

— Ale teraz odłamywanie zachodzi kilka mil bliżej pokrywy lodowej, prawda?

— Otóż to. — Macleod nacisnął klawisz i na ekranie pojawiło się satelitarne zdjęcie fiordu. — To dzięki uprzejmości NASA, kombinowany obraz z satelity Landsat. Ta sekwencja czerwonych linii w poprzek fiordu obrazuje cofanie się frontu cielenia lodowca od roku dwa tysiące pierwszego do dwa tysiące piątego. W tym okresie lodowiec dramatycznie przyśpieszył, podwajając niemal swoją szybkość przemieszczania. Prowadzone z powietrza laserowe pomiary altymetryczne wykazują zmniejszanie się grubości lodowca w tempie piętnastu metrów w ciągu roku.

— Globalne ocieplenie — mruknął Jeremy.

— Źle dla środowiska, dobrze dla nas — powiedział Macleod, chowając ekran i sięgając ponownie do drążka sterowego. Helikopter obrócił się wokół własnej osi i poleciał w mgłę, oddalając od ściany lodowej. — Źle, bo sugeruje, że globalne ocieplenie ma na pokrywę lodową wpływ większy, niż wielu się obawiało. Dobrze, bo umożliwia nam pracę w samym fiordzie, prowadzenie badań, które dotąd były nie do pomyślenia.

— I zaczyna się lato — zauważył Jack. — Zakładam, że w związku z tym tempo cielenia i erozji lodu wzdłuż czoła lodowca rośnie.

— Właśnie dlatego chciałem, żebyś niezwłocznie tu przyleciał — odparł Macleod. — Za kilka dni będziemy zmuszeni zamknąć warsztat. Czas pogania.

Dwadzieścia minut później przesunął drążek sterowy w przód i helikopter zaczął opadać nad postrzępionym pasmem gór lodowych niedaleko szczytu fiordu. Jackowi serce zabiło mocniej na widok wynurzającej się z mgły nadbudówki statku skierowanego dziobem ku morzu. Macleod sięgnął do komunikatora powietrze—brzeg, ale zamiast go włączyć, spojrzął na Jacka.

— Wypadałoby, żebyś się wreszcie dowiedział, dlaczego ściągnąłem cię tutaj z tamtej strony globusa.

6

Więzień uniósł powoli głowę i wyteżył słuch, usiłując wyłović uchem jakiegokolwiek odgłosy życia. Na próżno. Od ponad pięciu lat słyszał tylko swoich strażników. Zamknął oczy i oddychał powoli, głęboko, niepomny smrodu fekaliów, uryny i wymiocin, którym już dawno przesiąkły mury więzienia. Odsiadywał wyrok w ojczyźnie dziadka, w pustym więzieniu na terenie dawnego gułagu, w którym było jak w karcerze. Ale jemu niestraszne było odosobnienie, przeszedł stosowne szkolenie i potrafił uciekać od szarej więziennej rzeczywistości w swój własny światek. Powoli poruszył na boki głowę, żeby rozprostować zeszywniały kark, i znowu pochylił się nad szachownicą — jedynym, o co poprosił. Wsparł się łokciami o stół, złączył dłonie w rękawiczkach bez palców i zatarł je. Grabiały mu często w wilgotnym chłdzie panującym w celi przez okrągły rok. Po raz tysięczny wziął mały biały pionek w kształcie wikinga w koleczudze i z tarczą i postawił go przed chrześcijańskim królem.

— Szach i mat — powiedział cicho.

Wyprostował się na stołku z wystudiowaną powolnością człowieka, dla którego najzwyczajniejsze ruchy stały się głównym

zajęciem, sposobem na wypełnienie samotnych godzin jeszcze jednego dnia. Powoli uniósł do twarzy lewą rękę i przesunął palcem wskazującym po bliźnie biegnącej od oczodołu do żuchwy. Był to test wytrzymałości na ból, który za każdym razem odczuwał. Oderwał dłoń od szczęki, przyłożył ją do ściany obok i jął wodzić palcem po liniach wydrapanego tam graffiti. Powtarzał ów rytuał co godzinę, recytując cicho słowa jak mędrzec święty tekst. „Paul Kruger, wymruczał. Hauptsturmfuhrer, Leibstandarte Adolf Hitler. Kurt Hausser, Sturmbannfuhrer, Panzergrenadier-Division Das Reich. Otto Lehmann, Brigadefuhrer, Panzer-Division Wiking". Znał na pamięć te nazwiska, nazwiska prawdziwych bohaterów wojny, krzyżowców walczących przeciwko Wschodowi, pojmanych niedobitków spod Charkowa i Kurska, i z innych niezliczonych bitew, osadzonych pół wieku temu przez Rosjan tutaj, na tym ostatnim przystanku przed obskurną izbą straceń na końcu korytarza. Nazwiska przypominające nazwisko dziadka. Tylko że dziadek miał więcej szczęścia.

Do czasu.

Zamknął oczy i namacał zygzakowate runy wydrapane na tych nazwiskach. Wiedział dokładnie, gdzie przyłożyć dwa palce, by potem przeciągnąć nimi po tych liniach w dół, w górę i znowu w dół. Były wyryte tak głęboko, że sowieccy strażnicy, którzy dziesiątki lat temu próbowali je zatrzeć, dali w końcu za wygraną. Po tym graffiti lubił wodzić palcami najbardziej. Był to symbol zakonu dziadka — *Schutzstaffel*, SS. Kiedy linie pod palcami urwały się, opuścił powoli rękę i przycisnął ucho do zimnej, wilgotnej ściany. Czuł łączność duchową z rycerzami z przeszłości, towarzyszami broni, którzy zostawili na tej ścianie swój ostatni odcisk, by napełnić go siłą, poprowadzić w jego poszukiwaniach ich najświętszego skarbu, dać ukojenie wszystkim tym, którzy próbowali przed nim i nie dali rady.

— Anton Pöllner! — krzyknął ktoś przez szczelinę w drzwiach. Mężczyzna drgnął, przywołany do rzeczywistości, i wyprostował się na stołku. Szczęknięty odsuwane rygle i drzwi otworzyły się ze zgrzytem zawiasów. Za progiem, w jasno oświetlonym korytarzu stał między dwoma strażnikami oficer w czapce z daszkiem.

— Anton Pöllner. — Powtórzył jego nazwisko oficer.

Mężczyzna w celi osłonił dłonią oczy przed rażącym światłem.

— O co chodzi? — spytał powoli, po angielsku.

— Decyzja trybunału międzynarodowego do spraw przestępstw wojennych popełnionych w byłej Jugosławii — powiedział po litewsku oficer. — Sprawa numer IT-99-37b, oskarżyciel trybunału przeciwko Antonowi Pöllnerowi, byłemu najemnikowi służącemu w szeregach armii bośniackich Serbów. Oskarżonemu z artykułu siódmego o udział w ludobójstwie i zbrodniach przeciwko ludzkości. — Oficer zawiesił głos i uniósł trzymany w ręku dokument. — W myśl postanowienia o amnestii, podpisanego w zeszłym roku w Hadze, sąd apelacyjny rozpatrzył ponownie waszą sprawę.:— Oficer opuścił dokument i dodał z nieskrywanym niesmakiem. — Jesteście wolni.

Pstryknął palcami i dwaj strażnicy, poderwawszy go ze stołka, zrzucili mu na ramiona stary sowiecki szynel. Wypchnięty bezceremonialnie z celi, zamrugał, gwałtownie oślepiony blaskiem. Po raz ostatni skuli mu nogi w kostkach i poprowadzili go korytarzem. Był ostatnim lokatorem tego piekielnego więzienia i brzęk łańcuchów odbijający się echem od ścian pustych cel wracał do niego wołaniem duchów przeszłości, dla których był ostatnią nadzieją na ucieczkę.

Przed ostatnimi drzwiami rozkuli mu nogi i wypchnęli go bez słowa na świat. Mżył drobny kapuśniaczek i było nie-

zwykle chłodno jak na początek lata, ale on uniósł ku niebu bladą twarz i uśmiechnął się, rozkoszując strumyczkami deszczu spływającymi po czole i policzkach. Podniósł z ziemi torbę, którą za nim wyrzucono, i ruszył w stronę widocznej za otwartą bramą drogi wolnym, ale miarowym krokiem człowieka nawykłego do forsownych marszów. Za bramą przystanął, zarzucił torbę na ramię i z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie szynela czekał na samochód, który miał go stąd zabrać. Po kilku minutach zatrzymał się przy nim czarny mercedes i otworzyły się tylne drzwiczki. Nie oglądając się na więzienie, pochylił się i wsiadł.

— Witaj na wolności — powiedział ktoś po angielsku z przedniego siedzenia. — Twoje instrukcje.

Wciśnięto mu w rękę kopertę i samochód ruszył. Mężczyzna wyczuwał w środku plik kartek, ale najpierw sięgnął na samo dno koperty i wyjął leżący tam luzem przedmiot. Był to złoty, lśniący ze starości pierścień. Uniósł go i musnął wargami symbol, tak jak oni robili to od dziecka, symbol tak różniący się od tamtego z więziennej celi, a przecież taki znajomy. Wsunął pierścień na palec wskazujący prawej ręki i wyjął z koperty plik kartek. Na wierzchu leżało wycięte z gazety zdjęcie, które odcisnęło się w jego pamięci przed ponad pięciu laty. Przedstawiało starego mężczyznę z opaską ze swastyką na ramieniu, leżącego w kałuży krwi. Spojrzał na twarz trupa, potem na nisko wiszące chmury i wyszeptał pod nosem:

— Nadszedł czas zapłaty.

— Jest — zawołał z podnieceniem Jack. — Po raz pierwszy widzę go na otwartym morzu. To jak spotkanie z dawno utraconym przyjacielem, który na nowo się narodził.

Statek badawczy „Seaquest II” został odebrany komisyjnie

ze stoczni przed zaledwie trzema miesiącami i w pierwszy rejs pod banderą Międzynarodowego Uniwersytetu Morskiego IMU wypłynął w ramach projektu badań lądolodu w zachodniej Grenlandii. Jack od sześciu miesięcy, od momentu kiedy na Morzu Czarnym zatonął pierwszy „Seaquest”, nie ustawał w wysiłkach, by znaleźć jego następcę. Kiedy w fińskiej stoczni kładziono dopiero stępkę pod zamówioną przez IMU jednostkę, miał już dla niej nazwę. W odróżnieniu od oryginalnego „Seaquesta” i jego siostrzanego statku „Sea Venture”, zaadaptowanych na potrzeby IMU rosyjskich statków badawczych klasy Akademik, które zbudowano w okresie zimnej wojny z przeznaczeniem do akustycznego namierzania łodzi podwodnych, „Seaquest II” był konstrukcją całkowicie nową, zaprojektowaną od początku do końca według specyfikacji IMU. Wyposażono go w nowoczesne pomoce nawigacyjne, między innymi w dynamiczny system naprowadzania na pozycję, wykorzystujący boczne dysze manewrowe, oraz automatyczną kontrolę balastu umożliwiającą zachowywanie stabilności praktycznie w każdych warunkach, jakie mogą panować na morzu, co jest bardzo istotne dla precyzyjnego utrzymywania pozycji i systematycznego przeszukiwania dna, jak również dla utrzymania poziomu podczas prowadzenia badań laboratoryjnych. Statek miał na pokładzie zdalnie sterowane roboty oraz pomocnicze jednostki do prac podwodnych, które albo spuszczało się na wodę dźwigami pokładowymi, albo ekspediowało z wewnętrznego doku usytuowanego pod linią wodną statku. Jak wszystkie statki IMU, „Seaquest II” uzbrojony był w chowane pod pokład działko. I, co nieodzowne przy prowadzeniu badań w strefie podbiegunowej, miał wzmocniony kadłub umożliwiający bezpieczną żeglugę przez pak lodowy zalegający przy brzegach na północ od koła podbiegunowego nawet wczesnym latem.

Jack, rozglądając się gospodarskim okiem po pokładzie, nie zauważył nawet, kiedy lynx siadł na lądowisku dla helikoptera. Wirniki obróciły się jeszcze kilka razy i znieruchomiały, obsługa rzuciła się do mocowania podwozia maszyny. Jack zdjął hełm i odpiął pas bezpieczeństwa. Słońce wypaliło już mgłę i widział przed sobą całą nadbudówkę, która lśniła oślepiającą bielą w blasku pogodnego arktycznego dnia. Był znowu w swoim żywiole. Nie kryjąc podniecenia, obejrzał się i uśmiechnął do Marii i Jeremy'ego.

— Witam na „Seaqueście II”. Tutaj dopiero zacznie się najlepsze.

James Macleod poprowadził ich prosto z lądowiska do hangaru, a stamtąd stromą zejściówką w trzewia statku. W połowie schodków dogonił ich Costas. Przed piętnastoma minutami spuszczone go na linie z chinooka sił powietrznych Stanów Zjednoczonych i był już w trakcie wypakowywania owoców swojej myśli technicznej ze skrzyń, które zjechały za nim na pokład rufowy. Wyglądał tak, jakby nie spał przez tydzień, ale podwinięte po łokcie rękawy ukochanego kombinezonu i nowe plamy smaru nie pozostawiały wątpliwości, że nie spocznie, dopóki nie rozpakuje i nie uruchomi całego sprzętu.

Zeszli na dolny pokład i Macleod wepchnął ich przez otwarte drzwi do jasno oświetlonej sali wykładowej. Zaraz za progiem gestem dał do zrozumienia, że mają stanąć przy ekranie projekcyjnym na prawo od drzwi. Przed nimi, na ustawionych w rzędy plastikowych krzeselkach, siedziało ze trzydzieści osób obojga płci. Jedni prowadzili ze sobą ożywione rozmowy, inni garbili się nad laptopami i arkuszami wydruków komputerowych. Wszyscy podnieśli wzrok na wchodzącego Macleoda. Jack wypatrzył między obecnymi

kilku brodatych blondynów z duńską flagą naszytą na rękawy kurtek, parę rodowitych, sądząc po rysach twarzy, Grenlandczyków, oraz grupkę mężczyzn i kobiet w granatowych swetrach lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych. Pozdrowił skinieniem głowy mężczyznę z ekipy IMU, który siedział rozwalony w pierwszym rzędzie, gładząc się po bokobrodach, ale ten był tak zatopiony w myślach, że gest Jacka uszedł jego uwagi. Lanowski, genialny, wszechstronny inżynier ściągnięty z MIT, okazał się dla IMU bezcennym nabytkiem, ale swoim sposobem bycia działał prawie wszystkim na nerwy.

— Proszę państwa, Jacka Howarda, mojego kolegę z IMU, pewnie znacie. Choćby z telewizji. — Jack zmieszał się wyraźnie, a Macleod wskazał na pozostałą trójkę. — A to doktor Maria de Montijo i jej doktorant, Jeremy Haverstock, oboje z Oksfordu, chociaż on jest właściwie ze Stanów. Costasa już poznaliście.

Wszyscy patrzyli z nieskrywanym zainteresowaniem na Jacka, którego twarz znana była nawet tym, co nigdy się z nim osobiście nie zetknęli. Costas uśmiechnął się do kilku starych znajomych i wszystkich tych, których poznał przed kilkoma tygodniami na odprawie w kampusie IMU w Kornwalii.

— Stanowimy, jak sami widzicie, zespół międzynarodowy — podjął Macleod. Oficjalnie projekt prowadzony jest przy współpracy NASA oraz GSDG — duńsko-grenlandzkiej służby geologicznej — ale mamy też w naszym gronie dwie osoby z Międzynarodowego Patrolu Lodowego. Każde z nas robi swoje — glaciologia, biologia, paleoklimatologia — ale korzystamy ze wspólnych środków. IMU zapewnia statek badawczy, NASA zdjęcia satelitarne, a GSDG zdjęcia lotnicze i laserowe pomiary altymetryczne. Większość naszej pracy to monitorowanie, czuwanie nad bezpieczeństwem pobierania próbek, o które nam chodzi, w zmieniających się warunkach

lodowych. Letnie topnienie zbliża się do swojego apogeum, pracujemy więc pod presją czasu. Zebrałem was tutaj, żebyście się szybko przywitani i zapoznali. Jakież pytania?

— Nie chcę nikogo zatrzymywać, a więc tylko kilka — zabrał głos Jack. — Co nam wiadomo o wieku i znaczeniu grenlandzkiej pokrywy lodowej, łądolodu?

— Jego przeważająca część ma dwieście pięćdziesiąt tysięcy lat, a przeważająca część lodu z Ilulissat sto tysięcy — powiedział Lanowski, odgarniając z twarzy długie do ramion włosy. — To niezwykła pozostałość po ostatnim czwartorzędowym zlodowaceniu.

— Po czym? — spytała Maria.

— Po epoce lodowcowej, o której nam wszystkim wiadomo, tej, która skończyła się wraz z cofnięciem lodu przed dziesięcioma tysiącami lat — odparł Lanowski, wzdychając niecierpliwie. — Czwartorzęd to termin geologiczny obejmujący ostatnią epokę lodowcową, zaczynający się jakieś milion osiemset tysięcy lat temu i obfitujący w wiele cykli nacierania i cofania się lodu. Od dziesięciu tysięcy lat znajdujemy się w okresie jednego z takich ociepleń.

— A co czyni Grenlandię taką niezwykłą?

— Na świecie sporo jest lodowców pamiętających epokę lodowcową, no i mamy oczywiście czapy polarne — wyjaśnił Macleod. — Ale pokrywa lodowa Grenlandii stanowi ostatnią pozostałość po lodzie, który jeszcze dziesięć tysięcy lat temu pokrywał półkulę północną. To fantastyczne okno w przeszłość, dla mnie równie podniecające jak dla was wasze odkrycia archeologiczne.

— Skoro już o tym mowa, to co tu konkretnie robicie? — zapytał Jack.

— To dopiero początek, ale wyniki już są bardzo obiecujące — odezwał się jeden z duńskich naukowców. — Przeważnie szukamy pęcherzyków powietrza uwięzionych w lodzie, kiedy

ten się formował, i przechowujących szczegółowe informacje o warunkach atmosferycznych panujących na Ziemi w epoce lodowcowej. Cielące się czoło lodowca odsłania teraz obszary lodu uformowane całkiem niedawno, w krótkim okresie ochłodzenia poprzedzającym bezpośrednio wielkie topnienie, które zaczęło się przed dziesięcioma tysiącami lat. To niepowtarzalna okazja, po raz pierwszy możliwe są tego rodzaju badania.

— Globalne ocieplenie ma też swoje dobre strony — zauważył z przekąsem Costas.

— Nie możemy już cofnąć zegara, a więc czemu nie wykorzystać tego dla poszerzenia naszej wiedzy — odparł Duńczyk.

— Jedno pytanie — odezwała się Maria. — Przed chwilą widzieliśmy to cielące się czoło lodowca i nie ukrywam, że ja za żadne skarby bym się do niego nie zbliżyła. W jaki sposób pobieracie swoje próbki?

— Robimy odwierty, podobnie jak sedymentolodzy albo nafciarze na lądzie — odpowiedział jej Macleod. — Każda warstwa lodu reprezentuje okres oziębienia trwający niekiedy setki albo i tysiące lat. Przypomina to trochę dendrochronologię, datowanie wieku drzew na podstawie przyrostu słoii. — Macleod odwrócił się i spojrzał znacząco na Jacka. — Skoro już o tym mowa, to właśnie dlatego was tu ściągnęliśmy.

— Nadal nie rozumiem — nie ustępowała Maria. — Przecież żeby zrobić taki odwiert, musicie mimo wszystko podejść blisko.

— Z czasem wszystko stanie się jasne. — Macleod uśmiechnął się do niej, podziękował skinieniem głowy zebrany. — Chodźcie za mną — rzucił do Jacka, ruszając do drzwi.

„Seaquest II” był nieco mniejszy od swojego poprzednika, ale zaprojektowany bardziej ekonomicznie, żeby wygospoda-

rować więcej miejsca na zbiorniki paliwa i tym samym zwiększyć zasięg pływania, ale przy wyporności ponad siedmiu tysięcy ton nadal pozostawał jednym z największych statków badawczych, jakie pływają po morzach i oceanach, i dotarcie na górny pokład mieszkalny zajęło im dobre pięć minut. Macleod, nie zatrzymując się, pokazał rząd kajut oznaczonych ich nazwiskami. Bagaże już do nich wniesiono. Weszli do pomieszczenia na końcu korytarza, które zajmowało całą przednią część pokładu mieszkalnego i znajdowało się bezpośrednio pod kabiną nawigacyjną i sterówką. To Jack wpadł na pomysł, żeby wydzielić specjalne centrum dowodzenia i obserwacji dla personelu naukowego i wyeliminować w ten sposób problemy wynikające z dzielenia mostka z załogą, co dawało im się ostatnio we znaki na „Sea Venture” w Złotym Rogu. Pomieszczenie wyposażone było w dyrektorski fotel stojący na podwyższeniu pośrodku, duplikat ekranu radarowego z mostka, cztery komputerowe stacje robocze otaczające łukiem podwyższenie oraz stanowiska obserwacyjne z silnymi teleskopami przystawionymi do okna—jednolitej pochylonej pod kątem szyby ciągnącej się wzdłuż przedniej i bocznych ścian pomieszczenia. Mgła już całkiem się uniosła

i roztaczał się przed nimi zachwycający widok na morze na zachodzie — granatowy przestwór upstrzony okruciami bieli — niski pasek wyspy Disko na prawo od dziobu oraz kanadyjskie wybrzeże Cieśniny Davisa gdzieś tam za horyzontem.

Z dolnego pokładu przyszli z nimi zblazowany Lanowski i grenlandzka uczona, Eskimoska o frapujących rysach twarzy, która, kiedy tylko przekroczyli próg, wskazała na ekspres do kawy. Macleod odchrząknął ze zniecierpliwieniem, ale zaraz kiwnął głową, zakrzętnął się przy ekspresie i rozdał wszystkim po kubku parującego napoju. Jack wymienił uścisk dłoni z kapitanem, który zbiegł z mostka, żeby się przywitać, byłym

oficerem marynarki kanadyjskiej, któremu całe życie upłynęło na morskich patrolach od Arktyki po Zatokę Meksykańską. Z resztą załogi, starymi znajomymi i weteranami z „Seaquesta”, ludźmi, z którymi czuł się szczególnie związany, przywita się później.

Grenlandka usiadła obok Lanowskiego przy komputerowej stacji roboczej z prawej strony, położyła laptop na wolnym rogu biurka, a swoje książki i papiery na podłodze. Z języka jej ciała wynikało, że jest skrzępowana towarzystwem Lanowskiego, który bezceremonialnie rozsiadł się na wprost monitora, rozłożył wokół siebie własne papiery i ostentacyjnie traktował ją jak powietrze.

— Wiedziałem, że bez mojego sprzętu się nie obejdziesz — wyburczał Lanowski. — Ktoś powinien przetestować toto przed zainstalowaniem. Równie dobrze mogę rachować na palcach.

Jack spojrzał na kobietę. Stłumiła cisnący się jej na wargi uśmiech.

— Interesuje mnie biologia dna morskiego — wyjaśniła. — Lanowski robi symulacje. James połączył nas w parę na samym początku projektu.

Rzuciła Macleodowi pełne wyrzutu spojrzenie i ten szybko zwrócił się do pozostałych:

— Przepraszam. Jeszcze cię nie przedstawiłem. To doktor Inuva Nannansuit ze Służby Geologicznej. Pochodzi z Ilulissat, miasteczka na cyplu, i wychowywała się tutaj z lodowcem na podwórku. Jest fantastycznym wzmocnieniem naszego zespołu.

— No więc o co chodzi? — spytał Jack.

— Mamy to teraz za rufą, ale kapitan obraca właśnie statek i zaraz zobaczymy wszystko jak na dłoni po prawej burcie. Jeszcze parę minut. Wykorzystujemy system dynamicznego naprowadzania na pozycję, żeby nie wzburzyć wody śrubami napędowymi i nie zmącić obrazu.

— Tamta góra lodowa — odezwała się Maria — ta przed nami, obok wyspy, jest z wierzchu przyczerniona. Czy to stary osad z lodowca?

— Też zwróciliśmy na to uwagę — odparł Macleod — ale nie. Jeśli lepiej się przyjrzyysz, zauważysz, że góra jest gładka i wyoblona, jak rzeźba. Różni się zdecydowanie od tych postrzępionych i spękanych, które widzieliśmy, przelatując nad fiordem.

— Musiała się obrócić — zauważył Costas.

— Otóż to. Obserwowaliśmy to wczoraj wieczorem.

Niezapomniany widok — ważąca ćwierć miliona ton bryła lodu wywijająca w wodzie koziołka. Strach pomyśleć, co by było, gdyby człowiek znalazł się w takim momencie gdzieś w pobliżu.

— No jasne! — zawołała Maria. — Otarła się wierzchołkiem o dno.

— Właśnie. Kiedy przybyliśmy tu przed dwoma tygodniami, ta góra napierała na próg po północnej stronie fiordu. Po zdjęciu pomiarów sonarem okazało się, że w podwodnej części zerodowała już i straciła sporo masy. Było tylko kwestią dni, kiedy przekoziółkuje, trzymaliśmy się więc z dala. Niektóre góry lodowe zachowują się w taki sposób, inne są przepychane przez parapet bez przewrotki. Jak z którą było, można poznać po tym, czy przypomina rzeźby Henry'ego Moora, czy lodowe zamki z Disneylandu.

— Na przykład jak tamta — powiedział Jack.

Spojrzeni w prawo. Ćwierć mili od statku pojawiła się ogromna ściana lodu górująca nad nadbudówką. Nie licząc płaskiego, wygładzonego obszaru pośrodku, biegnącego pod kątem od samego wierzchołka, miała taką samą kostropatą i poszarpaną powierzchnię jak czoło lodowca, pociętą granatowymi żyłami tam, gdzie woda ablacyjna z topniejącego lodu zamarzała z powrotem w szczelinach. Góra była ogromna,

rozciągała się co najmniej na pół kilometra i blokowała spory odcinek szerokości wejścia do fiordu wzdłuż linii podwodnego progu.

Ciszę, jaka zapadła, pierwszy przerwał Macleod.

— Pamiętajcie, że trzy czwarte tego olbrzyma kryje się pod powierzchnią. Patrzycie na półtora kilometra zamrożonej wody, co najmniej półtora miliona ton.

Costas gwizdnął cicho.

— Wystarczyłoby tego dla wszystkich barów na świecie do następnego stulecia.

— Wody z lodu odrywającego się w ciągu jednego dnia od tego lodowca wystarczyłoby Nowemu Jorkowi na rok.

Dwadzieścia milionów ton dziennie. To już proces, którego skutki są odczuwalne na całej planecie.

— Stołowe góry lodowe takich rozmiarów spotyka się w Arktyce dosyć rzadko — odezwała się Inuva. — Podejrzewamy, że na ich powstawanie ma wpływ ocieplenie się klimatu, które sprawia, że lodowiec cofnął się do miejsca, gdzie występują większe pęknięcia. Takiej wielkiej góry jeszcze nie widziałam.

— Dlaczego się nie rozpada na mniejsze? — spytał Costas.

— Ten wygładzony obszar świadczy, że raz już się ocieliła — powiedział Macleod. — Ale jądro jest niezwykle zwarte. Do rozkruszenia litego lodu lodowcowego potrzeba materiałów wybuchowych. Idealna dla nas. Czoło ocieliło się aż do jądra, a więc bezpiecznie pod nim pracować. Przyjrzyjcie się lepiej, a zobaczycie tam dwa zodiaki z ekipami wiertaczy.

— Nie rozumiem. — Jeremy od wylądowania na statku chłonał wszystko w milczeniu, teraz wróciła mu wreszcie wrodzona dociekliwość. — Skąd pewność, że ona nie przekoziółkuje i ich nie przygniecie?

— Tutaj właśnie warunki działają na naszą korzyść — odparł z entuzjazmem Macleod. — Przy górach lodowych,

które zatrzymały się na progu i nie napiera na nie od tyłu jezior lodowca, pracuje się o wiele bezpieczniej niż na samym lodowcu, zwłaszcza jeśli ten spływa w takim tempie jak obecnie. Góry, które wydostały się z fiordu, nie wchodzą w rachubę, bo znajdują się w ruchu, a do tego poza fiordem są bardziej podatne na przewrotnkę. A więc stosunkowo nowa góra zatrzymana przez parapet to dla nas ideał. Okazja jest niepowtarzalna, ale okno szybko się zamyka.

— Od jak dawna ona tu tkwi? — spytał Jack.

— Mniej więcej od trzech miesięcy. Lanowski przeprowadził symulację jej spływu fiordem aż do progu. Możemy to zobaczyć?

— Jak szczęście wam dopisze. — Mrucząc z irytacją pod nosem, Lanowski walił w klawisze. Po chwili wyraźnie się odprężył. — No nareszcie.

Na ekranie pojawiła się trójwymiarowa, izometryczna symulacja fiordu z lodowcem na jednym końcu i łukiem progu na drugim. O próg opierała się góra lodowa z widoczną teraz częścią podwodną, dno po obu jej stronach opadało głębiej.

— Ten rów w dnie morskim, prowadzący do progu, wyźłobiły góry lodowe — wyjaśniła Inuva. — Szorując po dnie, ścierają wszystko na proszek. Powstaje sterylny, pozbawiony życia biotop. Ale z analizy próbek, które tu pobraliśmy, wynika coś jeszcze. Okazuje się mianowicie, że to korzystne dla dywersyfikacji gatunków, że życie odradza się w takim środowisku jak las po pożarze. Są też inne plusy. James mówił, że lecąc tutaj, widzieliście moment cielenia się góry. Ilekroć to się dzieje, wypierane ku powierzchni wody głębinowe wnoszą ze sobą masę substancji odżywczych. Moi przodkowie mieli tu zatrząsienie ryb.

— Pani biolog — mruknął z przekąsem Lanowski. — Potrzebna nam jak dziura w moście.

Inuva spiorunowała Lanowskiego wzrokiem i Jack, widząc, co się święci, spytał szybko:

— Jak stabilna jest ta góra?

— Zrobiłem symulację warunków lodowych w fiordzie na okres prowadzenia badań, obejmuje minione dwa tygodnie, a kończy się jutro — powiedział Lanowski. — Jak dotąd wszystko się idealnie sprawdzało. To powinno dać wam jakieś pojęcie, o czym tutaj mówimy. — Nacisnął klawisz i przez ekran przewinęło się, jeden po drugim, kilkadziesiąt obrazów na tym samym tle, pokazujących alarmująco szybkie cofanie się lodowca oraz procesję gór lodowych potykających się o próg.

— Jeszcze kilka lat temu zajęłoby to cały sezon. Teraz tylko dwa tygodnie. — Lanowski zsunął na czoło małe okrągłe okulary i łypnął spode łba na Jacka. — W tej chwili góra jest stabilna. Ale występują, oczywiście, dzienne trzymetrowe fluktuacje głębokości spowodowane odpływami i przyptywami, i w końcu tarcie odłupie ze spodu tyle lodu, że równowaga góry zostanie naruszona. Aktualnie scenariusz najgorszego przypadku to masywne cielenie, w którego wyniku większość odłamanego lodu przypadnie na część podwodną i środek ciężkości powędruje w górę. Wtedy wystarczy, żeby podczas przyptywu doszło do trzęsienia ziemi, rozpętał się sztorm albo od lodowca nadpłynęła fiordem inna duża góra lodowa i uderzyła od tyłu w naszą, a ta przekoziółkuje przez parapet.

— Jakie jest tego prawdopodobieństwo?

— Nie przewidujemy, żeby w ciągu kilku najbliższych dni fiordem nadpłynęła jakaś większa góra lodowa. Trzęsienie ziemi też właściwie można wykluczyć. Pozostaje taki osobliwy miejscowy sztorm, który mógłby wywołać napór wody na próg.

— *Pitera*q — powiedziała cicho Inuva.

— Co? — spytał Costas.

— *Piteraą*. Sztorm powstający w wyniku zderzenia zimnej masy powietrza spływającej z lądolodu z cieplejszym powietrzem morskim.

— A, tak. James coś o tym wspominał, kiedy tu lecieliśmy.

Lanowski, ignorując tych dwoje, podjął:

— Ale prawie od siedemdziesięciu lat nie było tu sztormów o takiej sile. Ostatni odnotowano w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym.

— A cilenie? — spytał Jack.

— Tutaj symulacje na niewiele się zdadzą — odparł Lanowski. — Nie potrafię tego przewidzieć. — Skonsternowany wbił wzrok w podłogę, tak jakby ograniczenia nauki uznawał za swoją osobistą porażkę. Po chwili rozprostował ramiona i spojrzał bezradnie na Jacka. — Mogę tylko powiedzieć, że prawdopodobieństwo rośnie wraz z podnoszeniem się temperatury, z czym mamy do czynienia teraz, w lecie, kiedy słońce nie zachodzi i świeci nad Arktyką przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Za czterdzieści osiem godzin zalecę przerwanie prac przy górze lodowej i doradzę kapitanowi, żeby odsunął statek co najmniej o dwie dodatkowe mile od brzegu.

Macleod spojrział wymownie na Jacka.

— Tym bardziej powinniśmy brać się natychmiast do roboty.

— Podziękował Inuvie skinieniem głowy, podał jej krótkofalówkę i Eskimoska wyszła z nią bocznymi drzwiami na skrzydło mostka.

— Inuva zorganizuje zaraz ostatni etap waszej podróży, a my tymczasem pokażemy wam, gdzie tak naprawdę jest tu pies pogrzebany. — Spróbował ściągnąć na siebie wzrok Lanowskiego, a kiedy mu się to nie udało, poprowadził ich do komputerowej stacji roboczej po drugiej stronie pomieszczenia, gdzie potężny mężczyzna w dzinsach i kraciastej koszuli ustawiał długą metalową rurę podobną do dużego tubusa na mapy.

— To Don Cheney, starszy glaciolog z NASA — powiedział Macleod. — Don, pokaż nam, co tu masz.

Wymienili uściski dłoni i stanęli półkołem za stołem, na którym znajdował się monitor. Cheney z namaszczeniem wysunął częściowo z tubusa wewnętrzny cylinder i położył go na stole. Była to przezroczysta plastikowa rura długości około metra i średnicy dziesięciu centymetrów. Cheney usiadł przed monitorem, oparł się o blat łokciami, postukał w rurę ołówkiem i zaczął z lekkim teksaskim zaśpiewem:

— Do wiadomości tych, którzy jeszcze czegoś takiego nie widzieli: jest to próbka lodu z jądra. Pobrana wczoraj z tej góry lodowej. Przeważa w niej lód lodowcowy — ten zamglony materiał z małutkimi pęcherzykami powietrza — ale nie brakuje też warstw bardziej przejrzystego błękitnego lodu z wody ablacynnej, czyli wody, która powstaje w wyniku topnienia lodowca, by potem ponownie zamarać. W jednej z takich warstw ablacynnych wykryliśmy współczesne zanieczyszczenia — węglowodory wypływane do atmosfery z kominów fabrycznych i rur wydechowych samochodów. W ubiegłym stuleciu lodowiec musiał się otworzyć, a potem szybko z powrotem zatrzaskać. To się zdarza. Znaleźliśmy ślad po tym pęknięciu na powierzchni góry lodowej. To stosunkowo najślabszy punkt rdzenia.

— Zastanawialiśmy się, czy nie rozszczyć góry wzdłuż tej linii za pomocą materiałów wybuchowych — wtrącił Macleod — ale szybko zarzuciliśmy ten pomysł. Taka ingerencja mogłaby doprowadzić do zniszczenia tego, do czego staramy się dostać.

— Czyli czego? — spytał Costas.

Cheney wysunął rurę jeszcze o metr dalej z tubusa.

— Wczoraj mieliśmy już wycofać sondę i zakończyć pracę, kiedy jeden z moich kolegów z NASA zauważył to. — Pokazał palcem.

Ostatni odcinek próbki różnił się od poprzedzających go warstw lodu. Była to długa na pół metra czarnobrazowa masa włóknistego materiału.

— Tym razem nie ma to nic wspólnego z osadem dennym — odezwał się Macleod.

— Drewno! — wykrzyknął Costas.

— No właśnie. Zatopione w warstwie lodu liczącej sobie około tysiąca lat, z innej szczeliny, która się zatrzasnęła. Struktura jest bardzo zwarta, a w niektórych partiach wygląda na zwęgloną. Nie ustaliliśmy jeszcze, czy w wyniku działania płomieni, czy procesów rozkładu. Ale wiek samego drewna w chwili zamrożenia oceniamy na jakieś trzydzieści lat. Drugą próbkę z tego samego miejsca posłaliśmy do laboratorium dendrochronologicznego IMU w Kornwalii tym samym embraerem, którym wy tu dzisiaj przylecieliście. Wyników spodziewamy się wieczorem.

— To nie może być naturalny, miejscowy pień — stwierdził Costas, kręcąc głową. — Nigdzie na Grenlandii nie rosną takie duże drzewa, a poza tym skąd by się wzięło na wierzchu pokrywy lodowej.

Macleod spojrział na Cheney'a.

— Don, pokaż im wynik skanowania.

Cheney kiwnął głową i obrócił w ich stronę monitor stacji roboczej, żeby lepiej widzieli. Wprowadził z klawiatury polecenie i na ekranie pojawił się obraz z sonaru ultradźwiękowego z pasmami i plamkami w różnych odcieniach szarości, to się wyostrajacymi, to znów rozmywającymi.

— Stop-klatka wysokiej rozdzielczości z sonaru — wyjaśnił Cheney. — Przedstawia górną część góry lodowej tuż za miejscem, w którym się ocieliła. Te odcienie szarości to przeważnie różnice w gęstości między lodem lodowcowym, który uformował się w czwartorzędzie, a ablacyjnym powstającym z wody z topniejącego śniegu i lodu powierzch-

niowego, która spływa w szczeliny lodowca i ponownie zamarza. Ale jest tam coś jeszcze, i to coś dużego.

Nacisnął klawisz i na ekranie pojawił się kolejny obraz, tym razem zdominowany przez ciemniejszą plamę pośrodku. Cheney wywoływał na ekran kolejne stop-klatki z sonaru przemieszczającego się od boku ku wierzchowi góry lodowej, przedstawiające tę plamę pod zmieniającym się kątem. Na widok ostatniej stop-klatki Jack omal nie upuścił kubka z kawą.

— Chyba żarty sobie ze mnie stroicie — wyszeptał.

— To najprawdziwsza prawda — powiedział Macleod. —

Mówiłem ci wczoraj przez telefon o tym drewnie, ale dopiero kilka godzin temu, po przetworzeniu danych, uświadomiliśmy sobie, co przedstawia ten obraz. Dzisiaj rano jeszcze raz przeskanowaliśmy górę sonarem i każde pionowe przejście daje identyczny obraz.

— Boże! — sapał Costas. — Wygląda jak statek!

— My też uważamy, że to nie może być nic innego. Około dwudziestu metrów długości, szeroki, z symetrycznymi dziobem i rufą. Na obrazie z poziomego przejścia sonaru wygląda na spłaszczony, co nie powinno dziwić przy masie lodu, jaka go przygniata.

— Ta aureola, którą jest otoczony jak kokonem, to zamarznęta woda ablacyjna — wyjaśnił Cheney. — W życiu nie widziałem jeszcze czegoś tak niesamowitego.

— Może się palił, idąc pod lód — mruknął Jeremy.

— Tak, to możliwe — przyznał Cheney. — Cokolwiek to jest, to jeszcze raz powtarzam, że w życiu czegoś podobnego nie widziałem.

— Jesteście pewni, że drewno pochodzi właśnie stamtąd? — spytał Jack, nie odrywając oczu od ekranu.

— Absolutnie — odparł Macleod. — Z samego środka. Z kilu, jeśli to kil.

— I pochodzi sprzed tysiąca lat?
— Tak, zamarznęta woda ablacyjna, która go otacza, ma tysiąc lat — potwierdził Macleod.

— A więc możemy tu mieć do czynienia z pierwszą długą łodzią wikingów odkrytą na półkuli zachodniej — powiedział Jack. Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi z podniecenia. — Na przekór wszystkiemu żywiłem taką nadzieję, od kiedy powiedziałeś mi o tym drewnie. To może być coś fantastycznego, jeden z najbardziej zdumiewających wraków, jakie kiedykolwiek znaleziono.

— A mówiłem, że dobrze zrobisz, zabierając się tu ze mną — wtrącił Costas.

— Ty zawsze masz rację.

— Wiedziałem, jaki jesteś zafascynowany wikingami — dorzucił Macleod. — Ile byś dał, żeby znaleźć wrak ich łodzi w Nowym Świecie.

— Miejscom Eskimosi nie budowali drewnianych statków, a żadna inna europejska konstrukcja z tamtych czasów nie przypomina tej — powiedział Jack. — To by nawet historycznie pasowało, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w tamtym okresie na Grenlandii istniały osady wikingów. Ale jak ta łódź znalazła się na lodowcu, wiele mil od wybrzeża, zupełnie nie pojmuję.

— I choćby dlatego wypadałoby przyjrzeć się jej z bliska — zasugerował ostrożnie Macleod.

— Niech no zerknę. — Costas, pocierając nieogolony policzek, pochylił się nad Cheneyem i spojrzał na wysświetlaną u dołu ekranu skalę. — Około trzystu metrów w głąb góry od miejsca, gdzie się ocielila, i jakieś pięćdziesiąt metrów poniżej aktualnego poziomu morza, tak? Jądro jest chyba na tyle zwarte, że nie powinno się zawalić na drażony w nim tunel, ale musielibyśmy wejść spod wody, żeby do wnętrza góry nie dostało się powietrze.

— Tak sobie to właśnie wyobrażamy.

— Jakie jest ryzyko? — spytał Jack. — Mam na myśli prawdopodobieństwo zawału?

— Od symulacji jest tu Lanowski i wszystko, co mógł, już powiedział — odparł Macleod. — O siebie mogę tylko dodać, że albo teraz, albo nigdy. Kiedy ta góra przekolebie się w końcu przez próg i wypłynie na otwarte morze, będzie po herbacie. Wszystko przygotowane; jeśli się zdecydujecie, możecie zaczynać choćby zaraz.

— Dzięki Bogu, że nie mam ubezpieczenia na życie — mruknął Jack. — Wyobrażacie sobie, co by na to powiedział mój agent?

— Bułka z masłem w porównaniu z nurkowaniem w czynnym wulkanie — powiedział ponuro Costas.

— No nie. Dajcie spokój. To wariactwo. — Maria zrozumiała wreszcie, co zamierzają, i twarz stężała jej z przerażenia. Spoglądała to na jednego, to na drugiego, w nadziei, że to tylko żart. Jack zrobił do niej przeproszącą minę, a potem posłał promienny uśmiech Costasowi. Costas odwzajemnił mu się szelmowskim uśmieszkiem.

— Dobra. To mi wystarczy. — Macleod zerknął na Inuvę, która wróciła już z mostka i czekała cierpliwie, trzymając się na uboczu. — Ekipa przy górze przygotowuje już wasz sprzęt, a my wybierzemy się teraz na krótką wycieczkę na brzeg.

7

Godzinę później majaczyła już przed nimi ogromna góra lodowa, postrzępiona ściana bieli pocięta pasmami przezroczystej zieleni i błękitu. Jack zasunął pod samą szyję zamek błyskawiczny pomarańczowego skafandra, poprawił kamizelkę ratunkową i obejrzał się na zostającą za nimi wysmukłą sylwetkę „Seaquesta II”. Siedząca obok Maria ścisnęła mocniej linkę bezpieczeństwa, Macleod postął jej z drugiej strony pontonu pokrzepiające spojrzenie.

— To przypomina trochę jazdę kolejką górską, ale nasz Henrik jest ekspertem. Całe życie pływa po tych wodach.

Duński marynarz uśmiechnął się i stanął przed silnikiem zaburtowym Evinrude 120, trzymając w jednym ręku napięty faleń, a drugą sięgając do przepustnicy. Poprowadził zodiaka jak rydwan przez pokrywający morze pak lodowy, manewrując wprawnie na boki dużym silnikiem, by unikać zdradliwych growlerów — bloków lodu — czających się tuż pod powierzchnią. Po pięciu minutach tego lawirowania przez lodowy gruz dotarli do dwóch czerwonych boi, które zaznaczały wejście do pływającej zapory niedopuszczającej lodu w pobliże czoła góry. Pokonując wolno ostatnie sto metrów,

obserwowali dwóch mężczyzn, którzy w rakach, pomagając sobie czekanami, wspinali się na ogromną ścianę i wyglądali na jej tle jak mrówki. Czuło się już chłód bijący od góry i Maria dygotała jak w febrze. Uparła się, że popłynie z nimi, ale w miarę jak zapuszczali się coraz głębiej w zupełnie obcy jej świat, odwaga zaczynała ją opuszczać.

— Zupełnie jakby żyła — wykrztusiła. — Jakby oddychała.

— Ten powiew chłodu świadczy, że topnieje, i to szybko — wyjaśnił Macleod. — Niedługo niebezpiecznie będzie pracować nawet na tym fragmencie czoła, gdzie doszło niedawno do ocienienia.

Przybili do pływającego doku zacumowanego około dwudziestu metrów od góry. Po jednej jego stronie kołysał się na wodzie aquapod, po drugiej dwa zodiaki. Z doku opuszczano w morze zwój kabla, obok stała grupka ludzi w czarnych e-skafandrach IMU — uniwersalnych, nieprzemakalnych kombinezonach, które, gdyby coś poszło nie tak, zwiększyłyby ich szanse na przetrwanie nawet w tych lodowatych wodach.

Po chwili kabel zatrzymał się i od grupki oderwała się znajoma postać. Mężczyzna, idąc przez platformę w kierunku zodiaka, obejrzał się jeszcze, pomachał i zawołał:

— Dobra robota, chłopaki! Nic tu już po mnie.

Ze zwinnością niepasującą do jego przysadzistej sylwetki Costas zeskoczył z platformy do zodiaka, lądując z łomotem przed Jackiem na deskach podłogi. Przyplął pod górę pół godziny przed nimi i wyraźnie padał z nóg. Zatoczył się, ściągnął do pasa e-skafander i usiadł, żeby odsapnąć. Potem włożył pomarańczową wiatrówkę i kamizelkę ratunkową podane mu przez marynarza.

— Możemy ruszać.

Marynarz oddepchnął zodiaka od platformy i skierował się ku bojom zaznaczającym wejście w obręb zapory. Zaraz za nimi skęcili ostro w prawo. Po pięciu minutach zapora znikła

im z oczu. Chwilę potem minęli północną krawędź góry i Macleod dał marynarzowi znak, żeby wpłynął kawałek w głąb fiordu i zgasił silnik. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał, świat wokół zastygł nagle w bezruchu, zupełnie jakby przepływając nad podwodnym progiem, znaleźli się w fantastycznej krainie lodu, stopili w jedno z otaczającymi ich kryształowymi pałacami.

— Nie dajcie się zwieść — powiedział Macleod. — Tutaj nieprzerwanie pracują tytaniczne siły.

Jakby na potwierdzenie jego słów, ciszę rozdarł potężny huk, a zaraz potem powietrzem wstrząsnęła fala uderzeniowa i dał się słyszeć potworny trzask. To od czoła lodowca przekraczającego krawędź lądolodu oderwała się i zsunęła majestatycznie w wodę ściana lodu. Grzmot odbił się od wszystkich gór lodowych uwięzionych w fiordzie i niesamowity chór współzawodniczących ze sobą ech natarł zewsząd na zodiaka, by po chwili ścichnąć w dali niczym przeciągłe westchnienie. W nieziemskiej ciszy, jaka zaległa, góry wokół wzbudzały jeszcze większą grozę, uświadamiając im, jacy są słabi i bezradni.

— W lecie morze często jest takie spokojne — powiedział marynarz. — Za to wzmaga się aktywność lodowca. A im cieplej robi się tutaj, na dole, tym większe prawdopodobieństwo, że dojdzie do starcia z zimnym powietrzem spływającym znad pokrywy lodowej. To dzieje się bardzo szybko.

Pokazał na wschodni horyzont nad fiordem, na ni to ciemnoniebieski, ni ciemnoszary pas nieba nad samym lodem, ale ich uwagę odciągnął szybko growler wielkości samochodu unoszący się na wodzie tuż przed dziobem, który nagle, bez żadnego widocznego powodu, bo powierzchnia wody była gładka jak stół, zaczął się kołysać na boki. Kołysał się tak coraz bardziej energicznie i w końcu przewrócił wygładzonym brzuchem do góry, wywołując falę, która rozeszła się po

fiordzie. Zasywał ich grad kaszy lodowej, przypominającej okruchy stłuczonej szyby, i z głębin, niepokojąco blisko pontonu, wynurzyły się inne growlery.

— Przerażające to było — przyznała Maria.

— To jeszcze pestka — powiedział Macleod. — Kiedy przewraca się duża góra lodowa, to tu, na środku fiordu, można nic nie poczuć, za to brzeg zalewa dziesięciometrowa fala pływowa. Lepiej nie spacerować w takim momencie po plaży.

— Obyś nie wypowiedział tego w złą godzinę — mruknął Costas. — Wolelibyśmy, żeby nasza góra stała tu sobie spokojnie jeszcze co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny.

Jack obejrzał się na spękaną masę góry lodowej, a potem pobiegł wzrokiem ku lodowcowi. Góry, którym udało się już pokonać próg, sunęły majestatycznie w stronę otwartego morza, ale te w obrębie fiordu, młode, postrzępione na krawędziach, zszokowane jeszcze po gwałtownych narodzinach, zdawały się zbierać w sobie, szykować do szarży. Potęga tego miejsca — te konwulsje energii wstrząsające głębinami, ilekroć do wody zsuwała się kolejna bryła lodu, te tytaniczne siły wyzwalone przez każdy taki upadek — wzbudzała tym większą grozę, że w dużej mierze pozostawała niewidzialna. Jack uświadomił sobie z całą jasnością, jak kruchy jest człowiek wobec sił natury. I jak niebezpiecznie naciąga strunę, coraz bardziej i bardziej, z każdym nowym projektem badawczym.

Macleod dał znak głową marynarzowi i ten zdecydowanym szarpnięciem za linkę rozruchową zapuścił silnik. Zodiak zawrócił w kierunku otwartego morza, by po chwili skręcić ku brzegowi. Turbulencje wywołane przez śrubę rozkołysały gruz lodowy, który wypełzał z fiordu długimi mackami bieli. Marynarz znalazł połąć wolnej od paku wody i dodając gazu,

poprowadził zodiaka szerokim łukiem w kierunku skalistego cypla wyznaczającego północny skraj fiordu.

Jack, trzymając się linki bezpieczeństwa, wychylił się za burtę pontonu. Marznące kropelki siekły mu twarz, czuł w ustach ich słoność. Nie nurkował już od kilku miesięcy i tęsknił za smakiem morza. Siedząca obok Maria posłała mu uśmiech, Macleod i Costas przygarbili się i naciągnęli kaptury. Wspomniał swoje ostatnie nurkowanie z Costasem w trzewiach wulkanu. To wtedy, przed sześcioma miesiącami, odnowił się w nim najgorszy uraz. Nurkowanie, które planowali teraz, będzie jeszcze bardziej niebezpieczne i najniezwyklesze z dotychczasowych. Łęki wciąż gdzieś tam się czaiły, ale kontrolował je i teraz czuł tylko podniecenie. Prace w Złotym Rogu rozbudziły w nim na nowo archeologiczną pasję, tyle że tam kierował nimi z mostka statku, a to przecież nie to samo co własnoręczne odgrzebywanie tajemnic historii. Korciło go, żeby ponownie zejść pod wodę, być tym pierwszym, który dotyka słynnych skarbów spoczywających od wieków w oceanicznych głębiach.

Marynarz przymknął przepustnicę i ponad cichnący ryk silnika przebił się niesamowity chór ujadania i skamlenia. Dolina przed nimi roiała się od psów przykutych łańcuchami do palików. Jedne wyły z głodu, inne rozszarpały łapczywie poście mięsa rzucone im do błotnistych zagród.

— Grenlandczycy do tej pory jeżdżą w zimie psimi zaprzęgami — wyjaśnił Macleod. — Skutery śnieżne nie sprawdzają się w tym dzikim terenie, a na dodatek z lądolodu kawał drogi do najbliższej stacji benzynowej. Przez całe lato trzymają psy na uwięzi, a te, które są już stare i słabe, zabijają. Nie wszystkim może się to podobać, ale w końcu nie trzymają ich dla przyjemności.

— Przypominam sobie, że podczas wykopalisk na terenie opuszczonej osady norweskich Grenlandczyków znaleziono

pozostałości po ich ostatnim posiłku — kości przodków tych psów ze śladami oskrobywania nożem — powiedział Jack.

— Może dlatego tak wyją — mruknął Costas.

Wyskoczyli na kamienistą plażę i w pontonie została tylko Maria popatrująca lękliwie na psy. Zdecydowała się wyjść na brzeg dopiero wtedy, kiedy Jack podał jej rękę. Ruszyli za Macleodem, który wspinał się już po pochyłości, żeby wyprowadzić ich czym prędzej ze strefy zagrożonej falami pływowymi wywołanymi przez przewracające się góry lodowe. Kiedy znaleźli się na szczycie skarpy, odezwała się krótkofalówka. Macleod odebrał i po chwili przekazał radio Marii. Zatrzymała się i po krótkiej rozmowie oddała je Macleodowi.

— To był Jeremy — powiedziała, doganiając Jacka. — Został na pokładzie, żeby jeszcze raz dogłębnie przeanalizować inskrypcję z Mappa Mundi. Twierdzi, że na coś natrafił. I że to może być rewelacja, ale musi się jeszcze upewnić.

— Byleby skończył, zanim wrócimy — mruknął Jack. — Usiądziemy wtedy i zastanowimy się, co dalej.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że chcesz tu nurkować — powiedziała, spoglądając na niego z niepokojem w oczach. — Czasami wydaje mi się, że z rozmysłem rzucasz wyzwanie śmierci.

— Widać, że pierwszy raz jesteś w terenie z ekspedycją IMU — odparł z uśmiechem Jack. — To jeszcze pestka, jak powiedział James.

Schodzili za Macleodem z nadbrzeżnego wzniesienia w płytkie siodło doliny i chociaż letnie słońce przygrzewało, nie rozpinali skafandrów, bo nad zerodowaną ścieżką unosiły się roje dokuczliwych owadów. Karłowata roślinność nie osiągała tu więcej niż kilka stóp wysokości, za to czarne skały wypiętrzeń porośnięte były łąkami bujnego mchu, a dno doliny zaścielał kobierzec trawy.

— Te pozostałości przed nami to starożytne Sermermiut — wyjaśnił Macleod — święte miejsce tutejszych Eskimosów. Ludzie zamieszkiwali te strony co najmniej cztery tysiące lat, czyli od kiedy pierwsi Grenlandczycy przywędrowali tutaj po zamrzniętym lodzie z kanadyjskiej Arktyki. Za tamtą granią na północy znajduje się miasteczko Ilulissat, ale założono je dopiero w tysiąc siedemset czterdziestym pierwszym roku podczas bardziej już nam współczesnej kolonizacji Grenlandii przez duńskich osadników. Duńczycy nazwali je Jacobshavn, ale grenlandzka nazwa jest trochę bardziej adekwatna.

— A co po ichniemu znaczy Ilulissat? — spytał Costas.

— Góry lodowe.

Costas odchrząknął.

Kilka kroków dalej zeszli ze ścieżki w bagnistą nieckę, kierując się w stronę starożytnej osady i opędzając od chmar natrętnych muszek, które unosiły się nad trzęsawiskiem na podobieństwo mgły.

— A wikingowie? — spytał Costas.

— Norwegowie cały ten pas wybrzeża aż po czapę polarną nazywali Nordseta, północnymi terenami łowieckimi. Był to obszar niegościnnie, na którym nie znaleziono żadnych śladów po wikingach. — Macleod zatrzymał się, żeby poczekać na Costasa.

— Norwegowie zakładali stałe osady tylko tam, gdzie istniały warunki umożliwiające kultywowanie tradycyjnego skandynawskiego stylu życia — hodowanie bydła i prymitywną uprawę roli. Na Grenlandii takie warunki panowały na południu, w żyznych przyfiordowych dolinach, gdzie na początku jedenastego wieku wylądował Eryk Rudy z rodziną. Większość kolonistów pochodziła z Norwegii i Islandii. W szczytowym okresie kolonizacji siedlisk było tu setki, a populacja dochodziła do kilku tysięcy. Po przyjęciu chrześcijaństwa zbudowali nawet prymitywny kamienny kościółek.

— I co się z nimi stało? — spytał Costas.

— To jedna z najbardziej nurtujących tajemnic przeszłości — odparł Macleod. — Żyli tu wiele pokoleń, handlowali z Europą kłami morsów i futrami, ale do ostatniego udokumentowanego kontaktu doszło w piętnastym wieku. Kiedy w roku tysiąc siedemset dwudziestym pierwszym Kościół katolicki wysłał na Grenlandię ekspedycję, która miała sprawdzić, czy mieszkańcy tamtych terenów nadal są bogobojnymi chrześcijanami, nie było po nich śladu.

— Możecie mi wierzyć albo nie, ale prawdopodobnie przyczyniły się do tego krucjaty — wtrąciła Maria.

— Co? — zdziwił się Costas. — Krucjaty?

— W roku tysiąc sto dwudziestym czwartym król Norwegii Sigurd Jorsalfar podporządkował Grenlandię władzy biskupiej. Znaczyło to, że Kościół mógł od tej pory obciążać norweskich osadników podatkami, tak jakby i bez tego nie było im ciężko. Sigurd nosił przydomek „Krzyżowiec”, był jednym z wielu Skandynawów, którzy w dwunastym wieku dołączyli do krucjat. Miał czelność ściągać podatek na krucjaty nawet z Grenlandii. Płacili go kłami morsów i skórami niedźwiedzi polarnych.

— W Jerozolimie bez tego ani rusz — mruknął zgryźliwie Costas — artykuł pierwszej potrzeby. Te krucjaty naprawdę były globalnym szaleństwem.

— Kościół bez wątpienia stanowił dla nich spore obciążenie ekonomiczne — przyznał Macleod. — Ale niektórzy utrzymują, że grenlandzkich wikingów wytrzebili tubylcy albo angielscy piraci, albo nawet czarna śmierć. Ja osobiście uważam, że najważniejszym czynnikiem były tu warunki środowiskowe. W średniowieczu tak zwana mała epoka lodowcowa, kiedy to lód skuwał wody przybrzeżne przez całe lato, zablokowała szlaki morskie będące linią ratunkową, która łączyła ich z ojczyzną. Utrzymujące się przez okrągły rok niskie temperatury mogły również zniszczyć ich rolnictwo,

a oni nie potrafili albo nie chcieli przestawić się na styl życia krajowców i walczyć o przetrwanie, polując i łowiąc ryby.

— A więc ostatnich wikingów wykończyły zmiany klimatyczne. — Costas pokręcił głową. — Nie najchwalebniejszy koniec jak na elitę wojowników, nieprawdaż?

— Poczekamy, zobaczymy — mruknął Jack. — Mogło też być tak, że prawdziwi wojownicy dotarli dalej na zachód.

Pozostałości starej osady nietrudno było przeoczyć. Obłożone darnią i otoczone kręgami z nieobrobionych kamieni pagórki ledwie wystawały ponad ziemię. Niektóre niemal wchłonęła aluwialna gleba, inne zapadły się w torfowisko. Na małej platformie od strony morza stał niski, kopulasty namiot ze skór fok i wołów piżmowych, którymi obciążnięto fiszbinowy szkielet. Miał jakieś piętnaście stóp średnicy, z otworu na szczycie kopuły unosiła się smużka dymu.

— Niektóre z tych kamieni to kręgi namiotowe służące do uszczelniania namiotów przed wiatrem — wyjaśnił Macleod. — Spotyka się je w całej Arktyce i są głównym dowodem na istnienie dawnego osadnictwa. Tutaj ludzie nie mieszkają od pokoleń, ale to święte miejsce dla Eskimosów z Ilulissat. Czasami starcy przywiązani do dawnych zwyczajów przychodzą tu, żeby przygotować się na śmierć. Ich rodziny, widząc, że zbliża się koniec, stawiają tradycyjny namiot wewnątrz świętego kamiennego kręgu przodków.

Pod namiotem leżało kilka chudych białych huskie uwiązanych do palików. Na widok obcych zerwały się jak na komendę i rozszczeły. Maria zatrzymała się zdeprymowana. Jack wziął ją za rękę i pociągnął dalej, szerokim łukiem obchodząc szarpiące się na łańcuchach, jazgoczące psy. Ujądanie zaalarmowało lokatorów namiotu. Kłapa się odchyliła, w wejściu klęczała Grenlandka w tradycyjnej kurtce z foczej skóry. Czarne włosy miała ściągnięte w koński ogon i przeplatane paciorkami. Nie od razu rozpoznali w niej Inuwę, która

odpłynęła zodiakiem z „Seaquesta II” godzinę przed nimi. Uciszyła psy i skinęła na Macleoda. Macleod ukląkł, zamienił z nią kilka słów i kłapa z powrotem opadła.

— Inuva jest córką tego starca — powiedział cicho Macleod, odwracając się do przyjaciół. — On zna duński, ale będzie mówił tylko w kalaallisut, lokalnym eskimoskim dialekcie, a Inuva nam to przetłumaczy. Nazywa się Kangia, co w ich języku znaczy lód fiordowy. Ma ponad osiemdziesiąt lat, a dla tych ludzi to wiek bardzo sędziwy. Życie ich tu nie rozpieszcza. W młodości był w Ilulissat jednym z najsłynniejszych myśliwych, pokonywał ze swoim psim zaprzęgiem setki mil wzdłuż skraju pokrywy lodowej. Wy pływał swoim *umiakiem* daleko poza najbardziej wysuniętą na północ osadę.

Unióś kłapę namiotu. Weszli pochyleni do środka, a on za nimi. Gryzący dym z ogniska podsycanego brykietami suszonego wolego łajna z miejsca wycisnął Jackowi łzy z oczu. Gdy wzrok przywykł im do półmroku, zobaczyli w głębi namiotu drewniane sanie z poręczami pociemniałymi ze starości, ale rzeźbionymi pięknie w postaci zwierząt. Na saniach siedział stary Eskimos okutany w koce. Twarz miał czerstwą i pomarszczoną, włosy długie, spływające na ramiona. Patrzył na nich zmętniałymi, dotkniętymi śnieżną ślepotą oczami, woskowy odcień cery był świadectwem zbliżającej się śmierci. Zaczął mówić z wielkim wysiłkiem, a kiedy przerywał, Inuva tłumaczyła te ciche, suche dźwięki tubylczego grenlandzkiego.

— Mój ojciec mówi, że jego lud żył tu od niepamiętnych czasów, a obcy przychodzili i odchodzili — podjęła cicho. — Teraz i na niego przyszła pora, żeby odejść i połączyć się z przodkami, którzy psimi zaprzęgami przemierzają przez wieczność pokrywą lodową. — Starzec wysunął spod koców pomarszczoną rękę, wziął fotografię leżącą obok niego na saniach i kiwając głową, podał ją w milczeniu Macleodowi.

— Po to tu właśnie przyszliśmy — powiedział Macleod. — Inuva powiedziała Kangii, że do fiordu wpłynął nasz statek badawczy, i on dwa dni temu wezwał mnie do siebie poprzez Inuwę. Spójrzcie na tę fotografię.

Macleod przekazał zdjęcie Jackowi. Maria i Costas przysunęli się bliżej. Była to wyblakła, czarno-biała fotografia przedstawiająca grupkę mężczyzn w polarnych strojach, stojących obok sań wyładowanych sprzętem i otoczonych przez psy.

— Zrobiona przed drugą wojną światową, sądząc po wyposażeniu — orzekł Jack. — Lata dwudzieste, może trzydzieste dwudziestego wieku. — Urwał i przyjrzał się bliżej. — Czy ten starszy mężczyzna w środku to aby nie Knut Rasmussen? Wiem, że urodził się w Jacobshavn.

— Kangia był jego poganiaczem psów. Ten chłopiec po lewej to on.

— Kangia znał Rasmussena?! — Jack spojrzął z szacunkiem na starego Eskimosa, potem zerknął na Costasa. — To jeden z najbardziej uznanych badaczy polarnych, w połowie Duńczyk, w połowie Eskimos. Pierwszy przemierzył całą pokrywę lodową Grenlandii.

— Rasmussen był dla Kangii jak ojciec i zachęcał go do kultywowania dawnego stylu życia. Kangia go uwielbiał i podziwiał jego szacunek dla miejscowych tradycji. Zupełnie inną opinię miał o osobnikach z tego zdjęcia. — Macleod wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki wodoszczelną kopertę na fotografię i podał ją Jackowi. — To też dał mi Kangia.

— *Ahnenerbe?* — Jack spochmurniał.

— Właśnie. Obejrzałem dokładnie tę fotografię przed waszym przybyciem i przeprowadziłem małe dochodzenie. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, na rok przed wojną, do Jacobshavn zawitała niemiecka ekspedycja. Po-

trzebowali poganiaczy psów, a kto jak kto, ale Kangia był w tym najlepszy.

Fotografia przedstawiała dwóch Europejczyków na tle skał i lodu. Kształt cypla zdradzał, że zrobiona została na Sermermiut, niedaleko miejsca, w którym się aktualnie znajdowali, tyle że linia gór lodowych ciągnąca się wzdłuż progu tworzyła nieprzerwaną ścianę — tak było tutaj kilkadziesiąt lat temu, zanim lodowiec zaczął się cofać. Obaj mężczyźni byli w standardowych wówczas strojach polarnych — grube swetry, grube wełniane kurtki i pumpy wepchnięte w podkolanówki. Ten po prawej był wysoki i przystojny, miał trzydzieści kilka lat i szepę jasnych włosów, ale stał trochę z boku, tak jakby niechętnie pozował do fotografii. Drugi z mężczyzn, niski, ciemnowłosy, ze szczurzą twarzą, pochylał się i wspierając prawą ręką na kolanie, wpatrywał władczo w obiektyw.

W uniesionej lewej ręce trzymał suwmiarkę nad głową siedzącego przed nim na kamieniu młodego Eskimosa, w którym Jack, mając świeżo w pamięci poprzednie zdjęcie, rozpoznał bez trudu Kangię. Można by pomyśleć — myśliwy pozujący do fotografii ze swoim trofeum, tylko że tutaj miało to znacznie drastyczniejszy wydźwięk. Na lewym ramieniu mężczyzna nosił opaskę ze swastyką.

Jack spojrział na Costasa.

— *Ahnenerbe* znaczyło „Dziedzictwo po przodkach” — wyjaśnił. — Był to wydział SS utworzony przed wojną przez Reichsführera Heinricha Himmlera, zastępcę Hitlera. Miał się zajmować poszukiwaniem starożytnych korzeni rasy aryjskiej.

— Co ich tu, u licha, przyгнаło?

— Wyobraź sobie, że prawdopodobnie szukali Atlantydy. — Jack posłał Costasowi wymowne spojrzenie. — Naziści uważali, że aryjczycy wywodzą się od Atlantydów. Pod koniec lat trzydziestych *Ahnenerbe* wysyłało ekspedycje na wszystkie strony świata — do Tybetu, do Mezoameryki, do Arktyki.

Wierzyli, że w tych najbardziej izolowanych regionach, niszach odciętych od reszty ludzkości, odnajdą czystej krwi potomków Atlantydów. Jedną z metod, jakimi się posługiwali, była frenologia, ustalanie tak zwanych cech aryjskich na podstawie pomiarów głowy. To właśnie robi ten palant ze zdjęcia. Metoda pochodziła ze średniowiecza, ale antropolodzy wcieleni siłą do *Ahnenerbe* musieli przytakiwać obłąkanym obsesjom Reichsführera, chociaż wszystko im się w środku przewracało. Nazwali nawet ten pozał się Boże projekt badawczy Krucjatą Himmlera.

Macleod kiwnął głową.

— Tak — powiedział. — A ta ekspedycja na Grenlandię była podwójnie osobliwa. Otóż naziści mieli również obsesję na punkcie *Welteislehre*, teorii Świata Lodu, kosmologicznej bredni wypichconej na przełomie stuleci przez pewnego stukniętego Austriaka. Była to jedna z wielu dziwacznych teorii, które po pierwszej wojnie światowej padały na podatny grunt, bo pozornie wprowadzały jakiś ład i porządek w świecie, który stanął na głowie. Głosiła, że we wszechświecie toczy się nieustająca walka między lodem a ogniem. Rasa aryjska zrodziła się w królestwie lodu i została rozrzucona po naszej planecie przez powodzie i trzęsienia ziemi. Gdzie najlepiej szukać dowodów pochodzenia pierwszych Aryjczyków, jeśli nie na grenlandzkiej pokrywie lodowej, tej ostatniej pozostałości po epoce lodowcowej?

— Byłoby to warte śmiechu, gdyby u podłoża wszystkiego, co robiła *Ahnenerbe*, nie krył się zatruwający duszę rasizm — wtrącił Jack. — Mówiąc Himmlerowi jedynie to, co chciał usłyszeć, uczeni zaangażowani w te badania umacniali w nim tylko przekonanie o wyższości Aryjczyków. Nie zapominajcie, że to on był głównym pomysłodawcą ostatecznego rozwiązania, eksterminacji Żydów.

— Czyli ci dwaj faceci to naziści. — Costas wziął od Jacka fotografię i pochylił się nad nią z Marią.

— Kangia mówi, że z tego z tłustymi włosami i opaską była szczególna gnida — powiedział Macleod. — Wychwalał pod niebiosa Hitlera, a Grenlandczyków traktował jak psy. Ten drugi sprawia wrażenie rozsądniejszego. Podobno próbował zaprzyjaźnić się z Kangią i wykorzystać ekspedycję do własnych celów. Fascynowały go ustne przekazy Grenlandczyków i obiecywał, że odwiedzi ich jeszcze kiedyś sam, żeby je spisać. Podobno miał wrodzony talent do powożenia psim zaprzęgiem i zaskarbił tym sobie szacunek Grenlandczyków. Chociaż obaj byli Niemcami, to sympatią się nie darzyli i prawie się do siebie nie odzywali.

— Czy wiadomo, co to byli za jedni? — spytała cicho Inuva. Siedziała obok ojca z dłonią przyłożoną do jego czoła.

— Pod koniec wojny dokumentacja tej ekspedycji zniknęła w tajemniczy sposób z archiwów kwatery *Ahnenerbe* — zwrócił się do niej Macleod — czyli pozostają nam tylko wspomnienia Kangii i to zdjęcie. Zeskanowałem je wczoraj i wysłałem e-mailem do biblioteki IMU. Tego niższego nie udało im się zidentyfikować. Gęba zbrodniarza, jakich tysiące. Ale ten drugi, ten blondyn, to znana postać.

— Rzeczywiście! Teraz go poznaję — wykrzyknęła Maria. — To przecież Rolf Künzl, słynny przedwojenny archeolog.

— Zgadza się.

— Jeden z pierwszych archeologów, którzy zainteresowali się na poważnie wikingami. Teza o norweskim osadnictwie na Grenlandii, którą wysunął w swojej rozprawie doktorskiej, do dzisiaj pozostaje w mocy. Jego karierę przerwała przedwcześnie wojna.

— I wiesz, co się z nim potem stało?

— Brał udział w spisku von Stauffenberga — odparła Maria.

Macleod kiwnął głową.

— Był jednym z rzetelnych naukowców, których siłą wcielono do *Ahnenerbe*, żeby dowiedli prawdziwości nazistowskich mrzonek o nordyckiej rasie panów. Künzl nie miał wyboru, musiał podjąć tę grę, choć osobiście pogardzał nawiedzoną zgrają oszołomów i niedorobionych naukowców, która kierowała *Ahnenerbe*, a swoją pozycję zawdzięczała nazistom.

— Oszołomy kierujące wariatkowem — mruknął Costas.

Macleod znowu kiwnął głową.

— Ale Künzl nigdy nie służył w formacjach SS. Pochodził ze starej pruskiej rodziny o wojskowych tradycjach, był oficerem rezerwy Wehrmachtu i kiedy wybuchła wojna, udało mu się jakoś wywinąć z macek Himmlera. Walczył dwa lata pod Rómmlem w Afryce, dosłużył się tam rangi pułkownika, został odznaczony Krzyżem Rycerskim, a potem odwołano go do Berlina i posadzono za biurkiem. Himmler upatrzył w nim sobie kozła ofiarnego. Oskarżał go bez przerwy o kradzież dokumentacji z grenlandzkiej ekspedycji i ukrywanie tego, co w jej trakcie odkryli. Ale we wrześniu czterdziestego czwartego Himmler był zmuszony mu odpuścić, bo Künzla aresztowano i razem z von Stauffenbergiem powieszono na strunie fortepianowej za próbę zamachu na Hitlera.

— Jeden z tych lepszych Niemców — mruknął Costas.

— Żaden ze spiskowców nie był święty — powiedział Macleod. — Künzl zaliczał się do najskuteczniejszych dowódców Africa Korps i miał na rękach krew wielu aliantów. Od początku, od czasu ściągnięcia do *Ahnenerbe*, wiedział o polityce rasowej nazistów i nic nie zrobił. Pogardzał jednak Hitlerem i chciał, żeby wojna się skończyła, zanim Niemcy zostaną doszczętnie zniszczone. Wystarczy popatrzeć na tego drugiego człowieka z fotografii, żeby zrozumieć, z czego brała się nienawiść Künzla do nazistów.

Kangia znowu się odezwał i ciche, szeleszczące tony przywodzące na myśl wiatr ocierający się o skóry fok wypełniły namiot. Wyciągnął do Costasa rękę i kiedy ten oddał mu fotografię, popukał palcem w wyższego z mężczyzn na zdjęciu. Inuva nachyliła się i słuchała przez jakiś czas pilnie, potem spojrzęła na gości.

— Po trzech dniach od wyruszenia z Ilulissat dotarli do skrajy pokrywy lodowej na wschód stąd i wspięli się na nią. Dzień potem rozpełtał się *piteraqa*, wicher.

Kangia, słysząc z ust córki grenlandzkie słowo, ożywił się nagle. Zaczął gestykulować, migotliwy blask ogniska rzucił wydłużone cienie jego rąk na sklepienie ściany namiotu.

— To była straszna wichura, najgorsza, jaką ojciec widział — podjęła Inuva. — Ekspedycja znajdowała się przy północnym skrajy lodowca, tam gdzie lód strugą zaczyna spływać do fiordu. Dwaj Niemcy nalegali, żeby podejść pod sam wypaczający się lodowiec i szukać osłony przed wiatrem w jednej z powstałych tam nisz, ale Grenlandczycy odmówili. Wiedzieli, że to niebezpieczne. Odeszli ze swoimi psami na otwartą przestrzeń i schronili się za saniami.

Stary złączył zaciśnięte pięści i rozłączył je, wydając dźwięk mający imitować trzask. Potem podjął swoją opowieść.

— Rozległ się potężny huk — tłumaczyła Inuva. — Lodowiec rozpękł się i obaj Niemcy wpadli w szczelinę, która się otworzyła. Ja jeden, Kangia, miałem dość odwagi, żeby nie zważając na szalejący wicher, podpełznąć do jej krawędzi. Zajrzałem tam i poprzez skłębione tumany śniegu zobaczyłem coś niezwykłego.

Stary, domyślając się po intonacji głosu, w którym miejscu tłumaczenia jest córka, potakiwał skwapliwie głową. W pewnym momencie zaniósł się kaszlem i opadł bezwładnie na stos futer. Twarz mu poszarzała, wykrzywiła się z bólu.

— Nie pociągnie już długo. — Inuva pogładziła czule dłoń ojca i spojrzała przepraszająco na Macleoda. — Lepiej już idźcie.

Macleod kiwnął ze zrozumieniem głową i chciał wstać, ale stary wyciągnął drżącą rękę na znak, żeby tego nie robił, i znowu zaczął mówić. Ledwie było go słychać. Inuva pochyliła się nad ojcem i słuchała, ściągając brwi. Potem wyprostowała się i przetłumaczyła jego słowa:

— To było daleko w dole, tak głęboko, jak wysokie są góry lodowe w fiordzie. Na dnie szczeliny widać było dziób statku, wygięty do góry i zakończony strasznym łbem. Deski były poczerńałe i stare.

Ja, Kangia, od razu wiedziałem co to.

Legenda od pokoleń przekazywana z ust do ust mówiła o olbrzymach odzianych w żelazne blachy, o *Kablunat*, którzy przybyli z tamtej strony morza i zapalili jedną ze swoich wielkich łodzi na lodzie. Ja, Kangia, słyszałem tę opowieść w dzieciństwie od dziadka, tutaj, w tym właśnie kręgu namiotowym. — Stary urwał i zakaszłał.

Inuva spojrzała na gości.

— Nasi eskimoscy przodkowie, Thulowie — wyjaśniła — przybyli tutaj z kanadyjskiej Arktyki, żeby osiąść na stałe, jakieś osiemset lat temu, kiedy tubylcy, którzy tu wcześniej żyli, powymierali. Ale myśliwi Thulów zapuszczali się w te strony już wcześniej i spotykali brodatych olbrzymów, którzy mieszkali w kamiennych domach na południu Grenlandii.

Moi przodkowie nazywali ich *Kablunat*.

— Boże — szepnął Jack. — Statek w lodzie. Nie może być.

— Zaczekajcie. To jeszcze nie koniec. — Inuva uniosła rękę i pochyliła się nad starcem, który znowu zaczął mówić. — Łódz pode mną zaczął się ruszać — przetłumaczyła. — Ja, Kangia, zrzuciłem na dół linę i wyciągnąłem obu mężczyzn. Kiedy byli już na górze, szczelina zawarła się z trzaskiem. Łódz znikła pod lodem. *Piteraqaq* wiał przez wiele dni

i wróciliśmy do Ilulissat. Taki był koniec ekspedycji. Niemcy odpłynęli i nigdy ich już nie widzieliśmy.

Stary sięgnął pod koce, którymi okryła go Inuva, i wyciągnął stamtąd paczuszkę owiniętą w białą skórę młodej foki. Trzęsącymi się rękami podał ją Macleodowi i ten, podziękowawszy mu uroczystym skinieniem głowy, przekazał paczuszkę Jackowi. Jack, ważąc zawiniątko w dłoniach, spojrział pytająco na Macleoda.

— Właśnie po to musiałeś tu przyjść osobiście — wyjaśnił Macleod. — Kiedy rozmawiałem z Kangią dwa dni temu, powiedział mi, że ma jakiś przedmiot, który chce komuś przekazać. Powiedziałem mu, że jesteś naszym wodzem, a on na to, że odda ten przedmiot tylko tobie.

Jack spojrział na starego i skłonił z powagą głowę, a potem przystąpił do rozpakowywania zawiniątka. Maria i Costas śledzili z napięciem każdy jego ruch.

— Nie do wiary — szepnęła Maria, blednąc z przejęcia na widok tego, co wyłoniło się z fałdów foczej skóry. — Kamień runiczny!

Był to płaski z wierzchu, wypolerowany, ciemnozielony kamień, nieco dłuższy od dłoni Jacka, noszący ślady obróbki, w której wyniku nadano mu z grubsza prostokątny kształt i wyryto trzy linijki koślawych runów. Jack, podstawivszy kamień pod światło, rozpoznał od razu kilka symboli.

— Coś fantastycznego — mruknęła Maria. — Staronordyckie runy. Bez wątplenia. Są tu jakieś nieznane mi symbole i nie potrafię odczytać słów, ale Jeremy sobie poradzi.

— Ojciec opowiadał mi o tamtej ekspedycji, ale kamienia nigdy mi nie pokazywał — powiedziała cicho Inuva. — Taki sam znajduje się w zbiorach muzeum w Upernavik, jakieś sto mil na północ stąd. Pochodzi z samotnego kurhanu z Kingigtorsuaq. To najstynniejsze na Grenlandii znalezisko związane

z wikingami, kamień runiczny znaleziony najdalej na północ ze wszystkich odkrytych dotąd w Arktyce.

— To posłuchajcie, skąd pochodzi ten — powiedział Macleod. — Kiedy Kangia wyciągnął tamtych dwóch Niemców ze szczeliny, ci zaczęli sobie coś wyrywać. Ten niższy pośliznął się i o mało nie upadł. Kangia widział, jak nóż, którym Niemiec zamierzył się na swojego towarzysza, wylatuje mu z ręki i wpada do zamykającej się szczeliny. Facet wściekał się, bo zgubił coś jeszcze, ale wietrzyisko przybierało wciąż na sile i trzeba było zawrócić, gdyż pozostawanie na lodzie zagrażało życiu; bójka poszła w niepamięć. Przed zejściem z pokrywy lodowej Künzl ukradkiem dał Kangii ten kamień na przechowanie. Powiedział, że pochodzi ze statku uwięzionego w lodowcu. Swojemu koledze naziście wmawiał, że kamień wysunął mu się z ręki i wpadł do szczeliny, ale tamten nie wierzył i w nocy przeszukiwał jego rzeczy. Künzl powiedział Kangii, że to święty kamień i nikt nie może się dowiedzieć, że go ma. Kangia nie cierpiał nazistów i bez wahania podjął się roli depozytariusza.

— Künzl musiał odczytać na poczekaniu te runy — mruknęła Maria. — Był najlepszym z ówczesnych znawców runów, ekspertem w tłumaczeniu wszelkich nordyckich tekstów. W ciągu tych paru dramatycznych chwil na dnie szczeliny dowiedział się pewnie czegoś tak ważkiego, że postanowił nie dopuścić, by kamień wpadł w ręce jego kolegów esesmanów z *Ahnenerbe*, którymi tak pogardzał.

— Künzl powiedział Kangii — zwrócił się do Jacka Macleod — że ma ukrywać kamień przed światem aż do jego powrotu na Grenlandię, a gdyby się go nie doczekał, przekazać osobie, do której będzie miał pełne zaufanie. Wojna przypieczerowała los Künzla, i teraz ty zostałeś uznany za taką osobę.

Tymczasem Kangia opuścił rękę z powrotem na piersi i oddychał teraz płytko i urywanie, patrząc spod na w górę

przymkniętych powiek w sufit namiotu. Inuva spojrzała na gości ponaglająco.

— Na was naprawdę już czas.

Macleod kiwnął głową, wstali i pochylając się, ruszyli gęsiego do wyjścia. Idący na końcu Jack w ostatniej chwili zawrócił, ukląkł obok starca i coś do niego powiedział, a potem zamienił kilka słów z jego córką. Podnosząc się z klęczek, dotknął jeszcze dłoni staroego i wyszedł za Marią w ponure pozostałości opuszczonej osady.

— Co mu powiedziałeś? — spytała Maria.

— Życzyłem mu, żeby bez przeszkód pędził ze swoimi psami po lodzie z wiatrem w zawody, gdziekolwiek miałyby ich zaprowadzić ta podróż. Powiedziałem też, że dobrze zrobił, przekazując ten skarb nam, że nie zawieziemy jego zaufania.

Z namiotu wysunęła się Inuva, żeby ich pożegnać.

— Co z nim będzie? — spytała zniżonym głosem Maria.

— Przyjdzie szaman i zaprowadzimy go na wysoki klif nad fiordem. Nazywamy to miejsce Kaellingekloften. Zostawimy go tam i jutro już go nie będzie.

— Chcesz powiedzieć, że popełni samobójstwo? — zachnęła się Maria.

— Zbieramy się w Kaellingekloften każdego roku, żeby obserwować wschód słońca nad lodowcem po tygodniach zimowych ciemności, i z tego samego miejsca ci, którzy są już zmęczeni życiem, skaczą w lodowate wody fiordu, żeby przenieść się do świata duchów. To odwieczna tradycja. Tutaj mój ojciec zakończył już swoją wędrówkę i chce wyruszyć w następną podróż.

Spuściła oczy i wycofała się do namiotu, opadła za nią kłapa nad wejściem. Na wysokiej turni jakiś pies uniósł łeb ku zachodowi i zawył posepnie, a potem, na ich widok, szarpnął się na łańcuchu, kładąc po sobie uszy jak hiena i szczerząc zęby. Maria wzdrygnęła się, ciałniej owinęła kurtką i przysu-

nęła do Jacka. Zaczęli schodzić kamienistą ścieżką w stronę morza.

— Boisz się psów? — spytał Jack.

— Nie, ale przypomniała mi się taka stara nordycka legenda. — Zawiesiła głos, obchodząc kałużę. — O przerażającym wilku Fenrirze, jednym z potworów stworzonych przez gigantów, bracie oplatającego świat węża Jörmungandra i Hel, strażniczki umarłych. Odyn usłyszał przepowiednię, że wilk i jego plemię niszczą pewnego dnia bogów, przykuł więc Fenrira łańcuchem do skały. *Thar liggr hann til ragnaroks*, tam czeka na Ragnarók, na ostateczną bitwę przed końcem świata, kiedy zemści się na bogach.

— To pies pociągowy, nie wilk — zauważył Jack.

— Wiem. To irracjonalne. — Maria obejrzała się przez ramię na psa i szybko odwróciła wzrok. — Ale odnoszę wrażenie, że dotarliśmy na skraj tego świata mitów, do progu pomiędzy światem znanym wikingom a światem, nad którym nawet ich bogowie nie miałiby kontroli. Wikingowie, którzy tu dopłynęli, musieli odczuwać to samo. Pewnie ciarki przechodziły im po plecach, kiedy patrzyli ponad tym lodowatym morzem na zachód i zastanawiali się, czy za horyzontem czekają ich bogactwa i nowe życie, czy koszmar Ragnarók. Zupełnie jakby nas ostrzegano, że tą drogą podążali już przed nami inni i słuch o nich zaginął.

Jack otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

— A ja odbieram to jako dobry znak. Skoro Fenrir tu jest, to na pewno podążamy właściwym tropem. — Uśmiechnął się i podał jej zawiniątko, które powierzył mu stary Kangia. — Tak czy owak stare legendy będą musiały trochę poczekać. Masz teraz nad czym pracować. Im szybciej przetłumaczymy te runy, tym lepiej.

— Grenlandzcy wikingowie widzieli te wichury, no wiesz, *piteraą* — powiedziała Maria. — Przypomina mi się fragment

poematu o tych północnych terenach łowieckich, zatytułowanego *Nordsetudrapa*. Brzmi mniej więcej tak: *Silne podmuchy od ścian białych gór wzburzyły wody i córki fal wykarmione mrozem strzaskały kadłub, radując się wichrem*. To praktycznie jedyny pisany przekaz, jaki pozostał po grenlandzkich wikingach, zachowany w islandzkiej sadze.

— Nie bój się — powiedział Jack. — Będziemy ostrożni.

Kilka minut później wsiadali już do czekającego przy brzegu zodiaka. Był wczesny wieczór, ale w niekończącym się dniu arktycznego lata nie dało się określić, która dokładnie jest godzina, i Jack czuł się trochę zdezorientowany. Zajęli miejsca w pontonie, Macleod dał znak marynarzowi i evinrude obudził się z rykiem do życia. Zasunęli po szyję suwaki skafandrów, nałożyli kamizelki ratunkowe, a marynarz zawrócił tymczasem i szerokim łukiem poprowadził ponton przez zatokę w kierunku „Seaquesta II”, lawirując między unoszącymi się na wodzie płytami lodu. Kiedy minęli cypel u wejścia do fiordu, ich oczom ukazała się znowu gigantyczna góra lodowa i flotylla zmierzających ku niej zodiaków wyładowanych sprzętem i technikami. Costas przyglądał się przez chwilę tej scenie, potem wyraźnie się rozluźnił. Spojrzał na Jacka, uniósł kciuk i coś krzyknął. Jego słowa utonęły w wyciu silnika i świcie

wiatru, ale Jack i tak zrozumiał.

— Czas się zbierać!

8

— Wszystkie systemy działają. Jesteśmy gotowi.

Costas odsunął przed ust sprzężony ze słuchawkami mikrofon i uśmiechnął się do Jacka. Przez pleksiglasową kopułę zobaczyli, jak dwóch marynarzy na platformie zrzuca cumy, i aquapod, kołysząc się nieprzyjemnie, zaczął dryfować w kierunku góry lodowej. Costas szybko włączył manewrowe silniki strugowodne i naprowadził pojazd z powrotem na pozycję, gdzie mieli się zanurzyć. Zbliżała się północ, ale świecące bez ustanku słońce nagrzało kopułę i Jack sięgnął do regulatora temperatury na swoim skafandrze.

— Tylko nie przedobrz. — Costas otarł z czoła kropelki potu.

— Po zejściu pod wodę momentalnie ostygniemy.

Platforma, na której trwała gorączkowa krzątanina, wydawała się teraz jakaś odrealniona, nie z tego świata. Usłyszeli ostatnie zodiaki, którymi marynarze ewakuowali się ze strefy zagrożenia na „Seaquesta II”. Praktycznie pozostawiano ich samym sobie, jedyny człowiek, ich ostatni łącznik ze światem, czekał w DSRV — głębinowej łodzi ratowniczej — przycumowanej do góry lodowej trzydzieści metrów niżej. Costas zacisnął paski uprząży, przesunął wzrokiem po przyrządach

i ujął stery. Z bąblem swojej kopyły i cylindrycznymi zbiornikami balastowymi dwumiejscowy aquapod przypominał trochę helikopter. Mało tego — wielokierunkowy napęd strugowodny zapewniał mu jeszcze większą zwrotność w wodzie niż jego odpowiednikowi w powietrzu.

— No, możesz już pomachać powierzchni na pożegnanie — powiedział Costas.

— Całe szczęście, że wrócimy na nią za dnia — mruknął Jack. — Ta świadomość będzie mnie podtrzymywała na duchu.

Costas otworzył zawory zbiorników balastowych i po obu stronach aquapoda wystrzeliły gejzery wody i pojazd, uzyskując ujemną pływalność, zaczął się zanurzać. Przez tych kilka chwil, kiedy poziom morza wędrował w górę kopyły, widzieli dwa światy, oba porażające swoim ogromem. Nad nimi piętrzyła się góra lodowa, znajoma już, ale nadal budząca grozę, mieniąca się odcieniami zieleni i błękitu, kiedy patrzyli na nią teraz poprzez okruchy lodu, które przywarły do kopyły i rozszczepiały światło. Pod nimi rozpościerał się świat tak różny jak przestrzeń kosmiczna, miejsce, w którym natura nie przewidywała obecności człowieka. Arktyczne wody były zadziwiająco przejrzyste, widoczność w każdym kierunku dochodziła tutaj do stu, a może i więcej metrów, a pionowa ściana góry opadała w głębiny fiordu jak okiem sięgnąć. Był to zapierający dech w piersiach widok, który na jakiś czas odebrał im mowę.

— O, jasna cholera! — krzyknął nagle Costas. — Ratuj się, komu życie miłe!

Błyskawicznym ruchem włączył główny silnik strugowodny i aquapod zanurkował głębiej, przybliżając się do góry.

Dopiero teraz Jack dostrzegł kątem oka to, co w porę zauważył Costas. Rytmiczny ruch w wodzie, powolny wir sunący nieubłaganie w ich kierunku od strony fiordu. Opadali coraz głębiej, a obiekt rósł w oczach na podobieństwo jakiegoś

koszmarnego prześladowcy, przed którym nie ma ucieczki. Jackowi przemknęło przez myśl to, co Maria mówiła mu o Fenrirze, o siłach, nad którymi nawet bogowie nie mają kontroli. Spadali jak kamień w czarną otchłań.

— Trzymaj się! — wrzasnął Costas.

Z tumultu zmaterializowała się nagle jak duch obracająca się w zwolnionym tempie i pędząca na nich z przerażającą szybkością ściana bieli. Przemknęła obok kopuły, niemal się o nią ocierając. Odrzuciło ich w bok i Costas mocniej ścisnął stery, usiłując zapanować nad wymykającym się spod kontroli aquapodem. W końcu mu się to udało i zatrzymał pojazd.

Zobaczyli nad sobą obracającą się gigantyczną bryłę lodu, oddalającą się w stronę otwartego morza i niknącą szybko w mgiełce pęcherzyków powietrza, która ciągnęła się za nią niczym warkocz komety.

— Mało brakowało — sapnął Costas.

— Sześć miesięcy temu myślałem, że już z tym koniec — powiedział płacziwie Jack. — Spokojne kontemplacyjne życie, uprawianie ogródka i pisanie wspomnień.

— Oj, tak, tak — westchnął Costas. — Ale potrzebny nam był taki zastrzyk adrenaliny przed tym, co zamierzamy.

Zamilkli i rozejrzeli się. Woda już się uspokoїła. Opadli na głębokość prawie stu metrów i DSRV był teraz wysoko nad nimi. Ledwie widzieli przy nim dwóch nurków i dwie srebrzyste smużki pęcherzyków powietrza pełnące po lodzie ku powierzchni. Przed sobą mieli ogromne czoło góry lodowej, na tej głębokości już tylko niebieskiej. Był to surrealistyczny, jakby podświetlony od środka odcień lazuru, upodabniający ją do mirażu. Widzieli przepastne zagłębienia tam, gdzie prąd wymył lód, oraz szerokie smugi osadów i okruchów skał znaczące miejsca, gdzie góra ocierała się o bok fiordu.

A w dole, głęboko w dole, ledwie rozróżnialna w mrokach, ciągnęła się pośepna, pofałdowana, usiana głazami grań

opadająca po obu stronach w nieskończoność czerni. Był to zdewastowany, zryty, starty przez lód na proszek fragment dna morskiego, i zdawali sobie sprawę, że patrzą na najniebezpieczniejsze z miejsc we wszystkich oceanach.

— Próg fiordu lodowego — mruknął Jack. — Jesteśmy chyba pierwszymi ludźmi, którzy go widzą na własne oczy.

— Ciarki po plecach przechodzą — szepnął Costas.

— Nie wybrałbym się tam na spacer — przyznał Jack.

— Ani ja. — Costas odwrócił się do panelu sterowania, wstrzyknął porcję powietrza do zbiorników balastowych, zwiększając pływalność, i podprowadził aquapoda bliżej góry lodowej, tak że znaleźli się bezpośrednio pod DSRV. — Ben, tu aquapod jeden, cały i zdrowy. Za pięć minut jesteśmy u was. Bez odbioru.

DSRV — głębinowa łódź ratownicza, w którą wyposażony był „Seaquest II” — miała w części rufowej mały wewnętrzny dok — otwarty basen mieszczący kopułę aquapoda. Jack zadarł głowę i patrzył, jak w podbrzuszu łodzi rozsuwają się drzwi tego doku. W oświetlonym wnętrzu przedziału majaczyła spoglądająca na nich z góry postać. Po obu stronach aquapoda pojawili się dwaj nurkowie i podczepili cztery liny kotwiczne, na których wciągnięto ich powoli do środka. Kiedy przebili powierzchnię basenu i otworzyli kopułę, zobaczyli nad sobą uśmiechniętą twarz Bena Kershawa, byłego komandosa Royal Marine, który przed sześcioma miesiącami odegrał niepoślednią rolę w dramatycznych wydarzeniach na Morzu Czarnym, a niedawno został szefem ochrony na „Seaquestie II”. Jack przyjął pomocną dłoń Bena i wygramoliwszy się z aquapoda na pomost okalający dok, potrząsnął nią serdecznie.

— Myślałem, że upłynie trochę czasu, zanim zobaczę cię znowu na pokładzie łodzi podwodnej.

— Służba nie drużba. — Ben spoważniał. — Wszystko w porządku?

— Drobnny incydent z growlerem.

— Widzieliśmy. Myśleliśmy, że już po was. Od dwudziestu czterech godzin ten fiord coraz bardziej się uaktywnia, coraz więcej takich brył odrywa się od lodowca.

— Wynoście się stąd, jak tylko nas wyekspediujecie.

— A jak coś pójdzie nie tak?

— Wtedy sami się wynurzymy i wystrzelimy racę — powiedział stanowczo Jack. — Mamy też boję radiową. Nikt nie ma prawa przebywać w strefie zagrożenia, jeśli ta góra ruszy. Bez gadania, DSRV wraca na „Seaquesta”. Za dużo już strat ponieśliśmy przez ostatni rok i ani myślę narażać czyjekolwiek życie.

— A co z moim? — Costas, który wygramolił się tymczasem o własnych siłach z aquapoda i kuczał właśnie na pomoście, spojrzał na Jacka z udawanym wyrzutem.

— Oj, po tobie nikt nie będzie płakał. Wydawało mi się, że już to do ciebie dotarło.

— Też prawda, miejsce po mnie może zawsze zająć Lanowski.

Jack skrzywił się i Costas z Benem parsknęli śmiechem.

Napięcie, jakie wszyscy trzej wyczuwali, zostało rozładowane.

— Tu mnie masz — powiedział Jack. — Obiecuję opiekować się tobą jak ojciec. No, a teraz do dzieła.

Zginając się niemal w pół, wyszli za Benem przez właz w grodzi, która oddzielała komorę doku od głównego przedziału DSRV. Wokół pierścienia w podłodze, którym DSRV mógł dokować do łodzi podwodnej spoczywającej w wyniku awarii na dnie, rozłożono dwa identyczne komplety sprzętu do nurkowania i Costas pochylił się od razu nad nimi, żeby przeprowadzić szybką inwentaryzację. Jack poszedł za Benem kilka kroków dalej do stanowiska dowodzenia na dziobie

łodzi. Po chwili dołączył tam do nich Costas. Kiwnięciami głowy powitali marynarza siedzącego w fotelu pilota przed baterią monitorów i paneli sterowania, i przykucnęli po obu stronach Bena, który włączył ekran na konsoli nawigacyjnej.

— Wytyczyliśmy wam optymalną trasę podejścia — wyjaśnił Ben. — Byłoby idealnie, gdybyśmy mogli od razu podrzucić was wyżej, ale tu, gdzie jesteśmy, podcięcie w lodzie chroni nas przed ewentualnym ocieleniem się góry. Będziemy wam tłoczyli mieszanek tleny z azotem. Na głębokości trzydziestu metrów sprawdza się lepiej niż sprężone powietrze.

— Pępowiną? — spytał Jack.

— Tak. Podłączymy was do butli znajdujących się na DSRV. Dzięki temu zaoszczędzicie gaz, który ze sobą zabieracie.

— Najważniejsze, żeby nie wydalać gazu we wnętrzu góry — powiedział Jack. — Lanowski wyraźnie to podkreślił.

— Spokojna głowa — wtrącił się Costas. — Jeszcze w bazie wymyśliłem takie małe hokus-pokus. Kiedy nurkujesz we wraku, z wydychanym gazem nie ma kłopotu, prawda? Możesz nie dopuścić, żeby się zbierał i coś tam niszczył, wydalając go przez rurkę wyprowadzoną ponad wrak. Gorzej jest w drugą stronę, kiedy dostajesz się do konstrukcji od dołu.

— Wtedy gaz trzeba wypompowywać.

— Otóż to. Ciągniemy za sobą dwa węże, jeden dostarcza nam mieszanek do oddychania, drugi odcedza wydychany gaz i odprowadza go na zewnątrz góry. Nie wiem tylko, jak to będzie działać w takiej niskiej temperaturze. — Costas zatarł dłonie. — Już się nie mogę doczekać, kiedy się o tym przekonamy.

— Niech no zgadnę. Nie wypróbowałeś jeszcze tej metody?

— W kanale La Manche trudno o góry lodowe.

Jack odwrócił się od Costasa i pokazał ekran, na którym widniała komputerowa symulacja izometryczna DSRV pod

górami lodowymi, z kropkowaną czerwoną linią, która pod kątem czterdziestu pięciu stopni pięła się od łodzi poprzez wnętrze góry ku powierzchni, żeby tuż pod nią przejść do poziomu i urwać się na czarnej plamie w okolicach środka góry.

— Jak rozumiem, docieramy najszybciej jak się da, do dziesięciu metrów poniżej poziomu morza, tam odłączamy się od pępowiny i przechodzimy na własne aparaty oddechowe — powiedział Jack.

— Tak — odparł Ben. — Chętnie wyposażylibyśmy was w najnowsze aparaty IMU do oddychania mieszkanką gazową, pracujące w obwodzie zamkniętym, ale niebezpieczeństwo zamarznięcia jest zbyt wielkie i lepiej nie ryzykować. Dostajecie wypróbowane i sprawdzone aparaty oddechowe pracujące w obwodzie półzamkniętym, z mieszkanką tlenowo-azotową dobraną tak, by zapewniała wam maksymalny komfort na tej głębokości. Dwutlenek węgla jest więc pochłaniany, ale azot już nie i odkłada się w przeciwłucu, które trzeba co jakiś czas przewentylować. Jednak procentowo azotu jest w mieszance niewiele i taka konieczność zajdzie dopiero wtedy, kiedy znajdziecie się z powrotem na zewnątrz góry.

We wnętrzu nie będziecie wydalać gazów wydechowych.

— Byleby tylko nie zejść poniżej dziesięciu metrów — dodał Costas. — Będziemy oddychali ponad osiemdziesięcioma procentami tlenu, a przy wyższym ciśnieniu taka mieszanka staje się toksyczna. Zagapisz się, zejdziesz niżej i klops. Złapią cię konwulsje i po tobie.

— Na paletach butli macie trimiksy, standardowe dozowniki mieszanki, dobierające automatycznie bezpieczny jej skład do głębokości stu dwudziestu metrów — powiedział Ben. — Mają nasadki zabezpieczające przed zamarzaniem, a więc nie powinny zawieść. Ale to system pracujący w obwodzie otwartym, i wydzielająby gazy wydechowe we wnętrzu góry. Używajcie go więc tylko w sytuacji awaryjnej.

— Rozumiem — mruknął Jack. — Opowiedzcie mi teraz o drażarce lodu. Tylko żadnych tam szczegółów technicznych, chcę po prostu wiedzieć, jak się nią posługiwać.

Dwadzieścia minut później Jack i Costas siedzieli w pełnym ryszunku naprzeciwko siebie nad basenem w przedziale dokowania i przygotowywali się do zanurzenia. Dwaj nurkowie, którzy pomagali im dokować, odprowadzili już wcześniej aquapod. Teraz jedynymi towarzyszącymi im członkami załogi DSRV byli Ben i pilot. Kończyli właśnie ostateczną procedurę kontroli systemów.

— Zostaniemy tu, dopóki nie odepniecie się od pępowiny — powiedział Ben. — Potem będziecie już zdani tylko na siebie.

Jack kiwnął głową. Siedział obwieszony sprzętem do nurkowania, ciemne włosy miał zmierzwione, bo przed chwilą przymierzał hełm. Siedzący naprzeciwko Costas, nie mogąc dojść do ładu z nadmuchiwcem swojego e-skafordra, napęczniał jak balon i wyglądał tak komicznie, że Jack z trudem hamował śmiech. Na piersiach mieli zawieszone aparaty oddechowe przypominające małe tornistry, a na plecach opływowe żółte palety z trzema wysokociśnieniowymi butlami z tlenem, azotem i helem oraz zintegrowanym balastem. Ben zakończył drugą pełną kontrolę sprzętu i przykucnął między nimi nad basenem.

— Będę z tobą szczery, Jack. To mój obowiązek jako szefa ochrony. Może się okazać, że to jakaś stara łódź wielorybnicza. Nie jestem przekonany, czy warto tak ryzykować.

— Wiem, co przez ciebie przemawia, Ben, i doceniam to — odparł Jack. — Ale to wkalkulowane ryzyko. Możemy sobie z Lanowskiego pokpiwać, ale na jego opinii jeszcze się nigdy nie zawiodłem,

— Twój wybór. — Ben zerknął na Costasa i ten kiwnął stanowczo głową. Obaj nurkowie już bez słowa nałożyli żółte keplarowe hełmy. Ben uszczelnił je, zapalił dwie bliźniacze lampki po bokach, a potem jeszcze raz sprawdził aparaty do oddychania i trimiksy. Jack i Costas naciągnęli rękawice, zabezpieczyli je wodoszczelnymi uszczelkami i włączyli kontrolery temperatury na ramionach, doprowadzające wytwarzane chemicznie ciepło do dłoni nurków. Na koniec założyli płetwy, rozpędzając kłaczki mgły tworzącej się nad basenem, gdzie ciepłe powietrze wypełniające przedział stykało się z lodowatą wodą. Mieli już zsunąć osłony hełmów, kiedy w luku pojawiła się głowa jeszcze jednego marynarza.

— Wiadomość z „Seaquesta II”. Do ciebie, Jack. Coś w związku z wynikami badań dendrologicznych.

— Przeczytaj — poprosił Jack.

Marynarz ukląkł i uniósł wydruk do oczu.

— *Z laboratorium dendrologicznego IMU, 0212 GMT. Próbką drewna z fiordu Ilulissat to dąb skandynawski, możliwe że norweski. Rozległe zwęglenie powstało w wyniku działania płomieni. Porównanie z sekwencją przyrastania słoje drzew z północno-zachodniej Europy wskazuje, że drzewo, z którego pochodzi próbka, zostało ścięte w roku tysiąc czterdziestym, plus minus dziesięć lat.*

— No! — Jack nie krył podniecenia. — Teraz widzicie. Wiedziałem, że przeczucie mnie nie myli. To może być odkrycie archeologiczne stulecia.

Zaciskając wargi, spojrzął w wodę, a potem błyszczącymi oczami na Costasa. Wybiegał już myślą do chwili, kiedy opuszczą DSRV i zobaczą nad sobą powierzchnię i słoneczne światło. Mimo że klaustrofobia nieśmiało dawała o sobie znać, nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się we wnętrzu góry lodowej i zacznie zgłębiać jej tajemnice. Opuścił rękę i ujął leżący obok zwój pępowiny — dwóch skręconych ze

sobą ciasno węży — i wcisnął jej koniec w ostatni wolny port pod podbródkiem hełmu. Costas zrobił to samo. Zamknęli wizjery i włączyli interkom. Jack zsunął się z ławeczki i spuścił nogi do wody. Jej zadziwiająca przejrzystość sprawiała, że czuł się jak spadochroniarz przed skokiem z samolotu. Byli już z Costasem w innym świecie, przez interkom słyszeli tylko siebie. Jack uniesionym kciukiem dał Benowi znak, że wszystko w porządku, a potem pokazał w dół, dając do zrozumienia, że schodzi. Spojrzał na Costasa.

— Gotów?

— Gotów.

9

Mężczyzna w czarnej sutannie zmierzał zdecydowanym krokiem do głównego wejścia Pałacu Apostolskiego. Strój jezuickiego zakonnika nie wyróżniał go spośród innych kręcących się tu aplikantów. Wszedł od strony zatłoczonego placu Świętego Piotra i minął już pierwszy posterunek kontrolny przy bramie z brązu. Teraz zbliżał się do samego serca Watykanu, siedziby Kolegium Kardynałów, centrali, z której Stolica Apostolska rozacza swe wpływy daleko poza Rzym, na każdy zakątek świata.

Widział już strojnych wartowników z gwardii szwajcarskiej krzyżujących halabardy przed drzwiami — scenka wyjęta żywcem z czasów renesansu, można by rzec, gdyby nie te pistolety maszynowe Heckler & Koch przewieszzone dyskretnie przez plecy gwardzistów. Oficer gwardii wylegitymował jezuitę i przyjrzał mu się uważnie, porównując czarną brodę i pozbawione wyrazu oczy ze zdjęciem w dokumencie. Chociaż był początek lata i słońce mocno przygrzewało, ksiądz twarz miał bladą i ściągniętą, ale tak przecież wyglądała większość uczonych niewychylających nosa poza mury Watykanu. Oficer odwrócił się do stojącego

obok sekretarza i sprawdzili na palmtopie poziom upoważnienia. Oficer odchrząknął ze zdumienia i czym prędzej oddał jezuitcie dokument.

— Droga wolna, może ksiądz wejść.

Wartownicy cofnęli halabardy i jezuita minął posterunek, unikając zwyczajowego przeszukania oraz kontroli wykrywaczem metalu. Pomaszerował prosto szerokim korytarzem na parterze, na jego końcu skręcił w lewo i szedł dalej. Zatrzymał się przed ozdobnymi drzwiami prowadzącymi do prywatnej kaplicy. Po obu stronach drzwi stały tace z dedykowanymi świecami. Zapukał raz i nacisnął klamkę. W rozpraszającym blaskiem świec półmroku ujrzał mężczyznę klęczącego przed prostym ołtarzem w głębi kaplicy. Mężczyzna przeżegnał się, podniósł z klęczek i odwrócił twarzą do drzwi. Był wysoki, szczupły, siwowłosy, odziany w kompletną episkopską szatę kardynała, włączając w to złoty krzyż zwisający na piersi, i czerwoną sutannę. Miał dobrotliwe, wiecznie młode oblicze kogoś, kto spędził wiele lat w zakonach, ale w oczach jakąś twardość. Ta twarz pasowała do człowieka takiego jak on, człowieka, którego ambicja doprowadziła na sam próg najwyższej władzy w Kościele katolickim.

— Eminencjo. — Jezuita skłonił się i zamknął za sobą drzwi.

— *Monsignore*.

Rozmawiali po angielsku — jezuita, jakby z południowoafrykańskim zaśpiewem zjadając końcówki, kardynał z lekkim północnoeuropejskim akcentem.

— Jest tu?

— Tylko ten drugi, obecny przy otwarciu komory.

Podejrzewaliśmy go i przyznał się. Stolica Apostolska ma swoje wypracowane przez wieki metody perswazji.

— A ten ważniejszy?

— On będzie twoim następnym zadaniem.

Jezuita podszedł bliżej i ukląkł. Kardynał ściągnął szybko święty pierścień ze środkowego palca i wsunął na jego miejsce inny, masywniejszy, płaski, który załśnił w blasku świateł. Jezuita ujął dłoń kardynała, pocałował pierścień i wyczuwając pod wargami znajomy kształt, przymknął oczy. Drugą ręką namacał własny pierścień, zawieszony na szyi pod sutanną. Wstał, przeżegnał się znakiem krzyża, wycofał z rewerencją do drzwi, tam zatrzymał się na chwilę i uniósłszy prawą rękę, wyszeptał kilka słów w języku, który zabrzmiał tutaj niezmiernie, słów nigdy jeszcze niewypowiedzianych w tym świętym miejscu, słów, które pomimo swego znaczenia miały wydzźwięk bluźnierstwa:

— *Hann til ragnaroks.*

Jezuita zamknął za sobą drzwi kaplicy i ruszył długim korytarzem. Jego kroki odbijały się echem od murów pałacu. Wyszedł na otwarty dziedziniec i mijając dwóch księży zmierzających w przeciwną stronę, złożył dłonie jak do modlitwy. Potem skierował się ku niepozornemu wejściu, od którego nadeszli. Ciszę nad miastem zmaćniało nagle bicie dzwonów Bazyliki Świętego Piotra, które od czasów upadku cesarstwa rzymskiego obwieszczały w ten sposób suwerenność Stolicy Apostolskiej. Po niebie ujętym w ramy ścian dziedzińca krążyły dwa wielkie drapieżne ptaki, zza murów dolatywały przytłumione odgłosy miasta. Dochodząc do upatrzonych drzwi, jezuita obejrzał się dyskretnie przez ramię. Uspokojony, skrzywił się i zakasując sutannę, wspiął się po schodach na pierwsze piętro. Korytarz odbiegający od podestu ozdobił szpaler posągów, na ścianach wisiły tablice ogłoszeń i plakaty zachęcające do obejrzenia rozmaitych ekspozycji, ale nie było w nim żywego ducha. Personel muzeum miał dzisiaj wolne. Jezuita zatrzymał się przed drzwiami, za którymi paliło się światło, tymi, które kazano mu odszukać. Nad nadprożem widniało słowo *Conservatori*.

Zwlekał. Nie, nie wahał się, chciał po prostu podelektować się tą chwilą. Stał w półmroku ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Sześćdziesiąt pięć lat wcześniej jego przodkom nie udało się sforsować tych murów, a przecież po triumfalnym wkroczeniu do Rzymu tak blisko byli zajęcia Watykanu. Teraz on miał to naprawić, zostawić tu swój ślad. Rozprostował dłonie, uniósł je do twarzy i krzywiąc się z bólu, przesunął palcem wskazującym po nierównej bliźnie pulsującej pod brodą. Sięgnął lewą ręką za pazuchę sutanny, a drugą zapukał trzy razy.

— Proszę — dobiegł ze środka stłumiony głos.

Jezuita wszedł i zamknął za sobą drzwi. Pomieszczenie zawalone było książkami i manuskryptami, w głębi stała komputerowa stacja robocza. Na pierwszym planie, na podwyższeniu, leżała nadgryziona zębem czasu kamienna płaskorzeźba, przed nią, pochylony nad notesem, siedział mężczyzna w średnim wieku w dżinsach i kolorowej koszuli.

— *Monsignore*. — Mężczyzna przerwał pisanie, podniósł wzrok i spojrzał na gościa czujnymi, inteligentnymi oczami. — Nie spodziewałem się dzisiaj odwiedzin. Czym mogę służyć?

— Pan jest tu głównym konserwatorem? — spytał po włosku jezuita.

— Tak.

— To pan towarzyszył ojcu O'Connorowi przy odkryciu tajemnej komory w Łuku Tytusa?

Mężczyzna zmieszał się wyraźnie i rzucił notes na podłogę.

— Wygląda na to, że wszyscy już wiedzą. Zachowaliśmy to odkrycie w tajemnicy dla dobra Kościoła. Żałuję teraz, że w ogóle go dokonaliśmy.

— Ja również.

Zaopatrzona w tłumik beretta pyknęła sucho dwa razy i mężczyzna podskoczył na stołku. Na jego twarzy odmalo-

wało się zaskoczenie przemieszane z przerażeniem. Podniósł się chwiejnie, zatoczył i runął bezwładnie na posadzkę. Znieruchomiał tam z ręką podwinętą pod siebie i szeroko otwartymi, wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczyma.

Jezuita wysunął lewą rękę spod sutanny i unióś ją powoli do twarzy. Zaczął przesuwać raz po raz palcem po bliźnie na policzku. Uciskając ją z całych sił i krzywiąc się, patrzył z satysfakcją na krew sączącą się z piersi mężczyzny i zbierającą w kałużę na zimnych kamiennych płytach posadzki.

To jeszcze nie koniec.

— Aktywuję sondę lodową.

Costas spojrział na Jacka i obaj unieśli kciuki. Jack chyba po raz piąty zlustrował krytycznym spojrzeniem ekwipunek Costasa. Po odłączeniu pępowin będą zdani wyłącznie na swoje systemy oddychania i na siebie, nie mając w zanadru żadnej możliwości ratunku, żadnej awaryjnej drogi odwrotu prowadzącej na powierzchnię. Sprzęt IMU był nowoczesny, wyposażony w niezawodny system komputerowy, dzięki niemu mieli z głowy problem wyliczania składu mieszanki do oddychania w funkcji szybkości wynurzania. Przed sześcioma miesiącami sprawdził się w warunkach ekstremalnie wysokich temperatur we wnętrzu podwodnego wulkanu, ale po raz pierwszy miał przejść próbę w wodzie schłodzonej niemal do punktu zamarzania.

— Zajmij pozycję.

Jack, uczepony jedną ręką ściany, obrócił się, chwycił metalowy pręt i przyciągnął się do Costasa. Byli teraz jak dwaj wspinacze wysokogórcy na ogromnej ścianie lodu, przypominali dwa żyjątka na tle bezkresu góry lodowej. Pod nimi ściana opadała setki metrów w otchłań, by gdzieś tam w dole natrafić na stok progę wybiegający jej naprzeciw

z niewyobrażalnej głębi, z lodowatej czerni, w którą nie odważył się jeszcze zejść żaden śmiertelnik.

— Mamy tylko jedno wyjście awaryjne — powiedział Costas. — Najmniejsza oznaka, że lody ruszają, i przechodzimy na trimiksy. Jeśli ten okruszek przeturla się przez próg, idziemy na dno. Pamiętaj, że trimiksy dostarczają zdatną do oddychania mieszankę gazu do głębokości stu dwudziestu metrów. To powinno dać nam przynajmniej jakiś margines bezpieczeństwa.

Jack uniósł znowu kciuk, a potem sprawdził trzy węże doprowadzone do portów swojego hełmu. Nitrox, którym teraz oddychali, był na tej głębokości mieszanką optymalną, ale podwyższona zawartość tlenu czyniła go toksycznym poniżej głębokości trzydziestu metrów. Dostarczany był pępowiną z DSRV, której podnoszący na duchu zarys majaczył kilka metrów za nimi. Drugi wąż łączył hełm z aparatem oddechowym na piersi, niezależnym systemem, który włączy się samoczynnie, kiedy osiągną głębokość dziesięciu metrów. Tlenu ze zintegrowanej z nim wysokociśnieniowej butli — gazu idealnego do oddychania na małych głębokościach — wystarczy im na kilka godzin. Podobnie jak system dostarczający pępowiną nitrox, aparat oddechowy, wyposażony w układ recyklingu, nie będzie wydalał wydychanego gazu w obrębie góry lodowej. Trzeci wąż łączył hełm z trzema butlami na plecach i dystrybutorem trimix, który stopniowo, w miarę zanurzania, zastępował tlen hełm, zwiększając w ten sposób do maksimum głębokość, do jakiej mogli bezpiecznie zejść.

Ale przełączenie się na trimix było ostatecznością, bo system ten pracował w obwodzie półzamkniętym, a więc wydalałby we wnętrzu góry wydychany gaz. Nie było się co oszukiwać. Wyjścia awaryjnego praktycznie nie mieli. Góra lodowa mogła zsunąć się z progu i pójść pod wodę. Jej podstawa zanurzyłaby się wtedy na setki metrów w głębię.

Gdyby nawet nie zostali zmiażdżeni przez przemieszczający się w niej lód, to zabiłoby ich w mgnieniu oka rosnące gwałtownie ciśnienie.

Jack odpedził od siebie myśli o takiej ewentualności i skoncentrował uwagę na niezwykłym urządzeniu, które mieli przed sobą. Otworzyli właśnie klatkę ochronną dociskającą je do lodowej ściany i przyłączyli boję radiową, którą mieli wypuścić na powierzchnię po wycofaniu się z góry. Dwaj nurkowie, których widzieli z aquapoda, wprowadzili już sondę w lód aż po metalowy pierścień o średnicy dwóch metrów, takiej, jaką będzie miał drążony przez maszynę tunel. Tunel będzie na tyle szeroki, by w miarę swobodnie mogły posuwać się nim ramię w ramię dwie osoby. Element grzewczy w ochronnej rurce dopełniała matryca mikrofalowych i laserowych noży emanujących ciepło z głównego korpusu urządzenia — cylindra o średnicy metra, który mieli bezpośrednio przed sobą. Mała, ale potężna dysza wodna będzie odrzucała wodę ze świeżo stopionego lodu i popychała urządzenie do przodu. Na tylnej ścianie, nad szyną prowadzącą, płonął jaskrawą zielenią wodoszczelny ekran LED.

— Dopóki się da, będziemy ciągnęli za sobą przewody zasilające i światłowodowy z DSRV — powiedział Costas. — Do tego czasu pilot DSRV będzie widział na ekranie to samo co my. Potem odłączymy oba przewody i przejdziemy na zasilanie z akumulatora sondy. — Wyregulował dużą skalę pod ekranem, potem spojrzął na Jacka.

— Wszystko w porządku.

— Ten nowy system podgrzewania e-skafandra czyni cuda. — Zsuwając się z DSRV do wody, Jack poczuł ukłucie zimna. Costas pamiętał, jak przed sześcioma miesiącami, podczas nurkowania w Morzu Czarnym w zupełnie innych warunkach, Jack osłabiony raną postrzałową o mało nie wyzionął ducha.

— Gdyby nie ta cewka, temperatura wody w tunelu nie przekraczałaby zera — oznajmił wesoło Costas. — To świeża woda, z lodowca, a więc będzie zamarzała szybciej niż woda słona. Lód skułby nas, zanim zdążyłbyś powiedzieć „szkocką z lodem proszę”.

— Dzięki za informację. — Jack spojrzął bez większego przekonania na cewkę, kołysząc się pod nimi wąs mikrowłókien. Zasilana z sondy, miała ich chronić przed uwięzieniem w lodowcu, zapobiegając ponownemu zamarzaniu wody ze stopionego lodu.

— Powinna zdać egzamin — dodał Costas. — Teoretycznie.

— Niech no zgadnę. Nie wypróbowałeś jej jeszcze. Costas puścił do Jacka oko i z naramiennej konsoli komunikacyjnej przełączył swój interkom na nadawanie.

— Ben, ruszamy. Szacowany czas dotarcia na dziesięciometrową głębokość odłączenia — dwadzieścia minut. Bez odbioru.

Jack spojrzął między płetwami na malejący w dole wylot drążonego przez sondę tunelu — mieniący się krążek błękitu przesłaniany przez zwój mikrowłókien, który za sobą ciągnęli. Środkiem tunelu biegły kabel zasilający sondę oraz pępowina dostarczająca im mieszkankę azotowo-tlenową i odprowadzająca wydychany gaz — lina ratunkowa łącząca ich ze światem zewnętrznym. Podniósł głowę i patrzył z fascynacją, jak sonda, sunąc w górę pod kątem czterdziestu stopni, z szybkością ponad dwóch metrów na minutę wytapia w lodzie idealnie okrągły tunel. W eskafandrze nie czuł temperatury otaczającej ich wody, ale zmieniające się wskazanie termostatu na regulatorze środowiska odzwierciedlało efekt działania strugi ciepłej wody wyrzucanej przez dyszę sondy i popychającej urządzenie

do przodu. W blasku lampek na hełmach widzieli przed sobą oślepiająco jasną ścianę lodu, ale Jack wiedział, że gdyby nie sztuczne oświetlenie, zagłębialiby się w świat nieprzeniknionej czerni okolony ze wszystkich stron niewyobrażalnymi masami lodu, które wysoko nad nimi pochłaniają resztki promieni słońca.

— Dobra — odezwał się Costas. — Jesteśmy już dziesięć metrów pod lustrem wody w fiordzie. Wyrównuję do poziomu i odłączam się od DSRV.

Wyregulował na panelu przed sobą ustawienia elementów grzejnych, redukując temperaturę tych dolnych, żeby drążarka, topiąc więcej lodu górnymi, zaczęła zmniejszać stopniowo kąt podchodzenia. Jack spozjrzał na drogę, którą przebyli. Na ekranie LED widniał trójwymiarowy obraz góry lodowej, identyczny z tym, który pokazywał im rano Lanowski. Obraz pochodził z sonaru UHF obsługiwanego przez pozostającą na zewnątrz ekipę. Tworzyły go tysiące zestawów danych zebranych z punktów, gdzie wędrujące przez górę fale dźwiękowe sonaru napotykały zróżnicowany opór zamarzniętych na powrót szczelin i pęknięć. Lanowski wyznaczył najkorzystniejszy punkt wejścia oraz wytyczył trasę, na której minimalne było prawdopodobieństwo natrafienia na szczelinę wypełnioną zamarzniętą wodą ablacyjną, co mogłoby się skończyć rozszczepieniem góry. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Posuwali się przez mlecznobiały, twardy jak skała lód lodowcowy powstały przed stu tysiącami lat w środku epoki lodowcowej.

Costas ponownie przełączył swój interkom na nadawanie.

— Ben, tu Costas. Słyszysz mnie? Odbiór.

— Costas, tu DSRV, słyszemy cię głośno i wyraźnie. Odbiór.

— Dotarliśmy do punktu odłączenia. Odbiór.

— Zrozumiałem. Dopóki się nie odłączycie, będziemy was mieli na ekranie. Uważajcie, dostaliśmy właśnie ostrze-

gawczy komunikat meteorologiczny od kapitana „Seaquesta II”. Na skraju pokrywy lodowej zaczynają się jakieś termiczne zaburzenia. Od wschodu nadciąga masa zimnego powietrza. Może to nic takiego, ale kapitan na wszelki wypadek wycofuje się na jeszcze jedną milę od fiordu. Na pewno chcecie kontynuować? Odbiór.

Costas i Jack wymienili spojrzenia.

— Kontynuujemy — odparł Costas. — Do celu pozostało nam pięćdziesiąt metrów i nie zabawimy tam długo. Wyjdziemy najdalej za godzinę. Ale wy już się ewakuujcie. Odbiór.

— Zrozumiałem. Po wyjściu z góry wypuście boję radiową, to was wyłowimy. Teraz odbierzemy tylko pępowinę i odpływamy. Bez odbioru.

Costas przerzucił dźwigienkę wyłącznika na panelu sterowania i odłączył kabel zasilający od drążarki. Urządzenie wyłączyło się na moment i Jackowi wydało się, że widzi, jak otaczająca go woda zaczyna krzepnąć. Potem włączył się wewnętrzny akumulator, ekran LED oraz skierowane ku przodowi reflektorki znowu zapłonęły i woda nabrała z powrotem płynności.

Dwaj nurkowie odwrócili się do siebie, stykając niemal wizjerami hełmów w ciasnocie lodowego tunelu. Costas zaczął recytować punkty procedury, którą przećwiczyli kilkakrotnie przed opuszczeniem DSRV.

— Załączyć aparat oddechowy.

Jack, idąc za przykładem Costasa, otworzył zawór wylotowy aparatu na piersi, a następnie przekreślił gałkę pod hełmem. Tlen popłynął do krzemio-kauczukowej maski zakrywającej mu nos i usta. Po pierwszym haŕście zamrowiły go ręce i nogi — typowy efekt orzeźwienia towarzyszący zawsze przejściu na aparat oddechowy. Chwycił prawą ręką wąż pępowiny, a lewą zamknął port mieszanki azotowo-tlenowej

pod hełmem. Czyniąc to, odbił się niechcący łokciami od ściany tunelu i napał całym ciałem na Costasa.

— Odłączyć pępowinę.

Równocześnie wyszarpnęli spod hełmów węże pępowiny i upuścili je na podłogę tunelu, a Costas dodatkowo przewód zasilający, który trzymał do tej pory w ręku. Zaciągając się powietrzem z aparatów oddechowych, odprowadzali wzrokiem oba przewody opadające tunelem i znikające za zakrętem. Wąsy mikrowłókien utrzymujące wodę w tunelu w stanie ciekłym kołysały się i falowały jeszcze jakiś czas, by w końcu rozplnąć się na całą jego szerokość i znieruchomić.

— Ben, jesteśmy odłączeni. Kiedy dojdziemy do tej masy zamrożonej wody ablacyjnej, łączność się urwie. Po powrocie liczę na miskę gorącej zupki. Odbiór.

— Masz ją jak w banku. Powodzenia. Bez odbioru.

Byli teraz zupełnie odcięci od świata zewnętrznego, zdani tylko i wyłącznie na siebie oraz ekwipunek, którym byli obwieszani. Jack, patrząc za znikającą pępowiną, walczył z uczuciem niepokoju. Wiedział, że to sygnał ostrzegawczy wysyłany przez skrywaną przypadłość dyskwalifikującą go praktycznie jako nurka, przejaw klaustrofobii, z którą bez ustanku walczył. Przed laty omal nie zginął w zalanym kopalnianym szybie, życie ocalił mu wtedy Costas, użyczając swojego aparatu tlenowego, i tamten uraz obudził się znowu, kiedy osłabiony fizycznie i psychicznie odniesioną świeżo raną nurkował w labiryncie Atlantydy. Wyczuwał, że Costas wie o jego walce i to dodawało mu sił. Uchwycił się szyny prowadzącej z tyłu sondy i zmusił do skoncentrowania na zadaniu, którego się podjęli.

— Cel przed nami — powiedział Costas. — Zerknij na ekran.

Na ekranie LED, który mieli przed sobą, widniał niezwykle kształt, obraz utworzony na podstawie danych zebranych

przez sonar w sercu góry lodowej, wokół masy zamrożonej wody ablacyjnej, która tak zafrapowała Cheney'a i zespół NASA. Nawet sonar UHF nie zdołał wniknąć dalej i pod tym kątem nie dało się rozróżnić nadzwyczajnego zarysu, który było widać tak wyraźnie na obrazie zdjętym podczas pionowego przejścia sonaru. Pośrodku ciemnej masy, w miejscu, skąd drążarka lodu pobrała próbkę drewna, widniał czerwony krzyż nitek, nieco powyżej zielony krzyż nitek zaznaczał ich cel.

— Pamiętaj, że robimy zdjęcia, łapiemy, co nam pod rękę wpadnie, i wycofujemy się — powiedział Costas. — Na naukę nie ma dzisiaj czasu.

— Chociaż raz się z tobą zgodzę — odparł Jack. — Wiek znamy, wystarczy tylko potwierdzić, z czym mamy do czynienia i określić pochodzenie. Jeszcze dwie próbki drewna i wynosimy się stąd.

— Kiedy będziesz je pobierał, ja wytopię nad strefą docelową sadzawkę na tyle szeroką, żeby dało się zawrócić sondę. Mam już w gębie smak tej zupy, którą warzy dla nas Ben.

— Do roboty.

Uczepili się znowu szyny, Costas włączył element grzewczy i po sekundzie drążarka ruszyła w kierunku celu. Była teraz urządzeniem autonomicznym, niepołączonym w żaden sposób ze światem zewnętrznym. Ciągnęła ich za sobą niczym powolny podwodny skuter, wciskając się coraz to głębiej i głębiej w serce góry lodowej. Costas skupiał się na utrzymaniu jej ponad progiem dziesięciu metrów, poniżej którego tlen stawał się toksyczny. W miarę jak posuwali się do przodu, Jack doświadczał coraz silniejszego poczucia euforii. Tak działały na niego tlen i adrenalina, której potrzebował, żeby przezwyciężyć swoje lęki. Raptem uświadomił sobie, że małeńkie pęcherzyki powietrza odpowiedzialne za mleczną nieprzejrzystość lodu, a teraz tańczące w otaczającej ich wodzie, to

jedyne tutaj podtrzymujące życie drobiny uwolnione z głębin epoki lodowcowej. Tym powietrzem oddychali ich odlegli przodkowie, myśliwi-zbieracze przemierzający skraj pokrywy lodowej tysiące lat przed rozwinięciem się cywilizacji. Wiedział od początku, że w miarę zbliżania się do celu będzie odczuwał coraz większe podniecenie, ale nie spodziewał się wrażenia, że płynie przez tunel drażony w czasie, wrażenia, którego próżno szukać gdziekolwiek indziej na ziemi.

— Jesteśmy. — Mleczny lód przed nimi ustąpił miejsca ścianie lodu przezrzystego jak szkło, ciemnoniebieskiego w blasku ich reflektorków. — Lód z wody ablacyjnej — ciągnął Costas. — Pierwszy, na jaki natrafiliśmy. To pewnie jedna z tych zalanych szczelin w lodowcu, o których mówił Lanowski.

Wprowadzili sondę dwa metry w głąb przezroczystego lodu i tam ją zatrzymali. Kiedy ustały zawirowania wywoływane strugą wody wyrzucaną z dyszy, Jack zobaczył pod sobą mającą w ciemnoniebieskim lodzie czarną obłą masę odbiegającą szerokimi łukami w obie strony od miejsca, w którym się znajdowali. Opadł na dno tunelu i przystawił reflektorek hełmu bezpośrednio do lodu.

— Niech mnie diabli.

— Co jest? — Costas puścił się szyny prowadzącej i też opadł na dno. Stykając się ramionami w wąskiej przestrzeni, wyteżyli wzrok.

— Deski — wyrzucił z siebie podniecony Jack. — Cała masa. To burta łodzi, drewnianego statku. Widzę gwoździe, rzędy zardzewiałych żelaznych gwoździ wzdłuż tych desek. A deski zachodzą na siebie, poszycie na zakładkę. Nie ma wątpliwości. To długa łódź wikingów.

— Niesamowite — wykrztusił Costas, spoglądając błyszczącymi oczami na Jacka. — I są czarne, skarbonizowane, tak

jak tamta analizowana próbka z jądra lodowca. Cały ten fragment poszycia jest zwęglony. Ta łódź się paliła.

— Płonący statek na lodzie — mruknął Jack. — Przypominasz sobie tę starą eskimoską legendę, o której wspominał Kangia?

— To by wyjaśniało ten kokon przezroczystego lodu dookoła, ten obraz, który zdjęli sonarem — powiedział Costas. — To nie tylko woda ablacyjna, która wypełniła szczelinę i na powrót zamarzała. Podejrzewam, że ta łódź tonęła w lodzie, płonąc. Lód i osiadający na deskach śnieg musiały dosyć szybko zdusić płomień, ale wcześniej żar wytopił tę jamę w lodowcu.

— Zanim zawrócimy, muszę chociaż z grubsza oszacować wymiary — powiedział Jack.

— Do punktu docelowego mamy jeszcze osiem metrów. To ci powinno dać jakieś wyobrażenie. Tam zawracam.

Chwilę później Costas znowu zatrzymał drążarkę. Po lewej stronie tunelu pojawiła się poczerńiała belka i musiał zmienić kierunek, żeby ją ominąć. Przesuwając się obok niej, stwierdzili, że belka wygina się łukowato ku górze, a szeroki pas krawędzi burty, z której wyrasta, jest misternie rzeźbiony w wijące się postaci zwierząt oraz przeplatające się abstrakcyjne kształty.

— Styl Urnes — orzekł z podnieceniem Jack. — Jak to dobrze, że Maria odświeżyła i poszerzyła wczoraj moją wiedzę na temat sztuki wikingów. Teraz jestem już pewien, że to norweska łódź, nowy styl wprowadzony gdzieś w połowie jedenastego wieku. — Przekręcił się na plecy i spojrzał poprzez lód w górę, gdzie ciągnęła się belka. — To dziobnica. Zobacz tylko.

Costas też się obrócił i skierował reflektorek hełmu na szczyt belki. Gwizdnął przez zęby na widok wieńczącej ją rzeźby, ciemnego zatopionego w lodzie kształtu majaczącego

na granicy widzialności. Był to szczerzący zęby łeb z położonymi po sobie uszami, wystający co najmniej na metr przed wygięty ku górze dziób łodzi.

— To pewnie Fenrir, bóg-wilk — powiedział Jack przyciszonym głosem, wspominając znowu Marię. — Zupełnie jakby był strażnikiem tego miejsca.

Przekreślił się z powrotem na brzuchy i ruszyli powoli przed siebie. Pod nimi przesuwiał się bajkowy widok, można by rzec, że przepływają nad pełnoskalową dioramą wraku statku eksponowaną w muzeum. Obraz był zadziwiająco wyraźny, widoczność w obie strony sięgała pięciu metrów, dalej błękit lodu ciemniał, przechodząc w granat. Niektóre fragmenty desek pozostały nietknięte, inne były zwęglone i zmiażdżone przez bryły lodu spadające pewnie na kadłub, zanim osłoniła go zamarzająca woda. Jack robił zdjęcie za

zdjęciem cyfrowym aparatem zintegrowanym z hełmem i wymrukiwał techniczne opisy każdego nowego elementu konstrukcyjnego łodzi, jaki pojawiał się w polu widzenia.

— To klasyczna zachodnioskandynawska konstrukcja, bez wątpienia jedenasty wiek — orzekł po paru minutach. — Statek żaglowy o kadłubie głębszym i szerszym niż hollywoodzka wizja długiej łodzi, ale przecież tutaj nie da się pływać wiosłową łodzią wojenną. Ta była niezrównana w ślizganiu się z wielką szybkością po falach i wysadzaniu na brzeg grup desantowych, ale miała małe zanurzenie, niskie burty i łatwo nabierała wody na wzburzonym morzu. Tu potrzebny był statek zdolny do przewożenia ludzi i towarów przez północny Atlantyk, a taka podróż mogła się czasami przeciągnąć do kilku tygodni.

— Był naprawiany — zauważył Costas, wpatrując się w lód. — W części dziobowej wymieniono kilka desek, odróżniają się od reszty. Może zderzyli się z górą lodową. I spójrz, tam leży wiosło.

— To wiosło sterowe, boczny ster — powiedział Jack, patrząc na doskonale zachowane, w porównaniu z powypaczanym deskami pokładu, wiosło. — Wikingowie nie stosowali stałych sterów, do sterowania służyło im wiosło z szerokim piórem przymocowane do rufy łodzi. Wszystko wskazuje, że to zostało z rozmysłem włożone do łodzi, bo leży na dziobie, nie na rufie. Ten statek nie poszedł na dno na morzu. I to jeszcze nie wszystko. Spójrz tam. Coś nieprawdopodobnego!

Przesunęli się już nad częścią dziobową i ujrzeli zarysy czegoś niewykonanego z drewna, ułożonego w pryzmę prowadzącą do ciemnego pudła na śródkręciu, gdzie kiedyś obsadzony był maszt. Przesuwając się nad tą pryzmą, rozpoznali stos skór i futer oraz ułożone obok nich drewniane misy i inne naczynia. Drążarka omal nie zawadziła o wysoki splekany dzban z gliny ustawiony na stosie.

— Amfora. — Jack chwycił skorupę odłupaną od wrębka, która wypłynęła spod topiącego się lodu, i schował ją do kieszeni skafandra. — Amfora na wino ze wschodniej części Morza Śródziemnego, okres bizantyjski. Na Grenlandii? Coś podobnego!

— Przecież musieli się czymś rozgrzewać w te długie arktyczne noce — zauważył Costas. — Ale z tego co wiem, wikingowie byli raczej piwoszami.

— Nie zapominaj, że część z nich odbywała dalekie podróże i musiała przejąć pewne szczególne obce zwyczaje. — Umysł Jacka pracował na najwyższych obrotach i podsuwał mu najfantastyczniejsze hipotezy. — Może się mylę, ale zastanawia mnie... — W tym momencie w tunelu za nimi spod topniejącego lodu wyłonił się długi drewniany trzonek, którego drugi koniec tkwił nadal w lodzie. Costas wyłączył napęd strugowodny, żeby dać elementowi grzewczemu czas na stopienie większej ilości lodu wokół obiektu, i po chwili Jack chwycił go i podniósł.

— O, jasny gwint! — powiedział Costas.

Był to wielki, jednosieczny topór bojowy nabity na grube stylisko co najmniej metrowej długości. Żeleźce połyskiwało złotem i po obu stronach miało wygrawerowane ozdobne wzory.

— Połączany — mruknął Jack głosem schrypniętym z podniecenia. — Warstwa złota zabezpieczała żelazo przed korozją. Standardowa metoda upodabniania broni do wykonanej z cennego kruszcu, a przy tym zachowująca jego funkcjonalność, bo pod spodem krył się twardszy metal.

— Od swojej strony widzę na żeleźcu jakieś symbole — powiedział Costas.

— Ja od swojej też. — Jack obrócił topór. Tuż za ostrzem wygrawerowany był duży niby to lichtarz z szerokim trzonem, od którego odbiegały symetryczne odgałęzienia rozchodzące się na całą powierzchnię żeleźca. Sam zarys był prosty, ale wypełniony w środku rytymi misternie arabeskami i stylizowanymi postaciami zwierząt, spośród których wyróżniał się łeb szczerzącego kły wilka. Jack pokazał palcem szereg symboli tuż za ostrzem.

— Mjollnir.

— Co?

— Litery są greckie, ale nazwa nordycka. Najpotężniejszy symbol wikingów, niewidzialna broń największego z ich bogów, ich jedyna nadzieja na pokonanie zła w bitwie Ragnarók. Mjollnir, Młot Thora.

— A ten ptak u góry?

Jack przyjrzał się bliżej żeleźcu.

— Własnym oczom nie wierzę. To dwugłowy orzeł. Jedna głowa symbolizuje stary Rzym, druga Rzym nowy — Konstantynopol. To godło cesarza bizantyjskiego. — Zawiesił głos i błyszczącymi oczami spojrzał na Costasa. — Znaleźliś-

my jedną z najsłynniejszych broni w dziejach, topór bojowy gwardii wareskiej.

— To by się zgadzało. Spójrz na to. — Costas obrócił ponownie topór, żeby Jack mógł sobie obejrzeć drugą stronę żelźca.

— Runy! — Jackowi serce zabiło jak młot, zassał haust powietrza z aparatu oddechowego. — I to nie jakieś tam stare runy. Ekspertem nie jestem, ale te rozpoznałbym wszędzie. Identyczne zobaczyć można w Hagia Sofia w Konstantynopolu. To podpis Halfdana, wikinga, który w którymś tam momencie jedenastego wieku wyrył swoje pogańskie imię w najświętszej katedrze wschodniego chrześcijaństwa.

— Znakiem tego, znaleźliśmy topór bojowy Halfdana. — Costas powiedział to spokojnie, ale na jego twarzy malowało się niedowierzanie. — W górze lodowej na Grenlandii. Gościa rzeczywiście nosiło po świecie.

— Trudno i darmo, muszę sprawdzić jeszcze jedną rzecz — powiedział Jack. — Na śródkręciu powinno się znajdować proste jarzmo do obsadzenia masztu i poprzeczna belka, a ja zamiast nich widzę tam jakąś prostokątną skrzynię. Domyślam się już, co to może być, ale muszę rzucić okiem. Potem się stąd wynosimy.

— Robi się. — Costas uruchomił napęd strugowodny i ruszyli naprzód w kierunku oddalonej o kilka metrów ciemnej bryły. Jack, który wciąż nie mógł uwierzyć, co znalazł, ważył jeszcze przez chwilę topór w rękę, potem wepchnął go pod taśmy, którymi przytroczona była do jego pleców paleta z butlami trimiksu, zwracając uwagę, żeby połączane żelźce znalazło się z dala od rozgałęziacza dozownika. Odwrócił się, chwycił oburącz szynę prowadzącą i wpatrzył się w krawędź przybliżającej się pudełkowatej konstrukcji. Rysował się już leżący w niej kształt, całkowicie odmienny od wszystkiego, co do tej pory widzieli. U stóp skrzyni piętrzył się kolejny

fantastyczny stosik artefaktów — na górze połączony stożkowy hełm, pod nim złożona kolczuga, a na spodzie złożona starannie szkarłatna, haftowana złotem tkanina, ani chybi opończa. Kiedy znaleźli się dokładnie nad skrzynią, Costas wyłączył napęd i drążarka się zatrzymała.

— Odbieram ostrzegawcze wskazanie sejsmografu — powiedział Costas. — To prawdopodobnie drgania maszyny, ale lepiej się upewnić.

Jack spojrzął z niepokojem na czerwone światełko migające u dołu ekranu. Nie wyczuwał niczego niezwykłego, ale ciągnące się za nimi mikrowłókna po wyłączeniu napędu strugowodnego jakby dłużej niż zwykle trzepotały.

— Coś się zdecydowanie dzieje — stwierdził Costas. W tym samym momencie dał się słyszeć przeraźliwy trzask, a po nim nastąpiła seria silnych wibracji, które zmroziły Jackowi krew w żyłach i wstrząsnęły nim od stóp do głów. Woda zaczęła się burzyć i po chwili Costas i sonda lodowa złali mu się przed oczyma w jedną rozmytą plamę.

— Jezus, Maria, Józefie święty. My się...

Głos Costasa utonął w strasliwym rozdzierającym zgrzycie przywodzącym na myśl wrzask hordy atakujących upiorów. Drzazgi lodu odłupujące się od ścian tunelu cięły wodę niczym szrapnele. Jedna taka wbiła się Jackowi w lewe udo, przechodząc przez wzmocniony kevlar skafander jak przez masło. Poczuł tylko drętwość i patrzył w szoku, jak w wodzie wokół jego nogi rozpełzają się wici czerwieni. Potem szarpnęło potężnie i wyłączyła się sonda lodowa. Całą jej przednią część zgniotło nie do poznania sejsmiczne przemieszczenie się mas lodu.

Zaległa cisza. Costas usiłował gorączkowo uruchomić na powrót sondę, ale nadaremnie. Korytarz zwięził się, dociskając ich do siebie i prawie uniemożliwiając ruchy. Jack leżał na

dnie tunelu z wizjerem hełmu dociśniętym do lodu nad uwięzioną pod nimi tajemniczą prostokątną skrzynią.

Jedynym źródłem światła były teraz reflektorki hełmów. Nadludzkiem wysiłkiem Jackowi udało się obrócić głowę i spojrzeć w głąb tunelu. To, co zobaczył, potwierdzało jego najgorsze obawy. Tunel był całkowicie zasklepiony, odcięty przez jakieś tektoniczne tąpnięcie w lodzie. Znajdowali się w niewiele dłuższej od ich ciał przestrzeni, która szybko się kurczyła. Jack patrzył ze grozą, jak zamarza woda wokół jego stóp. Lodowy śryż, który pojawił się nie wiadomo skąd, rozszczepiał światło jak w kalejdoskopie. Costasa widział w tysiącach różnokolorowych fragmentów. Chciał wyciągnąć rękę do przyjaciela, ale opór był już zbyt wielki. Spłynęła na niego przerażająca fala pewności. Zamarznię w lodzie, zanim umrą, koszmar najgorszy z możliwych do wyobrażenia.

— Przewracamy się! — wrzasnął Costas. — Przetączaj się na trimix!

Jack ledwie wyczuł pierwsze drgnięcie, ale zaraz potem ogromna siła odśrodkowa wdusiła go w ścianę tunelu. Z najwyższym trudem uniósł w krzepnącym śryżu rękę, sięgając do zaworu pod hełmem, i natrafił na dłoń próbującego go wyręczyć Costasa. Z mrozącą krew w żyłach powolnością otworzył zawór. Costas odciął mu tymczasem dopływ powietrza z aparatu oddechowego, a potem cofnął rękę, żeby wykonać te same czynności przy swoich zaworach. Po sekundzie pierwsze pęcherzyki wydychanego gazu przebiły się z suchym trzaskiem przez śryż. Część ugrzęzła w zestalającym się lodzie, reszta uleciała do góry, tworząc kieszeń powietrzną pod sufitem tunelu. Z chwilą kiedy Costas też zaczął oddychać, kieszeń ta zaczęła się szybko powiększać i Jack uniósł się ku niej powoli w przewracającej się górze. Ledwie przebił powierzchnię, a warstewka cieczy — mieszaniny krwi i wody — powlekająca wizjer hełmu zamarzała, nadając wszyst-

kiemu, co widział, surrealistyczny odcień. Był teraz niemal całkowicie unieruchomiony, niezdolny poruszyć ręką ani nogą, a po każdym wydechu napór lodu na klatkę piersiową coraz bardziej utrudniał kolejny wdech. Wiedział, że zostało mu już tylko kilka chwil życia. Costas był gdzieś po prawej, ale nie widział go, a głowy obrócić nie mógł. Wskaźnik interkomu w hełmie nie działał i słyszał tylko własny chrapliwy oddech i dolatujące gdzieś z oddali trzaski i zgrzytanie, z jakimi tytaniczne siły grzebały ich w górze lodowej, nie dając szansy na ucieczkę.

Tracąc powoli przytomność, zobaczył coś na suficie kieszeni powietrznej. Przemknęło mu przez myśl, że to jego własne odbicie w lodzie. Oddychał coraz płycej, urywanymi spazmami, kręciło mu się w głowie, to odpływał, to odzyskiwał świadomość, organizmowi zaczynało brakować tlenu. Falująca postać nad nim nabierała z wolna surrealistycznego kształtu, tak jakby nie do końca była jego odbiciem. Przez rozwodnioną krew powlekającą wizjer widział teraz zamiast swojego e-skafandra powiewającą opończę, a zamiast hełmu nurka brodate oblicze obramowane długimi złotymi włosami. Oczy w tym szarobładym obliczu były ciemnymi wpadniętymi plamami, a mimo to zdawały się go przewiercać. W ogarniającej go malignie Jack zobaczył wyciągniętą, przywołującą go rękę z połyskującą złotem, poczerniałą dłonią. Znalazł to, czego szukał, starożytnego wojownika, który przeczekał w łodzi czas, widmo przychodzące po niego z Walhalli. Zacisnął mocno powieki i w tym samym momencie lodową ciszę rozdarł potężny trzask, wyrzucając go litościwie z teraźniejszości w błogie omdlenie.

10

Ciężkie żelazne drzwi zawarły się cicho za trzema mężczyznanami. Oczekali, aż oczy przywykną im do półmroku rozpraszanego jedynie przez mdłą poświatę sączącą się od szczytu schodów, z głębi sieni starego zamczyska, po czym bez słowa wdziali szkarłatne habity, które zostawiono dla nich przy wejściu, przewiązali się w pasie przetykanymi złotem sznurami, naciągnęli na głowy kaptury i pewnym krokiem, zdradzającym, że nie są tu po raz pierwszy, ruszyli gęsiego ku schodom. Znajdowali się głęboko pod fundamentami zamku, w tajemnej domenie, którą wykuto w litej skale w czasach, kiedy w fiordach królowały jeszcze długie łodzie.

Od ścian tych korytarzy od pokoleń odbijały się echem jedynie kroki członków bractwa. Zstępując w dół, wszyscy trzej odnosili wrażenie, że zawilgocona wapienna skała emanuje samą esencją przeszłości, że zachowały się w niej oddechy czczonych przodków, czuli więź ze światem duchów zdającą się przyciągać ich do bram samej Walhalli.

Ze schodów wkroczyli wprost do kolistej sali, wewnętrznego sanktuarium. W pierwszej chwili oślepił ich blask tuzina pochodni, które płonęły na cokołach rozmieszczonych w rów-

nych odstępach wokół obwodu sali. Ku kopule sklepienia unosiły się z nich serpentynami smużki czarnego dymu. Salę obiegał krużganek z dwunastoma wykutymi w skale filarami. Do każdego filara przywiązany był splecionymi rzemieniami budzący grozę topór bojowy. Połączane żełżca odbijały migotliwy blask pochodni. Nad każdym toporem wisały kolczuga i stożkowy hełm starodawnego wojownika. Przed filarami stało dwanaście identycznych dębowych krzeseł — ciężkich, rzeźbionych w kłębiące się zwierzęta, z wyrytymi runicznymi inskrypcjami — a pośrodku sali masywny okrągły stół wypolerowany i poczerniały ze starości. W blat tego stołu wpuszczone było dwunastopromienne koło słoneczne przedłużające symetrię sali aż do pozostającego w cieniu, wyrzeźbionego pośrodku symbolu.

Trzej przybysze ruszyli w milczeniu wokół stołu. Kiedy ostatni z nich zatrzymał się za swoim krzesłem, równocześnie złożyli dłonie, skłonili się i usiedli. Teraz wolne pozostało tylko jedno krzesło, to naprzeciwko wejścia, pod filarem oświetlonym podwójną pochodnią, w której blasku lśnił świeżo naostrzony topór.

Zakapturzony mężczyzna siedzący na lewo od wolnego krzesła wstał powoli i uniół prawą rękę, wystawiając na widok dłoni, którą przecinała głęboka blizna. Odezwał się po angielsku głosem posępnym i głębokim:

— Herr Professor. Wasza Ekscelencjo. Panie Prezydencie. Witajcie. *Felag* jest prawie w komplecie.

Usiadł i położył lewą dłoń na blacie stołu. Na palcu wskazującym połyskiwał pierścień — spleciona złota obrączka z sygnetem, na którego powierzchni odcisnięty był linearny symbol przypominający runy wyryte na oparciu krzesła.

— Już od trzydziestu pokoleń podsycamy ogień Thora płonący w intencji powrotu króla — podjął. — Teraz wrogie nam siły znowu zagroziły świętości *felagu*. Dołożymy wszel-

kich starań, żeby ochronić nasz skarb, żeby odnaleźć naszą spuściznę po królu królów. — Tu wskazał na niezajęte krzesło obok siebie. — Ale zanim rozpoczniemy naradę, trzeba zamknąć krąg.

Z mroków krużganku za wolnym krzesłem wyłoniła się zakapturzona postać. Habit zdawał się płonąć na niej w blasku podwójnej pochodni. Dłonie miała złożone, twarz skrywał kaptur.

— Wykonałeś powierzone ci zadanie?

— Zaczęło się.

— Wystąp.

Mężczyzna wyszedł zza filara i stanął pod toporem. Zaledwie kilka cali dzieliło teraz błyszczące żelezce od jego głowy. Uniósł prawą rękę i odciągnął nieco kaptur, odsłaniając ziemiste oblicze o wąskich wargach. Przez policzek, od oczodołu do zuchwy biegła poszarpana biała blizna.

— Poprzysiągłeś pomścić swego dziadka, a naszego druha, który jako ostatni zasiadał na tym krześle — powiedział mężczyzna od stołu. — Ten krwawy odwet trwać będzie, dopóki nie zginie ostatni z naszych nieprzyjaciół. Ustalisz, ile wiedzą, i dopilnujesz, żeby zabrali tę wiedzę do grobu. Twoja zemsta będzie straszna. Przyniesiesz chlubę *felagowi* i zasłużysz sobie na miejsce przy tym stole.

Mężczyzna pod kolumną, krzywiąc się lekko, przeciągnął palcem po bliźnie na policzku. Złożył ukłon jedenastu mężczyznom siedzącym przy stole i po jego wargach przemknął cień uśmiechu, kiedy odwracał się twarzą do topora. Przyłożył prawą dłoń do ostrza, napał nią tak mocno, że pojawiła się krew, i przesunął zdecydowanie. Sięgnął krwawiącą dłonią pod habit, wyciągnął zza pazuchy złoty pierścień identyczny z noszonym przez mężczyznę u szczytu stołu, po czym podszedł i usiadł. Pozostali unieśli jak jeden mąż ręce, pokazując takie same pierścienie i przecięte blizną dłonie.

Pod stołem buchnął ogień, podświetlając wyrzeźbiony pośrodku symbol. Blask płomieni prześwitujący przez osadzony w blacie szklany motyw słonecznego koła zalał pulsującą, pomarańczową poświatą filary za plecami zakapturzonych mężczyzn, rozświetlił żeleźca toporów i puste hełmy. Dołączały do nich duchy *felagu*, świętej drużyny, wojowników po raz kolejny wywołanych z wiecznej uczty w Walhalli, by przywdziali swój wojenny rynsztunek i gotowali się do bitwy.

Symbolem pośrodku stołu było ich siedmiogałęźne drzewo życia. Będzie im oświetlało drogę aż do rozstrzygającej bitwy u kresu dni, kiedy wzniosą wreszcie topory bojowe ramię w ramię ze swym królem.

Dwanaście zakapturzonych postaci wyciągnęło prawice. Stykały się pierścienie, krew, którą jedna z nich namaszczała resztę, ściekała strumyczkami po rękawach na symbol pośrodku stołu. Kiedy złączyły się już wszystkie pięści, postać, która pierwsza zabrała głos, przemówiła znowu:

— *Hann til ragnaroks.*

Jack budził się w najgorszym ze swoich koszmarów. Zorientował się, że wraca mu przytomność, kiedy rozpoznał własny chrapliwy, rzęzący wdech, a zaraz potem usłyszał bulgot, z jakim regulator odprowadzał mieszanekę, którą oddychał, na zewnątrz. Stopniowo odzyskiwał świadomość swojego ciała, zaczynał odczuwać tępy ból w starej ranie postrzałowej w boku i ostrzejszy ból w nodze. Odnosił wrażenie, że całą wieczność tkwi już w otchłani, zawieszony pomiędzy światem snów, a jakąś namiastką jawy, kiedy jednak otworzył oczy i zobaczył wskazanie cyfrowego zegara w hełmie, stwierdził, że trwało to tylko kilka minut. To, co widział przez wizjer hełmu — rozczłonkowany, kalejdoskopowy wzór wyrysowany pasem-

kami czerwieni — zakrawało na czystą halucynację. Zacisnął mocno powieki i natychmiast stanął mu przed oczyma kolejny obraz, który wrył mu się w pamięć i uparcie tam pozostawał — leżący przed nim widmowy zarys człowieka, widziany jakby z pewnej wysokości i kojarzący się Jackowi nieodparcie z własnym spowitym w całun ciałem pogrzebanym w lodzie.

Wydało mu się, że unosi się wyżej i obraz zaczął się od niego oddalać. Z jednej strony doznał uczucia niewysłowionej, narkotycznej wprost ulgi, z drugiej coś w nim desperacko walczyło, żeby pozostać na miejscu, tak jakby widok własnej śmierci był jego jedyną linią ratunkową.

Szum wyprowadzanej na zewnątrz mieszanki przeszedł w bulgotanie, a potem w świszczący syk. Jack otworzył oczy i zobaczył linię przecinającą po przekątnej szybkę wizjera. Uświadomił sobie, że leży do połowy zanurzony w wodzie i że obraz, który przed chwilą widział, był efektem załamywania się wiązki światła z reflektorka jego hełmu na okrucach gęstego lodowego sryżu przetykanego jego własną krwią. Lampka wynurzyła się teraz ponad powierzchnię, kilka cali dzieliło go od litej ściany lodu. Ostrożnie obrócił głowę w prawo, sunąc promieniem z reflektorka dopóty, dopóki nie zobaczył całego swojego ciała. Znajdował się w niszy wielkości niewielkiego samochodu, w górnej części kieszeni powietrznej utworzonej przez gaz, który wydychał. Ściana nie była tu gładka, jak w tunelu drążonym przez sondę, lecz najeżona szpikulcami i spękana. Tworzyły ją ściśnięte gwałtownie wielkie płyty lodu. Jedne z tych płyt były mlecznobiałe, inne niemal przezroczyste, co stwarzało złudzenie, że od niszy odbiegają szczeliny i kanały powstałe w białym lodzie.

Na ułamek sekundy Jack znowu stracił kontakt z rzeczywistością i poczuł się przytulnie, bezpiecznie, tak jakby nisza, która się tu utworzyła i uchroniła go przed zmiażdżeniem między przemieszczającymi się masami lodu, stanowiła azyl

nad azylami. Zaraz jednak ocknął się i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. W trakcie przewracania się góry lód popękał i dzięki temu on nie zginął od razu, ale było to tylko kwestią czasu. W miarę jak wydychany przezeń gaz wypierał wodę, sryż, w którym zanurzona była dolna połowa jego ciała, krzepł, unieruchamiając mu coraz bardziej nogi. Uświadomił sobie ze zgrozą, że znowu zamarzy żywcem, tyle że tym razem nie będzie to szybka śmierć, lecz długie, powolne konanie w męczarniach w kieszeni powietrznej, w której udusi się w końcu własnym oddechem.

Z tych ponurych rozważań wyrwał go jakiś trzask obok głowy. Interkom zakwilił, a potem rozbrzmiał czymś pochrząkiwaniem i postękiwaniem. Nie do wiary, cud jakiś!

— Jack, słyszysz mnie?

— Costas! — Jackowi własny głos zabrzmiał w uszach obco i odlegle. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że mieszanka podawana przez trimix zawiera hel. — Gdzie, u diabła, jesteś?

— Ja cię widzę, ale ty mnie nie. Spróbuj się odwrócić. Musisz wyleźć z wody, bo inaczej marne nasze widoki.

Głos Costasa, spokojny i opanowany pomimo okoliczności, dodawał otuchy. Jack zebrał wszystkie siły i dźwignął się na łokciach. Zdołał obrócić nieco w prawo tułów i miał wolne ręce, ale stopy i łydki pozostawały nadal w marznącej wodzie. Przypominało to gramolenie się z bagna — każda próba podciągnięcia się skutkowała tym, że zapadał się jeszcze głębiej.

— Niedobrze — wysapał. — Ledwie mogę poruszyć nogami.

— Dasz radę dosięgnąć do palety z butlami?

— Powinienem.

— Dobra. Wyciągnij spod niej topór i połóż go na tym występie, który masz obok głowy.

Jack posłuchał i zaczął wyciągać mozolnie, kawałek po kawałku, drewniane stylisko topora, który wsunął wcześniej za taśmy palety. Nie zastanawiał się nawet, że trzyma wareski topór bojowy z długiej łodzi wikingów, odkrycie zakrawające teraz na czystą fantazję. Kiedy uporał się wreszcie z tym zadaniem, powierzchnia śryżu wokół jego pasa zdążyła już zamarznąć, a wilgoć zawarta w wydychanym gazie osadziła się warstewką szronu na wizjerze hełmu.

— Nic już nie widzę — krzyknął, starając się myśleć racjonalnie i zachować spokój, nie panikować. — Ciśnienie tutaj rośnie, bo woda skrzepła i nie daje się już odpychać, i od pasa w górę obrasta mnie szron. — To może nastąpić szybciej, niż myślałem.

— Odchyl się do tyłu i odepchnij stylisko topora jak najdalej od swojej głowy. Drążarka lodu też ugrzęzła w tej niszy i widzę włókna cewki zamarznięte w lodzie pod tobą. Jeśli uda nam się włączyć ponownie akumulator, to może cię rozmrozimy.

Jack uchwycił topór za żeleźce i odepchnął go od siebie, jak mógł najdalej, po odchylonej lekko ku górze lodowej półce, która biegła nad śryżem. Z początku nie wyczuwał żadnego oporu, ale na granicy zasięgu jego ręki stylisko natrafiło na coś twardego.

— Dobra. O to właśnie chodziło — powiedział Costas. — Spróbuj teraz przesunąć go jakieś sześć cali w swoją lewą stronę.

Jack wyteżył się, pchnął topór i nagle poczuł, że coś się dzieje. Przez szron powlekający wizjer zobaczył zieloną poświatę.

— Dobra robota. Główny człon drążarki został zmiażdżony, jak tylko się zaczęło, ale cewka zasilana jest z osobnej baterii akumulatorów, a ta wygląda na nienaruszoną. Teraz pozostaje nam tylko czekać.

— Co z tobą? — spytał Jack, odpoczywając po wysiłku i starając się nie myśleć o otoczeniu.

— Lepiej być nie może. Uwięziony w epoce lodowcowej. Z Jackiem Howardem zwiedzisz świat.

— Nie, poważnie. Nie widzę cię.

— Z początku nie mogłem się połapać, co się dzieje. Gdyby góra przewróciła się do góry brzuchem, byłibyśmy teraz na głębokości setek metrów, sprasowani przez ciśnienie. Potem zobaczyłem sondę lodową i zrozumiałem. Wywinęliśmy kozła o całe trzysta sześćdziesiąt stopni i wróciliśmy do pozycji wyjściowej. Coś pchnęło nas od tyłu z taką siłą, że góra przeturlała się przez próg. Podejrzewam, że opiera się nadal krawędzią o przeciwny stok parapetu, ale zsunęła się po nim niżej. Mój głębokościomierz wskazuje sto dwadzieścia trzy metry, czyli znajdujemy się na samej granicy oddychania mieszkanką z trimiksa. Gdyby góra wypłynęła w morze, to znowu fiknęłaby kozła, znaleźlibyśmy się jeszcze głębiej i byłoby po nas. W każdej chwili może jeszcze do tego dojść.

— Pokrzepiające.

— Ale na razie... widziałeś to co ja?

— To był Halfdan. Gość, którego imię wryte jest runami na toporze. Byliśmy bezpośrednio nad marami ustawionymi na śródkręciu długiej łodzi, na których miały spłonąć jego zwłoki. Jesteśmy pewnie jedynymi spośród żyjących, którzy na własne oczy widzieli wikińskiego wojownika. Coś fantastycznego.

— Nie powiem, że nie. Nieswojo mi się zrobiło. Miejmy nadzieję, że do niego nie dołączymy.

— Masz jakiś pomysł?

— Po kolei. Najpierw musimy odtajać.

Zamilkli i dopiero teraz Jack zwrócił uwagę na niemal kompletną ciszę, jaka zaległa w górze, mąconą jedynie poświstem ich oddechów, tak kontrastującą z ogłuszającą kako-

fonią dźwięków sprzed paru minut, kiedy to z hukiem i trzaskiem pękał lód. Ta cisza jeszcze bardziej upodabniała niszę do komory grobowej i podkreślała grozę sytuacji, w której się znaleźli. Uwięzieni we wnętrzu góry lodowej, otoczeni ze wszystkich stron milionami ton twardego jak skała lodu, przy granicy głębokości przetrwania, a na dodatek niewykluczone, że zaraz runą w otchłań. Jackowi zaczynały puszczać nerwy. Patrząc na ścianę lodu, którą miał tuż przed sobą, walczył z budzącą się klaustrofobią. Obawiał się, że wpadnie w panikę. Kiedy przed sześcioma miesiącami Costas wyprowadzał go z korytarzy Atlantydy, o mały włos do tego nie doszło. Odpędził od siebie te myśli i spróbował skoncentrować się na szczegółach, na drobnych kroczkach, które być może przyniosą im ratunek.

— Jest mały sukces — powiedział. — Mogę już poruszać stopami.

— Dobra nasza. Spróbuj obrócić się w moją stronę. Warstewka lodu na wizjerze zaczynała topnieć i Jack już wyraźniej widział sryż. Cewka z mikrowłókien podłączona do sondy spełniała swoje zadanie i powierzchnia powoli tajała. Wygiął się do tyłu i podciągnął nogi. Poczul przeszywający ból i całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Po raz pierwszy miał okazję zobaczyć ranę w lewym udzie. Wbity w nie szpikulec lodu ledwie wystawał z rozdarcia w e-skafandrze. Lód łagodził ból i tamował krwotok, ale i ta niewielka w sumie utrata krwi czyniła go niebezpiecznie wrażliwym na zimno.

Kołysząc się energicznie na boki, jął wyciągać nogi z zagęszczonej wody, wpłzając coraz dalej na lodową półkę. Znalazłszy się w końcu na niej, otarł wizjer i obejrzał kostropatą ścianę lodu za sobą.

Jego oczom ukazała się scena jak z gabinetu krzywych luster. Niby widział Costasa, ale był to widok pozbawiony sensu. Miał przyjaciela na wyciągnięcie ręki, ale odgradzała

ich od siebie ściana przezroczystego lodu. Przy najmniejszym ruchu Costas, wskutek załamывania się światła w licznych płaszczyznach lodu, rozpadał się na rojowisko kształtów. W pewnym momencie Jackowi udało się zobaczyć w całości jego twarz. Żółty hełm był z początku groteskowo wydłużony, potem zbiegł się do mniej więcej naturalnych rozmiarów.

— Jestem metr od ciebie — powiedział Costas. — Ocknąłem się w jakiejś szczeliny. Próbowałem dopłynąć do ciebie, ale udało mi się dotrzeć tylko do tego miejsca. Już bliżej zamrznięcia być nie może. To wszystko woda ablacyjna z tej groty nad długą łodzią. Chyba łatwiej będzie się przez nią przebić niż przez lód lodowcowy. Dobry jesteś w robieniu toporem?

Jack dostrzegł nagle promyczek nadziei.

— To moje główne zajęcie, kiedy po sezonie zaszywam się w lesie pod pretekstem, że piszę. Pomaga mi oderwać się od wszystkiego.

— Ciesz się. Zobaczmy, co uda ci się zdziałać. Jeśli się do mnie przerąbiesz, to woda od twojej strony wdrze się tutaj i dokończy dzieła. Cewka nie stopi lodu lodowcowego, ale powinna utrzymać ten śryż w stanie płynnym. Mam nad sobą jakieś sześć cali kieszeni powietrznej z mojego wydechu.

— A gdzie ulotniła się reszta?

— Nade mną są pęknięcia i szczeliny. Ten lód tylko wygląda na lity. W rzeczywistości to masa sprasowanych ze sobą płyt.

Jack przekręcił się ostrożnie na brzuch. Lewą ręką uchwycił się krawędzi półki, żeby się z niej nie ześliznąć, prawą sięgnął po topór. Przyciągnąwszy go do siebie za żeleźce, zsunął się w wypełnioną śryżem sadzawkę i ukląkł na zamrzniętym dnie. Woda sięgała mu teraz do pasa. Pochylił się, ściągnął płetwy i przypiął je sobie paskami mocującymi do łydek. Następnie ujął oburącz topór i spróbował wstać. Niestety

nisza była tak mała, że nie mógł wyprostować się na całą wysokość, o miejscu na zamach toporem już nie wspominając. Przygarbiony, będzie musiał dziobać lód, trzymając topór przed sobą, zapierając się karkiem o sufit dla zachowania równowagi.

— Zaczynamy. — Przyłożył ostrze topora do lodu tuż nad taflą wody, przed twarzą Costasa, i wziął krótki zamach.

Ostrze było stępione, ale metal zachował twardość sprzed tysiąca lat, a tu liczyła się bardziej siła uderzenia niż ostrość narzędzia. Ostrze wylupało bryłkę lodu i po ścianie rozbiegła się od tego miejsca siateczka drobniutkich rys, zmieniając twarz Costasa w bezładną mozaikę. — Jakoś idzie — sapnął Jack. — Ale sześć cali mniej, i nie miałbym miejsca na zamach.

Powoli, miarowo, zaczął dziobać lód. Każde uderzenie nagrodzone kolejną bryłką, każdy zamach przyplacony zgnięciem bólu w nodze. Dodatkowy wysiłek wkładany w dźwiganie palety z butlami ponad wodą szybko dał o sobie znać.

Oddech przyspieszył mu do alarmującego tempa. Jack starał się nie zwracać uwagi na wskazanie zainstalowanego w hełmie cyfrowego licznika zużycia mieszanki i skupiać na zadaniu, które miał do wykonania. Stosował standardową technikę drwala, uderzając toporem na przemian, to od góry, to od dołu i wylupując tym sposobem coraz większe bryły. Przerwał rąbanie, kiedy od twarzy Costasa dzieliły go tylko centymetry i otwór był na tyle szeroki, że Costas powinien się przez niego przecisnąć.

Zbierał się już do krytycznego uderzenia, kiedy nagle nogi się pod nim ugięły i osunął się z powrotem w śryż, wypuszczając z rąk topór. Miał świadomość, że nie stracił po prostu równowagi, że zadziałała tu jakaś większa siła. Prostując się zauważył, że powierzchnia wody drży gwałtownie. Z oddali dobiegały jakies pojękiwania i trzaski. Poziom wody zaczął

się szybko podnosić, a w suficie niszy otworzyła się i poszerzała czarna szczelina.

— Kieszeń powietrzna się kurczy! — krzyknął. — Ulatuje w górę. — Dźwignął topór i ciął raz jeszcze, ale bez skutku. — Dziura jest już pod wodą. Nie mam miejsca na zamach.

Osunął się po ścianie niszy, wypuścił topór z ręki i patrzył bezradnie, jak poziom wody pnie się po wizjerze i podchodzi pod sufit. Od pojawienia się szczeliny upłynęła niecała minuta, a po kieszeni powietrznej została tylko kipiela bąbelków z jego wydechu, rwąca ku niej kaskadą. Wskazanie termometru na zainstalowanym w hełmie wyświetlaczu spadło do dwóch stopni poniżej zera, poniżej punktu zamarzania wody. Przemknęło mu przez myśl, że cewka za nic nie poradzi sobie z tą ilością wody, która wypełniała teraz niszę, że w stanie płynnym pozostanie tylko ta jej część, która otacza bezpośrednio mikrowłókna.

Przed jego oczami zaczynał się już tworzyć śrzyż. Czuł, jak wokół jego ramion i głowy woda gęstnieje. Znów to samo! Ta piekielna tortura, którą los uparł się dręczyć go raz po raz. Koszmar odżywał. Jack patrzył szeroko otwartymi oczami, jak zaczyna go otaczać lód. Oddech mu przyspieszył, tak jakby organizm w obliczu nadciągającego horroru chciał jak najszybciej zużyć ostatnią rezerwę mieszanki z trimiksa i odpłynąć w czerń, w błogą nieświadomość.

— Tlen! Przetnij wąż tlenowy!

Ten głos przywołał go z powrotem do rzeczywistości. W mig zrozumiał, o co chodzi Costasowi. Wy dźwignął lewą rękę poprzez ścinający się śrzyż, wyciągnął z pochwy na piersi nóż i uniośł jego ząbkowane ostrze do dwóch węży pod hełmem. Przez jedną straszną chwilę usiłował sobie przypomnieć, który z nich doprowadza mieszankę trimiksa, a który tlen. Narkotyczne przy tym ciśnieniu działanie azotu nie pozwalało mu się skoncentrować. Głowę miał niemal unie-

ruchomioną i nie mógł spojrzeć w dół, na węże. Zamknął oczy, zdecydowanym ruchem uchwycił lewy wąż i przyłożył do niego ostrze noża tuż pod hełmem.

— To, co zostało w twojej butli z tlenem powinno wypełnić niszę na wystarczająco długo, żeby odsłonić dziurę i dać ci czas na jeszcze dwa uderzenia — powiedział Costas. — Ale broń cię Panie Boże, żebyś tym oddychał. Osiemdziesiąt procent tlenu na tej głębokości to natychmiastowa śmierć.

Jack przeciął wąż i w niszę trysnął ogromny gejzer pęcherzyków tlenu. Woda momentalnie opadła do poziomu piersi. Dźwignął się znowu na równe nogi, przecięty wąż dyndał przed nim z sykiem. Podniósł ze sryżu topór, przymierzył się i z całych sił uderzył, odłupując kolejny wielki kawał lodu. Widział, jak Costas pręży mięśnie, napierając od swojej strony na dzielącą ich jeszcze lodową barierę. Jack odepchnął na bok unosząc się na wodzie bryłę lodu i zamierzył się do następnego uderzenia. W tym momencie syk uchodzącego z butli tlenu ściął i woda znowu zaczęła się podnosić. Nieubłaganie. Teraz albo nigdy. Wlepił oczy w pęknięcie powstałe po wyrąbaniej przed chwilą bryle, zebrał siły, uniósł topór i uderzył. Ostrze, rozpryskując sryż, prześliznęło się po wodzie, i utkwiło w lodzie. Jack osunął się na kolana, dysząc niekontrolowanie i wysyłając gejzery pęcherzyków swojego wydechu w podnoszącą się i zalewającą go znowu wodę.

W dziurze pojawił się róg płetwy. Coś trąciło Jacka i uleciało ku powierzchni. Udało się! Przed wizjerem przepłynęła jeszcze jedna bryła lodu, a zaraz potem zobaczył obok siebie wielki czarny kształt przywodzący na myśl ciekawską fokę. W oczy patrzył mu Costas.

— Rad cię widzę.

— Dzięki Bogu, że zrzuciłeś parę kilogramów — powiedział słabym głosem Jack. — W ofercie mieli tutaj tylko jednoosobowe pokoje.

Poprawił się w ciasnej niszy i woda między nimi się zaczerwieniła.

— Jak noga? — spytał Costas.

— To teraz moje najmniejsze zmartwienie. — Jack spojrział w górę ku wciąż podnoszącej się powierzchni wody. — Przetnij swój wąż tlenowy, zyskamy parę minut.

— Nic z tego — odparł Costas. — Mój wąż szlag trafił, kiedy góra się przewracała. Mało brakowało, a okruch lodu, który go przeciął, skróciłby mnie o głowę.

Przekręcił się i położył równoległe do Jacka. Obaj leżeli teraz zwrócenii głowami w stronę półki, w której ugrzęzła sonda lodowa. Obwieszeni sprzętem, ledwie się mieścili w ciasnej niszy. Znajdowali się teraz całkowicie pod wodą, wokół pływały drzazgi lodu odlupane toporem przez Jacka, poniżej Jack widział cewkę z mikrowłókien. Costas sięgnął pod siebie, podciągnął płetwy na łydki i podczołgał się do sondy.

— Błyska bursztynowa kontrolka — powiedział. — Akumulator jest na wyczerpaniu. Jeśli tu zostaniemy, to zamrozimy. Na dobre. — Wycofał się do Jacka i wygrzebał coś z kieszeni swojego e-skafandra. — Masz, potrzymaj.

Jack spojrział na niego ze zdziwieniem.

— C-4? Materiał wybuchowy?

— W rzeczy samej. Zawsze trochę go przy sobie noszę. Tak na wszelki wypadek.

— Chcesz nas wysadzić w powietrze?

— Lepsze to, niż zamarznąć na kość. — Costas grzebał dalej w kieszeni. Po chwili wyciągnął z niej miniaturowego pilota zdalnego odpalania. — Idę o zakład, że znajdujemy się w tej szczelinie, w której Kangia i tamci dwaj naziści widzieli długą łądź. Przezroczysty lód powstał z wody ablacyjnej, która ją załała. Nie jest taki twardy jak lód lodowcowy dookoła, a na dokładkę popękał, kiedy góra się przemieszczała.

Może uda nam się poszerzyć to pęknięcie. To nasza jedyna szansa.

— A co z dekompresją?

— Kiepska sprawa. Wygląda na to, że wciąż się zanurzamy. W szczelinie nad nami musi być jakiś wewnętrzny poziom wody, poniżej poziomu morza otaczającego górę. I ten wewnętrzny poziom się podnosi. Jeśli będzie to robił w tym tempie, to za pięć minut znajdziemy się w strefie zagrożenia.

— Mniej więcej na tyle wystarczy mi jeszcze trimiksu.

— Jeśli wcześniej nie zamrozimy. Cewka nie działa i woda zaczyna już gęstnieć. Pora brać się do roboty.

Jackiem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Z tak zimną wodą nie miał jeszcze do czynienia, nawet w największych oceanicznych głębiach. Z głębi góry lodowej doleciał kolejny złowieszczy trzask i szczelina nad nimi zwęziła się zauważalnie. Costas przekręcił się na plecy i spojrzał w górę, sunąc promieniem światła z reflektorka hełmu wzdłuż srebrzystej strugi pęcherzyków wydychanego powietrza rwącej ku sufitowi.

— Tego się właśnie obawiałem — powiedział cicho. Włączył się świdrujący uszy sygnał alarmowy sondy, bursztynowa kontrolka zgasła. — Tego też. — Przekręcił się z powrotem na brzuch, podjął z podłogi niszy topór i podał go Jackowi. — Ty masz dłuższą rękę. Szczelina jest najszersza nad sondą. Musisz wepchnąć w nią C-4, jak się da najwyżej. Ładunek jest już uzbrojony.

Jack wziął w jedną rękę brązową paczuszkę, w drugą topór. Costas przykucnął za nim, objął ramionami za nogi i dźwignął w górę. Jack, starając się nie zwracać uwagi na ból w udzie, z którego znowu siknęła krew, przegiął się w pasie do tyłu i dotknął wizjerem krawędzi szczeliny nad sondą. Umykające nią roje pęcherzyków powietrza nie pozwalały mu się zorientować co do rozmiarów, ale był to najwyraźniej wąski komin

strzelający wysoko w górę, szpara między płytami lodu. Wepchnął lewą ręką ładunek C-4 najwyżej, jak zdołał sięgnąć, klinując go w kominie. Potem przełożył do lewej ręki topór i podtrzymywany za nogi przez Costasa wsunął w komin drewniane stylisko. Poczuvszy, że stylisko napotkało na opór, pchnął mocno. Ładunek drgnął i powędrował wyżej.

— Dobra. Dalej nie dam rady.

Opadł na dno niszy obok Costasa i obaj wycofali się przez zamarzający sryż jak najdalej od komina w lodzie. Przywarli plecami do ściany w przeciwległym kącie niszy. Jack wsunął topór znowu pod paski palety z butlami trimiksu, po czym obaj schylili się i nasunęli płetwy na stopy. Jack objął mocno Costasa, zetknęli się hełmami wizjer w wizjer.

— Gdziekolwiek się teraz udamy, udamy się tam razem.

— *Semper fidelis.*

Jack pokręcił głową.

— Nie przestajesz mnie zadziwiać. Łacinę też znasz?

Costas uniósł pilota.

— Gotów?

— Gotów.

Szarpnął nimi potężny wstrząs, a od przeraźliwego zgrzytu, który mu towarzyszył, Jackowi ścierpły zęby. Wibracje rozmyły łód wokół w rozmazaną plamę. Nad kakofonię trzasków wzbil się ogłuszający grzmot i Jack odniósł wrażenie, że okłada go tysiąc pięści. Docisnął mocno wizjer do wizjera Costasa, chroniąc go przed śmigającymi we wszystkie strony okruchami lodu. Niemal równocześnie zgasły reflektorki na obu hełmach i pochłonęła ich dziwaczna, rozedrgana ciemność rozpraszana jedynie przez mdłą zieleń cyfrowych wyświetlaczy w hełmach. Coś wielkiego naparło na biodro Jacka i był już pewien, że rozgniecie go o ścianę niszy. Tylko jakimś cudem do tego nie doszło. Miał zawroty głowy, czuł, że są

zupełnie bezradni, koziółkują, kręcą się w kółko w kipieli lodu i wody u wlotu do rozchodzącej się szczeliny.

— Zasyś nas! — wrzasnął Costas. — Choćby nie wiem co, nie wstrzymuj teraz oddechu. Rozerwałoby ci płuca.

Jack oddychał coraz szybciej i płycej. W tym oszalałym wirze nie było niczego, na czym można by oprzeć oko, żadnego widzialnego punktu odniesienia. Obejmując kurczowo Costasa, spleciony z nim nogami, skupił się na obserwacji cyfrowego wyświetlacza w hełmie. Zdążył odczytać z niego, że są na głębokości dziesięciu metrów, i w tym samym momencie wystrzelili w górę. Wpatrzony w cyfry uświadomił sobie, że grozi im zator powietrzny, a co za tym idzie, choroba kesonowa. Zbyt szybko się wznosili.

I nagle znaleźli się na powierzchni. Znowu było jasno i widział ponad ramieniem Costasa budzący grozę błękitny świat skąpany w stalowym świetle zmierzchu. Pływali w ogromnym lodowym kotle co najmniej długości i szerokości „Seaquesta II”, otoczonym pionowymi ścianami. Jacka przytłaczał ten ogrom. Zadarł głowę i poszukał wzrokiem źródła światła. Wypatrzył je wysoko w górze — cienki pasek szarości, tam gdzie lodowe ściany niemal się zwierały, pierwszy przebłysk zewnętrznego świata. Ta szarość przetykana była czernią i błękitem, i zdawała się pędzić z olbrzymią prędkością.

— To pewnie jeden z tych wynaturzonych sztormów, które nadciągają od pokrywy lodowej — powiedział Costas. — On rozbijał naszą górę.

— *Piteraą.*

Kołysali się pośrodku stawu, trzymając w objęciach. Kontrolki ostrzeżenia przed dekompresją migotały bursztynowo, sygnalizując, że przeciągnęli strunę i grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo zapadnięcia na chorobę kesonową. Jack, świadom, że sześciomiesięczna przerwa w nurkowaniu mogła osłabić jego odporność, czekał tylko na pierwsze objawy —

mrowienie łokcia albo nagły przypływ nudności. Zerknął na wyświetlacz ciśnienia w trimiksie. Wskazanie zbliżało się do zera.

— Powietrze mi się kończy — powiedział. — Jeśli wypadnie znowu jakieś nurkowanie, będziesz się musiał ze mną podzielić.

— Od razu się do mnie podczep.

Jack wyciągnął wąż z palety butli Costasa i wcisnął zawór we wlot pod swoim hełmem. Zasycało i hełm wypełnił się znowu zdatną do oddychania mieszanką zbliżoną teraz składem do powietrza atmosferycznego, dobranym przez komputer do głębokości, na jakiej się aktualnie znajdowali. Jack przymknął oczy i z lubością wziął kilka oddechów.

— Powinno nam wystarczyć na jakieś dziesięć minut — powiedział Costas. — Najchętniej spędziłbym je na głębokości dziesięciu metrów, żeby poszerzyć margines dekompresji, ale nie stać nas na taki luksus. Czas pogania.

Woda uspokoiła się, powierzchnia stawu, jeszcze przed chwilą wzburzona wytryskiem, który wyrzucił ich z lodowego grobowca głęboko w dole, była teraz gładka jak lustro.

— Ta szczelina musiała się otworzyć, kiedy góra ruszyła i skruszył się cały lód z wody ablacyjnej — powiedział Costas. — Potem góra napotkała przeszkodę, prawdopodobnie ścianę progu od strony morza, i szczelina znowu się zawarła. — Rozejrzał się jeszcze raz po gładkiej tafli stawu. — Nie podoba mi się ten spokój. Trzymajmy się razem.

Chyba w złą godzinę to powiedział, bo w tym momencie ciszę zburzył rozdzierający trzask i lód z wodą ruszyły w kolejny opętańczy taniec. Na głowy runęła im lawina lodu, lodowe szpikulce cięły wodę jak włócznie. Jack przywarł do Costasa, zdając sobie sprawę, że utopi się, jeśli przecięciu ulegnie wąż będący jego ostatnią liną ratunkową. Cofnął się na moment myślami do trupa w lodzie, do swoich halucynacji,

ale szybko powrócił do rzeczywistości, a ta była coraz gorsza. Spadali z zawrotną szybkością, ześlizgiwali się po ścianach wiru zderzających się i ścierających brył lodu, zasysani z powrotem do zamrożonego wojownika i miejsca, w którym sami omal nie dokonali żywota. Woda opadała w takim tempie, że lecieli praktycznie w powietrzu, zanurzeni w niej tylko do pasa, objijając się o otaczające ich lodowe odłamy. Costas, przewyciężając się dośrodkową wiru, przyciągnął Jacka mocniej i przycisnął wizjer do jego wizjera.

— Ta woda wciągana jest w głąb, kiedy otwiera się szczelina!
— wrzasnął. — Trzymaj się mnie. Może uda mi się odwrócić ten proces.

Woda dookoła raptem się zakotłowała i zakryła ich z głowami. Zanurzali się coraz głębiej, ale szybko wytracali moment bezwładności. Po chwili Jack poczuł, jak jakaś siła przeciwna kierunkowi wiru wyciska mu powietrze z płuc i zaczyna go wypychać z powrotem ku powierzchni. Niesieni fontanną śryżu wyprysnęli wysoko ponad staw, uderzyli o lodową ścianę i kurczowo objęci sunęli po niej dalej w górę, szukając rozpaczliwie wolnymi rękami czegoś, czego można by się przytrzymać. Wkrótce osiągnęli apogeum i zaczęli się z powrotem ześlizgiwać. Zatrzymali się na lodowej półce wystającej ze ściany jakieś trzydzieści metrów nad powierzchnią stawu. Siedząc na niej w kucki i ociekając wodą, patrzyli, jak fontanna śryżu opada dalej w staw wzburzony u wylotu szczeliny, z której wytrysnęła.

— Co to, u diabła, było? — wydyszał Jack, spoglądając w dół.

— C-4 — odparł jak gdyby nigdy nic Costas. — Wyrzuciło nas z tamtej niszy, zanim zdążyłem go odpalić, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. — Schował pilota zdalnego odpalania do kieszeni na udzie. — No. Przemarżłem i zgłodniałem. Wynośmy się stąd.

— I to szybko. — Jack pokazał w dół palcem. — Spójrz tylko.

Patrzyli jak zahipnotyzowani w ziejającą pod nimi lodową czeluść, która zaczynała się właśnie zwięzać. Jej zwierające się ściany zgniatały i wypychały ku górze lodowy gruz. Większe bryły pękały z suchym trzaskiem, strzelając w górę śmiertcionośnymi okruchami. Mieli świadomość, że w tej kipieli już by nie przeżyli. Fruwające kawały lodu poszatkowałyby ich w mgnieniu oka, a ściany zamykającej się rozpadliny zmieliły jak maszynka do mięsa to, co by z nich zostało. Linia zwierających się ścian szczeliny przybliżała się ku nim szybko, nieubłaganie, z przerażającą konsekwencją, na podobieństwo potwornej paszczy czegoś żywego, plując gejzerem kruszącego się i rozpryskującego lodu.

— W rzeczy samej! — wrzasnął Costas, przekrzykując rumor.
— Wóz albo przewóz.

Położyli się na plecach. Pięćdziesiąt metrów nad sobą widzieli błękitne niebo i przemykające po nim szare smugi. Jedna z chmur rozstała się nagle i wyłonił się z niej ciemny kształt. Oślepiła ich wiązka światła z reflektora punktowego. Kształt wykręcił ostro, wlokąc za sobą jakąś wić, która odpadła od niego, uderzając o krawędź szczeliny.

— To lynx — krzyknął z podnieceniem Costas. — Próbuja zrzucić nam linę.

— Mówiłem im, żeby trzymali się z dala. Igrają z losem przy takiej wichurze.

— To mieli siedzieć z założonymi rękami?

— Niemożliwe, żeby utrafili liną w tę szparkę. Jedyna nadzieja w tym, że uda nam się wdrapać do wylotu.

Jack zerknął w dół. Linia zasklepiania się szczeliny była już blisko, nie dalej niż dwadzieścia metrów pod nimi, okruchy eksplodującego lodu dosięgały ich półki. Spojrzał znowu w górę. Gładkie jak szkło ściany pozbawione jakichkolwiek

występów. Euforię wywołaną widokiem helikoptera zastąpił nagle zimny strach. Kolejny koszmar, otarcie się o śmierć tego samego rodzaju co przed laty, w szybie zalanej kopalni.

Tam też widział wylot tunelu i płynął ku niemu co sił, a jakby stał w miejscu.

Nagle wcisnęło go w ścianę. Spojrzał znowu w górę i coś mu się przestało zgadzać.

— Czy ta szczelina nie powinna być pionowa?

— O, jasna cholera! Góra się przewraca!

Nastąpił potężny wstrząs i wszystko znieruchomiło. Linia zamknięcia podniosła się, była już nie dalej niż dziesięć metrów pod nimi. Przez wylot szczeliny widzieli cypel, na którym poprzedniego dnia odwiedzili starego Eskimosa.

Jackowi przemknęło przez myśl, że zapowiada się ładna pogoda, że wiatr oczyścił powietrze i pozostawia ziemię skapaną w roziskrzonym świetle. Potem znowu wrócił strach.

Muszą dotrzeć do wylotu szczeliny, bo inaczej zginą. Kiedy góra znowu się przewróci, ten wylot znajdzie się pod wodą, a oni w otchłani, co w jednej chwili przypieczeruje ich los.

— Topór! — Costas potrząsnął nim. — Dawaj topór!

Jack powrócił do rzeczywistości. Obejmując wciąż Costasa lewą ręką, prawą sięgnął za siebie i wyciągnął topór spod pasków palety. Dłoń, którą dotknął w przelocie uda, była lepka od krwi, i stylisko o mało mu się z niej nie wyśliznęło. Na szczęście Costas w porę je uchwycił. Wzięli wspólnie szeroki zamach i wbili żeleźce w lód przed sobą.

— Będzie trzymać — wysapał Jack. — Podciągaj się.

Naprężył mięśnie. Płetwami, które nadal miał na stopach, zapierał się jeszcze o półkę, ale kolana i łokcie szukały już jakichś zagłębień w lodzie, czegoś, co mogłoby powstrzymać go przed ześlizgiwaniem. Podciągnęli się na toporze, po czym wyszarpnęli go z lodu. Przez kilka sekund pozostawali bez żadnego zakotwiczenia, przywierając do lodu tak, jakby chcieli

się z nim stopić. Costas spojrział Jackowi w oczy i kiwnął głową. Jack cofnął topór za siebie i uderzył. Żeleźce zatoczyło szeroki łuk, ocierając się niemal o niedawno przeciwną ścianę, teraz sklepienie szczeliny, i utkwilo w lodzie półtora metra przed nimi. Zadarłszy głowę, żeby uwolnić topór i złożyć się do kolejnego uderzenia, Jack zobaczył ubranego na czarno nurka zwisającego na linie nie dalej niż sto metrów od góry lodowej, i dopiero teraz uświadomił sobie, że hałas, który słyszy, to warkot bliźniaczych silników Lynksa.

Nastąpił kolejny wstrząs i w szczelinie za nimi zagrzmiało przeciągle. Warkot helikoptera utonął w ogłuszającym trzeszczeniu lodu. Ściany szczeliny przybliżyły się. Topór był gotów do uderzenia, ale nie było miejsca, by je zadać. Jeszcze jeden wstrząs, zalała ich struga śryżu z głębi szczeliny, a potem wszystko stało się naraz. Wylot szczeliny znikł w kipieli zasysającego wiru, który wzniosł się ku nim, a oni polecili na łeb na szyję w jego kierunku po pochylającej się coraz bardziej ścianie. Jack, wciąż wlokąc za sobą topór, z głośnym pluskiem wpadł w wybiegającą mu na spotkanie wodę morską, zaraz potem runęła na niego kaskada wody z gardzieli szczeliny. Śryż, w którym niedawno o mało nie zamarzli, wyrzucił ich teraz jak tłok na zewnątrz góry. Chwilę później ściany lodu zwały się za nimi ostatecznie i zasklepiły szczelinę na dobre.

Ale to nie był jeszcze koniec. Jack zobaczył sunącą na nich ogromną ścianę rzeźbionej bieli rozciągającej się w obie strony jak okiem sięgnąć. Szczelina była już głęboko pod spodem, pozostało po niej tylko wspomnienie w postaci strużki pęcherzyków powietrza pełzających po boku unoszącej się nad czarną głębią góry. Patrząc na przewracającego się kolosa, Jack odnosił wrażenie, że sam pędzi w górę, ale było to tylko złudzenie, reakcja organizmu świadczyła, że jest dokładnie na odwrót.

— Wciąga nas! — wrzasnął Costas zdławionym głosem. —
Nadmij skafander i płyn co sił!

Jack, trzymając Costasa lewą ręką za ramię, uruchomił inflator i zaczął przebierać rozpaczliwie płetwami. Wskazanie głębokościomierza nie zmieniało się, co znaczyło, że stoją praktycznie w miejscu. Znajdowali się nadal w zasięgu oddziaływania góry lodowej, wciągało ich w głębię. Zadarł głowę i zobaczył słońce odbijające się od zwodniczo bliskich fal. Ścisnęło go w dołku. Wydostali się z góry lodowej, żeby umrzeć, mając powierzchnię w zasięgu wzroku. To niesprawiedliwe. Oddychał coraz szybciej, z coraz większym trudem, zużywając w nadmiarze resztki tlenu, jakie pozostały jeszcze w butli Costasa.

— Uwalniam cię od zbędnego bagażu. — Costas dyszał ciężko, jego hełm otaczała wielka ławica pęcherzyków wydychanego powietrza. Przebierając płetwami, odłączył Jackowi niepotrzebne już węże i przerzucił klamrę szybkiego odpinania. Aparat oddechowy i paleta z pustymi butlami trimiksu poleciały w otchłań. — Siebie też — wysapał. — Powietrza i tak zostało nam na niecałą minutę, czyli tyle co nic. Przygotuj się do odłączenia węża. Przestań na chwilę robić płetwami i kiedy powiem, weź pięć głębokich oddechów.

— Trzymam się ciebie — wykrztusił Jack. — Jak pójdziesz na dno, to ja z tobą.

Costas odczepił swój aparat oddechowy i ten szybko znikł im z oczu. Lewą ręką przerzucił klamrę szybkiego odpinania na plecach i przytrzymał ją, a prawą chwycił za wąż doprowadzający mieszankę do hełmu. Opadali, wciągani coraz głębiej przez przewracającą się górę lodową. Ich szanse na przeżycie malały z każdym metrem wzrastającej głębokości.

— Teraz!

Jack, zaciskając lewą dłoń na ramieniu Costasa, zaczerpnął pięć głębokich oddechów i wyszarpnął wąż. W tym samym

momencie Costas odłączył swój wąż i zwolnił paletę z butlami trimiksu. Szerokimi, silnymi wymachami płetw pokonali wciągającą ich siłę i zaczęli płynąć desperacko ku powierzchni. Jack w prawej ręce ścisnął wciąg topór.

Przez chwilę, dopóki krwiobieg miał przesycony tlenem, czuł się dobrze. Potem cena, jaką musieli zapłacić za ratunek, dała o sobie znać i odezwały się pierwsze oznaki dyskomfortu. Wznosili się w stałym tempie metra na dwie sekundy, ale od powierzchni dzieliło ich jeszcze dobre dwadzieścia metrów. Gdyby przestali przebierać płetwami, znowu by ich wciągnęło. Jack zaczynał się dusić, płuca domagały się instynktownie powietrza, wyciągając z hełmu jego resztki.

Nogi, pozbawione dopływu tlenu, zaczynały mu słabnąć. Wyczerpany wysiłkiem, tracił powoli przytomność. Nie da rady. Przestał walczyć i w ostatnim przebłytku świadomości szarpnął się, żeby uwolnić się z objąć Costasa, który nadal mocno machał płetwami, i w ten sposób zwiększyć szanse przyjaciela na dotarcie żywym do powierzchni.

Nagle ogarnęło go dziwne uczucie nieważkości. Nie przebierał już płetwami, a mimo to się wznosił. Przemknęło mu przez myśl, że to pewnie góra znieruchomiła. Instynktownie namacał zawór spustowy, żeby wypuścić ze skafandra powietrze i powstrzymać ten pęd ku górze. Nie zdążył, oślepiło go światło. Był na powierzchni. Odpiął hełm, zerwał go z głowy i łapczywymi haustami zaczął się zaciągać zimnym, świeżym, życiodajnym powietrzem. Nasycił się nim w końcu i rozejrzał z niepokojem po falach, osłaniając dłonią oczy przed bijącym od nich blaskiem. Dziesięć stóp od siebie zobaczył kudłatą głowę kołyszącą się jak spławik na wodzie.

— Wszystko w porządku? — wychrypiał.

— No, ten mały pływakki sprint rozwiązał nam przynajmniej problem dekompresji. — Głos Costasa brzmiał jakoś dziwnie, inaczej niż przez interkom. Przyjaciel unosił się na

wodzie odwrócony do niego tyłem i nie zwracając uwagi na otoczenie, wpatrywał się w dwa trzymane nad wodą wskaźniki. — Ale stwierdzam tu małą rozbieżność we wskazaniach. Nie rozumiem, skąd się wzięła. Trzeba nad tym popracować.

Jack zdobył się na nikły uśmiezek. Odrzucił głowę w tył, wystawiając twarz do słońca. Słyszał opuszczający się nad nimi helikopter, a potem plusk — to nurek ratownik zeskoczył w wodę. Uchylił powiekę i spojrzał na unoszące się obok, połyskujące złotem żeleźce, swoją zdobycz, którą dzierżył wciąż w ręku. I nagle zelektryzowało go wspomnienie nadzwyczajnego odkrycia, którego dokonali we wnętrzu góry. Poczuł przyływ adrenaliny. Rozpieranym podnieceniem, zamknął oczy. Zalała go zimna fala, pozostawiając po sobie strumyczki słonej wody ściekające po wargach. Smakowała wybornie.

11

— Fajną siekierkę tu macie.

— Zaczekaj, aż usłyszysz, co jeszcze znaleźliśmy.

James Macleod kończył opatrywanie głębokiej rany w nodze Jacka. Jack oparł się o grodz, poprawił hełm lotniczy i słuchawki. Twarz ściągało mu zmęczenie, e-skafander miał śliski od krwi, ale opatrunek zatrzymał krwotok. Mówiąc, robił krótkie przerwy na głębokie zaciągnięcie się tlenem z regulatora, który podano mu zaraz po wywindowaniu do ładowni Lynksa.

— Wolę ci nie mówić, jakie prawdopodobieństwo, że przeżyjecie, wyliczył Lanowski.

— Lepiej nie mów. — Jack był wykończony, ale czuł się w obowiązku opowiedzieć, co się stało.

— Ten *pitera*q kompletnie nas zaskoczył. Inuva mówiła, że z tym wichrem nie ma żartów, ale czegoś takiego się nie spodziewaliśmy. Nie mogliśmy nawet wyprowadzić helikoptera z hangaru. Coś strasznego, jakby tysiąc upiórów wyło jednym głosem.

— Widzieliśmy ze szczeliny.

— A kiedy góra się przewróciła, to już istne piekło się

rozpętało. Fala wyporowa załała wybrzeże i zmyła namiot, w którym rozmawialiśmy z Kangią. Był u niego akurat miejscowy szaman. Jak tylko wysadzimy was na „Seaqueście II”, helikopter poleci ich szukać, ale to beznadziejna sprawa.

— A Inuva? — spytał Jack.

— Miała szczęście. Była w tym czasie z Lanowskim.

Macleod urwał, żeby pomóc członkowi załogi, który obsługiwał winę, wciągnąć na pokład jeszcze jednego ociekającego wodą delikwenta. Po paru sekundach Costas siedział już przypięty pasami obok Jacka, nakładał hełm lotniczy i zaciągał się z lubością tlenem z regulatora, który mu wręczono.

— W porządku? — zwrócił się do niego Jack.

Costas zaciągnął się jeszcze kilka razy, po czym opuścił regulator i spojrzał na Jacka płacząco.

— Aha. Niech no zgodzę. — Jack zrobił przesadnie współczującą minę. — Twoja sonda lodowa.

— Miesiące przemyśleń i projektowania — westchnął żałośnie Costas. — A to był dopiero prototyp. Będę teraz musiał budować następną od zera.

— Jeśli o mnie chodzi, to nie ma pośpiechu — pocieszył go Jack. — Skreśliłem właśnie myszkowanie w pobliżu gór lodowych z listy swoich ulubionych zajęć. — Zwrócił się do Macleoda. — Jaki mieliście plan akcji ratowniczej?

— Kiedy okazało się, że góra przekoziółkowała o trzysta sześćdziesiąt stopni, obudziła się w nas nadzieja. Lanowski przypomniał sobie o tamtej starej szczelinie, która zamknęła się przed wojną nad długą łodzią, i wymodelował prawdopodobną linię pęknięcia. Wyliczył nawet moc ładunku potrzebnego do ponownego jej otwarcia. Wszystko sam.

— Niesamowity facet — mruknął Costas.

— I wysłaliście Bena, żeby go założył — domyślił się Jack. Macleod kiwnął głową.

— Zgłosił się na ochotnika. Sześć razy podchodził i nie udało mu się nawet zbliżyć do szczeliny. Wiatr nas spychał, nie mogliśmy utrzymać helikoptera na pozycji. Za którymś razem wypatrzył was w szczelinie. Próbował rzucić wam linę, ale wtedy góra znowu zaczęła się przekręcać.

— Jedno wam powiem, chłopaki — wtrącił Costas. — Jesteście bohaterami.

Macleod pokręcił głową i uśmiechnął się.

— Świadczymy tylko usługę transportową. Aż się wierzyć nie chce, że się z tego wykaraskaliście.

Człowiek obsługujący winę wciągnął na pokład helikoptera trzecią osobę i zawiesił hak na żurawiku. Ben zerwał z twarzy maskę i spoglądając z niepokojem na Costasa i Jacka, pozdrowił ich uniesieniem kciuka. Odpowiedzieli tym samym gestem.

— Dobra, Andy. — Macleod uderzył otwartą dłonią w grodz z fotelem pilota. — Zmywajmy się stąd. My tu jesteśmy już gotowi.

— Zrozumiałem.

Przypięli się pasami do siedzeń w tylnej części ładowni. Kiedy helikopter pochylił się w przód i zadygotał, nabierając mocy, Costas wskazał ręką topór leżący na kolanach Jacka.

— Tak przy okazji, dzięki za wyrąbanie z tamtej zamrażarki.

— Byłem ci to dłużny. Nie zapomniałem jeszcze, co nie tak dawno zdarzyło się w wulkanie.

Costas spojrział ciepło na przyjaciela i kiwnął głową. Jego twarz pobruździło nagle zmęczenie. Jack opadł na oparcie siedzenia i uniósł do twarzy maskę regulatora. Czuł, jak z każdym oddechem odżywa, jak tlen oczyszcza jego organizm z nadmiaru azotu. Po prawej widział ogromny masyw góry lodowej, tylko z pozoru litej i nieruchomej, po lewej, daleko w zatoce, białą sylwetkę „Seaquesta II”. Od momentu wynu-

rzenia się nie opuszczało go uczucie euforii. Po powrocie z Morza Czarnego przez kilka miesięcy zadawał sobie w skrytości ducha pytanie, czy bez względu na stawkę warto tak ryzykować, czy aby już się nie wypalił. Teraz miał pewność, że to mimo wszystko jego żywioł. Zamknął oczy i natychmiast zasnął. Nic mu się nie śniło.

— Biję się w piersi — powiedział Lanowski. — Nie uwzględniłem tego sztormu.

— Ważne, że nas ostrzegalesz — odparł Jack. — Pretensję mogę mieć tylko do siebie.

Jack i Costas siedzieli oparci o reling po lewej burcie pokładu dziobowego „Seaquesta II”, tam gdzie przed kilkoma minutami ich i Macleoda bezceremonialnie spuszczone z helikoptera. Statek utrzymywał pozycję w zatoce Disko, jakąś milę na zachód od wejścia do fiordu, i Jack, z miejsca gdzie siedział, miał widok na wierzchołek góry lodowej. Nawet z tej odległości budziła grozę i kiedy znajdowali się jeszcze na pokładzie helikoptera, przypomniła im o swojej potędze, cieląc się. Gigantyczna płyta lodu oderwała się od niej i ześliznęła w zatokę, a wywołana przez nią fala pływowa zalała ponownie wybrzeże, do którego przybili poprzedniego dnia, żeby odwiedzić starego Eskimosa. Mieli nadzwyczajne szczęście, że góra, kiedy w niej przebywali, przekoziółkowała o całe trzysta sześćdziesiąt stopni, że ogromna siła sztormu przywróciła ją z powrotem do pionu i przyparła do zewnętrznego zbocza progu. Kiedy znowu się przewróci, już tak zostanie, i wszystkie kieszenie powietrzne, znalazłszy się na głębokości ponad stu metrów, zostaną z niej wyparte przez lodową wodę morską.

Lanowski jako pierwszy z zespołu naukowego wybiegł na pokład dziobowy, na którym marynarze odbierali ich z heli-

koptera, i pomagał teraz Jackowi i Costasowi ściągać skafandry nurków. Zaraz potem dołączyła do nich Maria. Ulga malująca się na jej twarzy szybko przeszła w zaniepokojenie — zakrwawione udo Jacka wyglądało paskudnie. Lekarz okrętowy zdążył już zerwać prowizoryczny opatrunek i spryskiwał ranę koagulantem.

— Nie jest tak źle, jak wygląda. — Jack skrzywił się, bo w tym momencie lekarz przystąpił do zszywania, i pokazał zakrwawiony lodowy szpikulec. — Natura sama przyłożyła mi kompres.

— W czepku się urodziłeś — mruknął lekarz. — Mało brakowało, a ten sopel przebiłby ci tętnicę udową.

— Coś fantastycznego. — Lanowski, pogrążony w swoim świecie, kręcił głową i chichotał pod nosem. — Pod waszą nieobecność wytypowaliśmy z Inuvą miejsce na pokrywie lodowej, w którym tamta ekspedycja z tysiąc dziewięćset trzydziestego roku musiała znaleźć statek. Teraz, podstawiając nowe dane do wzoru na szybkość spływu lodowca, który jakiś czas temu wyprowadziłem, potrafię chyba wyliczyć, gdzie wikingowie wywlekli na lód swoją łódź, żeby wykorzystać ją w charakterze stosu pogrzebowego. Podejrzewam, że będzie to któryś z fiordów na północ od Ilulissat, gdzie pokrywa lodowa jest łatwiej dostępna od strony morza. — Poprawił okulary na nosie i spojrzał na Jacka. — Ustalenie w tej górze tak wąskiego marginesu datacji jest największym odkryciem całej ekspedycji. Powinno dostarczyć niezależnego potwierdzenia mojej teorii spływu, po raz pierwszy będziemy mogli dokładnie wyliczyć tempo przemieszczania się lodu w ciągu ostatniego tysiąca lat. Wasz trud nie poszedł na marne. Moje gratulacje!

— Człowieku, myśmy tam znaleźli długą łódź wikingów — zachnął się Costas. — To jedno z najbardziej sensacyjnych odkryć archeologicznych wszech czasów. A ty nam tutaj o szybkości spływania lodowców!

Lanowski spojrzął na niego niewidzącym wzrokiem. Myślami był już w świecie liczb i równań. Wyciągnął z kieszeni kalkulator i zaczął stukać zapamiętałe w klawisze, wznosząc co jakiś czas oczy ku niebu i mrucząc coś pod nosem. Po chwili odwrócił się na pięcie i oddalił bez słowa w kierunku nadbudówki. Zmierzał zapewne do sali komputerowej. Costas, odprowadzając wzrokiem jego przygarbioną postać, pokręcił z niedowierzaniem głową.

— To ci dopiero ciasny umysł.

— Ale genialny. — Jack uśmiechnął się do ociekającego jeszcze wodą morską przyjaciela. — I dlatego jest w naszym zespole. Ja z matmy orłem nigdy nie byłem.

Do Marii podszedł Jeremy. Trąciła go łokciem i wypchnęła przed siebie.

— Przetłumaczyliśmy tekst z tego znalezionej przez Niemców kamienia runicznego, który dostałeś od Kangii — powiedział nieśmiało.

— Wspaniale — ożywił się Jack. — Zamieniam się w słuch.

— To zachodnionordyckie runy z jedenastego wieku, różniące się sporo od tych, którymi posługiwano się w tamtym okresie w Anglii i Danii.

— No i?

— Miał na imię Halfdan.

— Wiemy. Weteran gwardii wareskiej z Konstantynopola. — Jack podniósł z kolan topór i Jeremy, który dopiero teraz go zauważył, oniemiał. Gapił się z otwartymi ustami na pokazywaną przez Jacka runiczną inskrypcję na żelźcu.

— O, ja cię kręcę! — wykrztusił Jeremy, dochodząc do siebie. — Identyczne z runicznym podpisem Halfdana w Hagia Sofia w Stambule.

— To on.

— Wysoki, w średnim wieku, jasne włosy i broda — wtrącił Costas. — Trochę sponiewierany i nadpalony po bokach, ale poza tym w całkiem niezłym stanie jak na gościa, który od tysiąca lat nie ruszył się z miejsca. Spotkaliśmy go w połowie drogi do Walhalli.

— Jak to?

Costas pokazał kciukiem na wejście do fiordu.

— W tamtej górze. Leży w lodzie. Byliśmy akurat nad centralną komorą grobową, kiedy góra się przekreśliła. Stos pogrzebowy musiał zgasnąć, kiedy łódź zapadła się pod lód, i płomienie zdążyły tylko osmalić Halfdana po bokach. Ten kamień runiczny leżał pewnie na jego piersiach.

Przez krąg słuchaczy przepchnął się marynarz i wręczył Jackowi karteczkę. Jack przebiegł wzrokiem treść i zapatrzył się w dal. Po jego wargach błąkał się nikły uśmieszek.

— Wiedziałem!

— Co wiedziałeś? — spytał Costas.

— Miałem pewne przeczucie, zanim jeszcze zeszedliśmy pod wodę. Nie podzieliłem się nim z tobą z obawy, że popukasz się w czoło. Pamiętasz, na jaki rok laboratorium dendrologiczne datowało tę próbkę drewna ze statku? Tysiąc czterdziesty, plus minus kilka lat. Kojarzyło mi się to nieodparcie z datą ucieczki Haralda Hardrada z Konstantynopola. Jeśli wierzyć sagom, doszło do niej mniej więcej wtedy, około roku tysiąc czterdziestego drugiego.

— No i?

— Poprosiłem laboratorium IMU o porównanie fragmentów desek, które znaleźliśmy w ogniwie konstantynopolskiego łańcucha, z próbką drewna z długiej łodzi, do której dowiercił się tutaj przypadkowo Macleod. Pełny zakres analizy, identyfikacja gatunków, charakterystyka przyrostu słoju, oznaczenie włókien, celulozy...

— Mów, mów.

— To nie tylko ten sam gatunek, dąb norweski, nawiasem mówiąc — podjął z podnieceniem Jack. — Nie do wiary. Obie próbki pochodzą z tego samego pnia. Z wyciętych z niego promieniowo desek.

— Zaraz. Chwila, moment. — Costas uniósł rękę w powstrzymującym geście i ściągnął brwi. Zbierał myśli. — Coś sobie od razu wyjaśnijmy. Chcesz przez to powiedzieć, że długa łódź, którą widzieliśmy w górze lodowej u wybrzeży Grenlandii, to jedna z tych dwóch, na których Hardrada uciekł z Konstantynopola z księżniczką i skarbem?

Jack spojrział dziwnie na przyjaciela i kiwnął głową.

— No jasne! — Costas pstryknął palcami. — Ta łata na kadłubie. — Spojrzął na pozostałych. — Fragment poszycia w okolicy dziubu łodzi został fachowo naprawiony — wyjaśnił. — Mamy to wszystko na zdjęciach. Myślałem, że uszkodzenie powstało w wyniku zderzenia z górą lodową albo jakąś skałą, ale właśnie tym fragmentem łódź mogła się nadziać na łańcuch przeciągnięty w poprzek portu, kiedy uciekali z Konstantynopola. — Pokręcił z niedowierzaniem głową i zwrócił się do Jacka. — Jeśli to jedna z łodzi Haralda, to gdzie skarb?

— Wątpię, żeby rzucili go na stos pogrzebowy — odparł Jack. — I nie wiemy, kiedy to się dokładnie stało. Halfdan, którego widzieliśmy, był już starszym mężczyzną. Być może przyplłynął tu wiele lat po konstantynopolskiej przygodzie, dajmy na to, żeby rozpocząć nowe życie w którejś z osad na Grenlandii. Wtedy Harald byłby już królem Norwegii, a skarb z wareskich czasów spoczywał bezpiecznie w jego twierdzy w Trondheim.

W tym momencie od strony fiordu nadleciał donośny huk, a po nim seria suchych trzasków rozbiegających się echem po nieruchomej tafli wody. Góra znowu się ocieliła i ogromna płyta lodu runęła w głąbię, by po chwili wyłonić się z niej

niczym wynurzający się wieloryb i kolebiąc, wypłynąć na zatokę.

— To co z tą długą łodzią? — spytał z ponagleniem w głosie Macleod, pokazując wymownym ruchem głowy na górę lodową. — Czasu mamy coraz mniej. Zbliżanie się tam teraz byłoby zbyt ryzykowne, ale można by spróbować jeszcze jednego przeczesania sonarem.

Jack obrócił trzymany w rękach topór tak, że w połączanym żeleźcu zaśniło słońce. Patrzył na nie przez chwilę w zadumie, potem przeniósł wzrok na Marię. Oboje mieli świeżo w pamięci wczorajsze odwiedziny u starego Eskimosa i jej obawy związane z Fenrirem, nordyckim bogiem-wilkiem, do których mu się przyznała. Wiedział teraz, że łeb Fenrira wieńczy rzeźbioną dziobnicę pogrzebaną w lodzie długiej łodzi i jest jej duchem stróżem.

— Zrobiłem setki zdjęć — odparł. — Wystarczy, żeby na ich podstawie sporządzić fotogrametryczną rekonstrukcję. Tę górę lepiej zostawić już w spokoju. Spotkaliśmy Halfdana zmierzającego do Walhalli. Pozwólmy mu dotrzeć do celu tej wędrówki.

— A topór?

Jack zważył broń w rękach.

— Mjollnira potraktuję jako pożyczkę — powiedział. — Służył wiernie Halfdanowi we wszystkich bojach stoczonych u boku Haralda Hardrada, a i nas uratował z kilku opresji, kiedy wydawało się, że to już koniec. Przynosi nadal to coś, co wikingowie nazywali bitewnym szczęściem. Odnoszę wrażenie, że ci staronordyccy bogowie nam sprzyjają, i to jedna z najlepszych wskazówek, jakimi dysponujemy. Skoro Halfdan nadal miał swój ukochany topór bojowy z konstantynopolitańskich czasów, to kto wie, co jeszcze mogli tu zabrać ze sobą wikingowie.

— O właśnie, byłbym zapomniął! — Costas wyprostował

się nagle i sięgnął do kieszeni na udzie swojego e-skafandra. — Wygrzebałem to z lodu, kiedy zaczęło tam nami poniewierać. Zupełnie wyleciało mi z głowy. — Pokazał sztylet z ozdobną rękojeścią, wielkości małego noża myśliwskiego. Stalowe ostrze załśniło w słońcu i z ust zgromadzonych wokół członków załogi wyrwał się zbiorowy okrzyk zachwyty.

— Pokaż. — Macleod wyciągnął rękę. — Coś mi się tu nie zgadza.

Costas podał mu nóż i dopiero teraz wszyscy zobaczyli, co zastanowiło Macleoda. Ogólny podziw przeszedł w niedowierzanie.

— Swastyka! — zawołał jeden z marynarzy.

Macleod obrócił sztylet w dłoniach.

— Tak myślałem — mruknął Macleod. — Znaleźli tę długą łódź. Czaszka ze skrzyżowanymi puszczelami, symbol trupiej główki. To nazistowski sztylet, broń noszona wyłącznie przez zaprzysiężonych członków SS.

Zaległa pełna konsternacji cisza, potem któraś z kobiet wchodzących w skład załogi zapytała cicho:

— Czy ktoś może mi wyjaśnić, skąd wziął się hitlerowski sztylet w długiej łodzi wikingów uwięzionej w górze lodowej na Grenlandii?

Macleod oddał sztylet Costasowi i spojrzał na Jacka.

— Chyba już pora oświecić załogę.

W tym momencie statkiem silnie zakołysało, co nie zdarzało się często jednostce wyposażonej w nowoczesny system stabilizacji dynamicznej. Morze pozostawało spokojne, zasnutę po sztormie stalowoszarą mgiełką.

— To góra! — krzyknął ktoś od lewej burty. — Przewrotkę robi!

Wszyscy, prócz Jacka i Costasa, rzucili się do relingu, żeby obserwować wejście do fiordu. Widowisko nawet z odległości mili wzbudzało grozę, stanowiło zapierającą dech w piersiach

demonstrację potęgi natury, nad którą człowiek nigdy nie zapanuje. Poprzez mgiełkę widać było, jak czoło ogromnej góry lodowej zsuwającej się po podwodnym progu znika pod wodą, a w miejsce ostrych szpikulców lodu z wierzchu lodowca pojawiają się gładkie obłoczi, wyszlifowane przez morze i poznaczone czarnymi smugami w miejscach, gdzie góra ocierała się swoją podwodną częścią o próg. Patrząc na nieruchomiejącą górę, Jack i Costas zdali sobie sprawę, że długa łódź już na zawsze pozostanie w głębinach, że zmarły wojownik pożegluje na jej pokładzie dawnym morskim szlakiem wikingów na południe, ku Nowemu Światu, by na koniec, kiedy góra się roztopi, znaleźć miejsce swojego ostatniego spoczynku gdzieś na dnie Atlantyku. Mało brakowało, a i oni towarzyszyliby mu teraz w tej podróży. Jack ścisnął mocniej stylisko topora, Costas oparty o parapet odprowadzał wzrokiem górę wypływającą majestatycznie na otwarte morze.

Jacka bolała noga, cały czuł się poobijany i nieludzko zmęczony. Widział Marię rozmawiającą z ożywieniem z Jeremym, zupełnie jakby próbowała go do czegoś przekonać. Po chwili odłączyli się oboje od ludzi zgromadzonych przy relingu lewej burty i ruszyli z powrotem przez pokład dziobowy — ona przodem, Jeremy, ociągając się, za nią. Dogonił ich Macleod.

Kiedy podeszli, Jack zwrócił się do Jeremy'ego:

— Nie powiedziałeś nam, co jeszcze wyczytałeś z tego kamienia runicznego.

— Nie zdążyłem. — Jeremy wyciągnął z kieszeni palmtop, włączył go i odchrząknął. — Mocno się trzymajcie.

— Mów.

— Runów jest w sumie pięć linijek, wyryła je w kwarcu ta sama ręka. Jak już wspomniałem, są nordyckie, pochodzą z jedenastego wieku i dowodzą, że nasz wojownik to ten sam

Halfdan, który wydrapał swoje imię na balustradzie w Hagia Sofia w Konstantynopolu.

— No dobrze, ale co mówią?

Jeremy ponownie odchrząknął.

— Musiałem dodać od siebie parę spójników, żeby całość nabrała potoczystości, ale treść w wolnym tłumaczeniu brzmi następująco: *Halfdan zmarł tutaj z ran odniesionych w bitwie z królem Anglii pod Yorvik. Halfdan stanie znowu do walki w zastępach Odyna w Ragnarók. Harald Sigurdsson, jego król, wyrwał te runy zimą po bitwie. Wilk zabiera Halfdana do Walhalli. Orzeł odpływa na zachód do Winlandii.*

Zaległa cisza. Jack patrzył szeroko otwartymi oczami na Jeremy'ego.

— Harald Sigurdsson to Harald Hardrada.

— Inskrypcja na Mappa Mundi z Hereford sugeruje, że tu dotarł — wtrąciła Maria. — Teraz nie mamy już co do tego wątpliwości.

Jeremy kiwnął głową.

— „Wilk”, to pewnie nazwa łodzi w łodzi. Druga łódź, „Orzeł”, popłynęła do Winlandii. Tak nazywa się osada wikingów na Nowej Fundlandii, ich wysunięty najdalej na zachód i jedyny znany nam w Ameryce Północnej przyczółek.

— Chwileczkę. — Jack nie mógł pozbierać myśli. — Yorvikiem nazywali wikingowie miasto York leżące jedenaście kilometrów na zachód od Stamford Bridge. Tu może chodzić tylko o bitwę pod Stamford Bridge, którą w tysiąc sześćdziesiątym szóstym król Anglii Harold Godwinson stoczył z królem Norwegii, Haraldem Hardrada.

— Zgadza się.

— Ale przecież Harald Hardrada poległ pod Stamford Bridge.

— Tak czytamy w książkach historycznych — powiedział cicho Jeremy. — Nie zapominaj jednak, że żadnej z nich nie

pisał naoczny świadek bitwy. Wypadki tamtego roku zostały całkowicie przyćmione przez podbój normański, a trudno oczekiwać, żeby normańskie kroniki opiewały zwycięstwo Anglików. Większość naszej wiedzy o nim pochodzi z krótkich wzmianek w *Anglo-Saxon Chronicle* oraz z *Heimskingla*, półmitycznych żywotów królów Norwegii spisanych na Islandii blisko dwa wieki później. W egzemplarzu *Anglo-Saxon Chronicle*, który znaleźliśmy w bibliotece w Hereford, jest o tej bitwie tylko kilka linijek.

— Łatwo coś pominąć, o przeinaczeniu nie wspominając — wymruczał Costas.

— Boże. — Jack oparł się plecami o reling. — A więc Harald Hardrada uszedł spod Stamford Bridge z życiem. To wszystko zmienia. Jakimś sposobem zdołał z niedobitkami swoich wojowników dotrzeć tutaj tymi samymi łodziami, na których dwadzieścia lat wcześniej uciekali z Konstantynopola. Pamiętacie skarb z Michelgardu, to nieprawdopodobne odwołanie do niego na mapie z Hereford? Harald, wyruszając do Anglii, musiał zabrać ze sobą swój skarb, pewien, że zwycięży i przeniesie go w triumfalnym pochodzie przez York i Londyn, do czego nigdy nie doszło. Pokonany, popłynął z nim i swoimi ocalałymi druhami na zachód, szukać nowej ziemi poza krańcem świata wikingów. — Jack uniósł topór

Halfdana i uśmiechnął się. — Znowu dopisało nam bitewne szczęście. Wiedziałem, że warto będzie się tu wybrać.

— To też może cię zainteresować. — Costas sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojego e-skafandra, pogrzebał i wyciągnął małą grudkę lodu. — Nie mówiłem wcześniej, bo myślałem, że mi wypadło, kiedy góra się przewracała. Leżało luzem nad komorą grobową, niedaleko tego hitlerowskiego sztyletu.

Jack wziął od niego topniejącą bryłkę, obrócił w palcach i przekazał Marii. Z jednej strony coś połyskiwało. Maria przyjrzała się bliżej.

— To pierścień — mruknęła. — Styl wikingów. Plecione złoto, jak miniaturowa ozdobna obręcz na ramię albo na szyję. Ale pierwszy raz widzę taki. — Zaczęła ogrzewać lód w dłoniach i pocierać go, odsłaniając stopniowo zatopiony w nim złoty pierścień. Po paru chwilach uniosła go do światła. — Na powierzchni odcisnięty jest jakiś wzór. To... — Urwała, ale szybko się opanowała. — Jack, powiedz mi, że nie mam zwidów.

Podąła pierścień Jackowi i ten spojrzał na niego przez warstewkę lodu, która nadal do niego przywierała. Symbol mienił się pod lodem, rozszczępiany przez światło słoneczne na mrowie rozmaitych kształtów, ale co do ogólnego zarysu nie mogło być żadnych wątpliwości.

— Menora!

Jack wpatrywał się z walącym sercem w siedmioramienny kształt. Działo się coś niesamowitego. Najpierw łódź wikingów w łodzie — pogrzebowy statek wareskiego wojownika, człowieka służącego pod Haraldem Hardradą. Halfdan przyplłynął na drugą stronę świata jedną z łodzi, na których Hardrada uciekł z Konstantynopola. Statek ten wydostał się ze Złotego Rogu dokładnie w miejscu, w którym jeszcze przed kilkoma dniami stali na pokładzie „Sea Venture” Jack z Costasem. A teraz to, ten niezwykle łącznik z największym zaginionym skarbem starożytności, który, jak podejrzewał do tej pory Jack, po bitwie pod Stamford Bridge został dla świata na zawsze stracony.

— Za bardzo się nie podniecaj — powiedział cicho Costas. — Jeszcze może się okazać, że to nie to, na co wygląda.

— Nie rozumiem.

Costas przysunął się bliżej i przyglądał uważnie.

— Powiedz mi, że nie mam zwidów, cytując Marię.

Jack odwrócił pierścień i zaniemówił z wrażenia. Ujrzał symbol znany tak samo dobrze jak menora, ale z pewnością

współczesny. Widzieli go przed kilkoma minutami na sztylcie.
Swastyka.

Jack podniósł powoli wzrok. Uniesienie wyparła konsternacja.
Maria spojrzała na niego, a potem ze ściągniętą twarzą zwróciła się
do Jeremy'ego.

— Już pora — rzekła stanowczo. Przykucnęła między Jackiem i
Costasem. Jeremy stał dalej, wyraźnie zdenerwowany i bledszy niż
zwykle. — Jack — powiedziała cicho Maria — chodzi o tę
nazistowską ekspedycję. Musisz dowiedzieć się o niej czegoś
więcej. Tu wchodzi w grę siły daleko mroczniejsze, niż nam się
wydaje. Jeremy ma ci coś do powiedzenia.

12

Maria z Jeremym wprowadzili Jacka i Costasa do opactwa Iona okazałym zachodnim wejściem i wszyscy czworo ruszyli nawą wyłożoną wydeptanymi kamiennymi płytami. Panujący tu chłód dawał wytchnienie od letniego upału i przyjemnie odświeżał. Z boku nawy stał wysoki blondyn z rękoma złożonymi na piersi i wspierając brodę na dłoni, patrzył zamyślony w wychodzące na wschód okno nad ołtarzem, przez które do środka wlewało się światło słoneczne. Na widok Jacka otrząsnął się z zamyślenia i bez słowa wskazał niskie drzwi naprzeciwko. Jack podziękował mu skinieniem głowy. Wyszli na otwarty klasztorny dziedziniec.

— Ojciec O'Connor czeka na nas — powiedział Jeremy. — Jest długoletnim członkiem społeczności Iony i ma w północnym skrzydle swój pokój, w którym zaszywa się, żeby studiować i pisać, kiedy tylko uda mu się wyrwać z Watykanu.

— Można mu ufać? — spytał Costas. Jego głos zabrzmiał gromko w klasztornych murach. — Bo prawdę mówiąc, to mało o nim wiemy.

Maria zatrzymała się w pół kroku i zgromiła go spojrzeniem.

— Nie byłoby cię tutaj, gdybym mu nie ufała.

— Dobrze już, dobrze. — Costas zerknął na Jacka dającego mu znaki, żeby odpuścić. — Przepraszam. Tylko że ciągnął nas taki szmat drogi.

— Nalegał, żebyśmy tu do niego przyjechali — odburknęła Maria i sięgnęła po telefon komórkowy. — Muszę zadzwonić. Nie czekajcie na mnie, Jeremy zna drogę. Zaraz tam do was przyjdę.

Przylecieli tego ranka embraerem IMU z Grenlandii do Glasgow w Szkocji, a stamtąd helikopterem na odległą o sto mil na północny zachód wyspę Muli. Jack i Costas, którzy zaledwie przed dwudziestoma czterema godzinami ledwo uszli z życiem z wnętrza góry lodowej, przespali prawie całą podróż.

Z Muli przedostali się na świętą wysepkę Iona promem kursującym przez wąski kanał do Port Rónain i ruszyli przez wioskę wydeptanym przez pielgrzymów szlakiem do zabudowań opactwa wznoszącego się pośród łąk, na tle roziskrzonego błękitnego morza. Jeremy opowiadał im po drodze, że budowla stoi tu od tysiąca pięciuset lat, przetrwała najazdy wikingów, reformację i porzucenie, a teraz znowu jest siedzibą dobrze prosperującego klasztoru i jednym z najświętszych miejsc na Wyspach Brytyjskich.

Przeszli skapaną w słońcu alejką do innych niskich drzwi, wspięli się drewnianymi schodami na poddasze i zatrzymali przed kolejnymi drzwiami w korytarzyku, którego okna wychodziły na opactwo. Jeremy zapukał i po chwili dał się słyszeć zgrzyt odsuwanej rygla, a potem brzęk odpinanego łańcucha.

— Witam panów. — Ojciec O'Connor wpuścił ich do środka i na powrót zaryglował drzwi. W prostym, brązowym habicie, który miał tym razem na sobie zamiast jezuickiej sutanny, z krótko przyciętymi siwymi włosami i zwyczajnym drewnianym krzyżem zawieszonym na piersi przywodził na myśl średniowiecznego mnicha. Twarz miał bladą i wymize-

rowaną, wyglądał starzej niż przed trzema dniami w Kornwalii. Izdebka była ciasna, zapchana książkami i dokumentami, na biurku w kącie stał laptop O'Connora. Podeszli tam i zajęli miejsca na drewnianych krzesłach ustawionych w półkole przed biurkiem. Nad małym kominkiem naprzeciwko wisiała pomniejszona reprodukcja Mappa Mundi, obok, oparta o ścianę, stała zeskanowana kopia pierwowzoru mapy z niezwykłym przedstawieniem Nowego Świata w dolnym lewym rogu. Tę mapę Jeremy i Maria znaleźli na zamurowanych schodach w katedrze Hereford.

— Przejdźmy od razu do rzeczy — zagaił O'Connor. — Jesteście zmęczeni po podróży.

Jack kiwnął głową, otworzył torbę, którą ze sobą przyniósł, wyjął z niej nazistowski sztylet oraz złoty pierścień z symbolem menory i położył je na biurku przed O'Connorem. Na widok tych przedmiotów książdź wzdrygnął się lekko i odwrócił wzrok. Szybko jednak wziął się w garść i spojrzał na Jacka.

— Pozwólcie panowie, że na wstępie przeproszę Jeremy'ego za obarczenie go tym brzemieniem. Wtajemniczyłem go w sprawę przed ponad rokiem, kiedy przybył na Ionę badać tutaj wczesne runiczne inskrypcje. Już od jakiegoś czasu szukałem młodszego kolegi, naukowca, który mógłby przejąć po mnie pałeczkę. Odebrałem od niego przysięgę, że dochowa tajemnicy, ale kiedy spotkaliśmy się teraz w Kornwalii, powiedziałem mu, że nadszedł być może czas wyjawienia wam wszystkiego. Do wczoraj nawet Maria nic nie wiedziała.

— Jeśli to coś naprawdę istotnego, powinien był książdź podzielić się z nami swoją wiedzą, kiedy rozmawialiśmy o Mappa Mundi i menorze — zauważył z lekkim rozdrażnieniem Jack.

— Musiałem się najpierw co do was upewnić. Wierzcie mi, stoję po waszej stronie i mamy wspólnego wroga.

— Nic mi nie wiadomo o żadnym wrogu.

O'Connor poprawił się na krześle, popatrzył z odrazą na leżące przed nim przedmioty, a potem pochylił, opierając łokciami o blat.

— Zaczniemy od nazistów. Jak się zapewne domyślacie, nie wy pierwsi szukacie menory.

— Nawet by mi to do głowy nie przyszło — powiedział wesoło Costas. — Cudów nie ma. Ktoś tam, gdzieś tam zawsze będzie jej szukał. Ludzie nie zapominają tak łatwo o zaginionych skarbach.

O'Connor uśmiechnął się blado i zaraz spoważniał.

— To nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. I nie ma w tym nic do śmiechu. Żebyście zrozumieli, kogo mamy przeciwko sobie, najlepiej będzie chyba scharakteryzować na początek osobników, którzy uczestniczyli w tej ekspedycji zorganizowanej w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym przez *Ahnenerbe*.

— O Künzlu wiemy, ale wciąż nie potrafimy ustalić, kim jest ten z opaską. — Uspokojony już trochę Jack rzucił na biurko fotografie, które dostał od Kangii.

— Niewykluczone, że coś pomogę — powiedział cicho O'Connor. — Watykan, pomny skandalu, jakim było nie potępienie nazistów przez papieża Piusa Dwunastego podczas drugiej wojny światowej, jest na tym punkcie szczególnie uczulony. Objąłem ostatnio stanowisko rzecznika Watykanu do spraw Holocaustu. Współdziałamy oficjalnie z organizacjami żydowskimi w tropieniu zbrodniarzy wojennych. Większość z tych, którzy uniknęli dotąd kary, niestety już poumierła, ale my nadal staramy się odkrywać na potrzeby historii rozmaite niewyjaśnione do końca wątki z ich życiorysów.

— Bardzo bym się zdziwił, gdyby święty Piotr któregoś z nich przepuścił — wyburczał Costas.

— Bóg ich osądzi — odparł O'Connor. — Ale w piekle jest najpewniej specjalny oddział dla morderców dzieci.

Ktoś zapukał. O'Connor podniósł się zza biurka, wyjrzał przez judasza i otworzył drzwi, wpuszczając do izby Marię. Patrzyli na nią wyczekująco, kiedy zajmowała wolne krzesło obok Jacka. Była blada, rozkojarzona.

— Miałam rację — powiedziała. — Rozmawiałam właśnie ze starym przyjacielem pracującym w Centrum Studiów nad Holocaustem Wiesenthala w Berlinie. — Jack przypomniał sobie, że jej ojciec miał sefardyjskie korzenie i Maria jest z pochodzenia Żydówką. — Nasz nazista był studentem uniwersytetu w Heidelbergu, którego nie ukończył, co jednak nie przeszkadzało mu uważać się za wybitnego antropologa. Do SS wstąpił w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim. Po powrocie z ekspedycji *Ahnenerbe* zgłosił się na ochotnika do Totenkopfverbande, oddziałów Trupich Główek. Tych, które prowadziły obozy koncentracyjne. Nazywał się Andrus Reksnys.

— Nie był Niemcem? — spytał Jack.

— Litwinem — odparła Maria.

— Na wezwanie Himmlera odpowiadało wielu spoza Vaterlandu — powiedział O'Connor.

Zaświergotał telefon komórkowy Marii. Spojrzała na nich przepraszająco i wymknęła się na korytarz. O'Connor przebiegł palcami po klawiszach laptopa, szukając właściwej strony internetowej.

— Znam tego człowieka — powiedział cicho. — O, jest. Obrócił komputer ekranem w ich stronę. Widniał na nim zeskanowany i przetłumaczony z niemieckiego dokument.

Szef policji i służby bezpieczeństwa, Berlin,
5 listopada 1941
W 55 kopiach

(kopia 51.)

MELDUNEK OPERACYJNY O SYTUACJI W ZSRR

NR. 129a

Einsatzgruppe D

Miejsce: Nikołajewo Ukraina

Załącznik do Meldunku Nr. 129 dotyczącego działalności *Einsatzkommandos* w zakresie oczyszczania terenu z Żydów oraz likwidacji oddziałów partyzanckich. SS-Sturmbahnführer Andrius Reksnys osobiście stracił 341 Żydów. Uaktualniona liczba za ostatnie dwa tygodnie: 32 108.

— *Einsatzgruppen*. — O'Connor z odrazą wydusił z siebie to słowo. — Ruchome szwadrony śmierci Himmlera. Odpowiedzialne, między innymi, za wymordowanie ponad miliona sowieckich Żydów.

— Jak temu potworowi udało się uniknąć kary?

— Całkiem zwyczajnie. — W głosie O'Connora zabrzmiała nutka wzburzenia. — Przed sądem stanęła w sumie szokująco nieliczna garstka członków *Einsatzkommandos*. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym ruszyła decydująca rosyjska ofensywa, Reksnys przebrał się w mundur szeregowca Wehrmachtu i uciekł na zachód, gdzie poddał się Brytyjczykom. W trakcie przesłuchań zrodziły się, co prawda, pewne podejrzenia, ale nie było to nic konkretnego. Po zwolnieniu w roku czterdziestym siódmym Reksnys, już pod nazwiskiem Schmidt, odebrał syna z sierocińca i wyjechał do Australii. Zbił tam fortunę na wydobywaniu opali w okolicach Darwin. Potem, w połowie lat sześćdziesiątych, ni z tego, ni z owego sprzedał kopalnię i znikł.

— A syn? — spytał Jack. — Przecież był za mały, żeby brać udział w wojnie.

— W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym

Pieter Reksnys miał sześć lat — odparł O'Connor. — Ale na procesie członków *Einsatzgruppen* w Norymberdze w czterdziestym siódmym Żydówka ocalała z pogromu zeznała, że Sturmbahnführerowi Reksnysowi towarzyszył w pracy chłopiec w mundurze Hitlerjugend. Było to najbardziej wstrząsające zeznanie całego procesu. Podobno ten chłopiec ładował ojcu lugera przed każdą egzekucją, a niektórych sam dokonywał. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych do ścigania zbrodniarzy wojennych włączył się Interpol, właśnie to zeznanie doprowadziło do wytropienia Andriusa i Pietera Reksnysów w Meksyku, gdzie syn kierował kartelem narkotykowym i nielegalnie handlował antykami. Ma obecnie siedemdziesiąt lat i nadal tam przebywa.

— Czemu tak długo to trwało? — zapytał z niedowierzaniem Costas. — Dlaczego wcześniej nie udało się ich namierzyć?

— Wbrew hollywoodzkiej propagandzie, ściganie nazistowskich zbrodniarzy wojennych z końcem lat czterdziestych przestało Zachód interesować. Priorytetem największych agencji wywiadowczych — CIA, brytyjskiego SIS — stało się szpiegostwo w ramach zimnej wojny. Wiedzieli wszystko o Eichmannie, Mengelem i innych nazistach, którzy uciekli do Ameryki Południowej i Środkowej, ale panowało powszechne przekonanie, że nie stanowią oni żadnego zagrożenia. Tylko Izraelczycy nadal poważnie podchodzili do tropienia i stawiania ich wszystkich przed sądem.

— I teraz mamy za swoje — mruknął Costas.

— Niezupełnie. — O'Connor wysunął szufladę i położył na stole fotografię w plastikowym etui. — Pewnie uszło to waszej uwagi. Krótkie wzmianki w gazetach sprzed ośmiu lat, a w rzeczywistości śmierć najwyższego postawionego nazisty po straceniu Eichmanna.

Fotografia była szokująca. Przedstawiała martwego męż-

czynną leżącego na wznak w kałuży krwi. Oczy i usta miał szeroko otwarte, twarz wykrzywioną bólem. Był stary, ubrany w ciemny garnitur. Rękaw przerzuconej przez pierś prawej ręki zdobiła zakrwawiona czerwona opaska z czarną swastyką.

— Nadal nosił tę opaskę w zaciszu swojego domu — powiedział O'Connor. — Do końca pozostał zatwardziałym nazistą. Na wypadek gdybyście go nie rozpoznawali, dodam, że to Andrius Reksnys. Strzelono mu w brzuch, żeby umierał powoli i miał czas uzmysłwić sobie, dokąd idzie.

— Mossad? — spytał Costas.

— Izraelczycy wnieśli tu swój wkład — przyznał cicho O'Connor. — Ale w zasadzie była to niezależna operacja.

— Jak to rozumieć?

— Andrius Reksnys był sługą szatana — powiedział chłodno, z nieprzeniknioną miną O'Connor. — Wysiłki podejmowane przez międzynarodowe organa ścigania nie doprowadziły do jego ujęcia i postawienia przed sądem. A wedle wszelkich praw ludzkich i boskich zasłużył sobie na karę.

— Chce ksiądz przez to powiedzieć, że Watykan ma na etacie pluton egzekucyjny? — spytał z niedowierzaniem Costas.

— Stolica Apostolska sprawuje nie tylko duchowe przywództwo — powiedział O'Connor. — Przez wieki o naszym przetrwaniu w okrutnym świecie decydowała siła, umiejętność przekonywania opornych, by podporządkowali się woli Boga. Weźcie choćby mój zakon, jezuitów. Albo krucjaty. Albo inkwizycję. Przez wieki Watykan utrzymywał najskuteczniejszą tajną siatkę wywiadowczą świata i nigdy nie zawahał się jej wykorzystać.

— Krucjaty trudno chyba nazwać chwalebny epizodem, nawet jeśli intencje, które za nimi stały, były szczytne — wymruczał Costas. — Nikt mi, na przykład, nie wmówi, że papieżowi chodziło po głowie złupienie Konstantynopola.

— I tu pana zaskoczę — powiedział O'Connor. — Papiestwo od początku musiało walczyć z pokusą zbyt głębokiego ingerowania w sprawy świeckiego świata, dokładać wszelkich starań, by nie stracić z oczu duchowej płaszczyzny, która jednoczy wszystkich chrześcijan. Kiedy organizowano czwartą krucjatę, Watykan miał właśnie poważny problem z Kościołem wschodnim, schizmatykami, których uznawał za heretyków. Zrodziła się nienawiść, a tam gdzie nienawiść, łatwo o utratę zdrowego rozsądku. Niektórzy apologeteci marszu na Konstantynopol twierdzili nawet, że ten właśnie cel wyznacza krucjacie Bóg, że ma ona wymierzyć karę za zejście ze słusznej drogi.

— Ta nienawiść była odwzajemniona — wtrącił Jeremy. — Naoczny świadek tamtych wydarzeń, Bizantyjczyk Niketas Choniates, nazwał krzyżowców forpoczta antychrysta, a ich rozpasanie i okrucieństwo zapowiedzią tego, co czeka świat, kiedy ten nadejdzie.

— Stolica Apostolska nieustannie wodzona jest na pokuszenie przez siły ciemności — podjął O'Connor. — Zdarza się często, że ci, którzy walczą z szatanem, niepostrzeżenie dla samych siebie przejmują jego metody. Krucjaty były największym wyzwaniem średniowiecza i nie zawsze potrafiliśmy mu sprostać. Historia obfituje w przykłady potwornych tendencji, które rozkwitły w chwilach naszej słabości. Są wśród nas tacy, którzy uważają, że musimy zmyć z siebie hańbę, jaką było nie przeciwstawienie się największemu ze wszystkich zła — nazistowskiemu Holocaustowi.

— A więc śmierć Reksnysa nie ma nic wspólnego z menorą — powiedział Jack.

O'Connor nie odzywał się przez chwilę, potem wstał.

— Obawiam się, że wprowadziłem was w błąd. Jego śmierć jak najbardziej wiąże się z menorą. Wybaczcie.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi i O'Connor wpuścił

do izby wracającą Marię. Usiadła, obracając w dłoniach telefon komórkowy.

— Dostałam wiadomość z Hereford — odezwała się w końcu, spoglądając na obecnych z powagą. — Fantastyczna sprawa. Mój zespół z oksfordzkiego instytutu zakończył wydobywanie manuskryptów z tych zamurowanych schodów. Coś niebywałego, mamy do czynienia z największym z odkrytych do tej pory zbiorów anglosaskich pism. To tak, jakby odkryć legendarną rzymską bibliotekę w Villa dei Papiri w Herkulanum. Czeka nas mnóstwo pracy przy ich inwentaryzowaniu i konserwacji. — Zerknęła na Jeremy'ego, który słuchał tego z przejęciem. — Roboty w najbliższym czasie będziemy mieli huk, chyba że chcesz już wracać do Stanów.

— Nigdzie się nie wybieram — zachnął się Jeremy.

— To skąd ta ponura mina? — Costas przyglądał się badawczo Marii.

— Bo znaleźli tam coś jeszcze. — Maria sposepniała. — Na samym dnie, pod zwałami papieru i welinu. Szkielet człowieka. Wysokiego, w mnisim habicie. Leżał tam od setek lat, od średniowiecza. Ręce i nogi miał połamane, tak jakby go tam zrzucano. I strzaskaną potylicę.

W milczeniu, jakie zaległo, O'Connor podszedł do wiszącej na ścianie reprodukcji Mappa Mundi i odwrócił się do gości.

— Tego się właśnie spodziewałem. Wiosną tysiąc dwieście dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Richard of Holdingham, kartograf, przybył tutaj, na wyspę Iona. Towarzyszył swojemu schorowanemu mistrzowi Jakubowi de Voragine, arcybiskupowi Genui, w jego ostatniej podróży. Stąd Richard udał się na południe, do Hereford, żeby nadzorować tam prace nad ukończeniem mapy, którą zaczął wykreślać przed piętnastu laty. Do inskrypcji wkradły się błędy, które chciał skorygować. Zostawił tam wcześniej pierwowzór, szkic, na którym mieli się opierać mnisi z Hereford, a iluminator nie był zbyt

rozgarnięty i trzeba mu było patrzeć na ręce. Teraz, mając sporządzony przez Richarda osobiście oryginał, który znaleźli Maria i Jeremy, wiemy, że zamierzał do swojego dzieła dodać coś jeszcze, że miał sekretne uzupełnienie, które chciał wstawić w lewym dolnym rogu, tam gdzie mnisi umieścili później inskrypcję, wymieniając go w niej jako twórcę mapy.

— O'Connor zatrzymał się przed kominkiem i zamyślił. — Wiemy, że ostatnią noc spędził w pałacu biskupa Swinfielda w Bromyard, by rankiem ruszyć w przebraniu pielgrzyma do niedalekiego już Hereford. I tyle go widziano. Korekt nigdy nie naniesiono. A o nim wszelki słuch zaginął.

— Myśli ksiądz, że został zamordowany? — spytała Maria.

— Nigdy w to nie wątpię.

— Byłam z nim tak związana — wyszeptała Maria głosem drżącym z emocji, zaciskając dłonie na krawędziach krzesła. — Od dawna fascynowała mnie jego postać, ale nigdy nie czułam z nim takiej bliskości, jak tamtego wieczoru w katedrze. Miałam wrażenie, że stoi obok.

— Morderstwo? — spytał skonsternowany Costas. — I co ten gość robił na Ionie? Czy ktoś mi łaskawie objaśni, o co w tym wszystkim chodzi, bo się już pogubiłem?

— Ja to zrobię — powiedział O'Connor, wysuwając szufladę biurka. — Proszę słuchać.

Kilka minut później O'Connor odchylił się na oparcie krzesła, dając pozostałym czas na przestudiowanie map, które im podsunął — dużej, wielkoskalowej mapy północnej Brytanii oraz planu bitwy pod Stamford Bridge, do której doszło w roku 1066. Na dużej mapie wykreślił linię ciągnącą się od wybrzeża Yorkshire w okolicy Stamford Bridge do północnego cypla Szkocji, a potem w dół, do zachodniego brzegu wyspy Muli.

— Czyli Harald Hardrada przybył po bitwie tutaj, na Ionę. — Jack był jeszcze oszołomiony tym, co przed chwilą

usłyszał od O'Connora. Usiadł z powrotem, inni poszli za jego przykładem.

— Musiał być niezłe pokiereszowany — zauważył Costas. — Na tyle, żeby angielscy żołnierze, którzy go powalili na polu bitwy, uznali, że jest martwy.

— To cud, że przeżył podróż — odparł O'Connor. — Troskliwie się tu nim zajęto. Towarzyszyło mu w sumie około trzydziestu wojowników, wszyscy ciężko ranni. Większość stanowili dawni gwardziści warescy. Przyplłynęli tu na dwóch długich łodziach z wiernymi sługami przy wiosłach. Paru zmarło w drodze, paru już tutaj, na Ionie.

W umyśle Jacka wszystko zaczynało się układać.

— Kiedy Harald odpływał potem z Iony, biorąc kurs na zachód, zostawił tutaj jakiś kontyngent, lojalnych poddanych, którzy mieli czekać na powrót swojego króla.

O'Connor spojrzął na niego przenikliwie i kiwnął głową.

— Nazywali siebie *felagiem* — powiedział. — To pradawne nordyckie określenie drużyny, tajnego stowarzyszenia.

— I kto tworzył ten *felag*? — spytał Jack.

— Z początku było to kilku druhów Haralda, rannych niedobitków spod Stamford Bridge, którzy przyplłynęli z nim na tę świętą wyspę, ale kiedy ich król wyruszał w podróż na zachód, oni postanowili zostać. Byli młodszymi wojownikami, których Harald wyszkolił już po swoim wareskim epizodzie, ludźmi mającymi nadal ambicję i zapał do walki o sprawę. Niewykluczone, że było wśród nich kilku synów Haralda. Szybko zebrali wokół siebie innych, ale ich liczba nigdy nie przekroczyła dwudziestu. Przysięgli, że będą podsycać ogień aż do powrotu swojego króla, że uczynią, co w ich mocy, żeby Anglią rządził znowu prawdziwy wiking.

— Niezbyt realistyczne po tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku — zauważył Jack.

— Nienawidzili francuskich Normanów i francuskich Plan-

tagenetów, którzy po nich nastali. W ciągu kilku pokoleń sprawa *felagu* stała się sprawą Anglików. Nie zapominajcie, że w Anglii, w żyłach tych, którzy nazywali siebie Anglosasami, płynęło już mnóstwo wikińskiej krwi. Kiedy Harald był jeszcze młody, Anglią rządził król wikingów Kanut, istniały też całe połacie kraju zamieszkane przez wikingów, którzy się tu osiedlili i pożenili z miejscowymi kobietami: we wschodniej Anglii, w Northumbrii, tu, na północy, na zachodnich wysepkach. Było rzeczą naturalną, że Anglicy, niegdyś wrogowie wikingów Haralda spod Stamford Bridge, z czasem zjednoczyli się z nimi we wspólnej sprawie przeciwko Normanom.

— Nie wierzyli chyba w powrót Haralda.

O'Connor pokręcił głową.

— Było w tym wszystkim coś mistycznego, jakaś spajająca siła, która czyniła *felag* jednym z najskuteczniejszych tajnych stowarzyszeń średniowiecza. Tamtych kilku pierwszych druhów przysięgło swojemu królowi, że dochowają tajemnicy, że nigdy nie wyjawią, że przeżył i wyprawił się na zachód. Istniała bowiem obawa, że Normanowie, dowiedziawszy się o tym, mogliby podążyć jego śladem albo wziąć odwet na nich. Kilka pokoleń później, kiedy powrót króla za tego życia stał się nierealny, zaczęli wybiegać myślą w przyszłość, kiedy to pod wodzą Haralda ruszą do wielkiej bitwy Ragnarók — decydującego w mitologii nordyckiej starcia pomiędzy siłami dobra i zła. Wtedy znowu staną ramię w ramię ze swoim królem, wraz z nim wprawiają w ruch swoje topory bojowe, będą rąbać nieprzyjaciół i siać postrach, jak za dni chwały Waregów. Ich świętą mantrą, przysięgą, która łączyła ich w drużynę, stało się powiedzenie *hann til ragnaroks*; to staronordycki, znaczy „byle do Ragnarók”, do spotkania pod koniec czasu.

— Tak więc imię Haralda Hardrada przeszło do historii.

— Niezupełnie. — O'Connor zdjął z półki starą księgę i podał ją Jackowi. — Geoffrey of Monmouth, *Historia regum Britanniae*, Historia królów Anglii. Średniowieczny bestseller, w przeważającej części niemający pokrycia w faktach.

— No i?

— Ta księga przyczyniła się do powstania romantycznej legendy o królu Arturze.

— Boże — mruknął Jack. — No, oczywiście. Dawny i przyszły król.

— Geoffrey należał do *felagu*, wstąpił do niego dwa pokolenia po tym, jak Harald odpłynął na zachód. Przysięgali, że nigdy nie wymienią imienia swojego króla, ale w połowie dwunastego wieku *felag* zaczął podejmować próby dotarcia ze swoim przesłaniem do angielskiego społeczeństwa. W obliczu normańskiego ucisku legenda o starym angielskim królu, bohaterskim przywódcy, który powróci pewnego dnia, by wyzwolić swój lud, padła na podatny grunt. Zedrzyć z niej romantyczną otoczkę, a pozostaje kilka niezbitych faktów.

— Król Artur, czytaj: Harald Hardrada — mruknął Jack. — Rycerze Okrągłego stołu, czytaj: gwardia wareska.

— To samo mówiłeś o Atlantydzie — wtrącił Costas. — W każdym micie kryje się ziarenko prawdy.

— Tak, ale na temat mitu Atlantydy ludzie debatuja od wieków — odparł Jack. — To zaś spada na nas jak grom z jasnego nieba.

— Zwrócił się do O'Connora: — A więc *felag* nie był tak do końca stowarzyszeniem mistycznym?

— Żadną miarą. Wspierając angielską sprawę, szybko zyskali sobie zwolenników i z czasem *felag* stał się reprezentacją elity tych, którzy przyznawali się do anglosaskich i wikińskich korzeni. Na przeniknięcie do normańskiej arystokracji widoków nie było, kiedy więc umierał ostatni z Waregów założycieli, większość *felagu* stanowili już duchowni,

poganie w przebraniu. Kościół był jedyną instytucją, w której Anglicy anglosaskiego i wikińskiego pochodzenia mogli jeszcze sięgać po władzę i dochodzić do zaszczytów, i *felag* skrupulatnie to wykorzystywał. Pod koniec dwunastego wieku jego wpływy sięgały już Rzymu, a członkami byli duchowni angielskiego pochodzenia z całej Europy. Jakub de Voragine, mistrz Richarda of Holdingham i jeden z wyższych kapłanów Italii, był bękartem z matki Angielki i utrzymywał, że jest potomkiem króla Kanuta. Zdarzali się nawet członkowie z grona kardynałów.

— Czyli Richard of Holdingham należał do *felagu* — powiedziała Maria zduszonym głosem.

— Był ostatnim z właściwego *felagu*, wywodzącego się w linii prostej od Hardrady.

— Właściwego *felagu*!

O'Connor wyraźnie się zakłopotał.

— Jest i ciemna strona całej tej historii. Wcześniej doszło do rozłamu. Można to porównać do walki Kościoła z kuszeniem szatana, o której przed chwilą rozmawialiśmy. Nie wiemy, kiedy to się stało ani kto do tego doprowadził, ale był to ktoś, kto na własne oczy widział menorę, ktoś z pierwszych druhów, kto wołał pozostać w cieniu. Taki judasz w Ionie *felagu*. Menora była już wtedy tajnym symbolem władzy królewskiej samego Haralda, wartym więcej dla jego prestiżu niż swojej wagi w złocie, a kiedy odplynęła, zyskała jeszcze bardziej na wartości, bo stała się symbolem *felagu*, składnikiem rytuału, który ich łączył. Ale tam gdzie jedni widzieli świętą sprawę, inni dostrzegali tylko złoto.

Zachłanność wzięła górę.

— Zupełnie jak ze świętym Graalem — zauważył Costas. — Dla jednych to mistyczne poszukiwanie, alegoria jakiegoś przełomowego dla chrześcijaństwa objawienia. Dla innych złoty kielich.

— W rzeczy samej. Dla tych, którzy nie potrafili się oprzeć, poszukiwanie skarbu Haralda stało się najważniejsze, przeszło w obsesję. W tajemnicy założyli własną drużynę, swój *felag*, stawiając sobie za jedyny cel odnalezienie menory. Ci, którzy się nie sprzeniewierzyli, wyczuwali, że w ich gronie dzieje się coś złego. Z drugiej strony zachodniego oceanu nadeszły cenne wieści o losach wyprawy Haralda. Zdołali je zataić przed tymi, którzy wykorzystaliby je w niecznych intencjach. Wiedza ta miała być odtąd powierzana tylko jednemu człowiekowi, który będzie ją potem przekazywał swojemu zaufanemu następcy, z mistrza na ucznia, jak długo uda się zachować ciągłość.

— Zaczynam rozumieć — powiedział powoli Jack. — Jakub de Voragine... Richard of Holdingham...

O'Connor kiwnął głową.

— Oni byli ostatni. Ciągłość udało się w jakiś sposób zachować przez ponad sto lat po największym kryzysie, do jakiego doszło w roku tysiąc sto siedemdziesiątym. Tego roku kilku fanatycznych zwolenników króla Henryka Drugiego zamordowało w jego własnej katedrze arcybiskupa Canterbury, Tomasza Becketa. Za przewodnictwa Becketa właściwy *felag* znajdował się w największym rozkwicie, i jego śmierć była początkiem końca.

— Tomasz Becket był członkiem *felagu*? — spytał ze zdumieniem Jack.

— I strażnikiem wiedzy — odparł O'Connor. — Rycerze, którzy go zarąbali, szukali nie tylko pomsty za Henryka Drugiego.

— I dostali to, co chcieli?

— Nie ugiął się przed nimi, więc go w szale zamordowali.

Okryci w Anglii niesławą, dołączyli do trzeciej krucjaty, oficjalnie po to, żeby odpokutować swoją zbrodnię. Nazywano ich Rycerzami Krwawej Ręki, bo wszyscy mieli bliznę w po-

przek prawej dłoni, pamiątkę po zawarciu paktu krwi. Ich poszukiwania obrosły we własną mistykę, własne rytuały, ale ze sprawą Haralda Hardrady związani byli tylko pozornie. Zaczęli szukać innego żydowskiego skarbu, którego Harald, uciekając ze swoimi wareskimi druhami z Konstantynopola, nie zabrał. Złotego stołu z żydowskiej Świątyni, Stołu Chleba Pokładnego.

— Przecież on był w Konstantynopolu.

O'Connor kiwnął głową.

— Żaden z tych rycerzy tam nie dotarł, wszyscy polegli z rąk muzułmanów Saladyna pod murami Jerozolimy. Ale udało się to komuś innemu, pokolenie później, w roku tysiąc dwieście czwartym.

— To data czwartej krucjaty — zauważył Costas. — Prowadzimy właśnie w Złotym Rogu poszukiwania artefaktów z tamtego okresu. Natrafiliśmy już na łańcuch i nie tylko.

Zimny wiatr od morza precyzyjnie się przez nieszczelne okno i w podobnej do celi izbie powiało nagle chłodem. Jack myślał intensywnie.

— Chwileczkę. Złupienie Konstantynopola. Dowodził Baldwin z Flandrii. Chce ksiądz powiedzieć...

— Tak, o niego chodzi. Baldwin odwiedził za młodu Rzym i widział Łuk Tytusa na forum. Ten Łuk był już wtedy celem pielgrzymek *felagu*, świętym miejscem. Richard of Holdingham też bez wątpienia tam pielgrzymował. Na płaskorzeźbach widzieli nie tylko menorę, ale również inne skarby niesione triumfalnie przez rzymskich żołnierzy. Wiedzieli, jak wygląda złoty stół. Baldwin nie przypadkiem ani nie za poduszczeniem Wenecjan, zamiast do Ziemi Świętej, poprowadził krucjatę na Konstantynopol. Ale *felag* przejrzał zawczasu jego zamiary i był tam przed nim. W konstantynopolitańskiej gwardii cesarskiej nadal służyli Waregowie, ludzie, dla których imię Hardrady było święte, owiane legendą. Dali się nakłonić do

wykradzenia reszty skarbu i zatopienia go potajemnie w porcie przed przybyciem krzyżowców. Wszyscy z tych Waregów poległ później w trakcie oblężenia i zabrali ze sobą w zaświaty informację o miejscu, w którym to zrobili.

— No to dobra nasza — mruknął Costas. — Może Maurice Hiebertmeyer mimo wszystko będzie miał czego szukać w Złotym Rogu.

— Zanim ruszyła czwarta krucjata, rozłam w *felagu* zdążył się już przeistoczyć w krwawą wendetę — ciągnął O'Connor. — Dążenie do pomszczenia Tomasza Becketa rozkręciło spiralę przemocy. Nawet ci, którzy nadal służyli słusznej sprawie, stracili z oczu swoją szlachetność i nie byli już pewni dnia ani godziny. Jak to bywa w wielu tajnych stowarzyszeniach, zwrócili się przeciwko sobie, co dało początek samozniszczeniu. Richard of Holdingham, wracając z Iony, gdzie w świętym rytuale *felagu* spalił ciało swojego mistrza na długiej łodzi, wysyłając go do Walhalli dokładnie z tego samego miejsca, z którego wyruszył na swą ostatnią wyprawę ich król, zdawał sobie sprawę, że wyrok na niego już zapadł. Wrogowie wiedzieli, że Jakub przed śmiercią musiał mu przekazać swoją wiedzę. Richard nie miał ucznia. Nie widząc innego wyjścia, naniósł to, co było mu wiadome, na Mappa Mundi w nadziei, że w przyszłości, kiedy ciemność się rozproszy, ktoś odkryje i odcyfruje jego przesłanie. I po zamordowaniu Richarda ciągłość się urwała.

— Jak ksiądz myśli, czy Richard of Holdingham mógł się złamać w swoich ostatnich chwilach, kiedy w Bibliotece Łańcuchowej śmierć zajrzała mu w oczy? — spytał Jack.

Maria spojrzała na niego z oburzeniem.

— Stał przy nim duch Tomasza Becketa. Na pewno zdawał sobie sprawę, że umrze bez względu na to, jak postąpi. Moim zdaniem do końca pozostał nieugięty. Na szczęście ten, kto go zaatakował, nie zorientował się, czym jest pierwowzór mapy,

albo też Richard, wyczuwając, co go za chwilę spotka, zdążył go ukryć gdzieś w bibliotece.

— Pewnie przez myśl mu nie przeszło, że minie ponad siedemset lat, zanim ktoś go znajdzie — mruknął Jack.

— Ale ja obawiam się, że ciemność wciąż nie ustąpiła — powiedział O'Connor.

— No, dobrze. — Costas nasunął pierścień na palec i wyciągnął rękę, żeby wszyscy zobaczyli symbol menory. Palcem drugiej ręki pokazał swastykę na sztylcie. — A teraz jedno zasadnicze pytanie. Jak powiązać tajemnicę średniowiecznego morderstwa z tymi przyjemniaczkami z dwudziestego wieku?

13

Jack siedział zasluchany w pełnej księżnicy w izbie starego opactwa i nie wierząc własnym uszom, usiłował uporządkować kłębiące się w głowie myśli. Od chwili kiedy rzucił okiem na oryginał mapy, wiedział, że są na tropie Hardrady, że jakiś niezwykle wątek łączy ich znalezisko w stambulskim Złotym Rogu z długą łodzią uwięzioną w górze lodowej u wybrzeży Grenlandii, ale nigdy by nie podejrzewał, że jeszcze jednym ogniwem w tym łańcuchu jest święta wyspa Iona. A teraz O'Connor snuł kolejną opowieść, która odsłaniała czający się za tymi odkryciami świat ciemności i niebezpieczeństwa.

— Z końcem krucjat i powstaniem imperium osmańskiego rozwiały się nadzieje na odnalezienie reszty konstantynopolitańskiego skarbu — ciągnął O'Connor. — Z Grenlandią na zachodzie urwał się wszelki kontakt i o odkrytej przez wikingów ziemi obiecanej zapomniano. Żaden z Rycerzy Krwawej Ręki nie doczekał europejskich wypraw badawczych z końca piętnastego wieku. Ale mit przetrwał, przekazywany w najgłębszej tajemnicy z ojca na syna przez potomków *felagu* rozsianych po Europie, a potem również Ameryce. W dzie-

więtnastym wieku wszyscy ci, którzy go usłyszeli, uważali, że to fantazja, która z historią ma mniej więcej tyle wspólnego, co opowieści o królu Arturze i rycerzach okrągłego stołu, i kontynuowali tradycję ustnego przekazu tylko w imię ocalenia romantycznej sagi przed zapomnieniem. Potem w jakiś sposób dotarła ona do uszu pewnego szalonego austriackiego wynalazcy opętanego obsesją na punkcie teorii lodowego świata.

— Słyszeliśmy — wtrącił Costas. — To ona sprowadziła nazistów na Grenlandię.

— I ten osobnik reaktywował *felag*? — nie tyle spytał, ile stwierdził Jack.

— Zrobił to jeden z jego kontrahentów, litewski przedsiębiorca Pieter Reksnys. Ojciec Andriusa. Nieciekawy typ.

Costas skrzywił się.

— To widać rodzinne.

— Czas był idealny — podjął O'Connor. — W pierwszych dekadach dwudziestego wieku Niemcy i północna Europa przeżywały rozkwit zainteresowania wikingami i nordycką spuścizną. Po szaleństwie pierwszej wojny światowej rozwinęło się to w ruch krzewienia idei wyższości rasowej wśród ludzi zagubionych w nowej rzeczywistości. Jak grzyby po deszczu powstawały tajne stowarzyszenia i partie przyciągające rozmaite typy spod ciemnej gwiazdy i fantastów, którym marzyła się nowa Rzesza w Europie. I tak doszło do powstania najbardziej odrażającego ze wszystkich, himmlerowskiego *Schutzstaffel*, SS, z całą otoczką sfabrykowanych nordyckich korzeni i rytuałów. Idea odtworzonego *felagu* wpasowała się idealnie w ten nieszczęsny świat, ale w odróżnieniu od innych tego typu organizacji *felag* miał pewne zakotwiczenie w historii.

— I przyświecał mu inny cel — wtrącił Jack.

— Menora — powiedział O'Connor. — Mieli wszelkie

znamiona partii suprematystów, ale to tylko na pokaz. W rzeczywistości za główny cel stawiali sobie odnalezienie menory. Costas ściągnął z palca pierścień i podniósł go.

— A to?

O'Connor machnął lekceważąco ręką.

— Chłam. Reksnys głosił, że to rytualne pierścienie wykute przed wiekami ze złota pochodzącego ze skarbu Haralda, ale to nieprawda. To typowe podróbki tamtego okresu. Reksnys wiedział, że wikińscy królowie rozdawali swoim wiernym poddanym pierścienie, obdarowywali ich złotymi i srebrnymi obręczami na szyję i na ramiona. Podobnie jak naziści, miał obsesję na punkcie oper Wagnera z cyklu pierścienia, Pieśni o Nibelungach, legendy Ragnarók i Zmierzchu Bogów. To Reksnys odgrzebał gdzieś i wprowadził do rytuału mantrę dawnej drużyny: *hann til ragnaroks*. Byli *fostbrædragal*, zaprzysiężonymi braćmi, i jak dawni wikingowie, nazywali siebie towarzyszami od wiosła. Miało ich być dwunastu.

Reksnys kupił nawet i odrestaurował stary zamek w Norwegii, wmawiając reszcie, że to pradawne miejsce spotkań *felagu* i że współczesne atrapy kolczug i toporów wikingów, którymi przyozdobił podziemia, pozostały prawdopodobnie po ich wareskich prekursorach. Mało tego, przywrócił najcięższą karę stosowaną przez norweskich wikingów, rezerwując ją dla członków *felagu*, którzy złamią przysięgę lojalności.

Maria zrobiła wielkie oczy.

— Ma ksiądz na myśli krwawego orła?

O'Connor kiwnął głową.

— Długa łódź Haralda nosiła nazwę „Orzeł”. Strażnikiem *felagu* był wspaniały olbrzymi orzeł Hraesvdh. Kara krwawego orła wykonywana była w jego imieniu, jako ofiarny rytuał.

— To był nordycki odpowiednik wieszania, patroszenia i ćwiartowania — odezwał się Jeremy. — Tyle że bez wieszania i ćwiartowania.

— Ofierze żywcem wycinano na plecach kształt orła — wyjaśniła cicho Maria. — Potem wycinano mu żebra i wrywano płuca.

— Ożeż ty. — Nawet Costasowi zabrakło słów.

— Nie zastosowali tego jeszcze wobec żadnego spośród siebie — podjął O'Connor. — Ale na procesie *Einsatzgruppen* jeden z ocalałych Żydów zeznał, że słyszał, jakoby jakiś oficer SS dokonał czegoś takiego na grupie więźniów przy użyciu ceremonialnego sztyletu. — O'Connor spojrział z obrzydzeniem na nóż leżący na biurku. — Holocaust obfitował w okropieństwa, ale w to trudno już było uwierzyć, a nie przeżył żaden naoczny świadek, który mógłby to potwierdzić. Miało to się zdarzyć na terenie działania Andriusa Reksnysa.

— No nie, ten gościu coraz bardziej mi się podoba — mruknął Costas.

— I było coś jeszcze, co wyróżniało członków *felagu*, gdziekolwiek się znaleźli. — O'Connor zawiesił głos. — Przecinali sobie w poprzek dłonie na znak przysięgi krwi. Uważali siebie za odrodzonych Rycerzy Krwawej Ręki.

— SS, *Ahnenerbe*, poszukiwanie zaginionej aryjskiej cywilizacji, Atlantydy — wymruczał Jack. — Idealna otoczka dla *felagu*, przykrywka umożliwiająca im dążenie do celu, jaki sobie wyznaczyli.

O'Connor kiwnął głową.

— Andrius Reksnys, syn Pietera, był fanatycznym nazistą. Najlepiej oddaje to zdjęcie, które pokazał wam ten stary Eskimos. Urodzonym sadystą i bandziorem. Ale z jeszcze większym fanatyzmem podchodził do członkostwa w *felagu*, nasiąkał tą obsesją od dziecka.

— Skąd ta pasja? — spytał Jack.

— A stąd, że nie była to tylko mistyka. To był konkretny cel, dążenie do niego, misja. Wydedukowali, że Harald Hard-

rada musiał popłynąć na Grenlandię. Studiowali *Sagę o Grenlandczykach* i *Sagę o Eryku Rudym*, z których można było wywnioskować, że *nordsetr*, północne terytoria wokół zatoki Disko, były odskocznią do wypraw dalej na zachód. Kiedy usłyszeli, że Knut Rasmussen planuje ekspedycję na grenlandzki lądolód, która ma ruszyć z Ilulissat, uchwycili się tej szansy. W tym czasie Himmler był już opętany teorią lodowego świata i zaginionej polarnej cywilizacji, zespół SS *Ahnenerbe* nie miał więc problemu z uzyskaniem upoważnienia na przyłączenie się do wyprawy Rasmussena.

— A Rolf Künzl? Skąd on się tam wziął?

— Künzl nie miał pojęcia o istnieniu *felagu*, a tym bardziej o celu, do którego stowarzyszenie dąży. Wytoczył tylko na ich zlecenie prawdopodobną trasę podróży opisaną w sagach. Był światowej sławy ekspertem od historii wikingów na Zachodzie, idealnym konsultantem dla Reksnysa. Wykorzystali go. A kiedy zrodziły się podejrzenia, że znalazł w lodzie i ukrył coś, co mogło stanowić istotną dla ich poszukiwań wskazówkę, jego los był przesądzony.

— Kamień runiczny z długiej łodzi — powiedział Costas.

O'Connor po raz kolejny kiwnął głową.

— Künzl był na tyle inteligentny, by zorientować się od razu, że znalazł coś o przełomowym znaczeniu, do tego podejrzany wydał mu się fakt, że Reksnysowi tak bardzo zależy na wejściu w posiadanie znaleziska. Nienawidził z całej duszy Reksnysa i nazistów. Postanowił powierzyć kamień runiczny na przechowanie eskimoskiemu przewodnikowi, który towarzyszył wyprawie. O *felagu*, jak już wspomniałem, nic nie wiedział, ale zaczynał się domyślać, że ma do czynienia z czymś więcej niż samym tylko nazistowskim obfędem. W szczelinie lodowca Reksnys rzucił się na niego z nożem, co musiało mu uświadomić, że toczy się tu jakaś gra na śmierć i życie. To zawsze było słabą stroną starego *felagu*.

Mordercy Tomasza Becketa i Richarda of Holdingham nie pomyśleli, że ich ofiary swoją tajemnicę zabiorą do grobu. Zaślepieni żądzą zemsty, stracili z oczu swój cel. Po wybuchu wojny Künzl był bezpieczny dopóty, dopóki walczył w formacjach Africa Korps, kiedy jednak aresztowano go wraz ze spiskowcami Stauffenberga, Andrius Reksnys dostał wreszcie swoją szansę. Wykorzystał całe swoje niebagatelne doświadczenie, by w gestapowskich izbach tortur wycisnąć z Künzla co się da. A potem, rozwścieczony niepowodzeniem, pozwolił, by Künzla stracono z resztą spiskowców. Założył pewnie, że taki uznany naukowiec, zostawił jakieś zapiski, ale okazało się, że Künzl zniszczył swoje osobiste archiwum, a cała dokumentacja ekspedycji zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach z kwatery *Ahnenerbe* już na początku wojny.

— Jedno pytanie — powiedziała cicho Maria. — Menora byłaby dla nazistów czymś bezcennym. Stanowiłaby dobitny symbol dominacji nad rasą, którą z takim zapamiętaniem usiłowali zetrzeć z powierzchni ziemi. Obnosiliby się z nią, jak dwa tysiące lat wcześniej Rzymianie w swoim triumfie nad Żydami. Co zrobiliby Reksnys, gdyby znalazł menorę?

O'Connor podniósł się zza biurka i spojrzął w zadumie na mapę.

— Poszukiwania menory utrzymywane były w tajemnicy nawet przed Himmlerem. Gdyby Himmler dowiedział się o istnieniu *felagu*, o menorze i o jej poszukiwaniach poza jego plecami, Reksnys podzieliłby prawdopodobnie los Künzla.

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy się przenieść w teraźniejszość. Nie mamy tutaj do czynienia z neonazystami. To byłoby zbyt banalne. *Felag* wciąż istnieje i jest silniejszy niż kiedykolwiek. A menora znaczy dzisiaj jeszcze więcej niż w mrocznych latach czterdziestych. Mogliby nią szantażować cały świat. Kościół katolicki, państwo żydowskie, państwa arabskie. Grupy terrorystyczne wszelkiej proweniencji.

— I licytować się, podbijając stawkę — mruknął Costas.
— Czyli nie chodzi tu o ideologię, lecz o chęć zysku —
powiedziała Maria.
— To ona właśnie przed blisko tysiącem lat doprowadziła do
rozłamu w *felagu* — odparł pośępnie O'Connor. — Ona i żądza
władzy.
— A skąd ksiądz to wszystko wie? — wyrzucił z siebie Costas.
— No bo jeśli to takie tajne, to w jaki sposób jezuitcie z Watykanu
udało się dotrzeć do tego rodzaju informacji?
— To trzymałem na koniec. — O'Connor wziął głęboki
oddech, podciągnął prawy rękaw habitu i pokazał im dłonie.
Zaniemówili. W poprzek biegła poszarpana biała blizna.
— Krwawa dłoń — wykrztusiła Maria. — Myślałam, że to jakaś
stara rana.
— Spokojnie. — O'Connor opuścił rękaw i usiadł. — Nie
należę już do nich. Mój dziadek, amerykański wynalazca, zaliczał
się do grona entuzjastów teorii świata lodu i był tak samo
ekscentryczny jak jej twórca, ale chyba nieco mniej szalony.
— Boże! — zawołała Maria. — Nigdy mi ksiądz tego nie
mówił. Myślałam, że cała rodzina księdza to akademicy.
— To były dziwne czasy — odparł cicho O'Connor. — Świat
zaczął popadać w szaleństwo już na kilka dekad przed pierwszą
wojną światową i wciąż jeszcze z tego nie wyszliśmy. — Podniósł
wzrok na Marię i uśmiechnął się blado. — Mój dziadek był
naukowcem, ale jak wielu ówczesnych uczonych interesował się
również dziedzinami okołonaukowymi i w końcu pochłonęła go
bez reszty ta konkretna idea. Już w młodości, podobnie jak
wcześniej mój ojciec, zostałem zaprzysiężony na członka *felagu* i
przeszedłem inicjację. Przystępowałem do niej bez przekonania,
odrazą
napawały mnie te fałszywe rytuały, i kiedy tylko dowiedziałem

się o związkach z nazistami, zapragnąłem zerwać z tym towarzystwem. Ponadto odkryłem w sobie powołanie i postanowiłem zostać jezuitą, a tego nie dało się w żaden sposób pogodzić z przynależnością do *felagu*. *Felag* nigdy nie wyrzekł się swoich pogańskich korzeni i pogardzał wiarą chrześcijańską, chociaż niejeden z jego członków był duchownym. Chyba spodziewali się, że w przyszłości do nich wrócę, i zyskają wtedy w mojej osobie użyteczną wtyczkę w Kościele. Zgodzili się mnie zwolnić, ale musiałem ślubować, że dochowam tajemnicy. I ten ślub właśnie złamałem.

— Chyba nie czuje się ksiądz związany ich absurdalnymi rytuałami? — zachnął się Jack.

— Nie, nie czuję się. — O'Connor spuścił na chwilę wzrok, a potem spojrział Jackowi prosto w oczy. — Ale rozpałem płomień zemsty. Przez lata gromadziłem wszelkie dostępne materiały na temat Andriusa Reksnysa. *Felagiem* tylko pogardzałem, z Reksnysem było inaczej. Im więcej się dowiadywałem o zbrodniach, jakich się dopuścił, służąc w *Einsatzgruppen*, tym większa ogarniała mnie determinacja, żeby postawić go przed obliczem sprawiedliwości, nawet gdyby wiązało się to ze złamaniem ślubu milczenia. W słuszności tego, co robię, utwierdzało mnie wspomnienie o Rolfie Künzlu. Swoje kreda zapożyczyłem od starej gwardii wareskiej, od najwcześniejszego *felagu*, i powtarzałem sobie, że nasz los jest przypieczętowany, że przed Ragnarókiem nie ma ucieczki, a więc liczy się tylko nasze postępowanie na tym świecie. To było moje jedyne zapożyczenie z dawnych czasów. Kłóciło się trochę z moim jezuickim powołaniem, ale przydawało mi szlachetności najwcześniejszego *felagu* i dodawało sił.

— Nie działał ksiądz sam — wtrącił Jack. — Reksnysa zastrzelił ktoś inny.

— Trafiwszy do Watykanu, zebrałem wokół siebie grupkę zaufanych współpracowników. Jeden z nich jest dzisiaj

w opactwie. Widzieliście go pewnie w kościele. Drugim był Jeremy. Byliśmy bliscy zebrania dowodów wystarczających do postawienia Reksnysa przed sądem, ale nie dość bliscy. A poza tym chcieliśmy, żeby przed śmiercią przeżył horror.

— Zapoczątkowaliście spiralę krwawej zemsty — mruknęła Maria.

— Czasami sprawiedliwość najlepiej wymierzać dawnymi sposobami.

— *A felag* wie o was?

— Mówiłem wam już, że w dwunastym wieku, w okresie rozkwitu, *felag* miał w otoczeniu papieskim swoich ludzi. Dzisiaj też tam kogoś mają. To ktoś z moich zwierzchników. Wie o menorze i o waszych poszukiwaniach.

— Skąd? — spytał Costas.

— Od kogoś z waszej ekipy.

Jacka przeszedł dreszcz pewności.

— Wiem kto. Nie dawało mi to spokoju od wyjazdu ze Złotego Rogu. Drugi oficer na „Sea Venture”, ten nowo zamustrowany Estończyk. Podśłuchiwał nas z mostka, kiedy rozmawialiśmy o menorze.

— Dwa dni temu nie wrócił z przepustki na ląd — mruknął ponuro Costas. — Tom York mi powiedział, kiedy dzwoniłem do niego dziś rano, ale nie chcieliśmy ci tym zawracać głowy.

O’Connor skinął ze smutkiem i podjął:

— Od początku wiedziałem, że Stolica Apostolska dołożyłaby wszelkich starań, żeby menora nie została znaleziona, ale potem uświadomiłem sobie, że jest w tym coś jeszcze. *Felag* nie spocznie, dopóki nie ustali, co wiemy, a potem nas wyeliminuje i sam podejmie poszukiwania. I jest człowiek, którego powinniśmy się obawiać najbardziej.

— Kto to taki? — spytał Jack.

— Wnuk. Andrius Reksnys nie żyje, jego syn Pieter zaszył się gdzieś w Ameryce Środkowej. Wnuk wyszedł niedawno

na wolność i w tej chwili jest już pewnie zaprzysiężonym członkiem *felagu*. To bandyta. Odziedziczył ten rodzinny gen.

— Jaki dziadek, taki wnuk — powiedział cicho Jack.

— Ojciec, Pieter, nie lepszy — zauważył O'Connor. — Nie zapominajcie, jaką edukację przeszedł w dzieciństwie na froncie wschodnim. Ale obecnie jest chyba bez reszty zaabsorbowany prowadzeniem swojej przestępczej organizacji w Ameryce Środkowej. Najgroźniejszy jest dla nas wnuk Andriusa. To wojownik *felagu*, cyngiel. Dorastał, nasiąkając ich rytuałami, i ma to we krwi. Wierzy święcie w to, od czego ja się ze wstrętem odzegnałem. Występuje pod wieloma nazwiskami, najnowsze, to Póllner, Anton Póllner. W *felagu* przybrał pseudonim Loki, od imienia szczególnie obmierzłego nordyckiego boga. Rozsadzany chorobliwą żądzą krwi, którą mu od dziecka wpajano, został najemnikiem i przeszedł chrzest bojowy w konfliktach bałkańskich. Swoje umiejętności szlifował w obozie szkoleniowym dla terrorystów na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego, w Abchazji.

— Chyba wiemy, gdzie to było — wtrącił Costas, zerkając na Jacka.

— Kiedy dowiedział się o śmierci dziadka, wpadł w szal i odślonił się, dokonując jakiejś szczególnie krwawej rzezi w Kosowie. Aresztował go brytyjski SAS, a trybunał haski osądził i uznał za zbrodniarza wojennego. Został skazany na dożywocie i osadzony pięć lat temu w więzieniu na Litwie, swoim ojczystym, jak utrzymywał, kraju. Specjalnie dla niego wyszykowano więzienie w dawnym gułagu, w którym przez wiele lat od zakończenia wojny przetrzymywani byli przed straceniem wzięci do niewoli oficerowie SS. Przed miesiącem nowy sędzia trybunału uznał, że dowody są niewystarczające i Anton Póllner wyszedł na wolność. —

O'Connorowi zadrżała warga. — Kiedy odchodziłem z *felagu*, był jeszcze dzieckiem, ale do dzisiaj pamiętam jego twarz. Ojciec kazał mu wstrzy-

mać się z przecięciem dłoni, powiedział, że jeszcze na to za wcześniej. Dzieciak wpadł w szał i rozharatał sobie toporem policzek. Robił mi później na złość, przeciągając po tej bliźnie palcem, bo wiedział, że nie mogę na to patrzeć. Do dziś śni mi się ten gest po nocach. I teraz Loki znowu jest na wolności. Wie, że jestem jednym z tych, którzy wytropili jego dziadka. Pała żąda odwetu. Mamy bardzo mało czasu.

— I co ksiądz zamierza? — spytał Jack.

— Zostaję tutaj. W Rzymie nie jest teraz dla mnie bezpiecznie.

— Co ksiądz mówi?

— Wydarzyło się coś jeszcze. — O'Connor sposepniał i spuścił głowę. — Chciałem naświetlić wam tło, zanim to powiem. Doszło do kolejnego morderstwa. Tym razem współczesnego.

— Gdzie?

— W Watykanie. Przed dwoma dniami. Policja podejrzewa mafię, bo ofiara brała aktywny udział w walce z czarnorynkowym handlem antykami.

— Kto to był?

— Główny konserwator.

— Ten, który towarzyszył księdzu, kiedy otwieraliście tajną komorę w Łuku Tytusa?

— Alberto Bellini. Naukowiec, jeden z największych znawców rzymskiej rzeźby. Ogromna strata. I jedyny człowiek w Stolicy Apostolskiej, któremu mogłem zawierzyć.

— Sądzi ksiądz...

— Ja nie sądzę, ja wiem. Alberto niejednokrotnie narażał się mafii, przydzielono mu nawet zbrojną ochronę, bez której nie ruszał się z Watykanu. Ale nie miał wewnętrznej siły, żeby przeciwstawić się tym, którzy dopadli go samego w pracowni. Dzień przed śmiercią wyznał mi, że przyparty do muru wszystko im powiedział. O naszym nocnym odkryciu

w łuku i naszym zainteresowaniu menorą. To oznacza, że teraz ja jestem na celowniku. I obawiam się, że wy również.

— Domyśla się ksiądz, kto z Watykanu za tym stoi?

— Któryś z kardynałów prowadzi tam zawsze coś w rodzaju wewnętrznej inkwizycji. Ale aż tak źle jak teraz jeszcze nie było. Nie mam pewności, kto obecnie sprawuje tę funkcję, ale domyślam się. *Felag* zmienił się przez tych czterdzieści lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy z niego odszedłem. Znam niektórych jego członków. Jest nim, na przykład, sędzia trybunału zajmującego się zbrodniami wojennymi, który zwolnił Lokiego. — O'Connor zacisnął gniewnie pięści. — Mogę tylko powiedzieć, że osoba ta ma w Watykanie zaskakująco wysoką pozycję. Mógłby mnie rozgnieść, gdyby chciał. Nie potrafię wskazać go palcem, ale sporo wiem o jego działalności. I jednego jestem pewien: Alberta nie zgładziła mafia. Pewnie się domyślacie, kogo o to zabójstwo podejrzewam, i ten ktoś na tym nie poprzestanie.

— Potrafi się ksiądz jakoś obronić?

— Sądzę, że na razie jestem tu bezpieczny. Ta święta wyspa to sanktuarium szanowane nawet wśród nowego *felagu*. Ale sprawy zaszyły za daleko, żebyśmy sami sobie z tym poradzili. Krwawe zemsty to relikwium przeszłości. Mamy tutaj do czynienia ze zwyczajnym morderstwem. A jedno morderstwo wydawałoby się czymś trywialnym w porównaniu z tym, co by nastąpiło, gdyby menora, ten największy symbol żydowskiej wiary, o ile nadal istnieje, wpadła jakimś sposobem w ich ręce. Byłaby to iskra, od której Bliski Wschód zapłonąłby jak nigdy dotąd. Nikt nie wyszedłby bez szwanku, ani Żydzi, ani Arabowie, ani Kościół katolicki.

— Prowadzi ksiądz jakąś dokumentację?

— Mam wszystko tutaj. — O'Connor poklepał neseser stojący obok jego krzesła. — Na wydrukach. Nie ufam

komputerom. Kluczem jest Loki. Działa sam, z przerażającą szybkością. Jego mocodawcy są szanowanymi obywatelami. To sędziowie, wysoko postawieni duchowni, politycy. Czasy, kiedy cały *felag* wdziewał hełmy i chwycił za topory bojowe, to już odległa przeszłość, obojętne, ile na ten temat fantazują. Nie mają więcej takich jak Loki. Jeśli zdołamy go powstrzymać, zyskamy na czasie, którego tak nam potrzeba.

— Nie myślał ksiądz o zwróceniu się do Interpolu?

O'Connor kiwnął głową.

— Może to zrobię. Mamy tam paru przyjaciół na wysokich stanowiskach. Międzynarodowy nakaz aresztowania, wszczęcie poszukiwań na całym świecie. Ale potrzebuję czasu, co najmniej dwóch dni, na przygotowanie dossier. Odrzucenie wniosku pociągnęłoby za sobą straszne skutki, a byłoby jeszcze gorzej, gdyby informacje o waszych poszukiwaniach menory nadal wyciekały.

— To nam wyznacza nieprzekraczalny termin — powiedział z zadumie Jack. — Dwa dni albo rozpęta się piekło. Nie będzie łatwo.

— Wierzę w was.

— Pozwól, Patricku, że ci pomogę. — Maria spojrzała na O'Connora, a potem na Jacka. — Na „Seaqueście Dwa” nic już po mnie, Jack. I tak chciałam tu zostać, żeby jeszcze raz dokładnie obejrzeć ten kamień runiczny, upewnić się, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Ale to jest w tej chwili o wiele ważniejsze. Ojcu O'Connorowi trzeba pomóc.

— Byłbym wdzięczny — przyznał O'Connor. — Współpraca zawsze nam się dobrze układała.

— Jesteś nam potrzebna, Mario — zaproponował Jack. — Chyba w to nie wątpisz?

— Moje miejsce eksperta ekspedycji może z powodzeniem zająć Jeremy — odparła Maria. — Jeśli chodzi o wiedzę na temat wikingów i Nowego Świata, nie ma sobie równych.

— No dobrze — mruknął Jack i przez jego twarz przemknął cień niepokoju. — Ale uważaj na siebie.

O'Connor powiedział Jackowi i Marii, że chce im jeszcze coś pokazać. Zostawili w klasztorze Costasa i Jeremy'ego, którzy mieli przeformatować i przeanalizować nadesłaną właśnie nową skaningową kopię mapy z Hereford, i wyszli na łąki przed opactwem. We wczesnowieczornej mgiełce, która unosiła się teraz nad wysepką, majaczyły skalne wypiętrzenia pamiętające czasy wikingów. O'Connor prowadził ich wybrukowanym kocimi łbami traktem zwanym Sraid nam Marbh, Ulicą Umarłych, biegnącym skrajem Reilig Odhrain, świętego miejsca pochówku królów. Jack zatrzymał się przy wielkim kamiennym, zniszczonym przez deszcz i wiatr krzyżu świętego Marcina, który stał tu od ponad tysiąca lat. Przyłożył dłoń do kamienia i poczuł wijące się węże wryte w granicie dwieście lat przed bitwą pod Stamford Bridge, kiedy wśród mnichów z wysepki o morskich rozbójnikach z północy dopiero krążyły plotki. Przeszedł go taki sam dreszcz podniecenia, jak niedawno na widok długiej łodzi w lodzie. Harald Hardrada przechodził tą drogą, widział ten krzyż. Jack wyobraził sobie nagle ranego króla dźwiganego na noszach w stronę opactwa, jego pokiereszowanych druhów gramolących się z długich łodzi wyciągniętych na plażę w kanale poniżej. Przez cały czas — w Złotym Rogu, w lodowym fiordzie — nie opuszczało go wrażenie, że podąża śladami Hardrady, ale nigdy nie czuł tak jego bliskości, nie miał takiej pewności, że szlak, którym idą, prowadzi ich za tym wielkim królem w nieznane.

Ruszyli dalej w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach, chłonąc atmosferę tego miejsca. Po półgodzinie doszli do zachodniego krańca wyspy, do szerokiej zatoki okolonej złotymi piaszczystymi plażami. Usiedli na wyd-

mie — O'Connor w środku, Jack i Maria po bokach. Mgła uniosła się, odsłaniając widok na zachód. Pomarańczowe promienie zachodzącego słońca tonęły za horyzontem. O'Connor zapalił fajkę, pyknął z niej kilka razy i zaczął cichym głosem:

— To Camus Cul an t'Saimh, Zatoka na Krańcu Oceanu — powiedział. — Harald wiele dni walczył ze śmiercią. Kiedy mu się trochę polepszyło, przynieśli go tutaj, bo obawiali się, że wieść, iż nie zginął, dotrze do Normanów. Przyprawdzili tu też jego długie łodzie — „Orła” i „Wilka” — i wyciągnęli je na plażę. Załadowali zapasy żywności i położyli nosze, na których spoczywał Harald, na śródokręciu „Wilka”. Halfdan Nieustraszony, jego najstarszy druh, poważnie raniony, położył się u jego stóp, gotów umrzeć, gdyby jego król zaczął gasnąć.

— *Wergild* — mruknęła Maria. — Człowiek mógł ofiarować swe życie Odynowi w zamian za życie swego pana.

— Mnisi pomogli im zepchnąć łodzie na płyciznę. Ci z drużyny Harald, którzy czuli się jeszcze na siłach, zajęli miejsca na ławkach wiosłarzy i wsunęli długie wiosła w dulki. Ustawiono maszty i rozpostarto żagle. To stąd Harald i jego towarzysze od wiosła odpłynęli w historię, odprowadzani wzrokiem przez mnichów z Iony i garstkę wiernych druhów, których zostawił na wyspie, żeby podtrzymywali płomień.

— Dokąd popłynęły te łodzie? — spytała Maria.

O'Connor wyjął fajkę z ust i wskazał nią na zachodni horyzont, a potem wyrecytował cicho z pamięci:

Żegnaj mi! W podróż daleką w tej łodzi
Odpływam — jeśli zaiste odpływam
(Bo chmura zwątpień umysł mój spowiła)
Na Awilionu wyspę, gdzie nie pada
Ani grad, ani deszcz, ani śnieg, ani
Wiatr nie zahuczy tam; łąki głębokie,

Sady, pieczary ocienione bluszczem
Rozwierające się ku morzu lata —
Tak mi się jawi ta ziemia szczęśliwa.
Tam z mej dotkliwej rany się wyleczę.

Tak rzekł. Łódź mocą i żagli, i wiosł
Poczęła płynąć, niby dumny łabędź,
Co, niepojętą pieśń śpiewając, białe
Nastroszył pióra, orząc nurt wiosłami
Ciemnych łap. Długo Bediwer samotny
Stał na wybrzeżu i rozpamiętywał
Wiele wydarzeń, aż barka się stała
Małym punktem czarnym na krawędzi
Świtu i lament nad wodą ucichnął*.

— Tennyson, *Morte d'Arthur* — wykrzyknął Jack, kręcąc z niedowierzaniem głową. — Piękna wiktoriańska wizja tego momentu, ale jeśli było tak, jak ksiądz mówi, to pokrywa się to z romantyczną wersją legendy o Arturze.

— Podstawić Winlandię za Avalon, a dostajemy ziemię obiecaną, raj na ziemi — przyznał O'Connor. — Wieść o odkryciu Nowego Świata przez Leifa Erikssona musiała dotrzeć na dwór Haralda na długo przed podjęciem przezeń decyzji o najeździe na Anglię, i na pewno zaintrygowała takiego jak on obiężyświata. Od lat, nie licząc okazjonalnych wypraw wojennych przeciwko Duńczykom i Szwedom, prowadził osiadły tryb życia i pewnie ciągnęło go na morze. Niewykluczone, że jeszcze przed Stamford Bridge planował wyprawę przez zachodni ocean. Chciał przeżyć jeszcze tę jedną przygodę, jeszcze jedną wyprawę odkrywczą, coś, co

* Alfred Tennyson, *Odejście Artura w: Poezje wybrane*, PIW 1970, przełożył Zygmunt Kubiak.

przypomni mu dawne dobre czasy młodości, którą spędził w gwardii wareskiej. Klęska pod Stamford Bridge postawiła kropkę nad i. Z tamtej strony oceanu dochodziły wieści o krainie obfitości, bujnych łąkach pod pastwiska i bezkresnych lasach, z których można brać drewno do budowy łodzi, a to wikingowie cenili sobie nade wszystko. A do Norwegii nie było po co wracać. Gdyby wrócił tam żywy, w gruzach ległby cały jego prestiż, natomiast śmierć zapewniała mu miejsce pośród bohaterów. W *Heimskringla* można przeczytać, że kiedy do Norwegii dotarła wiadomość o klęsce, pozostawiona tam armia ślubowała mu wierność po wieki, chociaż z tego, co wiedzieli, poległ.

— No i miał ze sobą skarb — podpowiedział Jack.

— Całe skrzynie — podchwycił O'Connor. — Na pewno nie popłynęli do Nowego Świata szukać tam złota. Mieli go już tyle, że więcej nie udźwignęłyby ich długie łodzie. Dziesiątki tysięcy srebrnych monet, arabskich dirhemów, angielskich pensów Kanuta i Ethelreda, monet z królestwa Haralda i nie tylko. Złoty obręcz z szyje i ramiona, bogatej schedy po przodkach. I cały łup Haralda z jego wareskich czasów na Morzu Śródziemnym, część z tego

przetopiona, część wciąż nietknięta. Bezcenne religijne relikwiarze i starożytna biżuteria. A przede wszystkim największy skarb rządów Haralda, skarb obrosły już legendą o jego słynnej ucieczce z Konstantynopola, znaczący o wiele więcej, niż był wart swojej wagi w złocie.

— Menora — mruknął Jack.

— Jeśli Winlandia znajdowała się na miejscu L'Anse aux Meadows na Nowej Fundlandii, to popłynęliby prosto na zachód — zauważyła Maria. — Co zatem robiła nasza długa łódź spory kawał na północ stamtąd, w Zatoce Baffina przy Ilulissat?

— Jest o tym w sagach — odparł Jack. — Leif Eriksson

trafił do Winlandii, płynąc najpierw na północ wzdłuż zachodniego wybrzeża Grenlandii, a potem przepływając się przez Cieśninę Davisa na wysokości zatoki Disko do Hellulandu i Marklandu, które odpowiadają Ziemi Baffina i Labradorowi.

— To właśnie musiał odkryć Küntzl w latach trzydziestych — powiedział O'Connor.

— Czyli przezimowali w Ilulissat? — spytała Maria.

— Prawdopodobnie zmusił ich do tego pak lodowy uniemożliwiający dalszą żeglugę — przytaknął Jack. — Przybyli tam zapewne jesienią. Dzień stawał się coraz krótszy, rozpryski wody zamarały na kadłubach i łodzie obrastały lodem.

Macleod powiedział, że śryż zaczyna się tworzyć w październiku, a kiedy na dobre stwardnieje, przecina drewno jak piła.

Zima musiała dać się im we znaki, ale to byli przecież twardzi ludzie, nawykli do niewygód. Płynęła z nimi prawdopodobnie grupa miejscowych grenlandzkich wikingów, których zabrali w charakterze przewodników i myśliwych z osad na południu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby rozbili obóz w tej samej przyfiordowej zatoce, nad którą widzieliśmy się z Kangią, wśród tych samych kręgów namiotowych.

— Szczególnie ciężko musiało być rannym — zauważyła Maria.

— Wielu zmarło pewnie podczas podróży i już w obozie — powiedział O'Connor. — Podejrzewam, że kiedy odszedł Halfdan, ich szeregi były już przerzedzone do tego stopnia, że mogli poświęcić na pochówek jedną z łodzi — „Wilka”, łódź, którą widzieliście w lodzie. Nie wystarczało im ludzi do skompletowania dwóch załóg.

— To w jaki sposób do Europy dotarła wieść o ich wyprawie? — spytała Maria. — Dwieście lat później Richard of Holdingham wiedział, że dotarli do Winlandii, był tego na tyle pewien, że umieścił ją na swojej mapie. Z badań archeo-

logicznych wynika, że osada istniejąca na miejscu obecnego L'Anse aux Meadows nie przetrwała długo, opuszczono ją na długo przed rokiem tysiąc sześćdziesiątym szóstym, a więc wiadomości nie docierały raczej statkami kursującymi kiedyś regularnie tym szlakiem zaopatrzeniowym.

— Jack miał rację co do tych Grenlandczyków — powiedział O'Connor. — Sprzyjali Haraldowi, krajanowi z Norwegii, zwłaszcza kiedy stało się jasne, że nie ma zamiaru zostać i podporządkować ich sobie. Kazał im przysiąc, że dochowają tajemnicy, a srebra, którym ich obdarował, starczyło na podtrzymywanie wymiany handlowej ze Starym Światem jeszcze przez wiele pokoleń. O losach Haralda wiemy dzięki ekspedycji, którą *felag* wysłał kilka pokoleń później, żeby ustaliła, co się z nim stało. Eryk Gnuþsson, biskup Grenlandii i członek *felagu*, przekonał swoich wiernych, że jest lojalnym poddanym Haralda i dowiedział się tego, co wam teraz opowiadam. Powiedziano mu, że Harald obiecał, że gdyby jego druhowie postanowili płynąć dalej na południe, zostawi w Winlandii znak. Tyle powiedziano mu pewnie w najgłębszym sekrecie, ale nic ponadto. Eryk Gnuþsson popłynął do Winlandii i słuch o nim zaginął. Nawet dla Grenlandczyków stała się ona rodzajem Avalonu, mitycznej ziemi obiecanej rządzonej przez dawnego i przyszłego króla.

— A właśnie — wtrąciła Maria. — Skoro już przyrównujemy Haralda do króla Artura, to gdzie jego królowa Ginewra? Harald skradł przecież z Konstantynopola nie tylko menorę.

— Ach. Tylko czekałem, kiedy o to zapytacie. — O'Connor wysypał na piasek popiół z wygasłej fajki i uśmiechnął się do Marii. — Legenda mówi, że Haralda pielęgnowała kobieta o krótko ściętych włosach, ubrana w męską tunikę i spodnie. Historia mówi, że wiele lat wcześniej Harald po udanej ucieczce wypuścił księżniczkę i pozwolił jej wrócić do Kon-

stantynopola. A my wiemy, że twoja imienniczka wcale nie została wprowadzona, że popłynęła z nim z własnej nieprzymuszonej woli. To właśnie Maria na dzień przed ucieczką uwolniła Haralda i jego wareskich gwardzistów z lochu. I została z nim na dobre i złe, przetrwała wszystkie dole i niedole, nie poskarżyła się słowem, kiedy zawierał małżeństwo z rozsądku z kijowską księżniczką Elżbietą, przebyła z nim całą ciernistą drogę do tronu. Oblaskawiła go, stała się prawdziwym światłem przewodnim jego życia. Towarzyszyła mu w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku w wyprawie na Anglię, gdzie w końcu miała znowu zostać księżniczką. Harald zamierzał osadzić ją na tronie jako swoją namiestniczkę, koronować na królową Anglii.

— Harald miał w tysiąc sześćdziesiątym szóstym pięćdziesiąt jeden lat — powiedziała Maria. — Ona była z dziesięć lat młodsza.

— Czy na tych dwóch długich łodziach odpływających do Winlandii znajdowały się jeszcze jakieś kobiety?

— Nie, tylko Maria.

— Niezbyt perspektywiczne planowanie, jak na ludzi zamierzających założyć nową kolonię.

— Mentalność wikingów. — Jack uśmiechnął się. — Co niezbędne do życia, zdobywać już na miejscu. I nie zapominaj, że wyczerpanie i ból odbierały im jasność myślenia. Większość prawdopodobnie sądziła, że płyną do Walhalli.

Kula słońca zaczynała zanurzać się w morzu na zachodzie, oblewając pomarańczowym światłem zerodowane podłoże skalne prześwitujące na stokach po obu stronach zatoki.

Patrzyli w milczeniu na morze, napawając się ciszą i barwami wieczoru.

— Powiadają, że ta święta wysepka pławi się w blasku aniołów — odezwał się O'Connor. — Chodzi o światło, które widzi się w takich miejscach, gdzie niebiosy zdają się stykać

z ziemią, oraz tam, gdzie spod zdrapanego strupa ludzkich zabiegów wyłoniła się naga skała. Serce Forum w Rzymie, Wzgórze Świątynne w Jerozolimie.

— W obu tych miejscach była menora — zauważyła Maria.

— Myślałem o tym — mruknął O'Connor.

Jack pochylił się nagle i utkwiał płonący wzrok w horyzoncie.

— Menora była i tutaj, z Haraldem, dokładnie w tym miejscu — powiedział. — Od chwili kiedy zobaczyłem w lodzie Halfdana, wiem, że jesteśmy na właściwym tropie, zupełnie jakby coś nas na niego naprowadzało. Teraz potrzebujemy tylko jakiejś wskazówki, czegoś bardziej konkretnego o kursie, jaki obrali po wypłynięciu z fiordu.

O'Connor, przypalający ponownie fajkę, spojrział na Jacka przenikliwie.

— Halfdan przekazał panu bitewne szczęście, pamięta pan? Przekazał płomień. Coś mi mówi, że niejedno jeszcze przed wami.

Mieli już wstawać, kiedy zauważyli biegnącego przez piasek Jeremy'ego. W pewnej odległości za nim truchtał zasapany Costas. Jeremy zatrzymał się przed nimi zarumieniony, podniecony.

— No, co tam znowu? — zapytał pogodnie Jack. — Jeszcze coś chowałeś przed nami w zanadrzu?

— Niezupełnie. — Jeremy z trudem łapał oddech. — Mappa Mundi... Kiedy byliście w górze lodowej... Wiedziałem...

— Spokojnie — wpadł mu w słowo Jack. — Nie wszystko naraz. Po kolei.

Jeremy opadł na klęczki, wyciągnął z torby zrolowany arkusz papieru i wziął kilka głębokich oddechów. — Przepraszam. Ale to największa z dotychczasowych rewelacji.

— Tak?

— Wiecie, ile godzin przesiedziałem w kabinie, unikając

was wszystkich — powiedział przepaszająco Jeremy. — Otóż, ślęczałem tam nad cyfrową wersją mapy, którą znaleźliśmy w Hereford, kopią pierwowzoru Richarda zeskanowanego z rozdzielczością tysiąca dwustu dpi. Coś nie dawało mi spokoju, coś, co jakby mignęło mi przed oczami, kiedy Maria po raz pierwszy rozwinęła tę mapę w katedrze.

— Mów, mów.

— Poprosiłem nasze oksfordzkie laboratorium obróbki obrazu o przeprowadzenie analizy multispektralnej. I zobaczcie!

Jack wziął arkusz i rozwinął go na kolanach. Było to powiększenie lewego dolnego rogu oryginału Mappa Mundi, przedstawiające zarys Winlandii i Nowego Świata, który badali kilka dni wcześniej w Kornwalii, z jedną inskrypcją wymieniającą Leifa Erikssona i drugą Haralda Hardradę oraz skarb Michelgardu. I nagle Jack zobaczył to, co tak podekscytowało Jeremy'ego.

— Pod spodem jest jeszcze jeden rysunek!

— Oto on. Costas pomógł mi go wyodrębnić i wyretuszować.

— Jeremy podał Jackowi drugi arkusz. Maria i O'Connor nachylili się, wyciągając z zaciekawieniem szyje. Zobaczyli linię układającą się w głębokie „U” wygięte po obu końcach na zewnątrz i ku dołowi oraz dwa nieregularne kółeczka przed nim.

— To Winlandia! — wykrzyknęła Maria. — Dokładnie ten sam zarys Winlandii co na mapie, która została później na ten rysunek naniesiona, tylko w większej skali. To „U” to zatoka, a na nałożonej mapie Winlandia zaznaczona jest w szczycie zatoki. Byłam w zeszłym roku w osadzie wikingów w L'Anse aux Meadows na Nowej Fundlandii. W szczycie zatoki, dokładnie tam, gdzie zaznaczono tutaj Winlandię, znajduje się stanowisko archeologiczne, a to półwyspy, które wrzynają się w cieśninę Belle Isle. Te kółka to przybrzeżne

wysepi Mała Święta Wyspa i Wielka Święta Wyspa. Musiały stanowić dla wikingów ważne punkty nawigacyjne.

— A to jest najfantastyczniejsze — powiedział Jeremy.

— Co?

— Przyjrzyj się dokładnie tej większej. — Jeremy podał Jackowi szkło powiększające. — Widzisz tę smużkę?

Jack pochylił się nad mapką.

— Widzę tu krzyżyk, tak, to zdecydowanie krzyżyk — wymruczał. — A ta smużka obok... To litery?

— Runy.

Jack poczuł przypływ podniecenia.

— Co znaczą?

— Są ich dwie linijki — powiedział Jeremy. — Nawet pod wzmacniaczem obrazu ledwie zdołałem je odczytać, ale treści jestem pewien. Na pierwszą linijkę składają się dwa słowa: *Haraldi konungi*, Harald król. W drugiej też są dwa słowa, złoto i Michelgard. Michelgard to, rzecz jasna, Konstantynopol.

— Boże drogi!

— Richard of Holdingham musiał wykreślić ten szkic na początku, ale potem ogarnęły go wątpliwości. Jest za dokładny, za wiele zdradza. Zatarł go więc i wyrysował bardziej ogólną mapę Winlandii z inskrypcją, w której wymienia Leifa Erikssona. Po namyśle postanowił mimo wszystko dodać wzmiankę, że Harald Hardrada zawitał w tamte strony ze złotem z Michelgardu.

— Ten pierwszy szkic coś nam podpowiada — mruknął Jack. — I to z niewiarygodną precyzją.

— Miejsce zaznaczone krzyżykiem. — O'Connor po raz pierwszy, od kiedy go poznali, uśmiechnął się szeroko. — Czyli warto było zadać sobie tyle trudu.

Na wydymę wdrapał się Costas. Bieg przełajowy przez wyspę wyraźnie go zmęczył.

— Wrócił helikopter — wysapał, padając obok nich na piasek. — Macleod chce wiedzieć, czy wybierasz się jeszcze na „Seaquesta Dwa”, czy wracasz do Stambułu. Z utęsknieniem czekają w zatoce Dysko na instrukcje. Według rozkładu powinni już płynąć na północ, gdzie mają badać skraj pokrywy lodowej, i niektórzy naukowcy zaczynają się niecierpliwić. — Costas dopiero teraz zauważył arkusz rozpostarty na kolanach Jacka. — O, mapa ze skarbem. Ach, jak ja za nimi przepadam. Gdzie to?

Jack spojrział na Costasa ze znajomym błyskiem w oku, a potem pokazał palcem rozjarzoną pomarańczową kulę na horyzoncie.

— Na zachodzie, jakieś dwa tysiące trzysta mil stąd. Powiedz Macleodowi, żeby zajrzał do egzemplarza *Sag o Winlandii*, który mu zostawiłem. Wyczyta stamtąd, gdzie szukać Winlandii.

O’Connor wstał.

— Chyba pora na was. — Uścisnął dłoń Jacka. — Nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie droga, którą kroczę — powiedział. — Ale niech pan coś dla mnie zrobi, Jack, dobrze?

— Co tylko ksiądz sobie zażyczy.

— Niech pan ustali, co się stało z menorą.

Jack błysnął w uśmiechu zębami i położył dłoń na ramieniu O’Connora.

— Zrobimy, co w naszej mocy. Od kiedy Halfdan pożyczył mi swój topór, los zdaje się nam sprzyjać. Najwyraźniej wiąże się z nim jeszcze dawne bitewne szczęście. — Spowaźniał nagle. — A ksiądz niech naprawdę na siebie uważa.

14

Trzydzieści sześć godzin później Jack leżał w smolistych ciemnościach na klepisku po drugiej stronie Atlantyku, okutany w śpiwór i odizolowany od wilgotnej ziemi karimatą. Poprawił pod głową zrolowane ubranie, które służyło mu za poduszkę, i znowu zapatrzył się w ciemność. Obok głośno chrapał Costas, po drugiej stronie przewracał się z boku na bok Jeremy. Skorzystali skwapliwie z okazji przenocowania w zrekonstruowanym długim domu wikingów, niskiej budowli o grubych ścianach z darni, wzniesionym dokładnie w tym samym miejscu, w którym Leif Eriksson i jego drużyna norweskich awanturników stworzyli przed tysiącem lat swój pierwszy prowizoryczny przyczółek na brzegach Ameryki Północnej. Jack źle spał tej nocy, dręczyły go niespokojne sny. Głowę miał pełną opowieści, które usłyszeli poprzedniego dnia na Ionie od O’Connora, opowieści o tajnym bractwie, które po wiekach wznowiło działalność i związało się z najstraszniejszym horrorem współczesności. Ilekroć zapadał w płytką drzemkę, nawiedzały go te same wizje — szczerzący kły bogowie-wilki, kołujące orły, siedmioramienny lichtarz i wzbudzająca grozę swastyka — wizje, które nie reprezen-

towały już oderwanych od siebie fragmentów historii, lecz łączyły się w jeden obraz potęgi i zagrożenia.

Z drzemki wyrwało go lekkie szturchnięcie i aromat unoszący się z podstawionego pod nos parującego kubka. Otworzył oczy i zobaczył nad sobą nieogoloną twarz Costasa.

— Pobudka — powiedział wesoło Costas. — Mamy czas tylko do południa. Potem wpuszczają tu wycieczkę.

Jack odchrząknął i usiadł. Wciągnął dzinsy, włożył granatowy rybacki sweter, zasznurował trzewiki. Skrzywił się, dotykając rany na udzie, pamiątki z góry lodowej. W świetle dnia wlewającym się przez niskie drzwi widział, jak Jeremy roluje karimatę i upycha do worka śpiwór. Przybyli tu poprzedniego dnia już po zmroku i dopiero teraz Jack mógł w pełni ocenić rozmiary domu. Był długi i niski, miał szkielet z drewnianych bali, ściany z darni i dwuspadowy dach, a podłogę stanowiło ubite klepisko. Mógł pomieścić dwadzieścia do trzydziestu osób, kilka rodzin. Wyobraził sobie, jak siedzieli grupkami wokół palenisk rozmieszczonych w równych odstępach wzdłuż osi izby. W długie zimowe miesiące musiało tu być wilgotno i ciemno, smród zatykał, dym gryź w oczy. Nic dziwnego, że wikingów ciągnęło na otwarte przestrzenie i morze, że w letnie miesiące wypasali na łąkach swoje stada albo wyruszali na dalekie wyprawy grabić i poznawać świat.

Wziął od Costasa kubek z kawą i pochylając się, wyszedł przez niskie drzwi na zewnątrz. Osłonił dłonią oczy przed blaskiem porannego słońca. Nieopodal, na łące, stał białoczerwony helikopter Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej Sikorsky S-61N Sea King, którym przylecieli na ten odludny północny półwysep Nowej Fundlandii znad labradorskiej zatoki Goose, tam bowiem znajdowało się najbliższe lotnisko, gdzie mógł wylądować odrzutowy embraer IMU. Jack odwrócił się plecami do helikoptera i rozejrzał po osadzie. Długi

dom, w którym przenocowali, był jednym z trzech takich samych zrekonstruowanych na skraju oryginalnej osady wikingów, kilka jardów od łąki, na której w 1960 roku norwescy archeolodzy odkopali trzy domy mieszkalne i prymitywną kuźnię. Zachowały się po nich tylko niskie skiby w miejscu, gdzie niegdyś wznosiły się ściany z darni, odciski w ziemi po belkach szkieletu, zagłębienia po paleniskach i garstka artefaktów, ale to wystarczyło do ostatecznego potwierdzenia, że wikingowie tu byli. Jack popatrzył ponad bujną łąką na brzeg morza i na skaliste wysepki rysujące się na tle północnego widnokręgu. To miejsce nie miało splendoru starożytnego grobowca ani zaginionego miasta, ale dokonano tu jednego z najdonioślejszych odkryć archeologicznych wszech czasów, które niezbitnie dowiodło, że awanturnicy ze Starego Świata dotarli do Ameryki pięćset lat przed Krzysztofem Kolumbem.

Była to najwcześniejsza znana europejska osada w Ameryce Północnej na zachód od Grenlandii, miejsce, gdzie po raz pierwszy w Nowym Świecie kuto żelazo. I Jack wiedział już, że jest im pisane otworzyć całkiem nowy rozdział w historii tego miejsca, epizod, o którym nie można było nawet marzyć przed znalezieniem Mappa Mundi. Kawa go rozbudziła, poczuł dreszczyk podniecenia.

— Wierzyć się nie chce, że Iona leży ponad dwa tysiące mil na wschód stąd. — W drzwiach domu pojawiła się rozczochrana głowa Jeremy'ego. Stanął z kubkiem kawy obok Jacka, przecierając pięścią oczy. — Ale podobnie tutaj, prawda? Wikingowie musieli się tu czuć swojsko.

— Ty też powinienesz czuć się jak u siebie — zauważył Jack z błyskiem w oku.

— Moja matka była Kanadyjką — przyznał Jeremy. — Pochodziła z Nowej Szkocji. Zwiedzałem tę osadę w dzieciństwie i wtedy postanowiłem, że będę studiował archeologię. Nie do wiary, że tak mało turystów tu przyjeżdża, chociaż

osadę wpisano na listę dziedzictwa światowego UNESCO. Kiedy czyta się książki poświęcone historii, można odnieść wrażenie, że europejskie osadnictwo w Ameryce Północnej zapoczątkował w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym siódmym John Cabot.

— Ale wikingowie długo tu miejsca nie zagrzali — podchwycił Costas, który podszedł do nich, uporawszy się z wynoszeniem posłań z długiego domu. — Z tego co wiem, L'Anse aux Meadows było bardziej przyczółkiem, obozem przejściowym.

Jeremy kiwnął głową.

— Z badań archeologicznych wynika, że ten obóz zamieszkiwano co najwyżej kilka sezonów, a potem prawdopodobnie jeszcze kilka lat sporadycznie odwiedzano. Te trzy długie domy mogły pomieścić do setki osób, a więc może była to próba osiedlenia się na stałe. Mieszkały tu również kobiety, hodowano trzodę. Ale nie udało się. Był to rok mniej więcej tysięczny, może trochę później. Islandia została skolonizowana z Norwegii pod koniec dziewiątego wieku, Grenlandia przez Eryka Rudego jakieś sto lat później, a więc najprawdopodobniej stamtąd wywodzili się ci osadnicy. Konstrukcja i styl darniowych domów są typowe dla Islandii i Grenlandii z tamtego okresu. Leif Eriksson, co sugeruje nazwisko, był synem Eryka Rudego.

— Pewnie badali obrzeża swojego świata — skonstatował Jack. — To samo robili Fenicjanie. Najdalej wysunięte placówki handlowe datowane są na najwcześniejszy okres eksploracji. Mogador w zachodniej Afryce, Kornwalia w Brytanii. Atrakcyjne, jeśli chodzi o możliwości wymiany handlowej, ale za daleko położone i za słabe, żeby przetrwały długo. Tutaj mamy chyba do czynienia z podobną historią.

— Dobre porównanie — mruknął Jeremy, przeczesując palcami włosy. — Podczas wykopalisk prowadzonych tu

w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku znaleziono mnóstwo śladów obróbki drewna, ociosywania belek i cięcia desek do budowy statków. Teraz trudno to sobie wyobrazić, ale kiedyś rosły tu gęste lasy liściaste podchodzące pod same łąki. Dla Islandczyków i Grenlandczyków, którzy własnych lasów nie mieli i musieli sprowadzać drewno ze Skandynawii, musiała to być istna kopalnia złota. Naprawiali tutaj swoje łodzie i być może budowali nowe, ale większość drewna prawdopodobnie wysyłali z powrotem na Islandię i Grenlandię.

— To ja już nic nie rozumiem — przyznał Costas. — Skoro mieli tu wszystkiego w bród — i drzew, i łąk na pastwiska, i łowisk — to czemu nie osiedlili się na stałe?

— Przez Scraelingów — powiedział Jack.

— Kogo?

— Tak nazywali tubylców, Indian — wyjaśnił Jeremy. — W wolnym tłumaczeniu diabelskie nasienie, co w pełni oddaje nastawienie wikingów do miejscowej ludności. W tamtych czasach Nowa Fundlandia była dość gęsto zaludniona. Wojenne canoe i łuki dawały rdzennym mieszkańcom tych terenów nie tylko liczebną przewagę nad wikingami. Wykopaliska archeologiczne niewiele tu wnoszą, ale z sag wyłania się mroczny obraz sytuacji. Do pierwszych zadrażnień i starć doszło już na samym początku, kiedy wylądował tu Leif Eriksson. Śmiertelna ofiara po jednej albo drugiej stronie mogła doprowadzić do otwartej wojny. Wikingowie całą swoją energię musieli przypuszczalnie wkładać w fortyfikowanie swojej osady, w otoczenie jej drewnianą palisadą. Wypasanie bydła, polowanie i łowienie ryb stało się praktycznie niemożliwe. Wycieńczeni, zaczęli chorować. Nie mogli wycinać lasu i przygotowywać drewna na wysyłkę do ojczyzny, a głównie po to tu przybyli. W sagach czytamy, że brat Leifa, Thorvold, zginął od strzały, i to mogło być podzwonnym dla osady.

— Zupełnie jak Ojcowie Pielgrzymi w Ameryce, w Jamestown — zauważył Jack. — Nękani przez wrogo nastawionych tubylców, głodujący, podatni na choroby.

— Gorzej. — Jeremy wyciągnął z kieszeni wystrzępioną książkę. — To *Sagi Winlandzkie* początkowo przekazywane ustnie, potem, w trzynastym wieku spisane na Islandii. Trudno je traktować jako źródło rzetelnej wiedzy historycznej, są zawiłane i czasami przeczą jedna drugiej, ale odkrycie tej osady dowodzi, że opowiadają o wyprawie, która rzeczywiście się odbyła. Według *Sagi Grenlandczyków* inne z dzieci Eryka Rudego, jego córka Freydis, zorganizowało ekspedycję do Leifsbuóir, „Domów Leifa”, jak nazywali osadę w Winlandii. Brały w niej udział dwa statki, jeden z blisko trzydziestoma Grenlandczykami, drugi z taką samą liczbą Islandczyków na pokładzie. Kiedy dotarli do celu i zesłi na ląd, rozgorzał między nimi spór, jakoby na tle kobiet, w każdym razie jakiejś głęboko zakorzenionej animozji. W rezultacie Freydis i Grenlandczycy wpadli w furję i wymordowali za jednym zamachem wszystkich Islandczyków. Freydis własnoręcznie zarząbała pięć Islandek, ich dzieci prawdopodobnie też. Ta potworna rzeź, jeśli do niej naprawdę doszło, miała miejsce w nocy w któryś z tych trzech długich domów.

— Krwawa zemsta wikingów — mruknął Jack, przypominając sobie swój niespokojny sen. — Mam nadzieję, że nie przejdzie na nas.

— Wiadomo, kiedy to dokładnie było? — spytał Costas.

— Z datowania węglem wynika, że osadę założono około roku tysięcznego, potem, jeśli wierzyć sagom, przez ponad piętnaście lat docierały tu inne wyprawy. Ta zorganizowana przez Freydis mogła być ostatnią.

— Przed Haraldem Hardradą.

— To właśnie chcemy ustalić. — Jack zatarł dłonie i zerk-

nał na mapnik, który Jeremy położył obok ich bagażu. — Pora znowu spojrzeć na tę mapę.

Dwadzieścia minut później stali na brzegu, kilkaset metrów od stanowiska archeologicznego. Za plecami mieli łagodnie pofalowane łąki otaczające osadę wikingów, przed sobą płaski brzeg usianej mieliznami zatoki. Obok dwaj marynarze z Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej pompowali lekki ponton Zodiac przy dźwigany z helikoptera. Jack, osłaniając dłonią oczy, patrzył na morze. Powietrze było tak samo przejrzyste i klarowne jak w fiordzie lodowym, w wiejącej od północy bryzie wyczuwało się chłód lodowca docierający aż tutaj nawet w czerwcu. Jack wrócił na moment myślami do góry lodowej, która wyrwała się z fiordu. Może roztopi się w końcu gdzieś w okolicach tego wybrzeża i uwolni Halfdana, by mógł spocząć na szlaku, którym przed wiekami płynęli jego druhowie? Odpędził od siebie tę myśl i skupił uwagę na niskiej formacji skalnej wystającej z morza kilka kilometrów od brzegu.

— Wielka Święta Wyspa — mruknął. — Nasz cel.

— Nie ma żadnych wątpliwości co do identyfikacji. — Jeremy porównywał kopię szkicu Richarda of Holdingham z ksero mapy morskiej tych wybrzeży. — Od Marii wiem, że Richard był skrupulatnym uczonym i zapewne przerysował tę mapę najdokładniej, jak potrafił, prawdopodobnie kopiując ją z oryginalnego szkicu, który jakimś sposobem dotarł do niego z Grenlandii. — Odłożył nagle szkic i popędził do pobliskiego wzgórzka, gdzie nad małą turystyczną kuchenką unosił się obłok pary.

— Zaczy czego konkretnie szukamy? — spytał Costas. — Glinianych skorup, monet, zardzewiałego topora bojowego?

Jack spojrzął z uśmiechem na przyjaciela.

— Nic z tych rzeczy. Rezultatem ośmiu lat wykopalisk na terenie L'Anse aux Meadows w latach sześćdziesiątych były tylko cztery artefakty. Szpila z brązu, kamienna lampka oliwna, wrzeciono i złocona blaszka. Tyle tylko pozostało po społeczności liczącej ponad sto osób i zamieszkującej tutaj przez kilka lat. Norwegowie podnosili wszystko, co im upadło, i niczego nie wyrzucali. Jeśli Harald Hardrada postanowił coś tutaj zostawić, to może to znajdziemy. Jeśli nie, prawdopodobnie nie znajdziemy niczego.

Jeremy wrócił truchtem z dwiema drewnianymi miskami i łyżkami. Jedną podał Jackowi, drugą Costasowi.

— Sam je w dzieciństwie wystrugałem — oznajmił z dumą. — To wierne kopie norweskich misek z Grenlandii. Zawartość też jest zresztą autentyczna.

Costas patrzył podejrzliwie na gęstą papkę, którą napełniona była jego miska. Poklepał ją łyżką.

— Rzeczywiście, świeżo nie wygląda — orzekł. — I zalutuje klejem żywicznym. To chyba nie do jedzenia?

Jeremy udał, że tego nie słyszy.

— Mój własny przepis. Oparty na analizie zawartości nordyckich dołów kloacznych. Gruboziarnista mąka jęczmienna, utarty groch i kora sosnowa. Rodzaj kleiku. Naprawdę niezłe.

— A gdzie twoja miska?

— Nie wytrzymałem. Już zjadłem.

— Rozumiem. — Costas powąchał łyżkę i oblizał ją eksperymentalnie. — Boże. Faktycznie kojarzy się z kloaką.

— Niczego innego nie dostaniesz. Wcielamy się w wikingów. Na L'Anse aux Meadows współczesnych potraw nie wolno spożywać.

Costas wyburczał coś pod nosem, a Jeremy odwrócił się do Jacka, który tymczasem bez komentarzy opróżnił do czysta swoją miskę i patrzył znowu na mapę.

— Z tego miejsca się nie wracało — powiedział. — Jeśli naprawdę dotarli aż tutaj, żaden z ludzi Haraldą nie mógł wrócić żywy do domu. To była podróż na kraniec świata z biletem w jedną stronę.

— A co z ich przewodnikami? — wymamrotał Costas z ustami pełnymi kleistej mazi, łypiąc spode łba na Jeremy'ego.

— Wątpię, czy któryś z Grenlandczyków towarzyszył Haraldowi aż tutaj — odparł Jack. — Po pogrzebie Halfdana została tylko jedna długa łódź, nie miałoby więc jak wrócić na Grenlandię. Nawet zostając w Ilulissat, musieli pewnie czekać na ewakuację do lata, kiedy to do Norórseta dotarli myśliwi i rybacy.

— Wytlumaczcie mi jedno — poprosił Costas. — Sprowadziła nas tu mapa, wyobrażenie Winlandii z odniesieniem do Haraldą Hardrada na Mappa Mundi. Jak informacja, że Harald tu był, dotarła po tylu latach do Anglii, do ówczesnego *felagu* i na ostatek do Richarda of Holdingham?

— Jak twierdzi O'Connor, ten należący do *felagu* biskup, który przybył na początku dwunastego wieku na Grenlandię, dowiedział się o wyprawie Haraldą od miejscowych Norwegów. Przewodnicy, którzy wrócili z fiordu lodowego na południu Grenlandii do zachodniej osady, musieli komuś powiedzieć, że Harald popłynął do Winlandii, i było to później przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie. Jeśli wierzyć historii Islandii, Grenlandczycy mieli bogatą tradycję sag, których część przeznaczona była tylko dla uszu wtajemniczonych. Żadna z tych sag nie przetrwała niewyjaśnionego zniknięcia Grenlandczyków kilka wieków później.

— A ten krzyżyk na mapie, ten iks? — spytał Costas. — Jeśli naprawdę zaznaczono nim coś, co się tu znajduje, to skąd Grenlandczycy mogliby o tym wiedzieć?

— To proste — wtrącił się Jeremy. — Norwegowie znaczyli swoją drogę, wznosząc punkty orientacyjne. Pomagały

one potem innym w nawigowaniu po takim ogromnym, niezbadanym jeszcze obszarze. Niektóre z kamiennych kopców wokół Zatoki Baffina, przypisywanych Eskimosom, w rzeczywistości mogły zostać usypane przez Norwegów. W *Sadze o Grenlandczykach* czytamy, że Thorvold, ten sam, który poległ później od indiańskiej strzały, ustawił gdzieś na północny wschód stąd kil łodzi w charakterze takiego znacznika i nazwał to miejsce Kjalarnes, Przylądek Kilu.

— Czyli twierdzicie, że Wielka Święta Wyspa była znanym punktem orientacyjnym.

— Moim zdaniem nie tylko — powiedział Jack. — Fakt, że wysepka została na mapie tak wyraźnie wyodrębniona, sugeruje coś więcej, coś mającego ścisły związek z podróżą Haralda. To tylko przypuszczenie, ale zastanawia mnie, czy Harald, przed wypłynięciem z Ilulissat, nie obiecał czasem swoim grenlandzkim przewodnikom, że będzie w jakiś sposób znał trasę swojej podróży. Naturalnym miejscem na zostawienie takiego znaku, jakie mogli mu zasugerować Grenlandczycy, był ich własny punkt nawigacyjny, który pomagał im odnaleźć drogę do osady Leifsbuóir leżącej nieopodal Wielkiej Świętej Wyspy i który Harald mógł z łatwością odnaleźć. Być może Grenlandczycy nigdy się tu nie wybrali, żeby sprawdzić, czy zostawił taki znak, ale pamięć o obietnicy Haralda przetrwała.

— No to my to za nich sprawdzimy. — Costas oddał Jeremy'emu pustą miskę i zerknął wymownie na jego plecak. — Nie masz tam czasem jakiegoś miodu albo piwa na przepłukanie gardła?

— Muszę cię niestety rozczarować. Ale mam coś równie autentycznego, też z epoki. To rodzaj kwaśnego jogurtu wyrabianego z serwatki po zsiadłym krowim mleku, pozostawianej na kilka tygodni w otwartej kadzi. Najlepiej smakuje na ciepło. Chcesz, to ci to zaraz podgrzeję na kuchence...

Costas, machając rozpaczliwie rękami, był już w połowie drogi do plaży. Jack uśmiechnął się do Jeremy'ego i wskazał ruchem głowy zodiaca.

— No to jesteśmy po śniadaniu — powiedział.

Kilka chwil później nakładali już skafandry i kamizelki ratunkowe pożyczone od Straży Przybrzeżnej. Pomogli zepchnąć ponton na płyciznę, wskoczyli do niego i usiedli na burtach. Jeden z marynarzy zapuścił silnik. Płynąc wolno przez zatokę, patrzyli na oddalający się niski brzeg.

— Trwa przyptyw — zawołał Jeremy, przekrzykując ryk silnika. — Kiedy się cofa, cała ta zatoka staje się suchym lądem. Wikingowie łowili łososie, zastawiając pułapki w trakcie odpływu i wracając podczas następnego odpływu. Ludzie Haralda nie mieli żadnych kłopotów z uzupełnieniem zapasów żywności.

Kiedy płycizny zatoki zostały za nimi, marynarz szerzej otworzył przepustnicę i wypłynęli na zielonoczarny przestwór otwartego morza. W pewnej chwili chmury zaczynające zasnuwać niebo rozstały się i na wysepkę, na którą się kierowali, padł nagle jasny snop słonecznego światła.

— Iskry z Mjollnira! — zawołał Jeremy.

— Co?

— Norwegowie wierzyli, że błyskawice i takie snopy światła to iskry krzesane przez Mjollnir, młot Thora — odkrzyknął Jeremy. — Uznawali to za dobry znak.

— Wystarczy już tych nordyckich zabobonów — jęknął Costas. — Wszystkie te wilko-psy i krwawe orły zaczynają mi się śnić po nocach.

— Spokojnie. — Jack uśmiechnął się do Costasa przez wodną mgiełkę. — Przywykniesz. I wkrótce znowu staniesz na pewnym gruncie.

15

Dwadzieścia minut później stali już po zawietrznej stronie Wielkiej Świętej Wypsy sąsiadującej z wysuniętym najdalej na północ cyplem Nowej Fundlandii. Ściągnęli skafandry ochronne i oddali je pozostającym na zodiacu marynarzom.

Wyspa miała około kilometra długości i pół kilometra szerokości, składały się na nią skalne wybrzuszenia poprzedzielane łąkami trzęsawisk i porośniętych trawą polanek. Jack oglądał przez lekką lornetkę wznoszące się tu i ówdzie niskie pagórki.

— To lubię najbardziej — westchnął z ukontentowaniem Costas, wzuwając traperki. — Szukać skarbu.

— Tym razem bez żadnych wynalazków. — Jack opuścił lornetkę i spojrzął na zawiązującego sznurowadła Costasa. — W tym terenie geofizyka na niewiele się zda, zresztą to, czego szukamy, prawdopodobnie i tak nie leży na wierzchu. Jesteśmy zdani wyłącznie na własne oczy. Nawiasem mówiąc, każdy ze skarbów, które dotąd znalazłem, znalazłem właśnie dzięki nim.

— A czego szukamy?

— Czegoś na najwyższym wyniesieniu albo w miejscu dobrze widocznym z morza. Ale jeśli mam być szczerzy, to wiem tyle co ty. Jakiegoś kopca albo warstwy kamieni, której

regularny rozkład sugeruje, że mogą pochodzić ze stosu, który się zawalił. Jeśli jednak znak był drewniany, tak jak tamten kil z sagi, to szanse, że przetrwał do naszych czasów, są minimalne.

Rozwinęli się w trzyosobową tyralierę i mniej więcej w dwudziestometrowych odstępach, z Jackiem pośrodku, ruszyli przez wysepkę. Teren nie był specjalnie trudny, ale w tym galimatiasie wystających skał i błotnistych rozpadlin trzeba było uważnie patrzeć pod nogi. Nasuwało się nieodparte skojarzenie z Ioną. Costas, wdrapawszy się na pierwsze małe wzniesienie, zatrzymał się nagle i wbił wzrok w ziemię.

— Masz coś? — zawołał do niego Jack.

— Nie, pomyślałem o tych wikingach Haralda...

— No? — Jack odprężył się i patrzył wyczekująco na Costasa.

— Nie mieli kobiet. Znaczy się, nie licząc tej konkubiny Haralda, ale ona raczej nie wchodziła w rachubę.

— Marię też to zastanawiało. Ale nie zapominaj, że oni nie zamierzali zakładać nowej kolonii. Nastawiali się na to, że idą od jednej bitwy do drugiej, aż do tego ostatniego starcia. Jeśli trafiło im się coś po drodze, to dobrze, jeśli nie, to też dobrze, przyświecał im wyższy cel. A poza tym nie byli dysponowani.

— Martwisz się o nią? — spytał Costas. — Znaczy o Marię? Jack milczał przez chwilę.

— Ona potrafi o siebie zadbać — powiedział w końcu. — To O'Connor jest na linii ognia.

W ciągu dwóch godzin przeczesał całą wysepkę i niczego nie znaleźli. Jeremy i Costas zostali z tyłu, Jack szedł dalej kamienistą plażą po zachodniej stronie wyspy. Zaczynało go ogarniać poczucie zagubienia, przypominały mu się sny

z ubiegłej nocy. Po raz pierwszy poważnie się zastanawiał, czy aby tutaj ślad się nie urywa. Archeolodzy, którzy wcześniej podążali tropem wikingów, uznawali odkrycie tego posępnego, odludnego miejsca oraz śladowych pozostałości po Norwegach w L'Anse aux Meadows za swój wielki triumf, porównywalny z odnalezieniem skarbu króla Tutenchamona. A przecież tutaj stracili trop. Nie natrafiono dotąd na żaden ślad innej podobnej osady wikingów ani podejmowania przez nich wypadów dalej na zachód lub na południe.

Jack przykucnął nad brzegiem, znalazł płaski kamyk i puścił kaczkę. Liczył odbicia od fal, aż do ostatniego. Może to naprawdę był kraniec świata dawnych Norwegów, granica, za którą rozpoczynało się życie po życiu. Może to tutaj stoczyli swoją mistyczną bitwę u kresu czasu, swoje Ragnarók. Od znalezienia się na Ionie Jack odczuwał niezwykłą więź z Haraldem Hardradą, zupełnie jakby Harald był jego duchowym towarzyszem obecnym tuż po drugiej stronie tej granicy.

Maria mówiła, że w wierzeniach Norwegów ci, których gna żądza przygód, podążają ścieżkami przetartymi przez przodków, przez swoich duchowych towarzyszy, i Jack rzeczywiście odnosił dotąd wrażenie, że jest przez kogoś prowadzony.

Przed chwilą natomiast poczuł się nagle osamotniony, zabłąkany w mgiełce niepewności, pozbawiony najmniejszej wskazówki, dokąd ma się udać teraz.

Kto wie, czy dokładnie tego samego nie odczuwał tutaj i Harald. Jack pomyślał znowu o mapie, o długiej łodzi w lodzie, o wspaniałym toporze bojowym Halfdana. To wcale nie była fantazja. To zdarzyło się naprawdę. I nie mogło się tak skończyć. Przyłożył dłoń do skalnej opoki wysepki, prosząc ją w duchu, by zdradziła mu swe tajemnice. Pomyślał znowu o toporze.

— Bitewne szczęście — wyszeptał. Potem wstał i zdecydowanym krokiem zaczął wchodzić na niski nadbrzeżny

wzgórek. Ze szczytu zobaczył Jeremy'ego i Costasa na skalnej płycie w pobliżu niższego, wschodniego brzegu. Dotarł tam po kilku minutach i podał im butelkę z wodą, a kiedy się napili, sam pociągnął łyk.

— Mówiłem właśnie Costasowi, że coś nie daje mi spokoju — powiedział Jeremy. — Coś w związku z mapą. — Rozłożył mapę Richarda of Holdingham na kamieniu, usiadł i zapatrzył się w nią. Raptem zerwał się na równe nogi. — Ależ ze mnie dureń! — krzyknął. — Przecież sam mówiłem, jaki skrupulatny był Richard. Przyjrzyjcie się bliżej temu szkicowi. To nie krzyżyk, nie X. To wikiński symbol młota Thora, pionowa kreska z dwoma odchodzącymi od niej pod kątem i spotykającymi się ramionami.

— Fajnie — mruknął Costas. — Tylko co z tego?

— Przypuścimy, że natrafili na skałę w tym kształcie i tam usypali swój kopiec. Może nie było to najlepsze miejsce na pozostawienie znaku nawigacyjnego, ale tak właśnie postąpiliby Norwegowie. Inaczej obraziliby Thora.

— No to znaleźliśmy tę skałę! — zawołał z podnieceniem Costas. — Spójrzcie pod nogi.

Spojrzeli. W kształcie skalnej płyty, na której stali, była dziwna regularność. Nie zauważyliby tego bez podpowiedzi, ale rozglądając się teraz, dostrzegli wyraźne podobieństwo do symbolu młota Thora.

— W porządku — wyrzucił z siebie Jeremy. — Teraz szukamy jakichś znaków, najprawdopodobniej runów. Zaglądajcie w każde zagłębienie, jakie znajdziecie.

Zeskoczył z płyty i zaczął ją obchodzić, wodząc wzrokiem po chropawej powierzchni granitu. W pewnym momencie przykucnął, zajrzał pod jakiś nawis i usłyszeli stłumiony okrzyk triumfu. Jack zeskoczył z płyty i podbiegł tam. Jeremy wziął go za rękę i przyłożył ją do spodniej strony nawisu.

— Czujesz?

Jack, przesuując dłonią po nierównym, wilgotnym kamieniu, wyczuwał tam łączące się ze sobą, linearne zagłębienia, jakby wyżłobione kreski.

— Tak!

— Mamy latarkę?

Costas wcisnął Jeremy'emu w dłoń minimaglite'a. Jeremy przykucnął znowu pod nawisem i skierował promień latarki na jego spód.

— Dwa runy — zakomunikował. — Pierwszy to trzeci w kolejności run z nordyckiego *futhark*, dźwięk TH. Ponieważ runy są tylko dwa, podejrzewam, że nie reprezentują układających się w słowo liter, lecz mają znaczenie symboliczne, w tym wypadku „orzeł”.

— Orzeł — powtórzył za nim Jack. — Czyżby chodziło o łódź Harald'a?

— Drugi by to potwierdzał — odparł Jeremy. — Sam zobacz.

Wygramolił się spod nawisu i oddał latarkę Jackowi. Jack przykucnął i przyświecając nią sobie, zajrzał pod nawis. Promień padł na siedmioramienny symbol menory. Jack, wstrzymując oddech, patrzył jak zahipnotyzowany. Nie do wiary. Harald Hardrada siedział zapewne w kucki dokładnie w tym samym miejscu co teraz on i z zadartą głową patrzył na znaki wykute przez swoich ludzi. I aż do tej pory był ostatnim człowiekiem, który je oglądał. Dziobata skała, w której wyryto stare symbole, przypominała powierzchnię pokrytych runami głazów, które podziwiał przed dwoma dniami na Ionie, ale symbol menory wykuty w kamieniu widział wcześniej tylko raz, na Łuku Tytusa w Rzymie. To, na co teraz patrzył, zdawało się przeczyć wszystkim konwencjonalnym pewnikom historii. Niewiarygodne. Musiał zacisnąć mocno powieki, by przypomnieć sobie, że znajduje się tysiące mil od Iony i Rzymu, po drugiej stronie Atlantyku.

Z szerokim uśmiechem na ustach wygramolił się spod skalnego nawisu i uściśnął Jeremy'emu dłoń, klepiąc go jednocześnie po plecach.

— To by było to — powiedział. — Moje gratulacje, Jeremy. Dobra robota.

— Co znaczą te runy? — spytał Costas.

— „Orzeł” — łódź Haralda — plus symbol jego menory — odparł Jack.

— Harald tu był.

— Coś w tym stylu.

— A więc to prawda. — Jeremy osunął się na trawę pod skałą rozradowany, ale wyczerpany. — Historię trzeba będzie pisać na nowo. Winlandia nie była zwyczajnym przyczółkiem, lecz miejscem, które zaszczycił swoją obecnością największy król ery wikingów.

— I stąd popłynął dalej — mruknął Jack.

— Co tu się wydarzyło? — zapytał w zamyśleniu Costas, patrząc ze ściągniętymi brwiami na niską linię brzegową, nad którą zaczynał się ściągać kapuśniaczek. — Jeśli to odludzie było dla Norwegów takim rajem, to dlaczego Harald nie został?

— Norwegowie mocno wierzyli w istnienie świata duchów — powiedział Jeremy. — Bariera oddzielająca ich świat od tego świata duchów była porowata, łatwa do przekroczenia. Bóg-wilk, bóg-orzeł, zły bóg Loki, każdy z nich mógł się pojawiać w realnym świecie pod różnymi postaciami, widzialny tylko dla obdarzonych *seidem*, rodzajem drugiego wzroku. To miejsce mogły nawiedzać duchy umarłych. Może Harald i jego ludzie po wylądowaniu tutaj wyczuwali coś takiego.

— Do tego nie trzeba było drugiego wzroku — zauważył Costas. — Chociaż od dokonanej tutaj masakry upłynęło już wtedy pięćdziesiąt lat, to szkielety się zachowały, zwłaszcza w długich domach.

— Ludzie Haralda poczuli się zapewne w obowiązku pozbierać te kości i spalić je, a potem puścili z dymem wszystko, co mogli — powiedział Jeremy. — Te runy miały prawdopodobnie podwójne, magiczne znaczenie: odpędzały duchy tego miejsca i strzegły Haralda i jego ludzi przed tym, co mogło ich jeszcze spotkać. Stanowiły runiczne zaklęcie — *galdrastafir*. — Wstał, sięgnął pod skalny nawis i zaczął wodzić palcami po wyrytych tam wyźłobieniach. — Jeden znak runiczny może symbolizować dziób orła, inny kiel wilka, jeszcze inny młot Thora.

— Albo menorę — mruknął Jack.

— Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej dochodzę do przekonania, że menora stała się osobistym runem Haralda, nie tylko symbolem jego męstwa i dokonań, ale również rodzajem talizmanu, czegoś związanego nierozdzielnie z tym, co mu przeznaczone.

— To, że uszedł z życiem spod Stamford Bridge, graniczyło z cudem — powiedział Jack. — Harald, jak każdy wikiński wojownik, pragnął polec chwalebnie w boju. Fakt, że przeżył, mógł sugerować, że ma przed sobą jeszcze ważniejszą bitwę. On i jego ludzie, w tym na wpół obłąkanym stanie, w jakim się znajdowali, mogli już przekroczyć granicę świata duchów i wyobrażać sobie, że patrzą na zapowiedzi swojego losu w rozstrzygającym starciu Ragnarók.

— Przypomnij sobie, co powiedział O'Connor — zauważył Jeremy. — Norwegowie wierzyli w przeznaczenie, w to, że los człowieka zostaje przypieczętowany z chwilą jego narodzin. Może Harald czuł, że ma jeszcze przed sobą jakąś misję do wypełnienia, i to nie pozwalało mu spocząć na laurach. Szukał wciąż tego pisanego mu największego triumfu, śmierci godnej norweskiego herosa, którego w nim upatrywano.

— Dosyć tego, chłopaki, bo już się pogubiłem — wtrącił Costas. — Ja chcę się tylko dowiedzieć, dokąd stąd popłynął.

Jack kiwnął głową i spojrzał na niego z powagą.

— No więc tak. Tutaj mogli przynajmniej uzupełnić zapasy wody pitnej i żywności i naprawić łódź. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym archeolodzy natrafili w pierwszej kolejności na prymitywną kuźnię, w której wytapiano żelazo z tutejszej rudy żakowej i sporządzano gwoździe oraz nity. A część wiórow znalezionych nad brzegiem mogli pozostawić ludzie Haralda naprawiający poszycie kadłuba.

— A potem dokąd? Na wschód czy na południe?

— Żegluga na zachód, Rzeką Świętego Wawrzyńca, wymagałaby wyczerpującej walki z prądem — powiedział Jeremy. — Zresztą płynąc w tym kierunku, żyliby w ciągłym strachu, że tylko patrzeć, jak dotrą na skraj świata i runą w Ginnungagap, wielką otchłań.

— Niezbyt chwalebny koniec, nie na taki się nastawiali — przyznał Costas. — Czyli na południe?

Jack kiwnął głową, po czym wyjął z plecaka palmtop, ukucnął pod ścianą i spojrzał na Jeremy'ego.

— Teraz ja muszę przeprosić za ukrywanie czegoś przed wami. Jestem już o krok dalej. — Włączył komputer. Costas i Jeremy przykucnęli po obu stronach. Po kilku sekundach na ekranie pojawiło się izometryczne wyobrażenie długiej łodzi wikingów.

— Lanowski przesłał mi to e-mailem wczoraj wieczorem, kiedy już spaliście — powiedział Jack. — To trójwymiarowy graficzny model naszej łodzi w lodzie, odtworzony na podstawie danych fotogrametrycznych uzyskanych z wnętrza góry lodowej. Jeśli założyć, że „Wilk” i „Orzeł” były łodziami siostrzanymi, wiemy teraz, jak w przybliżeniu wyglądała jednostka, na której Harald i jego ludzie dopłynęli do Winlandii.

Zaczął obracać rysunek, pokazując im go pod różnymi kątami i powiększając niektóre szczegóły. Był to wysmukły jednomasztowiec z kwadratowym żaglem, o szerokim śród-

okręciu oraz wznoszących się symetrycznie dziobnicą i tylnicą. Każda deska poszycia kadłuba zachodziła dolną krawędzią na tę niższą i była z nią połączona nitami oraz gwoździami. Łódź miała głębokie zanurzenie, a jej podwodna część schodziła ku stępce ostrym klinem, co zwiększało opór stawiany wodzie przez kadłub przy poprzecznych przechyłach. Pod okrężnicą znajdowały się rozmieszczone w równych odstępach otwory na wiosła, a na rufie wiosło sterowe osadzone na wystającej belce, takie samo, jakie Costas z Jackiem widzieli ułożone na dnie długiej łodzi w lodzie. Lanowski dał sobie spokój z odtwarzaniem wspaniałej rzeźby wieńczącej dziobnicę, za to na rufie powiewała biała flaga z logo IMU i pająkowym kształtem siedmioramiennego lichtarza.

— O, kurczę — mruknął Costas. — Ten gościu ma jednak poczucie humoru.

— Po przezimowaniu w fiordzie lodowym musieli wyremontować swoją łódź, wyszykować ją przed wyruszeniem na południe — powiedział Jack. — Jak na standardy wikingów była już stara, to przecież na niej Harald uciekał ćwierć wieku wcześniej ze Złotego Rogu. Musieli się dobrze napracować, żeby po podróży z Iony i przeżeniu całej zimy na lodzie nadawała się znowu do użytku.

— A jaka to była pora roku?

— Paleoklimatolodzy z zespołu Macleoda przebadali próbki pobrane z góry lodowej w okolicach miejsca, gdzie uwięziona jest łódź. Wyniki świadczą, że zima z tysiąc sześćdziesiątego szóstego na siódmy była szczególnie ostra, zapowiadała średniowieczną małą epokę lodowcową. Cieśnina Davisa mogła oczyścić się z dryfującego lodu dopiero w maju, jeśli nie na początku czerwca.

— Kiedy już postanowili, że przesiadają się wszyscy na jedną łódź, na „Orła”, to na naprawy mogli wykorzystać drewno z tej drugiej — zauważył Costas.

— I według Lanowskiego tak właśnie zrobili — przyznał Jack.
— Analizując obrazy, stwierdził, że z łodzi wzięto nie tylko kilka wręg, ale i fragment kilu.

— A czym uszczelnili szpary?

— Zimę przetrwać mogli tylko polując i łowiąc ryby w przeręblach — powiedział Jack. — Jestem przekonany, że byli z nimi grenlandzcy Norwegowie, których zabrali z zachodniej osady na przewodników. Oni pokazali ludziom Haralda, jak nacierać deski foczym tranem dla zabezpieczenia ich przed świdrakami okrętowymi i jak skręcać liny ze skór morsów.

— I powiedzieli im, że na północy nie mają czego szukać — dorzucił Costas.

— Teoretycznie wikingowie mogli pozełgować Przejściem Północno-Zachodnim przez Arktykę do Cieśniny Beringa, ale nie ma żadnego dowodu, by kiedykolwiek zapuszczali się na tereny na zachód od Morza Baffina — powiedział Jeremy. — Artefakty związane z wikingami znajduwane są co prawda daleko na północy, nawet w obozowiskach Eskimosów na Wyspie Ellesmere'a na skraju polarnej czapy lodowej, ale pochodzą one zapewne z wraków łodzi albo z opuszczonych osad Norwegów na Grenlandii. Zupełnie jak z pozostałościami po zaginionej ekspedycji Franklina, która szukała Przejścia Północno-Zachodniego w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku — zwodnicze ślady w postaci znalezisk przejętych przez inną kulturę.

— Trochę to niesamowite — mruknął Costas. — Gdzie się obrócić, ślady po wikingach, a samych wikingów jakby tam nigdy nie było. Chyba zaczynam wierzyć w ten ichni świat duchów.

Jack wskazał ruchem głowy na niski brzeg w głębi zatoki, w kierunku L'Anse aux Meadows. Oczywiście wyobraźni widział łódź wikingów ze zwiniętym żaglem, wyciągniętą tam na brzeg, poddawaną przeglądowi.

— Tutaj na pewno byli. I nie zapominaj o naszej długiej łodzi uwięzionej w lodzie.

— Czyli jesteśmy zgodni co do tego, że dotarli tu, powiedzmy... pod koniec czerwca tysiąc sześćdziesiątego siódmego roku? — spytał Jeremy.

— Kiedy spłynął już dryfujący lód i pogoda się poprawiła, stosunkowo łatwo było im przeprawić się z Ilulissat przez Cieśninę Davisa, a następnie, posuwając się wzdłuż wybrzeży Ziemi Baffina i Labradoru, szlakiem przetartym przez Grenlandczyków dotrzeć aż tutaj — orzekł Jack. — Spotyka się tam dużo gór lodowych, ale mogli zmobilizować tylu w miarę sprawnych, zdolnych do krótkiego wysiłku wiosłarzy, żeby je w porę ominąć. Niewykluczone, że przez całą drogę mieli stały sprzyjający wiatr od rufy. Taka łódź zachowywała sterowność nawet podczas sztormu, przy wzburzonym morzu, miała wystarczająco elastyczną konstrukcję, by wytrzymywać silne kołysanie wzdłużne, i burty na tyle wysokie, żeby nie nabierać wody, kiedy wskutek oblodzenia kadłuba zapadała się głębiej w fale. No i Norwegowie byli doskonałymi nawigatorami. Mieli coś w rodzaju kamienia słonecznego, refrakcyjnego skalenia, który przy pochmurnej pogodzie wychwytywał światło spolaryzowane i pokazywał im, gdzie znajduje się słońce, ale przeważnie nawigowali na wycucie, wykorzystując swoją znajomość morza i wiedzę o gwiazdach. Kiedy wpływali w zalegające u tych wybrzeży mgły, w utrzymywaniu kursu pomagał im zapach łądu, rosnących tu gęsto borów sosnowych.

— Naprawdę myślisz, że Winlandia była ich ziemią obiecaną? — nie ustępował Costas, popatrując z powątpiewaniem w stronę L'Anse aux Meadows. — Mnie się ta okolica za bardzo nie podoba.

— Wikingowie, którzy przybyli tu pierwsi, patrzyli na nią inaczej. Mieli tu w bród wszystkiego, co im było potrzebne do

życia. — powiedział Jack. — Ale za czasów Hardrady miejsce to okryte już było złą sławą, rzuciła na nie cień bestialska zbrodnia Freydis. Grenlandczycy o tym wiedzieli i być może radzili Haraldowi, żeby trzymał się od niego z dala. Pół wieku po wypadkach opisanych w sagach Winlandia zyskała sobie złowrogą reputację miejsca, z którego ludzie rzadko wracają. Norwegowie, choć dzielni podróżnicy, byli bardzo zabobonni i uważali to miejsce za pechowe, przeklęte. Nie chcieli tu zostać.

— A na dodatek ci Scraelingowie.

Jack kiwnął głową.

— W tym czasie drużyna Haralda była już mocno wykruszona. Pełna załoga długiej łodzi składała się z trzydziestu ludzi, a ich prawdopodobnie zostało znacznie mniej, może nawet tylko połowa tego. Wiedzieli od grenlandzkich Norwegów o Scraelingach. Sprowokowanie jakiegokolwiek zatargu byłoby samobójstwem. Prawdopodobnie zawinęli do tej zatoki chyłkiem, zaopatrzyli się w drewno i żelazo, odsączyli z sosen trochę żywicy na szczeliwo, upolowali kilka jeleni na ubrania i pieczeń, nałowili ryb, zgromadzili zapasy mięsa i dzikich owoców. Na sam koniec mogli jeszcze spalić i zrównać z ziemią osadę, a potem dobili do tej wysepki, żeby przed opuszczeniem na zawsze Leifsbuóir pozostawić tutaj swój znak.

— I hajda w drogę na południe — mruknął Costas.

— Wzdłuż wybrzeży Nowej Fundlandii, Nowej Szkocji i może wschodnich wybrzeży obecnych Stanów Zjednoczonych — powiedział Jack. — Pamiętasz program symulacyjny, z którego korzystał Mustafa, odtwarzając exodus znad Morza Czarnego, drogę pokonywaną dzień po dniu przez uchodźców z Atlantydy? Poprosiłem Lanowskiego, żeby zastosował ten program do sporządzenia symulacji podróży, jaką mogła odbyć tą trasą łódź wikingów, z uwzględnieniem wszystkiego, co

wiemy o długiej łodzi, przypuszczalnej pory roku i warunków pogodowych w jedenastym wieku. Nasz nowy kapitan „Seaquesta Dwa” jest Kanadyjczykiem, zna te wody jak własną kieszeń i posłużył mu za konsultanta. Wikingowie, podobnie jak średniowieczni żeglarze z Morza Śródziemnego, mierzyli przebytą drogę dziennymi etapami, *dægr*. Niesieni przez prądy, mając wiatr od rufy, posuwaliby się na południe dosyć szybko. W ciągu trzech tygodni dotarliby do Florydy, opłynęli ją i znaleźli się na Karaibach.

— Na Karaibach?! — Costas zagwizdał z podziwem. — Niewiarygodne.

— To tylko przypuszczenie — zastrzegł Jack. — Tak czy inaczej tydzień do dziesięciu dni po odpłynięciu z tej wysepki musieli dobić do brzegu, żeby uzupełnić zapasy wody pitnej i żywności. Załóżmy, że po zejściu na ląd znowu napotkali wrogo nastawionych tubylców i długo na nim nie zabawili. Potem jeszcze jeden tydzień, góra dziesięć dni, i już byli na wysokości Florydy i obecnej Georgii. Linia brzegowa wyglądała coraz mniej gościnnie, deprymował ich ten nieznany teren porośnięty bujną tropikalną roślinnością i gęstymi chaszczami. Ale zawrócić nie było łatwo. Musieliby płynąć pod prąd i pod wiatr, a przecież nie mieli wystarczającej liczby ludzi zdolnych do długotrwałego wiosłowania i zdani byli wyłącznie na żagiel. Należy zatem przypuszczać, że coraz bardziej zdesperowani, mimo wszystko żeglowali dalej na południe. To, ma się rozumieć, czyste spekulacje, ale mogli nawet opłynąć wysepki Florida Keys i dotrzeć do Karaibów. A jeśli tak, to przeważające tam południowo-zachodnie wiatry mogły ich znieść aż do wybrzeży Ameryki Środkowej.

— Szmat drogi z Konstantynopola.

Jack wrócił myślami do niezapomnianych dni sprzed sześciu miesięcy, dni spędzonych z Katią w Stambule, gdzie zafascynowani oboje powikłaną przeszłością miasta dyskutowali,

jak to badanie meandrów historii może prowadzić do najniezwyklejszych odkryć. Szybko odpedził od siebie to wspomnienie.

— To prawda — powiedział. — Ale zauważ, że stąd, gdzie teraz jesteśmy, też daleko do ich ojczyzny. Fakt, że wikingowie byli tutaj, w L'Anse aux Meadows, jest w pełni udokumentowany, potwierdzony badaniami archeologicznymi. Wszystko jest możliwe.

— Odchodzący od zmysłów z pragnienia i wyczerpania, niektórzy liżący się jeszcze z ran odniesionych pod Stamford Bridge — wymruczał Jeremy. — Coś niebywałego. Z jednej strony byli pewnie przerażeni, z drugiej podekscytowani. Bali się, że lada chwila mogą spaść za skraj świata, a jednocześnie radowali, że z każdym dniem są coraz bliżej Ragnarok, decydującej bitwy, kiedy to staną ze swoimi wspianiałymi toporami bojowymi u boku Odyna i Thora, by stoczyć ostatnią walkę. Nam tropiki kojarzą się z rajem, ale wikingowie w tej gęstniejącej aurze szkarłatu musieli upatrywać wizji piekła, odnosić wrażenie, że z każdą chwilą zbliżają się do tego, co im przeznaczone.

Costas wstał i spojrzął ponad cieśniną na północno-zachodni horyzont, w kierunku Labradoru i otwartego Atlantyku. Chmurzyło się i wodna mgiełka zaczynała zasnuwać wybrzeże. Nagle pokazał palcem na majaczący biały kształt.

— To „Seaquest Dwa” — krzyknął podniecony. — I Lynx już w powietrzu.

Jack obejrzał się. Przewidując, że z L'Anse aux Meadows przyjdzie im przenieść się gdzieś dalej, zaryzykował trochę swojej reputacji i nakłonił Macleoda do zawieszenia badań w fiordzie lodowym i skierowania statku tutaj. Zazwyczaj nie wykorzystywał swojej pozycji do wywierania presji na kolegów z innych wydziałów IMU, na szczęście Macleod, który przecież sam ściągnął go do Ilulissat, bardzo zainteresował

się archeologią. Gorsza sprawa, że protestowali naukowcy biorący udział w programie, bo wraz ze zbliżającym się latem warunki do pobierania próbek lodu gwałtownie się pogarszały i czas poganiał. Jack z zaciśniętymi ustami obserwował nadlatujący helikopter. Po kilku minutach maszyna osiadła nieopodal na pływakach. Warkot silnika ścichł, łopatki wirnika znieruchomiały i z kabiny, nie zdejmując hełmów, wyskoczyli Ben z Andym. Brodząc po kolana w wodzie, ruszyli w kierunku funkcjonariuszy Kanadyjskiej Straży Granicznej.

— I dokąd teraz? — spytał Costas. — Na moje oko, droga stoi otworem.

— To, co ustaliliśmy, nie wystarczy — powiedział Jack, ściągając brwi. — Miałem nadzieję na znalezienie jakiejś konkretniejszej wskazówki. Ale można się przynajmniej pocieszać tym, że nie ma tu nic, co mogłoby kogoś innego naprowadzić na ślad. Mogę z czystym sumieniem iść do księdza O’Connora i powiedzieć mu, żeby śmiało zwracał się ze swoją historią do prasy i Interpolu. Pewnie z pomocą Marii uporał się już ze skompletowaniem dossier *felagu*, a my nie natrafiliśmy tu na nic takiego, co usprawiedliwiłoby dalszą zwłokę. Dopóki odnalezienie menory było prawdopodobne, O’Connor pragnął przede wszystkim, żebyśmy dotarli do niej pierwsi i zadbali, by nie wpadła w niepowołane ręce. Teraz musimy się skoncentrować na powstrzymaniu Lokiego. Od tego może zależeć życie O’Connora.

— Nie chcę być przy tym, kiedy będziesz mówił Macleodowi, żeby zwracał i płynął z powrotem do fiordu lodowego. — Costas przykucnął i poprawiając sznurowadło, oparł się o niską, trawiastą skarpę pod skalną płytą. Nagle coś chrupnęło, a zaraz potem dała się słyszeć wiązanka greckich przekleństw. Tam gdzie przed chwilą kucał Costas, widać było tylko jego buty wystające z dziury w darni.

— Cały jesteś? — Jack doskoczył tam i zajrzał do ciemnej

nory, która utworzyła się pod skałą. Zaczęli z Jeremym powiększać gorączkowo otwór i odrzucać kamienie, między którymi ugrzęzły nogi Costasa.

— Jak zwykle, ucierpiała tylko moja duma. — Głos był stłumiony. Nastąpiła chwila ciszy. — Ale znalazłem sobie nowego przyjaciela.

Costas wygramolił się z dziury i zobaczyli coś zdumiewającego. W małym zagłębieniu siedział szkielet z czaszką między podciągniętymi kolanami, stopy miał zagrzebane w ziemi. Z kości zwisały strzępy ubrania ze zwierzęcej skóry, na głowie zachowały się pasma długich, siwych włosów.

Jeremy przykucnął i przyjrzał mu się z bliska.

— Nie jestem na bieżąco z paleopatologią, ale moim zdaniem to mężczyzna w zaawansowanym średnim wieku.

— Scraeling? — spytał Costas.

Jeremy pokręcił głową.

— Fizjonomię ma europejską. I jest wysoki, ma dobrze ponad sześć stóp. Może to jeden z pierwszych angielskich albo francuskich pionierów, ale moim zdaniem te kości są starsze, dużo starsze. Chyba mamy przed sobą wikinga.

Jack zamknął oczy i przestąpił z nogi na nogę. To mogło być to. Modlił się, żeby szczęście go nie opuszczało.

— Ma na tych kościach nieliczne szramy — zauważył Costas.

— Widziałem już podobne w miejscach pochówku wikingów w Anglii — powiedział Jeremy. — To ślady po ranach odniesionych w bitwach, od toporów i mieczy. Takich nie zadaliby Scraelingowie. Oni nie mieli broni siecznej. Tego gościa ciężko porąbano. Kilka szram wygląda mi dziwnie i są jakby świeższe od reszty, zwłaszcza te odciski wokół nadgarstków, zupełnie jakby trzymano go w kajdanach. W każdym

razie te obrażenia odniesione w bitwach, które widzę, wygoiły mu się długo przed śmiercią.

Jack patrzył w zadumie na szkielet.

— Myślisz to samo co ja?

— Pamiętaj, że bywali tu też inni wikingowie — uprzedził go Jeremy. — Ale niewykluczone, że znaleźliśmy jeszcze jednego z drużyny Haralda, kolejnego po Halfdanie. Zastanawia mnie tylko wiek tych ran. Gdyby zmarł w drodze z fiordu lodowego, kości nie zdążyłyby się jeszcze zregenerować i ślady po cięciach z bitwy pod Stamford Bridge, którą stoczono jesienią poprzedniego roku, byłyby świeże. Te wygoiły się wiele, może nawet dziesiątki lat przed jego zgonem.

— I tego człowieka nie pochowano — dorzucił Jack. — Sam się tam wczołgał i zabarykadował od środka kamieniami. Nie chciał, żeby padlinożercy rozwłóczyli jego kości.

— Może to coś wniesie — dobiegł spod skały stłumiony głos Costasa, który tymczasem wsunął się znowu górną częścią ciała do jamy i obmacywał ostrożnie żebra szkieletu. Wycofał się na kłęczkach z dwoma przedmiotami w dłoniach i pokazał ten większy. Jack wziął go bez zastanowienia, myśli zajęte miał wciąż zagadką szkieletu.

— No, co tam...? — Urwał. Trzymał w ręku płaski wisior wielkości małego spodka, wyrzeźbiony z lśniącego, zielonego kamienia, bez wątpienia jadeitu. Krzywoliniowa, pofalowana powierzchnia na pierwszy rzut oka zdawała się reprezentować jakąś abstrakcyjną formę, ale po dokładniejszych oględzinach odróżnił oczy, dziób, stylizowane skrzydła.

— O, jasna cholera — szepnął Jeremy. — Przecież to bóg-orzeł Majów.

— Majowie — powiedział flegmatycznie Costas, wstając i otrzepując się z ziemi. — Meksyk, Jukatan. Świątynie w dżungli, ofiary z ludzi. Dobrze mówię?

— Nie może być. — Jack stał ostrożnie warstewką pyłu z dwóch srebrnych krążków stanowiących oczy orła. Przyjrzał się im, pokręcił głową i podał wisior Jeremy'emu. — To niemożliwe. Powiedz mi, że nie mam zwidów.

— To monety — powiedział cicho Jeremy. — Dobrze. Podejźmy do sprawy naukowo. Ta po lewej to wikińska moneta z Anglii, czterolistny pens króla Kanuta. Spójrz, słowa CNUT REX ANGLO i popiersie w koronie. — Odwrócił wisior. — Z tej strony widać rewers. ARNCETEL OEO, wybity przez człowieka imieniem Arncetel w Yorku. Kanut panował od roku tysiąc szesnastego do tysiąc trzydziestego piątego, ale jego monety ceniono za czystość i znajdowano w łupach wojennych w całej Skandynawii jeszcze przynajmniej do roku tysiąc sześćdziesiątego szóstego.

— A ta druga? — spytał Costas.

— Ta jest rzymska. Twoja kolej, Jack.

Jeremy oddał Jackowi wisior i ten przyjrzał się uważnie prawej monecie.

— Srebrny denar cesarza Wespazjana — powiedział. — IMPCAESAR VESPASIANUS AUG. Szczególnie wierny wizerunek głowy Wespazjana, z pryszczami i w ogóle, w wieńcu laurowym.

— Ja się znowu pogubiłem — stwierdził Costas. — Powiedziałaś Wespazjan? Ten rzymski cesarz?

— Stare rzymskie monety, złote i srebrne, trafiały czasami w ręce wikingów — wyjaśnił Jeremy. — Kradli je ze skarbców i przywozili do domu jako ciekawostki Waregowie buszujący w regionie Morze Śródziemnego.

Jack uniósł brwi i obrócił wisior. Potarł delikatnie palcem rewers monety i wydał stłumiony okrzyk.

— Boże. Toż to Judaea Capta. Jedna z monet wybitych w roku siedemdziesiątym albo siedemdziesiątym pierwszym przez Wespazjana po zajęciu przez Rzym Judei. — Podstawił

wisior pod światło i zobaczyli postać kobiety siedzącej przed sztandarem rzymskich legionów, a pod spodem jedno wyraźne słowo: IVDAEA.

— Czy aby nie tego szukamy? — spytał Costas. — Zaginione go skarbu ze Świątyni w Jerozolimie?

— Może się mylę — powiedział Jack, z trudem hamując podniecenie — ale śmiem twierdzić, że te dwie monety pochodzą ze skarbu Haralda Hardrady. Nie mam pojęcia, jak znalazły się w tym wisiorze. Musiało się wydarzyć coś niezwykłego, coś, co kazało temu nieszczęśnikowi wrócić po latach na miejsce, do którego dotarł kiedyś na łodzi Haralda. A odpowiadając na twoje pytanie, tak, tego właśnie szukamy. Coś fantastycznego. Tę monetę wybito być może ze stopionych srebrnych naczyń zrabowanych wraz z menorą ze Świątyni. Kto wie, może dotykał jej nawet sam cesarz Wespazjan. Może to czysty przypadek, że znalazła się w łupach Haralda,

ale wątplię w to. Harald znał historię, był w Jerozolimie. On i jego zwolennicy mogli uważać, że wszystko, co związane z menorą i skarbem Świątyni dodaje splendoru jego imieniu. Naprawdę czuję, że podążamy teraz śladami Haralda. To nasze najdonioślejsze, jak dotąd, znalezisko, być może tak blisko menory jeszcze nie byliśmy.

— Czy najdonioślejsze, to się jeszcze okaże — powiedział Costas, przymykając oko. — Spójrz na to. — Sięgnął pod skałę i wyciągnął drugi z przedmiotów, które znalazł przy szkielecie. — To mi wygląda na jeszcze jeden kamień runiczny.

Jeremy wyrwał mu kamień z ręki i obejrzał. Jedna strona była z grubsza wygładzona i pokryta ledwie widocznymi liniami.

— Podobny do kamienia runicznego, który naziści znaleźli w długiej łodzi — wymruczał. — Ten sam podstawowy *futhark* i ten sam okres, ale inna ręka. Runy słabo wydrapane,

być może przez tego gościa ostatkiem sił, kiedy siedział już w kucki pod skałą.

— Może po to właśnie tu wrócił. Żeby zostawić przekaz dla potomności — zasugerował Costas. — Żeby dotrzymać obietnicy, którą Harald złożył Grenlandczykom.

— Da się coś z tego odczytać? — spytał Jack.

— Łatwiej mi będzie, jeśli przełożę te runy na standardowy alfabet staronordycki. — Jeremy wyciągnął notes i długopis i zaczął szybko pisać, cofając się od czasu do czasu, żeby wprowadzić jakąś poprawkę:

bar var oroeffi ok strandir lamgar ok sandar. Rak ba skip
beirra um haf innan. Sandar hvitir viðá bar sem brier
fóru ok ósaebratt.

— Pierwszej linijki nie potrafię odczytać w całości, ale jest w niej słowo *dæegr*, etapy, oraz znak runiczny oznaczający liczbę dwadzieścia. Oznacza to chyba, że przepłynęli dwadzieścia etapów wzdłuż wybrzeża z długimi piaszczystymi plażami. Potem ich łódź, *skip*, wciągnęło na wewnętrzny ocean, *um haf innan*. Natrafili tam na płaski ląd porośnięty lasem i wszędzie był biały piasek schodzący łagodnie w morze.

Dwie ostatnie linijki też są mało czytelne, ale w pierwszej z nich jest coś o ładzie ognia i światła.

— Tak jak mówisz, Jack — wykrzyknął Costas. — Dwadzieścia etapów, dwadzieścia dni, wzdłuż wschodniego wybrzeża. Tam są długie plaże i piaski, zwłaszcza na wysokości Florydy. A ten wewnętrzny ocean, to pewnie Morze Karaibskie.

— To by się zgadzało — powiedział Jack z rosnącym podnieceniem. — Lipiec i sierpień to początek sezonu huraganów. Mogły ich wepchnąć w Zatokę Meksykańską i stracili orientację.

— Potem płaski łąd porośnięty lasem — podchwycił Jeremy. — Kiedy byłem mały, rodzice zabrali mnie w rejs na Jukatán w Meksyku. Tak właśnie tam jest. Niewiarygodnie płaski, wapienny płaskowyż porośnięty gęsto zaroślami i dżunglą i otoczony osłepiająco białymi plażami.

— A w lecie gorąco tam jak w piekle — dodał Costas. — Łąd ognia i światła.

— To nie jest tylko przypuszczenie. Wszystko zaczyna pasować. — Jack zważył w rękę jadeitowy wisior i spojrzał wyczekująco na Jeremy'ego. — A ta ostatnia linijka?

Jeremy, zarumieniony z podniecenia, odetchnął głęboko.

— Odczytałem tylko trzy słowa. Pierwsze oznacza świat podziemny, otchłań wodną na skraju świata, *Ginnungagap*. Drugie to *Ragnarók*. Trzeciego w staronordyckim jeszcze nie spotkałem. To nazwa własna, nazwa miejsca. *Ukilabnal* czy coś w tym rodzaju. Podejrzewam, że na Haralda i jego druhów przyszedł w tym miejscu dzień zapłaty, stoczyli tam swoją ostatnią bitwę na skraju podziemnego świata.

— Naszemu przyjacielowi się to nie udało. — Costas pokazał kciukiem na szkielec. — Idę o zakład, że wiele by dał, żeby pójść do Walhalli w towarzystwie kolegów.

— Ukilabnal? Czy ta nazwa z czymś ci się kojarzy? — spytał Jack.

— Jak najbardziej — wykrztusił Jeremy zdławionym z emocji głosem. — Tak się składa, że za namową mojego promotora przestudiowałem wstęp do mezoamerykańskich cywilizacji.

— No, no...

— W jedenastym wieku nazwę Uukil-abnal nosiło miasto Chichen Itza, największy ośrodek religijny Majów, położony w samym środku jukatańskiej dżungli.

— A niech mnie!

Costas sapnął z satysfakcją.

— Nareszcie. — Podniósł się z kucek, rozprostował zdętwiałe nogi i spojrzął z niechęcią na chmury, z których zaczął siąpić drobny kapuśniaczek. — Wy, koledzy, macie w żyłach krew wikingów i może znajdujecie upodobanie w takiej psiej pogodzie, ale mnie jest najzwyczajniej zimno. — Odwrócił się do czekających na brzegu Bena i Andy'ego i zawołał z szerokim uśmiechem: — Pakujcie się, chłopaki. Jedziemy do Meksyku.

16

Tuż przed północą Maria po raz pierwszy odniosła wrażenie, że coś jest nie w porządku. Ślęczała nad laptopem w mniszej celi średniowiecznego klasztoru na wysepce Iona, troje drzwi od gabinetu ojca O'Connora. Postanowili z księdzem, że dzisiaj nie położą się, dopóki nie skończą. Od pożegnania z Jackiem, który z Costasem i Jeremym odlatywał z wyspy helikopterem, upłynęły dwa długie dni. Zerkąła co chwila na przypiętą do ściany fotografię niezwyklego jadeitowego wisiora z dwiema osadzonymi w nim monetami, którą Jack przesłał jej poprzedniego dnia e-mailem. Żałowała teraz, że z nimi nie poleciała. Z trudem skupiając zmęczony wzrok na ekranie, po raz trzeci i ostatni przeglądała dokument o *felagu*, który opracowali z O'Connorem. Za parę minut skopiuje plik, pójdzie z dyskiolką do O'Connora, wspólnie przeprowadzą ostateczną korektę i prześlą tekst e-mailem do tego znajomego, którego ksiądz ma w austriackim Interpolu. Była zmęczona, wykończona jak nigdy dotąd, ale zadowolona. Co prawda zagrożenie jeszcze nie minęło, ale przynajmniej udało jej się namówić O'Connora, żeby nazajutrz opuścił klasztor i poleciał z nią na „Seaquesta II”, gdzie będzie bezpieczny.

Pierwszym niepokojącym sygnałem był stłumiony głuchy łomot na korytarzu. Niby nic takiego, ale nerwy i fizyczne wyczerpanie robiły swoje. Odwróciła się do drzwi. Były uchylone, za nimi ciągnął się ciemny korytarz. Cisza. Przywykła już do ciszy panującej w klasztorze, ale ta była jakaś inna. Ciarki, forpoczta strachu, przebiegły jej po krzyżu.

I w tym momencie drzwi otworzyły się z impetem. Do izby wsunęła się dłoń w rękawicze i przytrzymała je, żeby nie uderzyły o ścianę. Nim Maria zdążyła zareagować, ciemna postać z nisko pochyloną głową dopadła w dwóch susach do krzesła, spoliczkowała ją, wykręciła boleśnie ucho, drugą dłonią zatkała usta. Przewrócony kopniakiem stolik uderzył o ścianę, zachrzęścił rozdeptywany laptop. Napastnik wywłókł ją brutalnie na korytarz. Dłoń zakrywająca usta była wilgotna, lepka i ciepła. Znowu wykręcił jej ucho. Ból oślepił ją, wycisnął łzy z oczu, odebrał oddech. Mężczyzna puścił ją na chwilę, by zaraz, wykręcając do tyłu ręce, przyprzeć twarzą do ściany. Taśmą izolacyjną zakleił jej usta i skrępował nadgarstki. Przyciągnął ją do siebie i szarpnął za włosy. Czowała szorstkość jego skóry, metaliczną woń oddechu.

Na jeden przerażający moment wszystko zastygło w bez-ruchu. Potem Maria zaczęła niekontrolowanie dygotać. Krótkimi, świszczącymi spazmami przez nos wrócił jej oddech, ale nadal się dusiła. Napastnik parsknął. Pchnięta silnie, zatoczyła się w bok i o mało nie upadła. Trzymając ją znowu od tyłu, wepchnął przed sobą w jakieś otwarte drzwi. Poczuła tuż przy uchu jego przyprawiający o mdłości oddech.

— Przypatrz się dobrze — wywarczał z nieokreślonym akcentem.

Maria zamrugwała. To był gabinet O'Connora. Widziała przez łzy świecę na parapecie kominka, kopię Mappa Mundi na ścianie za nią. Blask migoczącego płomyka padał na Morze Czerwone i zdawał się rzucać czerwoną poświatę na

resztę mapy. Marii zrobiło się słabo, traciła przytomność. Zamrugwała znowu, usiłując desperacko usunąć ten czerwony tunel ograniczający pole widzenia. Zobaczyła świecę na biurku O'Connora. Tę, którą zapaliła mu przed godziną. Zjechała wzrokiem w dół i dech jej zapało.

Na podłodze ktoś leżał. Kolana się pod nią ugięły, fala mdłości podeszła do gardła.

Znowu spojrzała w dół.

Ojciec O' Connor.

Zamarła ze zgrozy. Świeca rzucała na podłogę cień i z początku Maria widziała tylko ciemny zarys. Potem odróżniła głowę. Usta miał zaklejone taśmą izolacyjną, oczy szeroko otwarte. Chciała wydać z siebie jakiś dźwięk, zwrócić na siebie jego uwagę, lecz napastnik zatkał jej nos. Ale O' Connor nie mógł jej nie zauważyć, musiał widzieć, że próbuje nawiązać z nim kontakt. Mimo to nie ruszył nawet palcem, patrzył tylko. Leżał na brzuchu z głową pod biurkiem, ręce i nogi miał szeroko rozrzucone. Był w swoim brązowym mnisim habitie.

I nagle zrozumiała. Ten kolor na mapie. Lepka wilgoć na twarzy. Metaliczny posmak.

Krew.

Spojrzała znowu na O'Connora. Coś tu się nie zgadzało. To ciemne na plecach, to wcale nie habit. Już wiedziała, i żołądek znowu podszedł jej do gardła.

Krwawy orzeł.

Rozejrzała się ze zgrozą, wzrok przywykał stopniowo do półmroku. Krew była wszędzie. Wsiąkała w strzępy habitu, rozlewała się kałużą pod ciałem księdza, jej rozbryzgi zachlapały biurko i książki, sięgnęły nawet sufitu.

W plecach O'Connora ziała dziura, której kształt coś jej przypominał. Od ramienia do ramienia, od karku po nasadę kręgosłupa. Skrzydła i ogon. Pociemniało jej w oczach na

widok tego, co leżało po bokach. Kawałki ociekającego krwią ciała. Rzędy powycinanych żeber. Kupki narządów parujące jeszcze jak wnętrzności na stole rzeźniczym.

Maria krzyknęła, ale spod taśmy izolacyjnej nie wydobył się żaden dźwięk.

Napastnik chwycił ją pod brodę i przywarł policzkiem do jej policzka. Kątem oka widziała teraz jego twarz, złośliwy uśmiezek, wyblakłe oczy psychopaty, zacieki krzepnącej krwi. Zaczął pocierać jej policzek swoim, szczecina zarostu drapała jej skórę jak papier ścierny. Raz po raz dociskał gładką bliznę biegnącą od oczodołu do żuchwy, dysząc przy tym ciężko i z lubieżnym uśmiechem wpatrując się w jatkę na podłodze. Wyczuwała jego podniecenie, woń adrenaliny. Zaczynała odpływać, udręczony tym horrorem umysł szukał ucieczki w niepamięć.

— To za mojego dziadka — doleciał ją szept. — O'Connor był przytomny, kiedy wrywałem mu płuca. Wiedział, co się dzieje. Dokonała się krwawa zemsta. Teraz pora na nagrodę.

Podciął jej nogi i powlókł z powrotem w stronę drzwi. Poczowała jeszcze pulsujący ból w policzku — to jej krew mieszała się z krwią O'Connora. Potem wszystko spowيفا czerń.

Jack z wprawą płynął w stronę brzegu, pozwalając zodiacowi ześlizgiwać się w doliny, by potem dodać gazu i wspiąć się na grzbiet następnej fali. Niebo usiane było pędzącymi na południe obłokami, wiatr wiejący w kierunku brzegu od rana przybierał na sile i coraz bardziej burzył powierzchnię morza. Powietrze było tak samo przejrzyste jak w Arktyce, ale nawet wiatr nie potrafił zniwelować palącego żaru słońca, jego jasności oślepiającej nienawykłe oczy. Kipiel fal załamujących

się na rafach koralowych, którymi obrosły płycizny, podkreślała smukłość sylwetki „Seaquesta II” stojącego na kotwicy na głębszej wodzie, milę od brzegu.

Po długich pięciu dniach podróży z Nowej Fundlandii na południe, wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na Karaiby, dniach spędzonych w ograniczonej przestrzeni pokładu, Jack z lubością nadstawiał znowu twarz pod prysznic wodnej mgiełki. Smak morza zawsze — czy to w Arktyce, czy w Żółtym Rogu, czy u wybrzeży Iony, czy wreszcie Wielkiej Świętej Wyspy — dodawał mu skrzydeł.

Wstał i nie odrywając lewej ręki od dźwigni przepustnicy, prawą chwycił cumę, po czym dał znak dwójce przyjaciół, by przesunęli się do przodu i przygotowali. Tuż przed wejściem w strefę przyboju zgasił i uniósł silnik. Costas i Jeremy zeskoczyli z obu stron w wodę i wepchnęli zodiaca na płyciznę przy ławicy piasku. Tam obrócili ponton dziobem do fał, a Jack rzucił kotwicę. Upewniwszy się, czy wszystko w porządku, pobrnęli w kierunku brzegu. Czarne skafandry IMU ociekały ciepłą wodą morską, zmoczone włosy przylegały do czaszek.

Wyszli na płaską, wąską plażę zamykaną od strony lądu przez nieprzerwane pasmo ciernistej dżungli. Powyrywane z korzeniami, połamane drzewa oraz rozsiane wszędzie fragmenty wyrzuconych na brzeg martwych koralu i kawałków drewna świadczyły o sile huraganu, który przeszedł tędy poprzedniego roku.

— Dżungla — wysapał Jeremy. — Witaj na Jukatanie. To nie las deszczowy, to dżungla w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu.

— Znaczy nieużytki. — Costas zapuścił się na półtora kroku w splątany gąszcz, ale szybko zawrócił, z rozdrażnieniem ścierając z twarzy pajęczynę i oganiając się od natrętnych muszek. — Gdybym miał wybierać między Gren-

landią a Karaibami, bez wahania wybrałbym te ostatnie, ale jak tutaj mogła się rozwinąć jakaś cywilizacja, tego już nie pojmuję.

— Majów przyciągnęła tu świeża woda. — Jeremy poprowadził Costasa plażą do ujścia szerokiego na trzy metry, niewiarygodnie czystego strumienia, który wypływał z dżungli i wpadał do morza, niosąc piasek. U samego wylotu utworzyła się piaszczysta łąka. — Mnóstwo jej tutaj. Niektóre z rzek płyną pod ziemią niezwykłymi systemami jaskiń, zaczynającymi się w głębi łądu. Chyba jeszcze dzisiaj będę mógł ci je pokazać.

— Bywałeś tu już kiedyś?

— Na praktykach studenckich. Zlewany w dżungli potem, pożerany żywcem przez robactwo, mierzyłem zarośnięte ruiny.

— Powinieneś się nauczyć nurkowania — powiedział z przekąsem Costas.

— To samo mówił mi Jack. Podobno jesteś instruktorem zaawansowanego technicznie nurkowania, jednym z najlepszych. Może kiedy tu skończymy.

— Z przyjemnością. Tylko żeby ci potem nie przyszło do głowy nurkować przy górach lodowych.

— Sporty ekstremalne pozostawię wam. — Jeremy uśmiechnął się. — Ja zamierzam wykorzystywać tę umiejętność wyłącznie w celach związanych ściśle z archeologią.

— Jak szła ta nazwa, no, tego miasta Majów z kamienia runicznego, który znalazłem przy naszym przyjacielu spod skały?

— Uukil-abnal — odparł Jeremy. — Tak w jedenastym wieku nazywało się Chichen Itza, najsłynniejsze stanowisko archeologiczne na Jukatanie. Fantastyczne, zarośnięte przez dżunglę miasto. Piramidy i co tylko chcesz. Tam właśnie zmierzamy.

Z wody, zakotwiczywszy zodiaca, wyszedł Jack i zaczęli ściągać skafandry.

— Ładna plaża — skomentował Costas. — Tylko pustawa jakaś.

— Cortes przepływał tędy w tysiąc pięćset dziewiętnastym roku — odparł Jeremy. — Ale konkwistadorzy rzucili tylko okiem na te wybrzeża i pożeglowali dalej. Interior Jukatano podbili wiele lat później.

— Ani trochę im się nie dziwię. — Costas ściągnął już z siebie skafander do pasa i skrzywił się, bo w tym momencie silny podmuch wiatru obsypał go piaskiem. — I myślicie, że Harald Hardrada był tu przed nimi?

— Lanowski wyliczył w przybliżeniu, gdzie mogła dobić do brzegu długa łódź, kiedy zepchnął ją tutaj od Florida Keys letni północno-zachodni wiatr — powiedział Jack. — Z miejsc, które wytypowałem, wybraliśmy to, z uwagi na rzekę. Wikingom kończyły się zapasy wody pitnej, a tutaj mogli wpłynąć swoją długą łodzią do strumienia. Brzegiem rzeki biegł również prawdopodobnie szlak Majów prowadzący w głąb lądu.

— Mogła tu się nawet znajdować przystań Majów, ich port — dorzucił Jeremy. — Większość dużych miast Majów leży daleko od morza, ale byli oni całkiem niezłymi żeglarzami. Widziałem malowidła przedstawiające duże wojenne canoe, dorównujące wielkością nordyckiej długiej łodzi.

— Harald i jego ludzie raczej nie na to liczyli — zawyrokował Costas.

— Skoro czuli respekt już przed Scraelingami, to niejedynemu nieustraszony wikiński wojownik zatrząsł portkami na widok osobników, których tutaj spotkali — przyznał Jeremy. — Wikingowie mogli sobie marzyć o udziale w rozstrzygającej bitwie Ragnarok, ale kto wie, czy w konfrontacji z zastaną rzeczywistością nie opuściła ich odwaga.

— Na tym etapie nie mieli już chyba wyboru — zauważył

Jack. — Łódź po takiej podróży była pewnie wrakiem, a oni przymierali głodem. Uśmiechało się im to czy nie, musieli tu zakończyć swoją epopeję. Moim zdaniem po zejściu na ląd ruszyli w dżungłę.

— Jedno pytanie — powiedział Costas. — Chodzi o tego cypka, Pietera Reksnysa. Syna nazisty, ojca Lokiego. On chyba też wylądował na koniec w Meksyku?

— Wszystko wskazuje na to, że O'Connor, który był w latach sześćdziesiątych jezuickim misjonarzem w Ameryce Środkowej, znał miejsce pobytu Reksnysa. — Jack osłonił dłonią oczy przed rażącym słońcem. — Ale O'Connor starał się nie wychylać, dzięki czemu uniknął spotkania z nim. Już wtedy *felag* wyznaczył cenę za jego głowę. Z tego co wiemy, Andrius Reksnys, po sprzedaniu kopalni opali w Australii przeniósł się z synem do Kostaryki. Ten kraj był wówczas rajem dla ukrywających się nazistów. Pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy polowanie na nazistów zaczęło schodzić na drugi plan, Reksnys senior wrócił do Europy i zamieszkał w odludnym zamku w Obersaltzbergu, gdzie przed pięciu laty go zastrzelono.

— To ten trup z gazetowego zdjęcia, ten z opaską ze swastyką.

— Zgadza się.

— O'Connor wspomniał coś jeszcze na ten temat?

— Mnie nie — odparł Jack. — Nie powiedział mi, kto był wykonawcą, zresztą nie musimy tego wiedzieć. Może jeszcze się namyśli. Ale wyrzutów sumienia nie miał. Moim zdaniem uważał, że jego obowiązkiem jako byłego członka *felagu* było odkupienie win i dopilnowanie, żeby Reksnysa dosięgło ramię sprawiedliwości.

— I bardzo dobrze.

— Młodszy Reksnys, Pieter, ten, który podczas wojny pomagał ojcu Andriusowi w egzekucjach przeprowadzanych

przez SS, był wystarczająco zamożny, żeby się wycofać i całkowicie poświęcić wpajaniu swojemu synowi tej samej wypaczonej wizji świata. Ale jak większość podobnych do niego indywiduów, nie potrafił żyć bez maczania palców w przestępczości zorganizowanej, zwłaszcza że w tej głuszy praktycznie wszystko uchodzi na sucho.

— Narkotyki? Broń? — spytał Costas.

— Tym też się parał, ale coraz bardziej kuśił go czarny rynek antyków, który w końcu wciągnął go bez reszty. Od lat sześćdziesiątych w Ameryce i Europie utrzymuje się wielki popyt na mezoamerykańskie antyki — ozdobne naczynia, wyroby ze złota, jadeitu, kamienne rzeźby. O'Connor twierdzi, że Reksnys zainteresował się Jukataniem, zanim ten zaczął się otwierać na zagranicznych inwestorów.

— Znaczy, on tu jest? — Costas obejrzał się na dżunglę. — Mamy go pod bokiem?

— Ten półwysep to jedna wielka kopalnia złota, i to nie tylko w przenośni. Władze meksykańskie po dziś dzień mają kłopoty z objęciem tego regionu swoją jurysdykcją. Dotyczy to zwłaszcza szlaków przez dżunglę, które przebiegają przez tereny należące do takich jak Reksnys obcokrajowców. Ludzie pokroju Reksnysa, podobnie jak mafia, która opanowała branżę turystyczną, mają mnóstwo powiązań z politykami i policją. To kraj przeżarty korupcją. W dżungli istnieją dosłownie setki niezbadanych miast Majów, które można spokojnie szabrować, dopóki garstka uczciwych jeszcze polityków i archeologów nie ma nic do powiedzenia.

— A wiadomo, gdzie działa Reksnys?

— To bardzo tajemnicza postać, żyje w izolacji. Ale wiemy, że jest właścicielem wielkiej połaci dżungli na północy Jukataniu, między wybrzeżem, na którym stoimy, a Chichen Itza.

Costas gwizdnął.

— To się dopiero nazywa zbieg okoliczności.

— Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób *felag* mógłby trafić na jukatański trop, chyba tylko jakimś szczęśliwym trafem. Jedyne, co na niego naprowadza, to jadeitowy wisior z L'Anse aux Meadows, a nic nie wskazuje na to, żeby ktoś go przed nami oglądał. Jeśli jednak coś tu jest, jeśli Harald i jego ludzie rzeczywiście tu dotarli, to Reksnys mógł już na to coś natrafić przez czysty przypadek. Prawdopodobnie pracuje dla niego więcej ludzi, niż jest archeologów na całym Jukatanie. Mam nadzieję, że jeśli coś znajdziemy, to w obrębie którejś z legalnych stref archeologicznych, a nie gdzieś w tej dżungli bezprawia.

— Naprawdę myślisz, że menora może tu być? — mruknął Costas. — I to nie w charakterze czczonego przez *Felag* artefaktu, ale zabytkowego przedmiotu mającego wartość handlową? Ten gościu by wiedział, jak wylicytować za nią maksymalną cenę.

— Właśnie tego najbardziej obawia się O'Connor. I pamiętaj, że tu nie chodzi o prywatnych kolekcjonerów. Świat znowu musiałby się zmierzyć z nazistowskim wpływem na bieg żydowskiej historii.

— A skoro już o tym mowa, to co tam u Marii?

Jack rozchmurzył się na moment.

— Wyrzuca sobie, że nie było jej z nami na L'Anse aux Meadows, ale tutaj już przyjedzie, oczywiście, o ile nie trafiamy kulą w płot. Najchętniej widziałbym ją z dala od Iony.

— A jeszcze chętniej tutaj.

— Tu za dużo mężczyzn.

— Wiesz, że jest blisko związana z ojcem O'Connorem.

— Wiem.

— I to bardzo blisko.

— Wiem. — Jack zawiesił głos. — Myślę, że to się zaczęło

po tamtej konferencji w Oksfordzie, zanim pokazali nam Mappa Mundi.

— To też ta zła siła w Watykanie może mieć mu za złe.

— O'Connor od dawna stąpał po kruchym lodzie. Ale Maria była zawsze dyskretna. — Jack znowu zawiesił głos i spuścił wzrok. — Tak czy inaczej zalicza się do grona moich najlepszych przyjaciół. Znałem ją, zanim dostąpiłem wątpliwego zaszczytu poznania ciebie.

— To było przeznaczenie — powiedział Costas. — Gdzie byś teraz był bez mojego technicznego wsparcia? Nie spotkałem jeszcze nikogo tak beznadziejnego, jeśli chodzi o posługiwanie się komputerem. A ja siedziałbym w jakimś więzieniu bez okien w Dolinie Krzemowej i zarabiał góry pieniędzy, ale nie miałbym z tego żadnej uciechy. — Pacnął dłonią komara, który usiadł mu na karku, i pochylił głowę, bo w tym momencie natarł na nich tuman piasku poderwany podmuchem wiatru. — Nigdy więcej gór lodowych, nigdy więcej urlopów na plaży.

— I nigdy więcej depczących po piętach psychopatów o morderczych skłonnościach — dorzucił Jack. — Mam tylko nadzieję, że O'Connorowi uda się powiadomić Interpol, zanim ten Loki go dopadnie.

Zaczęli spychać zodiaca na głębszą wodę.

— Jaki masz plan awaryjny na wypadek, gdyby sprawa się ryła?

Jack spojrział na Costasa spod ściągniętych brwi.

— Żadnego.

Po trzech godzinach jazdy wyboistym szlakiem przez dżungłę dotarli do Chichen Itza oddalonego od wybrzeża mniej więcej o sześćdziesiąt kilometrów. Ruiny tego starożytnego miasta zajmowały ogromny obszar, ale tylko centralny

plac oczyszczono z dżungli i odrestaurowano. Przed nimi wznosiły się ponad korony drzew szare budowle z wapienia, ale Jack wiedział, że wszędzie wokół kryją się inne ruiny zatopione w rozbuchanej zieleni, która pochłonęła tę opuszczoną przed wiekami przez mieszkańców metropolię. Niektóre z obiektów — piramidy i podparte kolumnadami świątynie — wydawały się uderzająco znajome w formie, inne — platformy ofiarne, rzeźby przerażających zwierzęco-ludzkich hybryd — były jak z innej planety. Wszystko to razem wzięte wywoływało niesamowite wrażenie, zupełnie jakby coś tu było nie do końca jak trzeba, jakby wjeżdżali między dekoracje do filmu o starożytnym Egipcie albo Mezopotamii, gdzie dołożono pewnych starań o zachowanie historycznych realiów, ale wiele pozostawiono wyobraźni scenografa zaczytującego się w szczególnie posępnej science fiction.

Jack wysiadł z samochodu terenowego udostępnionego im przez meksykańskie towarzystwo archeologiczne i przywitał się z czekającym na nich urzędnikiem. Przed kilkoma dniami doszło tu do trzęsienia ziemi, które mogło naruszyć stabilność starożytnych budowli, i obiekt zamknięto dla turystów do czasu przeprowadzenia dokładnej ekspertyzy. Jack podziękował urzędnikowi, poszukał cienia i rozłożył mapę. Podszedł do niego Costas. Byli co prawda w szortach, T-shirtach i traperkach, ale letnie słońce prażyło niemiłosiernie i Costas spływał już potem.

— Pewnie mile wspominasz teraz naszą górę lodową? — spytał z rozbawieniem Jack.

— Też mi coś! — Costas napuszył się, ale nadal wyglądał żałośnie w przepoconej panamie. — Nie zapominaj, że jestem Grekiem. W upale czuję się jak ryba w wodzie.

— Widzę.

Jeremy, zamieniwszy kilka słów po hiszpańsku z urzędnikiem, podszedł do nich i pokazał na mapie trasę.

— Zanim mnie oświeciło, zmuszony byłem spędzić tu całe lato na praktykach studenckich — powiedział z przekąsem. — Wprowadzając was w temat, będę się starał zachować obiektywizm, ale wiedźcie, że to miejsce do dzisiaj śni mi się po nocach. Po tym, co tu wycierpiałem, wikingowie byli dla mnie terapią.

— Z jakim okresem mamy tutaj do czynienia? — spytał Costas.

— Majowie, jak wiecie, stworzyli jedną z wczesnych wielkich cywilizacji — powiedział Jeremy. — Tutaj ich kultura rozkwitała od roku trzechsetnego do dziewięćsetnego, czyli od schyłku cesarstwa rzymskiego do czasów wikingów. Ale w połowie jedenastego wieku terenami tymi rządili już Toltekowie, wojowniczy lud z północy. Majowie nadal tu żyli, ale jako klasa niższa, zniewolona i prześladowana. Toltekowie zalali Jukatan mniej więcej w czasie, kiedy Harald służył w gwardii wareskiej. Wiele z tego, co tu widzicie, nie jest dziełem Majów, lecz pochodzi właśnie z okresu tolteckiego.

Posuwali się ścieżką biegnącą pod baldachimem drzew, mijając to samotnego legwana, to znowu bandę rozwrzeszczanych kapucynek przekrzykujących się z kraczącymi ochryple tukanami i popatrującymi złowrogo kosami. Upał zwał z nóg.

Z taką wilgotnością powietrza Jack nie spotkał się jeszcze na żadnym ze śródziemnomorskich stanowisk archeologicznych, i usiłował wyobrazić sobie ludzi, którzy wiedli normalne życie w miejscu tak oddalonym od orzeźwiającego wpływu morza. Po kilku minutach wyszli na rozległy, porośnięty trawą plac otoczony kolosalnymi budowlami z kamienia.

Widok był nadzwyczajny, stanowił kwintesencję starożytnej mezoamerykańskiej cywilizacji. Dominowała w nim imponująca świątynia wznosząca się schodkowymi tarasami jak piramida.

— Nie mówcie mi tylko, że ci ludzie nie byli pod wpływem Egipcjan — powiedział Costas, ocierając z potu twarz.

— To piramida praboga Kukulcana, centralny punkt Chichen Itza — wyjaśnił Jeremy, prowadząc ich dalej. — Ale najwięcej ofiar składano w tamtym budynku. To Świątynia Wojowników. Na szczycie widzicie kamienny ołtarz, do którego przywiązywano ofiary i żywcem wrywano im serca.

— No, pięknie — mruknął Costas. — Ale Hiszpanie chyba cośkolwiek z tym przesadzili.

— Nie przesadzili. — Jeremy szedł dalej w kierunku północnego boku placu.

Jack zatrzymał się w pewnej chwili przed budowlą ozdobioną wykutym w kamieniu glifem, który coś mu przypominał.

— To bóg-orzeł! — zawołał Jeremy, oglądając się przez ramię. — Dokładnie taki sam jak na wisiorze z L'Anse aux Meadows. Jestem przekonany, że ten wisior pochodzi stąd. — Zatrzymał się przy następnym z kolei obiektem, szeroką, kamienną, wysoką jak on platformą, i czekał.

— Mieliście wątpliwości co do składania ofiar z ludzi — podjął, kiedy Costas i Jack do niego dołączyli. — Oto moje ulubione z takich miejsc. Nazywa się Tzompantli, Platforma Czaszek. Wystawiano tu na widok publiczny gnijące głowy wrogów, a na wypadek gdyby ktoś zapomniał, do czego platforma służy, wyrzeźbiono je na obwodzie. — Rzeczywiście, boki platformy pokryte były setkami ni to głów, ni czaszek o otwartych do krzyku ustach i wytrzeszczonych z przerażenia i cierpienia oczach. — Żeby wyrobić sobie pełen obraz, przyjmijcie jeszcze do wiadomości, że wszystko, co tu widzicie — i piramida, i Świątynia Wojowników, i ta platforma — pomalowane było na czerwono.

— Ludzką krwią, jak przypuszczam. — Costas przesunął palcem po jednej z czaszek i skrzywił się. — Wiem, że w naszej historii też nie brakuje niezbyt chlubnych epi-

zodów — rzymskie Koloseum, hiszpańska inkwizycja, i tak dalej — ale ludobójstwo i eksterminacja na masową skalę nie były nigdy uświęconym tradycją zwyczajem, nie były na porządku dziennym. A ci ludzie uważali to za coś normalnego.

Urodziłeś się tutaj, licz się z tym, że zostaniesz złożony w ofierze. To społeczeństwo miało w sobie coś chorego.

— Wiele przemawia na korzyść Majów — odparł ostrożnie Jeremy. — Wspaniała architektura i sztuka, fenomenalna organizacja ekonomiczna. Prowincje, które śmiało mogłyby konkurować z pierwszymi miastami-państwami Bliskiego Wschodu.

— Które założono cztery tysiące lat wcześniej — zauważył Jack.

— I Majowie nie mieli brązu — dorzucił Costas.

— Nie mieli też żelaza ani nie znali koła.

— Zgoda — przyznał z krzywym uśmiechem Jeremy. — To społeczeństwo było ukoronowaniem wszystkiego, co działo się w Ameryce przed hiszpańskim podbojem. Ale skończyło się to wraz z pojawieniem się Tolteków. Byli wojownikami z piekła rodem, takim mezoamerykańskim SS swoich czasów.

Weźcie wszystko, co słyszeliście o Aztekach, o tych masowych ofiarach z ludzi, o których wiemy z relacji hiszpańskich konkwistadorów z szesnastego wieku, pomnóżcie to kilka razy i cofnijcie w czasie o pięćset lat. Wyobraźcie sobie jądro ciemności, apokalipsę — tu się ona dokonywała. Majowie też nie stronili od składania ofiar z ludzi, ale Toltekowie uczynili z tego miejsca istny obóz śmierci.

— Nic dziwnego, że Reksnys się tu osiedlił — mruknął Costas.

— Czuł się jak u siebie.

— Dla średniowiecznych Europejczyków to, co tu zastali, pokrywało się niewątpliwie z ich wizją piekła — powiedział Jack.

— Jeśli zaś chodzi o wikingów, przerastało ich najkoszmarniejsze wyobrażenia końca świata, Ragnarók. Dla każdego

prowadzonego tu jeńca była to droga bez powrotu do piekła Dantego.

— Chciałem wam pokazać coś jeszcze — oznajmił Jeremy. — Chodźcie.

Ruszył szybkim krokiem dalej. Zostawili za sobą Platformę Czaszek i opuścili centralny plac. Jeremy prowadził ich szeroką, opadającą pod niewielkim kątem drogą procesyjną biegnącą przez dżunglę na północ. Pokonawszy nią jakieś dwieście metrów, zesli po nieregularnym kamienistym stoku i stanęli na skraju zerodowanej platformy. Przed nimi ziała wielka dziura w ziemi o średnicy dobrych pięćdziesięciu metrów i na dwadzieścia głęboka. Jej obwód obrastała bujna roślinność, wapienne ściany zbiegały się ku środkowi serią spękanych półek skalnych. Tafla wody na dnie miała zgnięzieloną barwę, pokrywała ją gęsta warstwa glonów i opadłych liści. Nie było żadnego zejścia do wody i nie ulegało wątpliwości, że kto się pośliźnie na platformie i spadnie w dół, już się stamtąd nie wydostanie.

— Ofiarna cenota w Chichen Itza — mruknął Jack. — Zawsze chciałem ją zobaczyć.

— Cenota? — spytał Costas.

— To z hiszpańskiego, w języku Majów *dzonot*, święta studnia, studnia ofiarna — wyjaśnił Jeremy. — Opowiadałem ci o tym na plaży. Cały Jukatan był niegdyś rafą koralową, a potem, kiedy w epoce lodowcowej poziom mórz się obniżył, przekształcił się w wapienny płaskowyż. Deszczówka wsiąkająca przez miliony lat w wapień wydrążyła w nim ogromny labirynt grot i tuneli wypełnionych stalaktytami i stalagmitami.

Groty, których sklepienia pozostały ponad poziomem wody, w końcu się zapadły, tworząc takie jak ta studnie.

— A co z trzęsieniami ziemi?

— Znajdujemy się na południe od krateru Chicxulub,

miejsca, w które uderzył olbrzymi meteoryt. Zachodzi na niego znaczna część północnego Jukatana.

— Ten meteoryt, który doprowadził do wyginięcia dinozaurów? — spytał Costas, rozglądając się z udawanym niepokojem. — Czy nad tym miejscem wisi jakaś klątwa?

Jeremy uśmiechnął się.

— Zagłada dinozaurów jest faktem. Krawędź krateru okala pierścień cenot, z których wiele zapadło się, tworząc studnie. Nikt nie potrafi wyjaśnić natury tego zjawiska, ale krater wywiera jakiegoś rodzaju destabilizujący wpływ na wapień.

— Raj dla nurków jaskiniowych.

— I to jaki — przyznał Jeremy. — Niektóre systemy grot i tuneli ciągną się przez pięćdziesiąt, a nawet i sto kilometrów. Część to podziemne rzeki uchodzące do morza. Pod szlamem jest krystalicznie czysta woda, pływa się w niej jak w akwarium wypełnionym niesamowitymi kalcytowymi formacjami. Ale jest też śmiertelnie niebezpieczna. To właśnie na praktykach studenckich, które tu odbywałem, zniechęciłem się do nurkowania. Nigdzie na świecie nie zginęło tylu nurków co tutaj.

— Toltekowie by się tym nie przejmowali — zauważył Jack.

— Niech no zgadnę — odezwał się Costas. — Tutaj też składali ofiary z ludzi.

— Studnię ofiarną przebagrowano pierwszy raz w poszukiwaniu artefaktów w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, ale dopiero w latach pięćdziesiątych powstało tu jedno z pierwszych stanowisk archeologicznych z prawdziwego zdarzenia, eksplorowane przy użyciu sprzętu do nurkowania — odparł Jack.

— Potem przybywały tu inne ekspedycje. Był tu Cousteau. Najgłębiej położone osady są nadal niezbadane, ale wydobyto mnóstwo artefaktów — gliniane naczynia, wyroby ze złota, z jadeitu. Prawie wszystko to zostało wrzucone do

studni w stanie nienaruszonym, w rytualnym obrządku. Znalaziono też ludzkie szkielety. Całe setki.

— Tak było na całym Jukatanie — dodał Jeremy. — Cenoty były dla Majów źródłami czystej wody, ale również wejściami do podziemnego świata. Składali w ofierze wojowników, dziewice, dzieci. Ten mały budynek, który tam widzicie, to *temazcal*, rodzaj sauny, w której rytualnie oczyszczano ofiary. Kamienne półki, po których tu schodziliśmy, to ławy dla widzów, stamtąd właśnie ceremonię oglądała toltecka elita.

— Urozmaicenie to według mnie sposób na monotonię życia — wymruczał z odrazą Costas. — Jeśli człowiek widział kilka tysięcy serc wrywanych z piersi tam, w świątyni, to co mu się dziwić, że tęskni za jakąś odmianą.

Drogą procesyjną nadbiegał zgrzany, zziąjany urzędnik, wymachując do Jeremy'ego telefonem komórkowym. Jeremy zawahał się, wyraźnie wzięto go pomyłkowo za najważniejszego z całej trójki. Zerknął pytająco na Jacka. Ten uśmiechnął się i kiwnął głową na znak, żeby trzymał się tej roli. Jeremy z urzędnikiem zaczęli się wspinać wyżej, żeby złapać zasięg, a Jack odwrócił się i wychylił poza krawędź platformy. Staw wyglądał dziwnie spokojnie, ale coś ścisnęło go za gardło, kiedy wyobraził sobie, co musiały przeżywać ofiary stojące u wejścia do podziemnego świata.

— I mówisz, że tam na dnie coś jeszcze leży? — Costas, otarł z twarzy warstewkę potu i spojrzał wyczekująco na Jacka.

— Większość artefaktów i kości znajdujących się na wierzchu wydobyto, ale nie zostały jeszcze spenetrowane głębiej położone osady, w których mogą zalegać cięższe obiekty.

— Czy myślisz o tym samym co ja?

— Twoja poddenna sonda — odparł z uśmiechem Jack. — Może, jeśli sprawdzi się w Złotym Rogu, zwrócimy się do meksykańskich władz z sugestią przeniesienia się z nią tutaj.

— Myślisz, że jest po co?

Jack potarł podbródek i zmrużył oczy porażone słońcem odbijającym się od skały.

— Z tego, co mówi Jeremy, wynika, że mogły tu być składane w darze bogom trofea wojenne. Wyobraźmy sobie, że Harald i jego załoga zeszedli na ląd gdzieś na północ stąd i zostali zaatakowani.

— Boże, tylko nie to! — zachnął się Costas. — Taka wpadka, po tym wszystkim, przez co przeszli!

— Wikingów, którzy nie mieli tyle szczęścia, żeby polec w walce, jaka się wywiązała, mogło czekać tylko jedno. Wojownikom biorącym czynny udział w starciu wyrwano by w świątyni serca. Ci zaś, którzy nie mieli sił walczyć, zostaliby niewolnikami. Może do tych ostatnich zaliczał się twój przyjaciel, któremu potem udało się jakimś sposobem uciec i wrócić do L'Anse aux Meadows.

— Te ślady na nadgarstkach i kostkach — mruknął Costas. — To od kajdan.

Jack kiwnął głową.

— Innych być może przyprowadzono tutaj i zepchnięto do studni w ofierze. Uroczysta procesja ze świątyni do cnoty, kulminacja rytuału zwycięstwa. Zupełnie jak triumf rzymskiego cesarza. Pokonanie wikingów byłoby dla Tolteków nie lada sukcesem. Zwycięstwo nad jasnowłosymi, brodatymi olbrzymami uzbrojonymi w straszliwy żelazny oręż. Przybyli tu na podobieństwo obcych bogów, a Toltekowie się z nimi rozprawili. Łupy wojenne złożono by w darze bogom.

— Bardzo ładnym darem byłaby menora.

— Na ile szacujesz jej wagę? Bo ja na jakieś trzysta, trzysta pięćdziesiąt funtów.

— Wrzucić tyle złota do studni.

— No właśnie. — Jack spojrzął na zieleniącą się w dole powierzchnię wody, potem znowu na Costasa. — A Toltekowie byli przywiązani do swojego złota.

Zza kamiennej grani wyłonił się Jeremy i zaczął schodzić po pochyłości. Zataczając się lekko, zbliżył się do nich i usiadł ciężko na kamieniu. Twarz miał szarą jak popiół.

— Nie służy ci ta duchota. — Costas popatrzył na niego z zatroskaniem i podał swoją butelkę z wodą. — Masz. Łyknij sobie i idź do cienia.

— To nie to — powiedział Jeremy ochryłym, ledwie dosłyszalnym głosem i wypuścił butelkę z ręki. — Rozmawiałem przed chwilą z Benem. Niestety, ale mam dla was złe wieści. — Spojrzał ze ściągniętą twarzą na Jacka. — Złe to mało powiedziane.

Jacka ścisnęło w dołku. Przygotował się na najgorsze.

— Ojciec O'Connor nie żyje. — Jeremy spojrzenie miał błędne, mrugał odruchowo, bo ściekający po powiekach pot zalewał mu oczy. — Zamordowano go na Ionie. A Maria zniknęła.

17

Długo, sama nie wiedziała jak długo później, Maria wynurzyła się z przerażającej otchłani ciemności. Jej świadomość gramoliła się z jakiegoś niezapamiętanego horroru, który uparcie starał się ją ściągnąć z powrotem w czeluść. Była wyczerpana ponad wszelkie wyobrażenie, wycieńczona walką z pozbawionym twarzy demonem ze swych koszmarów, a w dodatku czuła ociężałość, która towarzyszy zwykle wybudzaniu się z głębokiego snu. Przez wieczność całą leżała nieruchomo, to odzyskując, to znów tracąc przytomność, czekając na reakcję ciała. Czuła, że oddycha, czuła twardość podłoża pod sobą, sztywność karku. Leżała na prawym boku w pozycji płodowej, zwinięta w kłębek. Otworzyła powoli oczy. Było ciemno, ale nie aż tak, jak w jej snach. Na skraju pola widzenia coś migotało — świeca. Ścianę przed nią pokrywały kształty, kolory... plamy czerwieni!

Odebrało jej oddech. Zesztywniała. Gabinet O'Connora. Zacisnęła mocno powieki, tęskniąc znowu za tamtą ciemnością, za czymkolwiek, co wymazałoby rzeczywistość, w którą nie chciało jej się wierzyć, ten horror, który usiłowała rozpaczliwie wtłoczyć z powrotem w krainę snów.

Czuła piekący ból w policzku. Omył go lekki powiew. Pisnęła i usiadła jak pchnięta sprężyna. Serce waliło jej jak młot, krew pulsowała w uszach. Zaczęła się cofać na siedząco, gorączkowo ocierając dłońmi twarz. Uderzyła plecami o ścianę, wrócił jej oddech. Wciągnęła chrapliwie haust powietrza, usłyszała nad głową trzepot skrzydeł, który wzniósł się i ścichł gdzieś wysoko.

Uniosła rękę, dotknęła lepkiej wilgoci na policzku, potem spojrzała w górę. W nikłym blasku świecy zobaczyła ostrołukowe sklepienie o szerokich bokach, wykonane z małych kamiennych bloków pokrytych plackami zaprawy. Wyglądało na stare, zmurszałe. U szczytu odróżniała linię ciemniejszych, zwisających rzędem kształtów.

Dobierały się do niej.

Ściskając rękami brzuch i przechylając się na bok, wymiotowała. Przypomniawszy jej tamten metaliczny oddech i zapagnęła wymiotować dalej, ale nie miała już czym. Pragnęła się pozbyć tego uczucia odrzy, piętna śmierci i przemocy, które zdominowało jej myśli, które było wszystkim, co pamiętała.

Dała za wygraną i zdyszana starała się uspokoić. Przymknęła oczy, przycisnęła zakrwawiony policzek do wilgotnej ściany i rozpaczliwie zbierała siły. Oblewała się potem, ściekał strumyczkami po krzepnącej na twarzy krwi. Spuściła wzrok. Była tylko w porwanych, brudnych spodniach khaki i kamizelce. Ktoś ściągnął z niej sweter. Nie miała zegarka. Było jej gorąco, strasznie gorąco. Uświadomiła sobie nagle, że jest skrajnie odwodniona i spragniona. Zaczęła zlizywać pot i krew z warg.

Zebrała się w sobie, usiadła prosto, przełknęła z trudem i rozejrzała się. Wszystko wokół było wilgotne i powleczone zielonkawym nalotem. Znajdowała się w prostokątnej sali, długiej na jakieś dziesięć i szerokiej napięć metrów. W jednej

ze ścian majaczył wylot jakiegoś korytarzyka odbiegającego w ciemność.

Przywołała z pamięci rozkład znanych sobie budynków klasztoru na Ionie — stara kaplica po północnej stronie, refektarz... Nie, to nie to. Tutaj również posadzkę stanowiła naturalna, wygładzona miejscami skała, na oko wapień, w każdym razie w niczym nieprzypominająca granitowej opoki Iony. Pośrodku leżała okrągła drewniana płyta, jakby pokrywa studni. Wykonana była z jakiegoś egzotycznego drewna ciemniejszego od starej dębiny. W drugim końcu, po samo sklepienie piętrzył się stos osypanego tynku i kamieni. W miejscu, gdzie zza tego gruzu wyłaniała się znowu ściana, ku środkowi sali odbiegało od niej na trzy metry prowizoryczne przepierzenie z desek.

Maria, sunąc plecami po ścianie, podźwignęła się z trudem. Kolana miała jak z waty, przed oczyma latały mroczki. Stała przez chwilę nieruchomo, czekając, aż miną zawroty głowy, potem, stawiając niepewnie kroki, ruszyła w stronę miejsca, gdzie widziała wcześniej rozpryski koloru. Duchota panująca w sali wprost zatykała, było tu jak w saunie. Jedno nie ulegało wątpliwości — to nie była żadna z zachodnich wysepek Szkocji. Ściany wyglądały tak samo staro jak mury klasztoru, ale wszystko inne świadczyło, że znajduje się bardzo, ale to bardzo daleko od Iony. Tej obserwacji jej umysł wołał nie analizować.

Dowlókła się do przeciwległej ściany. Świeca będąca jedynym źródłem światła stała na małym płaskim kamieniu. Maria podniosła ją. Po sali roztańczyły się cienie. Ujęła świecę oburącz, żeby się nie trzęsła. Spojrzała na ścianę.

Nie do wiary!

Zamrugła. Ciągnęła resztką sił, nie jadła i nie piła od wielu godzin, a kto wie, czy nie dni. To mogły być halucynacje. Spojrzała znowu.

Czerwone rozpryski nadal tam były. Krew! Ale nie prawdziwa, jak w gabinecie O'Connora. Miała przed sobą inny rodzaj horroru. Patrzyła na krew tryskającą z szyj, lejącą się z rozpruwanych brzuchów, ściekającą strumieniem po schodach.

Był to fresk, malowidło ściennie przedstawiające niewyobrażalnie barbarzyńską masową egzekucję. Nagie ofiary prowadzano na szczyt wysokiej świątyni. Na górze jedna leżała już rozciągnięta na ołtarzu, a oprawca zanurzał ręce w jej wnętrznościach. Postać obok trzymała w górze świeżo wyrwane serce. Marii żołądek znowu podszedł do gardła. Oprawcą był wzbudzający grozę, rozebrany do pasa olbrzym o pochyłym płaskim czole i haczykowatym nosie, w przepasce na biodra i wymyślnym nakryciu głowy. Nad nim widniały stylizowane symbole. Jaguary, ptaki, wynaturzone monstra. Ten bezpośrednio nad głową kata wydał jej się nagle znajomy. Wróciła myślami do momentu, kiedy zaczął się cały ten koszmar, kiedy siedziała na Ionie w swojej izdebce i patrzyła na zdjęcie boga-orła, które przysłał jej Jack.

Zamrugła znowu, usiłując ogarnąć umysłem to, co ma przed sobą. Cofnęła się chwiejnie kilka kroków, świeca zamigotała. Po prawej spędzano ofiary, jakby jeńców wojennych po bitwie. To malowidło miało najwyraźniej charakter narracyjny, składało się ze scen opisujących sukcesywnie jakieś doniosłe wydarzenie. Podniosła znowu wzrok na sklepienie. Starła się zebrać myśli. Słyszała coś o tym na wykładach z historii architektury. Sklepienie kroksztynowe.

Tylko jedna znacząca cywilizacja budowała w ten sposób wszystkie swoje sklepienia, nigdy nie nauczyli się łuku. Jedyna cywilizacja, która wślawiła się swoją architekturą, a okryła niesławą za okrucieństwo.

Spojrzała znowu na ścianę. Kroksztynowe sklepienie. Narracyjne sceny ciągnące się od prawej do lewej. Straszliwi

wojownicy o płaskich czołach. Symbole, glify. Ofiary z ludzi składane na świątynnym ołtarzu na potwornych rozmiarów skalę. Coś nieprawdopodobnego.

Majowie?

Oszołomiona zatoczyła się w tył, ale szybko wzięła się w garść i przesunęła kilka kroków w prawo aż do drewnianej pokrywy pośrodku podłogi. Przysunęła świecę bliżej ściany. Znajdowała się między dwoma początkowymi scenami malowidła. Pierwsza przedstawiała walkę na morzu — długie canoe pełne wojowników, jedna z kwadratowym żaglem — następna krwawą bitwę, tym razem na lądzie. Wojownicy ubrani tak samo jak oprawca, walczyli z innymi wojownikami, tymi, którzy wkrótce staną się jeńcami. Wszyscy mieli pochyłe czoła, ale pokonywani górowali wzrostem nad zwyciężającymi, byli olbrzymami. Wszyscy rozebrani do pasa. Na pierwszym planie leżeli zabici z obu stron, jedni na suchym lądzie, z odrąbanymi kończynami, inni w rzece wypływającej jakby spod ziemi. Zwycięzcy uzbrojeni byli w pałki i maczugi, zwyciężani w miecze i topory.

Maria wstrzymała oddech.

Miecze i topory.

Wytężyła wzrok. Przeszedł ją dreszcz, o mało nie wypuściła świecy z rąk. To nie pochyłe czoła, to stożkowe hełmy z osłonami na nos. Byli rozebrani do pasa, ale nosili spodnie, w odróżnieniu od zwyciężających odzianych w spódniczki i przepaski na biodra. Byli brodaci i jasnowłosi. Uzbrojeni w miecze i wielkie, jednosieczne topory.

Topory bojowe Waregów.

Zawirowało jej przed oczyma. Odnosiła wrażenie, że śni ostatni rozdział historii, którą żyła od kilku dni, rozdział tak niewiarygodny, że chyba fantastyczny. Jaka szkoda, że nie ma tu Jacka, który spokojnym głosem zapewniłby ją, że to tylko przywidzenia. Pobiegła wzrokiem ku scenie składania ofiary,

ku oprawcy, tam gdzie ściana zdawała się ociekać krwią. Zatoczyła się w tył i zaciskając mocno powieki, osunęła po ścianie. Och, jak pragnęła obudzić się znowu w celi na Ionie, poczuć ciepło i spokojny oddech kogoś obok.

— Doktor de Montijo. Jak miło z pani strony, że nas pani odwiedziła. Efekty działania narkotyku wkrótce ustąpią. — Ten głos był realny, a słowa skierowane do niej. — Jest pani w Meksyku.

Maria uchyliła ciężkie jak ołów powieki.

— Tak — powiedziała machinalnie. — Wiem.

— Skąd? — Głos stwardniał, pojawiła się w nim nutka podejrzliwości.

Maria usiłowała wstać, ale osunęła się po wilgotnej ścianie z powrotem na podłogę. Nic nie widziała, oslepiła ją blask świecącej prosto w oczy latarki. W ustach miała sucho.

— Wydedukowałam — wychrypiła.

Latarka zgasła i Maria zobaczyła przed sobą niskiego, żylastego mężczyznę o czarnych, zaczesanych gładko do tyłu włosach. Wyglądał mniej więcej na siedemdziesiąt lat i pewnie farbował sobie te włosy, ale postawę miał człowieka o dobre trzydzieści lat młodszego. I te wyblakłe szare oczy...

Marii coś zaczynało świtać. Patrzyła na niego z coraz większym przekonaniem, że się nie myli, chociaż wierzyć się jej nie chciało, że go w końcu spotkała. Wszystko inne — sytuacja, w jakiej się znalazła, nawet śmierć O'Connora — przestało mieć teraz znaczenie. To był on. Starła się panować nad emocjami, zachować spokój. Zupełnie już się rozbudziła.

— Pieter Reksnys. Widzę, że ojciec dobrze cię wyszkolił. Litwin, jeśli się nie mylę? Sługus rasy panów.

Reksnys z zadziwiająco, jak na swój wiek, szybkością ścisnął ją ręką za gardło, przyciągnął do siebie i podniósł.

Poprzez dławiący ból wyczuła coś znajomego w jego smrodliwym oddechu.

— Nie waż się więcej wspominać mojego ojca, Żydówko — wysyczał. — I niech ci się nie wydaje, że tylko on pociągał wtedy za spust. Ja też miałem zabawę z dziećmi. — Rzucił Marię na ziemię i stanął nad nią w rozkroku, patrząc jak krztusi się i wymiotuje. — Szkoda tylko, że nie było jeszcze wtedy na świecie mojego syna. Dziadek byłby z niego dumny.

Przekręcił Marię nogą na plecy, po czym ostentacyjnie wytarł podeszwę buta o podłogę. Z mroku wyłonił się ktoś jeszcze. Szedł z opuszczoną głową, zaciskając i rozluźniając dłonie. Marii ciarki przebiegły po krzyżu, poznała go po ruchach. Mężczyzna chwycił ją bez słowa za włosy, zaciągnął do drewnianego wieka i odrzucił je kopniakiem, odsłaniając kryjącą się pod nim dziurę, czarną czeluść, z której powiało chłodniejszym powietrzem, tak jakby gdzieś tam głęboko w dole była woda.

— Bez obawy. — Przyciągnął ją do siebie i zobaczyła szpetną szramę przecinającą mu policzek. — Krwawego orła zarezerwowałem dla twojego znajomka. Ty nawet nie umrzesz, kiedy wrzucę cię do podziemnego świata. Tak przynajmniej zapewniali swoje ofiary Toltekowie. — Głos miał ochryply, obmierzły, nie tak wygłodzony jak ojciec. Udał, że chce ją wepchnąć, ale zaraz odciągnął brutalnie od studni. — Sympatyczny był to ludek. — Zaniósł się obłąkańczym, piskliwym chichotem i cisnął ją na ziemię. — Ale na razie jesteś potrzebna *felagowi*. Wypoczywaj więc w naszym ustronnym zakątku, póki możesz.

— Ostatni z druhów prawdziwego *felagu* umarł przed siedmiuset laty. — Maria uniosła głowę i spojrzała Lokiemu w oczy. — Ludzie Haralda Hardrady nigdy nie przyjęliby do swego grona takiej jak ty gnidy. Nie uznaliby cię nawet za wartego krwawej zemsty.

Loki doskoczył do Marii, ale Reksnys go powstrzymał.

— Jeszcze nie teraz — mruknął i zwrócił się do Marii, przybierając kpiąco przepraszający ton: — Mojego syna wciąż się trzymają te romantyczne mrzonki. Wyobraża sobie, że jest w SS.

— Za słaby na to.

Loki znowu chciał się na nią rzucić i Reksnys ponownie go powstrzymał. Głos mu stwardniał.

— Nasz *felag* był tylko środkiem prowadzącym do celu. Ni mniej, ni więcej. I wszystko wskazuje na to, że skutecznym.

Loki warknął coś pod nosem, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sali. Maria odpełzła z powrotem pod ścianę. Reksnys rzucił jej małą butelkę z wodą.

— No więc już się zapoznaliśmy. Szukam fachowej pomocy. Ty mi jej udzielisz.

Wyjął z kieszeni cyfrowy aparat fotograficzny i wymierzył w nią obiektyw. Marii zaczynało być wszystko jedno. Opadła na podłogę i patrzyła na Reksnysa, przypominając sobie, czego dopuścił się wraz ze swoim synem. O'Connor dopilnował, by ojca Reksnysa spotkała zasłużona kara. Nie zawahał się, chociaż wiedział, że ryzykuje życie, no i zapłacił tę najwyższą cenę. Teraz ona musi zrobić co w jej mocy, by doprowadzić rozpoczęte przezeń dzieło do końca. Jest mu to winna. Jest to winna sobie.

Będzie silna.

Jack stał zatopiony w myślach w centrum operacyjnym „Seaquesta II” i trzymając w dłoniach kubek z kawą, patrzył, jak daleko nad morzem zaczyna padać deszcz. Niebo miało złowieszco szarą barwę, sunące po nim wysoko obłoki, które widzieli rano z plaży, wyparte zostały przez ciemne zwały chmur nadciągające od Karaibów. Tam gdzie przez ich po-

włókę prześwitywało słońce, unosiły się, zwijały i przenikały kurtyny światła przypominające zorze polarne, które widzieli na Grenlandii; zapowiadały załamanie pogody.

— Wygląda na to, że zaraz nas zoczy. — Do Jacka podszedł kanadyjski kapitan „Seaquesta II” i spojrzał na morze przez lornetkę. — Sezon huraganów za pasem. Lepiej dmuchać na zimne. Każę wprowadzić helikopter do hangaru i odchodzimy dalej od brzegu.

Jack odchrząknął. Nie to chciał usłyszeć.

— Dzięki. Rób, co trzeba.

Kapitan poszedł na mostek, a James Macleod wstał od konsoli komputera, przy której segregował dane zebrane w fiordzie lodowym. Wszyscy w pomieszczeniu mieli świadomość obecności Jacka, ale starali mu się nie narzucać.

Część z nich pływała na pierwszym „Seaqueście”, i ci pamiętali, jak na Morzu Czarnym zaginął Peter Howe, wiedzieli, że Jack do tej pory czuje się osobiście odpowiedzialny za tamtą tragedię. Marię, podczas tych kilku dni, które spędziła z nimi w fiordzie lodowym, zdążyli polubić zarówno członkowie załogi, jak i naukowcy. Nawet Lanowski był przygnębiony, kiedy w milczeniu przekazywał Jackowi serię wydruków z rzutami długiej łodzi z góry lodowej, które opracował na podstawie obrazów fotogrametrycznych.

— Jak długo tu zostaniemy, Jack? — spytał cicho Macleod, podchodząc do stojącego przy oknie Jacka.

Jack spojrzał na niego, potem przeniósł wzrok z powrotem na morze. Twarz miał ściągniętą, nieobecną.

— Nie wiem, James. Po prostu nie wiem. — Zacisnął usta i odstawił kubek. Już od blisko sześciu godzin czekali na wiadomości z Iony, a te nie nadchodziły. Wiedzieli tylko tyle, ile w krótkiej rozmowie telefonicznej z centralą IMU przekazał kolega O’Connora z klasztoru, człowiek, którego Jack widział przelotnie w kościele. Najwyraźniej policja utajniła śledztwo

i nie powiadomiła mediów o morderstwie. Ale co do faktów, nie było żadnych wątpliwości. O'Connor nie żył, a Maria zniknęła.

— Musimy zakładać, że została uprowadzona. — Od drugiej strony zbliżył się do Jacka Ben. — To znaczy, dopóki nie ma ciała.

— Wiem. — Jack odetchnął głęboko, odwrócił się od okna i wziął pod boki. Dochodził już do siebie. — Nie wolno nam podupadać na duchu. Niewykluczone, że wkrótce dowiemy się czegoś więcej. Do tego czasu nic nie możemy zrobić, a więc zajmujemy się nadal tym, po co tu przybyliśmy. — Spojrzał na Macleoda posępnie, lecz ze zdecydowaniem. — Oto odpowiedź na twoje pytanie. Mój plan po odwiedzeniu Chichen Itza to weryfikacja wszelkich znalezisk z północnego Jukatana datowanych na drugą połowę jedenastego wieku, czyli na okres, kiedy mógł tu przebywać Harald Hardrada. Malowidła ścienne, glify, budowle. Być może coś naprowadzi nas na trop. — Wskazał ruchem głowy na Jeremy'ego, który siedział przed komputerem w kącie, plecami do nich, obłożony otwartymi książkami. — Zaraz po powrocie powierzyłem to zadanie Jeremy'emu.

— Bardzo to przeżywa — mruknął Macleod.

— Uwielbiał O'Connora — powiedział cicho Jeremy. — A Maria była jego mentorką. Czuje się teraz tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg.

— Ma jeszcze nas — zauważył Macleod.

— To dobry chłopak.

Costas pracujący obok Jeremy'ego na stacji roboczej poczuł chyba na sobie ich wzrok, bo odchylił się na oparcie krzesła i zawołał:

— Jack. Mam coś dla ciebie. Poszedłem na całość i skontaktowałem się z tym facetem z IMU na Karaiby, Jimem Halesem z Wielkiego Kajmanu. Wiesz, tym moim starym

kumplem z laboratorium badawczego jednostek podwodnych marynarki Stanów Zjednoczonych. Był właśnie w Mexico City i załatwił nam zielone światło na Chichen Itza. Nie do wiary, jakie ten gość ma dojsčia. Jak chcesz porozmawiać o projekcie spenetrowania tej cenoty, to służę numerami kontaktowymi.

— To już coś. — Jack przechwycił spojrzenie Costasa i zrozumiał, co przyjaciel chce mu przekazać. Muszą obaj myśleć pozytywnie, robić dalej swoje. — Na początek zapytam o możliwość wykorzystania tej sondy poddennej, kiedy skończymy już w Złotym Rogu. Jeremy, wchodzisz?

Jeremy obejrzał się. Był blady, rozkojarzony.

— W co? Nie wiem, czy Maria mi pozwoli... — Ugryzł się w język, w kabinie zaległa cisza.

— Pozwoli — zapewnił go Jack.

Jeremy bardzo się starał robić dobrą minę do złej gry.

— Tak czy owak nie jestem przekonany, czy pierwszą lekcję nurkowania chciałbym brać akurat w studni ofiarnej.

— Spokojna głowa. — Costas wyciągnął rękę i poklepał Jeremy'ego po plecach. — Z nami nie zginiesz.

Pośrodku kabiny zamigotało czerwone światełko. Ben spojrzął z niepokojem na Jacka.

— Na mostek!

Obaj wybiegli z centrum operacyjnego i wspięli się po schodach. Po piętach deptał im Costas. Kapitan pochylający się z pierwszym oficerem nad kompasem wskazał im drzwi kabiny nawigacyjnej.

— Priorytetowa wiadomość na bezpiecznym kanale. Ben wpadł tam pierwszy, porwał słuchawkę odbiornika, zamienił kilka słów z rozmówcą po drugiej stronie, zanotował coś i odłożył ją.

— Centrala IMU dostała e-mail odsyłający nas na bezpieczną stronę i podający hasło.

Costas siedział już przy komputerze.
— Dobra. Jesteśmy online. Jaki to adres? — Ben odczytał go i Costas przebiegł palcami po klawiaturze. — Hasło?
Ben zawahał się, zerknął na Jacka.
— Menora.
Costas gwizdnął cicho.
— No już wszystko jasne.
— Domyślaliśmy się, kto za tym stoi — powiedział ochryple Jack, zaciskając dłonie na oparciu krzesła Costasa. — Teraz mamy potwierdzenie.
— To do ciebie. — Costas odchylił się w bok, żeby Jack mógł odczytać krótki e-mail, który pojawił się na ekranie.

Do: Jack Howard

Przypłyniesz z Kazantzakisem na zodiaku dziś wieczorem o 23.00 w to samo miejsce na plaży, które odwiedziliście dziś rano. Zabierzcie ze sobą sprzęt do nurkowania jaskiniowego. Zawiążecie sobie oczy i będziecie czekać na nasze przybycie. Jakakolwiek próba zastawienia pułapki albo nawiązania kontaktu z jakąś zewnętrzną instytucją, i wasza koleżanka zostanie stracona.

— Maria żyje — szepnął Jack. — Dzięki Bogu.
— W to samo miejsce na plaży — mruknął Ben. — Wcale mnie nie dziwi, że wiedzą, gdzie byliśmy. Pewnie dzięki meksykańskiej policji. Jeśli to Reksnys, to musi mieć obstawione szpiegami całe wybrzeże.
— I po jaką cholere ten sprzęt jaskiniowy? — wymruczał Costas. — Ani myślę nurkować w jaskini podczas ulewy. Deszczówka zaleje wszystkie kieszenie powietrzne.
— Musieli coś znaleźć — powiedział Jack.
— Myślisz, że stąd to hasło?

— Obym się mylił.

— Maria gdzieś tu jest, gdzieś blisko — zauważył Ben. — Musieli przywieźć ją samolotem z Iony. Reksnys ma prywatny odrzutowiec i prywatny pas startowy w dżungli. Tego nie da się ukryć przed inwigilacją satelitarną. I musiał wiedzieć, że „Seaquest II” tu się kieruje, zanim jeszcze uderzyli na Ionie.

— Podejrzewam, że to uderzenie było dziełem jednego człowieka.

— Lokiego.

— Przysłali jakąś fotografię. Lepiej się przygotujcie. — Costas kliknął na załączniku pod wiadomością i zdjęcie zaczęło się ładować. Zostało zrobione przy użyciu flesza w jakiejś komorze z krzywą kamienną podłogą i starymi ścianami pokrytymi zielonkawym nalotem. Na podłodze ktoś leżał. Kobieta. Była brudna, miała na sobie porwaną kamizelkę. Czarne włosy przylegały jej do szyi, na rękach widniały smugi zieleni ze ścian. Starła się patrzeć w obiektyw, ale skrzywiła się, oślepiona błyskiem flesza. Oczy miała zapuchnięte, powieki zaciśnięte, wargi przyprószone czymś białym, a policzek paskudnie obtarty, zakrwawiony i ropiejący.

— Maria — szepnął Jack. Kolana się pod nim ugięły. Puścił oparcie krzesła i opadł ciężko na stojącą obok ławeczkę. Spojrzał znowu na ekran. Szok przechodził w gniew, w ślepą furję.

Do kabiny zajrzał kapitan.

— Wiadomość z Iony. Policja pozwoliła porozmawiać z nami facetowi z medycyny sądowej. — Zobaczył zdjęcie na ekranie i pobladł.

— Już idę. — Głos Jacka był spokojny, wyprany z emocji.

Po dziesięciu minutach Jack wrócił do centrum operacyjnego. Zastał tam tylko Jeremy'ego. Macleod z Lanowskim chwilę wcześniej wyszli na mostek. Jeremy siedział wciąż przed komputerem i pracowicie drukował zdjęcia ściągane

z sieci oraz zaznaczał w książkach fragmenty poświęcone sztuce Tolteków. O szybę okna nad nim rozpryskiwały się już pierwsze krople deszczu, pogoda gwałtownie się pogarszała.

Jack zatrzymał się niezdecydowany tuż za progiem. To, co przed chwilą usłyszał, zupełnie go przybiło. Spojrzał znowu na Jeremy'ego i ruszył w jego kierunku, lawirując między konsolami. Nie wiedział, od czego zacząć. Przyciągnął sobie krzesło, obrócił je oparciem do okna, usiadł i rzucił okiem na ekran.

— Dobra robota — powiedział cicho. — Sam nigdy bym przez to nie przebrnął. Nie studiowałem archeologii mezoamerykańskiej.

— Dokonałem właśnie ciekawego odkrycia. — Jeremy podał Jackowi arkusz papieru. — Słyszałeś o tym starym azteckim proroctwie przepowiadającym powrót boga-króla Quetzalcóatla? Kiedy w roku tysiąc pięćset dziewiętnastym Hiszpanie dotarli do Tenochtitlanu w środkowym Meksyku, cesarz Montezuma wziął Cortesa za Quetzalcóatla. Między innymi z tego powodu Hiszpanom tak łatwo i szybko poszedł podbój.

— Mów, mów.

— No więc, Quetzalcóatl był Toltekiem, na wpół legendarnym królem. Zgodnie z aztecką legendą, która przetrwała do czasów Montezumy, ten Quetzalcóatl został pięć wieków wcześniej przepędzony z ich królestwa i obiecał powrócić z krainy wschodzącego słońca.

— Pięć wieków wcześniej — powtórzył Jack. — Czyli gdzieś w jedenastym wieku, w okresie, który nas interesuje.

— Otóż to. A ta kraina wschodzącego słońca, leżąca, jak sama nazwa wskazuje, na wschód od państwa Azteków, które zajmowało tereny obecnego Meksyku, to prawie na pewno półwysep Jukatan. Historycznie by się to zgadzało, bo mniej

więcej w tym czasie Toltekowie zaatakowali i zajęli Chichen Itza.

Jack popatrzył z nowym zainteresowaniem na Jeremy'ego. Miał coś na końcu języka, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli pozwoli mu kontynuować.

— Rzecz staje się naprawdę intrygująca, kiedy zajrzemy do źródeł majańskich — ciągnął Jeremy. — Cała nasza wiedza o ostatnich latach Majów pochodzi głównie z ksiąg Chilama Balama, Proroka Jaguara, w przeważającej części spisanych po hiszpańskiej konkwiście przez miejscowych skrybów, i to po łacinie. Księgi te zostały ukryte i były zazdrośnie strzeżone. Każda poświęcona jest innej ze społeczności zamieszkujących północny Jukatan, coś jak nordyckie sagi na Islandii. Jedna z najniezwyklejszych przepowiedni dotyczy przybycia brodatych mężów ze wschodu.

— Brodatych mężów?

— Nadążasz za mną? Wielu naukowców lekceważy te księgi, uznając zawarte tam treści za mało wiarygodne, za legendy powstałe już po upadku imperium Majów. Rzeczywiście, niektóre z nich zostały spisane dopiero w osiemnastym, a nawet dziewiętnastym wieku. Ale niedawno odkryto jeszcze jedną z tych ksiąg. I to gdzie! W Rzymie, w watykańskich archiwach! Wszystko wskazuje, że jest najwcześniejsza z całego cyklu, spisana częściowo pismem Majów i najwyraźniej została skonfiskowana przez pierwszych jezuickich misjonarzy, którzy w szesnastym wieku dotarli na Jukatan. Zawiera legendy i przepowiednie społeczności Majów zamieszkującej tereny na północ od Chichen Itza. Jest tam, między innymi, ta sama historia o brodatych mężach, ale z małą różnicą. Otóż tutaj Majowie mają króla, który stacza walną bitwę z ich gnębiicielami, przypuszczalnie Toltekami, a potem znika w podziemnym świecie i Majowie oczekują jego powrotu. Można by ją uznać za jakąś tam wersję oryginalnej azteckiej

przepowiedni o powrocie Quetzalcóatla, gdyby u Majów ten król nie nazywał się Wukub Kaqix, monstualny ptak-bóstwo, orzeł-bóg.

Jack zerknął na zdjęcie jadeitowego wisiora przypięte do ściany obok monitora.

— To tutaj dosyć powszechnie spotykany symbol.

— Ale również nazwa łodzi Haralda Hardrada — „Orzeł”.

Z napomnień w nordyckich sagach wynika, że wikingowie, idąc w bój bez szans na zwycięstwo, palili swoje łodzie i czasami wycinali z nich kile, które nieśli potem przed sobą jak bojowe sztandary. Był to znak, że idą do walki na śmierć i życie, że udają się w podróż bez powrotu do Walhalli. W ten sposób siali strach w sercach nieprzyjaciół. Kto wie, czy tak właśnie nie stało się tutaj i miejscowi Majowie byli tego naoczniymi świadkami.

— Fantastyczne. Coś fantastycznego, Jeremy. Tego właśnie szukamy. — Jack pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Nie potrafił dłużej udawać, ukrywać przed Jeremym tego, co przed chwilą usłyszał. — Ale muszę ci coś powiedzieć. Przyszły wiadomości z Iony.

— Wiem — powiedział cicho Jeremy i odłożył książkę. Jack podniósł na niego wzrok. Jeremy wyglądał o wiele starszej niż tamten kipiący energią doktorant, którego poznał przed tygodniem. — Wiedziałem od chwili, kiedy usłyszeliśmy o śmierci O’Connora. Rozmawiał ze mną, przygotował mnie na to. Wiem, co się stało na Ionie. — Zawiesił głos, przełknął z trudem, a potem wykrztusił przez ściśnięte gardło: — Krwawy orzeł.

18

Północ dawno minęła, prawdopodobnie dochodziła pierwsza nad ranem. Było już ciemno, kiedy odbijali zodiakiem od burty „Seaquesta II”, by skierować się ku brzegowi. We wskazanym miejscu na plaży zjawili się długo przed wyznaczoną godziną. Teraz Jack słyszał tylko nieustający, to wznoszący się, to opadający, szum ulewy. Wilgotność powietrza niemal uniemożliwiała oddychanie. Wiedział, że siedzi ściśnięty z Costasem z tyłu niewielkiego samochodu — sądząc po pracy silnika, terenowego z napędem na cztery koła. Od dobrej pół godziny teleпали się po jakichś wertepach, oddalając od plaży i zagłębiając w dżunglę. Niezabliźniona jeszcze dobrze rana na udzie Jacka pulsowała. Trzymając się ściśle instrukcji, czekali z zawiązanymi oczami i sprzętem do nurkowania obok zodiaca. Kierowca podszedł i bez słowa, nie przedstawiając się ani nie wyjaśniając, dokąd ich zabiera, wepchnął obu do samochodu. Było to trochę deprymujące, ale Jacka podnosiła na duchu świadomość, że obok, przeklinając każdy wykrot i garb na drodze, siedzi Costas.

Od chwili nadejścia e-maila z ultimatum Jack zdawał sobie sprawę, że będą zdani wyłącznie na siebie, że będą musieli

słuchać we wszystkim porywaczy Marii i liczyć tylko na uśmiech losu. Cokolwiek ich czekało, nie ulegało wątpliwości, że będą musieli nurkować. I to, sądząc po kierunku, w którym ich wieziono, pewnie gdzieś w głębi łądu. W cenotach? W podziemnych rzekach? Deszcz zaczynał podsuwać Jackowi nieprzyjemne wizje. Przy takiej ulewie spływająca woda zaleje wkrótce podziemne grotty. A w tak niewielkiej odległości od morza prąd podziemnych rzek i strumieni Jukatenu, zasysając deszczówkę przez labirynt wapiennych kanałów, przybierze znacznie na sile.

Samochód przyhamował ostro i zatrzymał się. Przywołanego do rzeczywistości Jacka wyciągnięto bezceremonialnie z wozu i poprowadzono przez jakieś zarośnięte wądoły. Ślizgał się na mokrej trawie i liściach, nogi mu się rozjeżdżały. Łało jak z cebra. Po chwili znalazł się w pomieszczeniu osłoniętym przed deszczem, za to było tu parno jak w łaźni. Zaraz potem wpadł na niego wepchnięty tam Costas i Jack usłyszał, jak wyładowują z wozu ich sprzęt. Poprowadzono go kawałek dalej i ściągnięto mu opaskę z oczu. Zamrugął i zatoczył się.

Wykręcono mu ręce do tyłu i skrępowano taśmą izolacyjną nadgarstki. Znajdował się w jakimś mrocznym pomieszczeniu, ciemności rozpraszał jedynie blask świec. Na lewo od niego stał Costas, przed nimi mężczyzna, którego od razu rozpoznał. Pieter Reksnys był łądząco podobny do swojego ojca Andriusa, którego Jack widział na zdjęciu essemańskiej ekipy *Ahnenerbe* na Grenlandii, zdjęciu, które Kangia dał Macleodowi.

Kangia. Fiord lodowy. Wszystko to wydawało się teraz odległe o milion mil, pozostało za granicą, którą przekroczyli, żeby znaleźć się tutaj, w miejscu, gdzie zdawała się materializować koszmarna średniowieczna wizja piekła i zamieszkujących go demonów.

Jack rozejrzał się. Byli w pomieszczeniu o ścianach z ka-

mienia, może jakimś starym kościele, a duchota wyciskała z nich siódme poty. Sufit wysoki, kroksztynowy. Okrągła dziura w podłodze. Na ścianie obok malowidło przyciągające oko żywymi barwami, oświetlone migotliwym blaskiem świec.

I nagle zobaczył Marię.

Starą się przygotować na ten widok jeszcze na „Seaqueście II”, wpatrując się w przesłaną e-mailem fotografię, ale rzeczywistość mimo wszystko go zaszokowała. Maria siedziała pod ścianą naprzeciwko fresku oszołomiona, kiwająca się lekko, z kolanami podciągniętymi pod brodę i sklejonymi taśmą nadgarstkami. Usta też miała zaklejone taśmą, twarz brudną i napuchniętą, policzek przecinała świeża pręga.

Spojrzeli na siebie.

— On ci to zrobił? — spytał Jack, starając się zapanować nad gniewem, który w nim wzbierał.

Maria, patrząc na niego błagalnie, pokręciła głową i pokazała oczami na coś ponad jego ramieniem. Jack odwrócił się. Za nim stał jeszcze jeden mężczyzna, pewnie ten, który przywiózł ich tutaj z plaży. Był to bez wątpienia Loki. Te same gładko zaczesane do tyłu włosy, te same odpychające rysy twarzy, te same wyblakłe oczy. Jaki ojciec, taki syn. Loki uśmiechnął się, obrócił do światła i przeciągnął palcem po policzku. Jack przypomniał sobie, jak opisywał go O’Connor.

Blizna.

Costas, który do tej pory gapił się z niedowierzaniem na Marię, otrząsnął się nagle z szoku i doskoczył do Lokiego. Ten zareagował z przerażającą zwinnością, szybkością i siłą polującego drapieżnika. Chwycił Costasa w półnelsona, odciągnął mu głowę w tył i trochę w bok, i chociaż Costas był cięższy, uniósł go w górę jak piórko.

— Puść go. — Jack po raz pierwszy usłyszał głos Reksnysa. Był szorstki, chrapliwy, zabarwiony trudnym do określenia

akcentem, chyba wschodnioeuropejskim. Loki posłuchał ojca i odepchnął od siebie Costasa. Jack nie odrywał wzroku od Lokiego. A więc to jest ten bezwzględny morderca opisywany przez O'Connora, niezależny wykonawca działający w pojedynkę, lecz całkowicie podporządkowany ojcu. Łatwość, z jaką wpadał w szatę, nie była jego jedyną słabą stroną.

Costas pozbiierał się z ziemi i krzywiąc się z ostentacyjną odrazą, otarł grzbietem dłoni ramię, za które trzymał go Loki. Loki z drwiącym uśmiezkiem wycofał się z powrotem w ciemny kąt sali. Reksnys wyciągnął pistolet, w którym Jack natychmiast rozpoznał lugera, ulubioną broń nazistów, i wycelował w nogi Marii.

— Jeśli się nie uspokoisz. — W jego głosie pobrzmiwało coś wstrętnego. — To najpierw jedno kolano, potem drugie. I tak dalej, coraz wyżej.

Costas z początku nie zareagował, po chwili kiwnął jednak ponuro głową. Maria na widok pistoletu pobladła i wytrzeszczyła oczy.

Reksnys zwrócił się do Jacka:

— Chciałbym, żebyś dobrze się przyjrzał teraz temu malowidłu na ścianie.

Jack z kamienną twarzą wytrzymał przez chwilę jego wzrok, potem zerknął pytająco na Marię. Kiwnęła głową i zamamrotała zachęcająco przez taśmę, którą zaklejono jej usta. Jack, rzuciwszy pogardliwe spojrzenie Reksnysowi, odwrócił się twarzą do fresku.

Był dwuwymiarowy, bez głębi. Kiedyś musiał oszałamiać eksplozją barw — ciemnych brązów, czerwieni i zieleni na żółtoniebieskim tle. Od razu uchwycił narracyjną sekwencję, zwyciężających i zwyciężanych. Po prawej przedstawiona była jakaś potyczka wiosłowych łodzi, których załogi stanowili wyszukanie odziani wojownicy o pochyłych czołach. Jedna łódź miała kwadratowy żagiel.

Kwadratowy żagiel.

Następna scena dokumentowała zaciekle bitwę w dżungli. Jedni walczyli na ziemi, inni w rwącej rzece, która zdawała się płynąć pod ziemią. Wszędzie leżały okaleczone trupy. Zwycięzający uzbrojeni byli w *atlatle*, dmuchawki do miotania strzałek, osłaniali się kwadratowymi tarczami z wizerunkiem boga wojny. Przewodził im wojownik-orzeł, muskularny olbrzym w masce orła o przeszywającym spojrzeniu, ze skrzydłami u pleców i ogromnymi, zakrzywionymi szponami u stóp. Jego wojownicy nosili na głowach skóry jaguarów, mieli ochraniacze na kostkach i nadgarstkach, ciężkie jadeitowe naszyjniki i kolczyki w uszach. Walczyli maczugami i rzucali się na wroga z przerażającą furią w oczach. Ich przeciwnicy mieli okrągłe czerwone tarcze, inne nakrycia głowy i inną broń.

Jack przyjrzał się lepiej ich uzbrojeniu. Zerknął z ukosa na Marię. Musiała dobrze przyjrzeć się tej scenie, kiedy leżała tutaj, czekając na ich przybycie. Czy zauważyła to co on? Kiwnęła ledwie dostrzegalnie głową. Tak, zauważyła. Odwrócił się.

Teraz już rozumiał.

Nie dając po sobie poznać, jak jest poruszony, przesunął się w lewo. Tu zwyciężani byli już jeńcami. Jedni leżeli na wznak, inni klęczeli. Niektórzy byli spętani, nie mieli już na sobie strojów wojowników. Każdy ze zwycięzców wybierał spośród nich i odprowadzał swojego osobistego niewolnika. Jack wrócił myślami do szkieletu wikinga w L'Anse aux Meadows, człowieka, któremu udało się jakoś zbiec i dotrzeć do miejsca oddalonego o trzy tysiące mil na północ stąd, człowieka, któremu niemal udało się powrócić do swojego świata. To od tego koszmaru uciekał.

Następna scena dominowała nad całym malowidłem. Przedstawiała odrażające obrazy zadawania śmierci i okaleczania.

U stóp wznoszącej się tarasowo piramidy stał kapłan-król w masce boga-orła i wydawał wyroki na wziętych w bitwie do niewoli. Na pierwszym stopniu torturowano jeńców, wyrывая im paznokcie. Kilka stopni wyżej jeden z nich klęczał z uniesionymi rękami i nadaremno błagał o litość, inny leżał i mdlał z upływu krwi tryskającej mu obficie z palców. Na szczycie piramidy kapłan wbił już nóż w pierś skazańca i teraz wyrwał mu serce, a dusza nieszczęśnika wstępowała krwawym szlakiem prowadzącym od ołtarza ku niebu. Na posłaniu z liści spoczywała odcięta głowa, inne staczały się w rozpryskach krwi po stopniach. Wszędzie wokół płonęły ogniska i stosy ofiarne. Rytuał nie ograniczał się do nieszczęsnych jeńców wojennych. Tolteccy wojownicy ofiarowywali bóstwu z trupią czaszką własną krew z zadanych sobie własnoręcznie ran. Nieopodał króla, na kamiennym stole, siedziały trzy wystrojone kobiety z ogolonymi głowami, a sługa podawał im narzędzie do puszczenia krwi. Jedna z nich przeciągała sobie najeżony cierniami sznurek przez dziurę w języku. Obok niej jakiś mężczyzna przeciągał sobie taki sam sznurek przez penis.

Jack odwrócił się. Reksnys przypatrywał mu się złośliwie, bawiąc jego reakcją.

— Osobiście odnalazłem tę budowlę przed laty, wkrótce po nabyciu terenu, na którym stoi — powiedział. — To świątynia w dżungli, sala ofiarna nad świętą cenotą. — Wskazał głową ciemny otwór pośrodku podłogi. — Wiele lat przeczesywałem dżunglę, szukając właśnie czegoś takiego. To, na co się tu natknąłem, jest naprawdę nadzwyczajne. Nasz *felag* już dawno się tego domyślał, ale nie miał żadnego dowodu.

— Dowodu na co? — spytał Jack.

Reksnys puścił to pytanie mimo uszu.

— Nasi informatorzy donieśli nam, że szukacie menory.

— Informatorzy — prychnął kpiąco Jack. — Chcesz powiedzieć, że wydobyłeś to torturami z ojca O’Connora?

— O’Connor był nam bardzo pomocny — odparł Reksnys piskliwym głosem. — Ale nie w sensie, który masz na myśli. W Watykanie stał się mniej ostrożny. Włamując się do Łuku Tytusa, posunął się o jeden krok za daleko. Miał przełożonego, który donosił nam o wszystkim. Wiedzieliśmy już o tej kobiecie.

Wskazał głową na Marię i widząc półuśmiezek na wargach Jacka, przymrużył nagle oczy.

— Te informacje są teraz dla ciebie bezużyteczne. Nie ma żadnego znaczenia, czy się nimi z tobą podzielę, czy nie, i opowiadam ci o swoim odkryciu tylko jak archeolog archeologowi.

Jack rozejrzał się na boki.

— Nie widzę tu żadnych innych archeologów.

Reksnys zignorował tę uwagę.

— Słyszeliśmy, że dotarliście aż do Grenlandii. Wiedzieliśmy, rzecz jasna, o uwięzionej w lodzie długiej łodzi. Znalazł ją w latach trzydziestych mój ojciec z ekspedycją *Ahnenerbe*.

Na krótko przed swoją tragiczną śmiercią wszystko mi opowiedział. Między innymi o tym, jak to Künzl wyrwał mu w szczelinie kamień runiczny i próbował go zabić jego własnym sztyletem SS. Na szczęście ojciec miał fotograficzną pamięć i po latach, po wojnie, potrafił odtworzyć symbole z tego kamienia, a nasi znawcy runów je odczytali.

— Mam nadzieję, że przechowywane w tej fotograficznej pamięci twarze kobiet i dzieci, które zamordował na froncie wschodnim, nie dawały mu spać po nocach — powiedział jadowicie Jack.

— Liczył je, kiedy nie mógł zasnąć — warknął Reksnys i podjął swoją opowieść: — Coś kazało mi zapamiętać tę małą świątynię, coś, co przed laty rzuciło mi się w oczy w tej

scenie bitwy, w wyglądzie tych morskich wojowników. Kiedy ją znalazłem, świątynię pochłonęła już dżungla, a wewnątrz było zasypane kamieniami. Żaden z tutejszych Majów nie odważył się zbliżyć do tego miejsca. Jakieś tam bzdury o bogu-orle i powrocie króla. Przypomniałem sobie o Haraldzie Hardradzie i menorze. Wypieszczonym marzeniu *felagu*.

Pomyślałem, że warto to sprawdzić. Własnymi rękami, kamień po kamieniu, oczyściłem świątynię. — Na jego twarzy odmalowała się dziecinna duma. — To bardzo satysfakcjonujące hobby.

— Nie wciskaj mi kitu — mruknął chłodno Jack. — Żadne hobby, to obsesja. A do tego działasz nielegalnie.

Reksnys łypnął na Jacka spode łba i pstryknął palcami. Jak spod ziemi wyrósł przed Jackiem Loki i napał na niego piersią, podsuwając pod sam nos policzek przecięty siną blizną. Loki był najwyraźniej wykorzystywany do zastraszania słabszych od siebie, ale przerastający go o głowę Jack rzucił mu tylko z góry pogardliwe spojrzenie.

— Wystarczy — warknął Reksnys. Loki wyszczerzył zęby i zaciskając raz po raz pięści, obejrzał się na ojca jak pies na pana. — Przyjdzie na to czas. — Loki cofnął się posłusznie, a Reksnys odwrócił twarzą do fresku. — A teraz powód, dla którego was tu ściągnąłem. — Podszedł i odsunął drewniane przepierzenie po lewej stronie ściany, odgradzające stos gruzu. — Oto on.

Była to finalna scena malowidła. Spod świątyni rusza procesja. Tutaj już krew się nie leje, za to postacie są jeszcze bardziej ekstrawagancko i barwniej przystrojone. Obok siebie idą ludzie i istoty nadprzyrodzone. Muzykanci śpiewają i wybijają rytm, grają na trąbkach i potrząsają grzechotkami. Z pękniętej tarczy złotwia wylania się jakiś bóg, wylewając coś z dzbanu. Ze skorupy kraba, z paszczy węża wychodzą inni bogowie. Wojownicy i kobiety lawirują między rzędami

ludzi z pochodniami. Jaguar pożera ludzkie serce. Trupa aktorów — ten przebrany za krokodyla, tamten za kraba z olbrzymimi, wysoko uniesionymi szczypcami — wije się i podryguje w tańcu. Drużyna graczy w ochronnych pasach i ochraniaczach na kolana walczy o piłkę, potracając się nawzajem, jednego kapłan prowadzi z powrotem w kierunku świątyni. Nad procesją górują ludzkie głowy zatknięte na tyczki. Jedne to nagie, wyszczerzone czaszki podobne do rzeźb z Chichen Itza, inne odcięto ofiarom niedawno, są jeszcze na nich włosy i ciało. Jasne włosy. Brody.

Czoło pochodu Reksnys zasłonił prześcieradłem. Znikał pod nim korowód odzianych na biało kobiet o pochyłych czołach i związanych z tyłu czerwonych włosach, każda przyozdobiona monumentalnym nakryciem głowy i sterzącymi z pleców pióropuszcami z zielonych piór świętego ptaka kwezala.

Był to pochód triumfalny. Jackowi nasunęło się pewne skojarzenie, niemające na pozór nic wspólnego ze światem Jukatana. Łuk Tytusa w Rzymie. Pochód ciągnący przez Forum. Triumf Wespazjana nad Żydami.

Obserwowany czujnie przez Lokiego, przesunął się nieco w lewo. Końcowy epizod zasłaniała częściowo sterta gruzu, ale widoczny fragment wystarczał, by rozpoznać abstrakcyjny kształt przypominający kocioł. Krawędź tego kotła wyznaczała koniec drogi procesyjnej. Była to paszcza podziemnego świata — gigantyczna, rozdziawiona, głodna ofiar.

Chichen Itza. Ofiarna cenota.

Reksnys podszedł do prześcieradła i chwycił prawą ręką za jego dolny róg.

— Moim zdaniem właśnie tutaj się obecnie znajdujemy — zwrócił się do Jacka jak archeolog dzielący się swoją hipotezą z innym archeologiem. — Wejście do podziemnego świata, cel, ku któremu zmierzał pochód. Wiemy wszyscy, kim są

pokonani. Sądzę, że pochód zwycięstwa zatrzymał się tu, gdzie teraz stoimy, nad otworem prowadzącym do znajdującej się pod nami cenoty. — Mówił to tonem nieznoszącym sprzeciwu, z pełnym przekonaniem ignoranta.

Jack zerknął znowu na Marię. Przechwyciła jego spojrzenie i tym razem pokręciła głową. Przeniósł wzrok z powrotem na fresk. Zdawał sobie sprawę, że na malowidle nie ma niczego, co pozwalałoby ustalić lokalizację. Mogło to być każde z dziesiątków miejsc kultu Tolteków. Jedyne, co wskazywało na Chichen Itza, to tekst z kamienia runicznego, który znaleźli w L'Anse aux Meadows. A ten spoczywał teraz bezpieczny, pod kluczem, w sejfie na „Seaqueście II”. Reksnys nic o nim nie wiedział.

— To, co za chwilę wam pokażę, odkryłem zaledwie przed kilkoma dniami, tuż przed dokonaniem przez *felag* aktu zemsty na tym, który nas zdradził. W czepku urodzona ta wasza koleżanka. — Reksnys wskazał lufą pistoletu na Marię. — Wiedzieliśmy, że wasz statek wpłynął na Morze Karaibskie i domyślaliśmy się, że nasze drogi wkrótce się skrzyżują. Wasza fachowa wiedza może się nam przydać. Tylko dlatego mój syn również na niej nie wypraktykował swojej sztuki.

Reksnys odwrócił się plecami do ściany, a potem jednym szybkim ruchem uniósł prześcieradło.

Zaległa grobowa cisza. Jack czuł, jak dosłownie opada mu szczęka. Wziął się w garść. Przypomniało mu się, co usłyszał kiedyś od Marii, coś z rabinicznej wiedzy.

Narysowana palcem bóstwa. Narysowana palcem ognia.

To była menora.

Siedem ramion, siedem odnóg żółtego, płomiennego blasku, od których były świetliste promienie. Na czele triumfalnego pochodu, uniesiona nad studnią ofiarną.

Jack zerknął na Marię. Wpatrywała się we fresk jak zahipnotyzowana, zupełnie jakby czerpała z niego siły.

Puszczone przez Reksnysa prześcieradło opadło i zakryło ten fragment malowidła, a on roześmiał się chrapliwie.

— Zaszokowani?

— Zauważyłem, że sam nie rzuciłeś nawet okiem — powiedział Jack. — Może nie czułeś się na siłach?

— Pogardzam nią. Nie mam najmniejszego zamiaru zatrzymywać jej dla siebie. To tylko środek do osiągnięcia celu. — Reksnys dał znak głową Lokiemu. Ten poderwał Marię z podłogi i pchnął w jego stronę. Reksnys, z wyrazem obrzydzenia na twarzy, odsunął ją od siebie lugerem na długość wyciągniętej ręki. Potem przystawił lufę do nasady jej kręgosłupa. — Jestem w tym specjalistą. Powolne konanie w męczarniach. Praktykowałem to na takich jak ona. — Wskazał ruchem głowy aparaty do oddychania i torby ze skafandrami nurków złożone przy otworze w podłodze. Spojrzał na Jacka. — Słyniesz na cały świat z podwodnych eksploracji, zgadza się? — powiedział kpiącym tonem. — Zejdiesz teraz ze swoim przyjacielem do podziemnego świata i odszukasz to, na czym mi zależy.

19

Jack wpadł do wody z głośnym pluskiem, który odbił się echem od ścian groty. Costas, który zjechał pierwszy, przeprowadzał już podwodny rekonesans. Po prawej stronie widać było snop światła z lampki na jego hełmie. Jack odpiął szybko karabinek, szarpnął za linę i patrzył, jak ta wznosi się ku otworowi jaśniejącemu w odległym o blisko dwadzieścia metrów sklepieniu. Przed kilkoma minutami w milczeniu włożyli z Costasem skafandry i obwiesili się sprzętem do nurkowania, który Reksnys kazał im zabrać z „Seaquesta II”. Jack starał się nie myśleć przy tym o malowidle ściennym, a siedząca w kącie Maria, chociaż zerwano jej z ust taśmę, milczała uparcie.

Był przekonany, że scena z menorą przedstawia studnię ofiarną w Chichen Itza, a nie to miejsce. Niewykluczone jednak, że Reksnys ma rację, i tunel przed nimi kryje jakąś wskazówkę co do losu Haralda Hardrada. Przemawiały za tym lokalizacja świątyni wzniesionej nad grota, opis bitwy w dżungli nad płynącą pod ziemią rzeką i legenda miejscowych Majów.

Nie było żadnych szans na nawiązanie łączności z grupą

interwencyjną, która w pełnej gotowości czekała na sygnał od chwili, kiedy przed dwoma godzinami zeszli z Costasem do zodiaca i odbili od burty statku. Jack wiedział, że Lynx jest w powietrzu i krąży gdzieś nad wodami przybrzeżnymi, ale Ben nie mógł nic przedsięwziąć, dopóki nie znajdą jakiegoś sposobu na przekazanie mu drogą radiową swoich współrzędnych i nie potwierdzą, że ewentualna akcja nie zagrozi bezpieczeństwu Marii. Przed włożeniem hełmu Jack posłał Marii pokrzepiające spojrzenie, a potem spokojnie dał Lokiemu znak, że może go opuścić do groty, jednak w głowie miał zamęt. Z jednej strony podniecało go nowe wyzwanie, z drugiej martwił się, co będzie, jeśli wrócą z pustymi rękami. W tej chwili sytuacja nie wyglądała dobrze.

— Dnem tej groty, jakieś osiem metrów pod tobą, przepływa podziemna rzeka — poinformował go przez interkom Costas. — Rwie jak diabli. Nie są to wymarzone warunki do nurkowania jaskiniowego.

— Zrozumiałem — odparł Jack, unosząc się na powierzchni i obserwując poruszające się w głębinie światło na hełmie Costasa. Sprawdził już swój kompensator pływalności i przeprowadził kontrolę systemów komputera sterującego dozowaniem gazu. Używali aparatów oddechowych pracujących w obwodzie półzamkniętym, systemów z regulacją składu mieszanki gazowej umożliwiających schodzenie na głębokości większe, niż pozwalałby na to czysty tlen czy powietrze. Wybrali je na wypadek, gdyby system grot opadał poniżej typowego dla jukatańskich cenot maksymalnego poziomu trzydziestu metrów.

— Przypomnij mi, jak to jest z tym węglanem wapniowym — poprosił Jack.

Costas wynurzył się obok niego, nadymając poduszki pływakowe na plecaku i regulując interkom na hełmie.

— To rozpuszczony wapień — powiedział. — W epoce lodowcowej wszystko tutaj znajdowało się ponad poziomem morza. Właśnie wtedy uformowały się stalagmity i stalaktyty, które są teraz pod wodą. Pod koniec epoki lodowcowej poziom morza się podniósł i grotty zostały zalane. Zostaw w którejs z nich coś ponad wodą, a obrosnie kamieniem. Wrzuć to coś do wody, a pozostanie jak nowe. Warstwa słodkiej wody sięga do piętnastego metra, niżej zaczyna się woda słona.

Jack spojrzął na jasny otwór w sklepieniu, przez który patrzyła na nich szpetna twarz. Lina i siodełko, na których zostali opuszczeni, znajdowały się już na górze i czekały na ich powrót. Pomyślał o Marii i wziął głęboki oddech z aparatu. Pokazał Costasowi uniesiony kciuk.

— W porządku. Ruszajmy.

Wypuścili powietrze z poduszek i zanurzyli się. Jack płynął za Costasem tuż nad prądem. Woda była tu chłodniejsza niż w morzu, orzeźwiająca po duchocie panującej na powierzchni. Obaj mieli na hełmach potrójne lampy, których promienie wyławiały z mroków wzbudzającą grozę scenerię. Z dna grotty strzelały w górę skupiska stalagmitów. Woda była krystalicznie czysta, mieniąca się pastelowymi barwami. Jack nigdy jeszcze takiej nie widział. Opadli niżej i wyciągając przed siebie ręce oraz wypoziomowując płetwy dla zachowania stabilności, dali się ponieść prądowi. Kilka sekund później przemknęli pod skalnym nawisem i wpłynęli w mroczny tunel, zostawiając za sobą widmową poświatę sącząca się do grotty przez otwór w sklepieniu.

— Kiedy nie pada, ten tunel znajduje się częściowo ponad poziomem wody — wyjaśnił Costas. — Świadczą o tym te rowki w ścianach po obu stronach i świeże wapienne formacje nad nimi. Wygląda na to, że w normalnych warunkach można by tędy pływać małą canoe albo tratwą.

Wyjął znacznik świetlny wielkości ołówka, przełamał go,

żeby doprowadzić do wymieszania chemikaliów, i wrzucił w szczelinę. Jack obejrzał się i obserwował zieloną poświatę, dopóki nie znikła mu z oczu. Costas wyciągnął jeszcze pół tuzina takich znaczników.

— Zakładam, że będziemy tędy wracali — powiedział. — Prąd pod samym stropem jest słabszy, a więc nie powinno być z tym problemu.

Jack przekręcił się na plecy i zobaczył nad sobą skalne sklepienie bez żadnych zmarszczek na wodzie, zdradzających zwykle kieszenie powietrzne. Oddalili się już na co najmniej dwieście metrów od wylotu tunelu.

— Daleko jeszcze? — spytał.

— Jak zrozumiałem, mamy szukać drugiej groty, do której można się w jakiś sposób dostać z budowli nad studnią. Jeśli ten tunel znacznie opadać poniżej poziomu wody, to podążamy fałszywym tropem. — Nie skończył jeszcze mówić, kiedy zaobserwowali obaj coś wprost przeciwnego. Tunel zaczął się wznosić i poszerzać. Wkrótce promienie lamp podświetliły od spodu powierzchnię stawu, który rozciągał się nad nimi jak okiem sięgnąć. — Hej, *presto*.

Wynurzyli się i rozejrzeli z nabożnym zachwytem. Znajdowali się w innej wielkiej grocie o średnicy około pięćdziesięciu metrów, której kopulaste sklepienie sięgało pewnie podłoża dżungli. Właśnie tak wyobrażał sobie Jack świętą cenotę w Chichen Itza przed zarwaniem się wapiennego stropu. W odróżnieniu od pierwszej groty tutaj panowały egipskie ciemności, nie widać było żadnego otworu prowadzącego na powierzchnię. Popłynęli wolno przed siebie, światła lamp odbijały się od fantastycznych kształtów przywodzących na myśl rzeźby w lodzie. Z dna, niczym zastygłe wytryski lawy z podmorskich wulkanów, wznosiły się stalagmity. Niektóre łączyły się ze stalaktytami, by utworzyć coś na podobieństwo filarów olbrzymiej katedry. Siły natury wciąż

tu pracowały. Deszczówka przesiąkająca przez wapienny strop i skapująca na odkryte formacje nakładała na nie nową warstwę minerałów w procesie, który rozpoczął się tysiące lat przed pojawieniem się tutaj pierwszych ludzi.

Pośrodku stawu znajdowała się wysepka utworzona całkowicie z wapiennych osadów. Powierzchnię pokrywał surrealistyczny galimatias kształtów przypominający jakąś baśniową cytadelę. Z wysoka opuszczały się na nią grube macki skamieniałych korzeni dawno umarłych drzew.

Kiedy widać już było zbocze prowadzące do wysepki, Costas opuścił się na znajdujące się osiem metrów niżej dno i Jack zobaczył, że nagle zniosło go w bok. W ostatniej chwili uchwycił się stalagmitu i zaczął podciągać się po nim, aż wydostał się z prądu i mógł znowu swobodnie płynąć.

— Straszne to było. — Costas zatrzymał się pięć metrów pod Jackiem, żeby odetchnąć. — Pod taki prąd nie dałoby rady płynąć. Spójrz w prawo, a zobaczysz, dokąd tak rwie.

Jack pobiegł wzrokiem w kierunku przeciwnym do tunelu wlotowego. Dwadzieścia metrów dalej, tam gdzie podwodna rzeka przepływająca dnem groty wpadała pod skalnym nawisem w tunel wylotowy, wrzała migotliwa kipiela. Była to czarna dziura, zakazane miejsce, z którego nie wydobywał się nawet promyk naturalnego światła. Ten widok uświadomił mu, jak mało brakowało, a byłoby po Costasie. Zamknął oczy i zaklął w duchu. Podczas nurkowania często się zdarza, że z wodniczo sprzyjające warunki usypiają czujność, a wtedy jedna nierozważna decyzja może się okazać tragiczna w skutkach. Jack nie chciał pytać Costasa, po co schodził niżej, ale zagrożenie było tak samo wielkie jak te, którym stawili czoło w górze lodowej i wcześniej, w tunelach Atlantydy. Nurek jaskiniowy, podobnie jak saper, myli się zazwyczaj tylko raz.

— Jack, znalazłem coś. — Costas był już nieco wyżej, ale zatrzymał się i zaglądał teraz do jakiegoś rozstępu w zboczu.

Jack, świadomy rwącego kilka metrów niżej prądu, opuścił się tam ostrożnie. Costas wynurzył się w obłokach mułu ze szczeliny i podetknął mu pod nos jakiś obiekt. — Potrzymaj. Była to ludzka zuchwa. Mała, dziecięca, zbrązowiała ze starości, ale zachowana idealnie. Costas podał mu resztę czaszki i Jack zobaczył oczodoły i rysy tam, gdzie kości ciemienia nie zdążyły się jeszcze zrosnąć.

— Pełno tu tego wszędzie — powiedział Costas. — Całe góry.

Jack rozejrzał się. Leżały w mule u podstaw stalagmitów. Stosy kości kończyn, żeber, czaszek szczerzących zęby spod nawisów. Zanurzył rękę w muł i wyciągnął mały jadeitowy wisior w kształcie rozwartej paszczy jakiejś mitycznej bestii, przypominającej przedstawicieli podziemnego świata z malowidła ściennego w świątyni. Zerknął na wzburzoną wodę przy czarnej dziurze, w której znikła rzeka, i już wiedział.

— Ofiary z ludzi — powiedział. — Toltekowie opuszczali się pewnie wraz ze swoimi ofiarami z otworu w sklepieniu, tak jak my to zrobiliśmy, a potem dopływali łodzią czy tratwą do tej groty. Tu przebiegała granica ich podziemnego świata, bardziej nie mogli się już do niego zbliżyć. Kiedy prąd po burzy przybierał na sile, wrzucali ofiary wprost w paszczę podziemnego świata i patrzyli, jak wsysa je bezpowrotnie w tamtą czarną dziurę. To musiało być miejsce składania najważniejszych ofiar.

— Mam już tego dosyć — mruknął Costas. — Zaczynam tęsknić za wikingami.

— Chyba wypowiedziałeś to w dobrą godzinę.

— Co przez to rozumiesz?

— Tam wyżej, na zboczu, trzy metry nad nami. Na skraju wysepki.

Była to jeszcze jedna czaszka, większa od innych, różniąca się uźębieniem, zgruchotana, tak jakby ofierze zadano potężny

cios w twarz. Ale to nie sama czaszka przyciągnęła uwagę Jacka. Jego zainteresowało to, co na niej tkwiło.

Pozłacany metalowy hełm z długim nosalem.

Z walącym sercem zaczął rozgarniać rękami osad denny, wzbijając obłoki mułu. Naczynia Majów — nietknięte. Znowu ludzkie kości. Lśniący złoty krążek pokryty glifami. Stercząca z rozpadliny rękojeść owinięta ciasno pozłaczonym drutem. Rękojeść miecza. Obok długie drzewce, na którego końcu połyskiwało szerokie żeleźce.

Z rosnącym podnieceniem popłynął ku powierzchni, Costas za nim. Zdjęli szybko aparaty oddechowe i płetwy i ułożyli je na brzegu wysepki. Ściągnęli hełmy i usłyszeli odgłosy groty — plusk kropel skapujących do stawu, łopot skrzydeł nietoperzy — niesamowite dźwięki wzmocniane i zniekształcane przez echo. Wygramolili się na płaską platformę i rozejrzeli po podziemnej wyspie. Miała około dziesięciu metrów średnicy, wznosiła się stożkowo i pokrywał ją śliski osad. Pośrodku sterczał gigantyczny stalagmit wyrastający z dna groty aż po jej sklepienie. Tu pewnie opad wyługowanego wapienia był najobfitszy. Otaczały go mniejsze stalagmity, które utworzyły się później, w miarę zmian zachodzących w strukturze sklepienia, część pod zwapniałymi korzeniami drzew, które zwisały nad nimi fantastyczną postrzępioną kurtyną.

Jack, zanim dotknął najbliższego stalagmitu, przemiótł wyspę promieniem latarki. Stalagmit miał osobliwy kształt, zakrzywił się w górnej części.

— Boże! — Echo podchwyciło okrzyk Jacka.

— Co jest?

Jack cofnął się kilka kroków i skierował na stalagmit promień latarki. Przypomniało mu się, co opowiadał Jeremy, kiedy ostatnio rozmawiali.

— Pamiętasz naszą długą łódź w lodzie? — spytał zduszonym głosem.

Costas, zaintrygowany, pobiegł za jego spojrzeniem i aż sapnął z wrażenia. Z czubka zakrzywionego stalagmitu wyrastał bulwiasty kształt. Mieli przed sobą dziobnicę łodzi wikingów. Osadzający się na niej od tysiąca lat wapień zatarł szczegóły, ale nie było żadnych wątpliwości.

— Musieli ją przydzwigać ze swojej długiej łodzi — wymruczał Jack. — I zatknęli tutaj jako sztandar ostatniej bitwy. — Poświecił na bulwę u szczytu. — Orzeł.

— Zobacz na to po obu stronach! — zawołał Costas. — Może się mylę, ale wygląda mi to na przedpiersie z tarcz.

Pokazywał wysoką na metr, wygiętą w łuk konkrecję zwróconą wypukłością w stronę wlotu do groty. Nie mylił się. Grzbiet formacji był zadziwiająco regularnie sfałowany, tworzył go półkola szerokości ludzkich ramion — trzy po jednej stronie ustawionego na sztorc kilu, cztery po drugiej. Wyglądały jak powleczone lodem. Przed nimi leżały długie, kwadratowe w przekroju kształty, prawdopodobnie poprzecznice ocalone z długiej łodzi. Jack przypomniał sobie, jak Jeremy opowiadał mu o barykadach, które wikingowie wznosili z belek i desek zabranych z łodzi. Zajrzał za przedpiersie, za którym broniący się szukali zapewne osłony. I oniemiał. Siedziała tam, oparta o nie od wewnątrz plecami, widmowa postać z rozrzuconymi nogami. Był to szkielet, ale obrosnięty tak grubą warstwą wapiennego osadu, że wyglądał, jakby z powrotem wypełniło go ciało. Przypominał z mumifikowane postaci z rzymskich Pompejów.

Na głowie miał hełm. Stożkowy, z nosalem, ledwie odróżnialny pod skorupą naleciałości. Z podłoża obok sterczała pod kątem, jakby czymś uderzona, tarcza. Mężczyzna był wysoki, wzrostu Jacka, jeśli nie wyższy.

Jack patrzył jak zahipnotyzowany.

Czyżby to on?

Jack wsparł się o skamieniałe przedpiersie.

— Podejrzewam — powiedział głosem schrypniętym z emocji — że znajdujemy się na miejscu tej bitwy uwiecznionej na fresku. Myślę, że właśnie tutaj rozegrał się ostateczny dramat. Że tu Harald Hardrada stoczył swoją ostatnią walkę.

— Uważasz, że tymi wrogami z malowidła naprawdę byli wikingowie?

— Wszelkie wątpliwości rozwiewa wyobrażenie menory.

— A więc aż tutaj dotarł Harald.

— Załóżmy, że był ich tuzin, może paru więcej — powiedział Jack. — Na malowidle przesadzono zapewne z liczebnością pokonanej armii, żeby podnieść rangę zwycięstwa. — Zawiesił głos i zbierał chwilę myśli. — Po wylądowaniu ruszają w głąb łądu z tym, co zdołali unieść, z bronią, rynsztunkiem, swoim skarbem, ze wszystkim, co dało się łatwo wymontować i zabrać z łodzi, a mogło się przydać przy wznoszeniu warowni. Podobnie pięćset lat później postąpił Cortes ze swoją garstką konkwistadorów, tylko że w odróżnieniu od niego wikingowie nie zamierzali wracać.

— I gdzieś po drodze natykają się na tubylców.

— Majowie witają ich z otwartymi ramionami, biorą za bogów, zbawców, którzy przybyli wyzwolić ich spod jarzma Tolteków. Ale wieść o pojawieniu się obcych dociera w końcu do Tolteków, do ich władcy z Chichen Itza, i ten wysyła przeciwko nim armię, dochodzi do zażartej bitwy w dżungli. Kilku niedobitków wycofuje się, szuka miejsca nadającego się na ostatni punkt oporu. Takiego Rorke's Drift, Alamo, jeśli wolisz. Na Jukatanie schodzi się w tym celu pod ziemię. Natrafiają na tę świątynię w dżungli, być może skierowali ich tu Majowie. Ofiarną drogą, przyświecając sobie pochodniami, docierają na tę wysepkę, rozpalają ognisko. W jego krwawym blasku wikińscy wojownicy szykują się do walki na śmierć i życie, gotowi bronić do ostatka swojego przedpiersia na tarcz na skraju świata. Ale wątpię, żeby Toltekowie odpuścili.

Kiedy wpadną na trop i ruszą ich śladem, los niedobitków drużyny Haralda Hardrady będzie przesądzony.

— Mam nadzieję, że żaden nie trafił do niewoli.

— Z tego co wiemy, przeżył tylko jeden — twój przyjaciel z L'Anse aux Meadows. To prawdopodobnie sługa. Jeremy powiedział, że Toltekowie oszczędzali czasami czeladź pokonanych nieprzyjaciół i brali tych ludzi w niewolę, podkreślając w ten sposób swoją przewagę nad zwycięzonymi. Na malowidle jest scena, która by to potwierdzała. A może ten z L'Anse aux Meadows dopuścił się zdrady. Niektórzy z wikingów z głodu musieli odchodzić od zmysłów. Może to on wskazał Toltekom to miejsce. Może w nagrodę zwrócili mu po latach wolność, dzięki czemu mógł wrócić do L'Anse aux Meadows.

Nigdy się nie dowiemy, jak z tym było. Z fresku wynika, że kilku druhów Haralda Hardrady zawleczono do Chichen Itza, poddano jeżdzącym włos na głowie torturom, a następnie złożono w ofierze.

— Razem z menorą.

Jackowi stanął przed oczami ten zapierający dech w piersiach fragment malowidła, ten płomienisty blask.

— Reksnys jest w błędzie. Założę się, że menory tutaj nie ma. Toltekowie mogli zostawić tu broń wikingów jako dodatkową ofiarę, ale menorę zabrali z pola bitwy ze sobą. Wiemy, że nie ofiarowali bogom całego skarbu Haralda. Świadczą o tym te dwie monety wstawione w wisior z L'Anse aux Meadows.

— No i będzie z tym problem.

— Właśnie, Reksnys dozna zawodu.

— Nie możemy wracać z pustymi rękami — orzekł Costas. — W najlepszym razie zyskalibyśmy na czasie, ale prawdopodobnie niewiele. Niewykluczone, że wrzuciliby nas z powrotem do tej dziury, a żywi do wody już byśmy nie dolecieli. Reksnys sam powiedział, że Marię oszczędzili tylko

dlatego, że taki mieli kaprys. Kiedy nie przyniesiemy mu menory, straci cierpliwość. Ludzie jego pokroju tacy już są. — Spojrzał na Jacka. — Pozwoli wyżyć się na nas swojemu niezrównoważonemu synalkowi.

— Mogą tu za nami przyjść.

— Loki byłby do tego zdolny. Widziałem tam na górze dwa przestarzałe akwalungi. Reksnys sprowadził je pewnie, zanim trafiła mu się okazja skorzystania z naszych usług, a Lokiemu drogę wskazałyby znaczniki świetlne, które zostawiłem w tunelu. Lecz taką decyzję mógłby podjąć tylko w szale. I zapomniałby wtedy o Marii.

— Myślisz to samo co ja?

— Nie mamy wyboru.

— Te podziemne rzeki zawsze gdzieś tam wypływają na powierzchnię — zauważył posępnie Costas. — Ale od takiego ujścia mogą nas dzielić całe mile.

— Niekoniecznie.

Pięć minut później siedzieli w pełnym rynsztunku na płyciźnie z włączonymi lampkami hełmów. Po wypełnionej echami akustyce grotty ich głosy w interkombie brzmiały nienaturalnie piskliwie i odległe. Costas po raz ostami sprawdził aparat oddechowy Jacka i spojrzał na niego pytająco przez wizjer.

— Jesteś zdecydowany?

— To nasza jedyna szansa. Z tej grotty innego wyjścia nie ma.

— Dobra. Wypatrujemy naturalnego światła, najlichszego choćby promyczka. Jest już po piątej rano, a więc wkrótce powinno świtać. Dajemy się nieść prądowi. Gdzieś nas w końcu zaniesie. Gotów?

— Gotów.

Zsunęli się do wody i opadli w mrok. Jack podjął już decyzję i nie zastanawiał się teraz, jakie mogą być jej konsek-

wencje. Kilka minut wcześniej wydawało mu się, że to pewna śmierć, ekspresowa droga bez powrotu, w którą o mało co nie podążył już przez nieuwagę Costas. Teraz ruszali w nią z własnej nieprzymuszonej woli. Patrzył w nieprzenikloną czerń tunelu. Tam skupiały się jego najgorsze koszmary i był to jedyny sposób, żeby je przezwyciężyć. Nie dopuszczał do siebie myśli, że może się nie udać. Będzie uważał. Pomyślał o Marii.

Porwał ich prąd. Jack przekoziółkował i ledwie świadomy zawrotnej szybkości i świetlistych stalagmitów pojawiających się i znikających to z tej, to z tamtej strony na podobieństwo olbrzymich białych wartowników podjął rozpaczliwą walkę o odzyskanie jako takiej kontroli nad miotającymi nim siłami. I już byli w tunelu, otoczeni zewsząd czernią pokonywali pierwszy zakręt. Tunel zdawał się wić i skręcać jak żywe stworzenie szukające drogi w labiryncie wapiennych przeszkód. Byli na łasce i niełasce rwącego nurtu, mogli się tylko modlić, żeby na jakimś wirażu nie cisnęły nimi o ścianę. Jackowi udało się w końcu wyprostować i ustawić głową do przodu, równoległe do osi tunelu.

Costasa miał po lewej. Obaj płynęli z wyciągniętymi przed siebie rękami, sterując dłońmi. W świetle lampek na hełmach materializowały się przed nimi, przemykały tuż obok i znikały w tyle bulwiaste kształty. Wtem Jack zobaczył przed sobą rozwidlenie. Tunel poszerzał się, dzieliła go na dwoje gruba kolumna, biały filar, na który gnali z przerażającą szybkością.

— Prawa odnoga! — wrzasnął Costas. — Widzę światło!

Jack skierował się w prawo, sterując dłońmi i skręcając gwałtownie ciało, żeby wpasować się w nurt. Nic to nie dało. W ostatnim momencie cofnął gwałtownie ręce, żeby uniknąć zderzenia z filarem, i wpadli na łeb na szyję w lewą odnogę — zwężającą się czarną rynnę o gładkich ścianach

przypominającą tor saneczkowy. Jack odbił się od Costasa i poczuł przeszywający ból w kontuzjowanym udzie.

— Pudło! — krzyknął Costas. Jack, uczepiony przyjaciela, widział przez wizjer jego rozgorączkowaną twarz. — To boczny kanał! Główny prowadził na powierzchnię! Widziałem światło!

Prąd w kanale zaczynał słabnąć, by po chwili całkiem zwolnić, lecz i tak o zawróceniu nie było co marzyć, a wciągało ich coraz głębiej. Nadaremno próbowali przytrzymywać się ścian. I naraz wszystko się rozmyło i zamgliło. Coś takiego Jack widział ostatnio w fiordzie lodowym, tam gdzie nad wodą morską tworzyła się warstwa słodkiej wody spływającej z topniejącego lodowca. Zrobiło się jakoś migotliwie, oleiście, zmysły z opóźnieniem reagowały na zmianę współczynnika załamania światła. Zaczął tracić orientację.

— O, cholera! — krzyknął Costas. — Wpadliśmy w słoń w wodę. Jesteśmy poniżej poziomu morza.

Zupełnie jakby przenieśli się do innego wymiaru, do jakiegoś mroczniejszego świata. Wapienne formacje zniknęły, powiało grozą. Intensywne, skupione promienie lamp na hełmach zdawały się zawęźać i tak już wąski kanał, i Jack czuł się coraz bardziej nieswojo. Tunel był eliptyczny, szeroki na jakieś pięć metrów, ale sklepienie obniżało się, a zasłane żwirem dno stopniowo podnosiło. Wciąż płynęli w dół, przewiercając ciemności promieniami swoich lampek.

— Czterdzieści metrów — powiedział Costas. — System jukatańskich grot schodzi na głębokość maksimum pięćdziesięciu. Tylko patrzeć, jak wyniesie nas w górę.

Jack spojrzął na głębokościomierz. Czterdzieści sześć, pięćdziesiąt dwa metry. Sklepienie stykało się już niemal z podłogą, nie tyle płynęli, ile czołgali się przez zalegający na niej żwir. I w końcu utknęli, zaklinowali się, wzbijając obłok

mułu. Jack skierował lampę na szczelinę przed nimi. Miała zaledwie kilka cali wysokości. Ślepa uliczka. Byli w pułapce. Costas, ryjąc w żwirze i postukując aparatem oddechowym o strop, wycofał się i położył obok Jacka.

— Coś tu jest nie tak — powiedział. — Prąd ściągał nas w dół, czyli woda gdzieś spływa. I ta kupa żwiru opada po bokach, nurt ją tak wyrzeźbił. Tu musi być jakieś ujście.

Zaczął się przeciskać prawą stroną żwirowej hałdy, wąskim kanałem przy samym dnie, i po chwili widać było tylko jego płetwy. Jack zamknął oczy, potem znowu je otworzył. Starał się koncentrować na drobiazgach, na kształtach zwapnianych skamieniałości, które miał kilka cali przed nosem. Spojrzał znowu tam, gdzie przed chwilą zniknął Costas. Zobaczył szczelinę wolną od mułu. Wyczyszczoną przez nurt. Costas miał rację.

— Jack! Chodź tu!

Posłuchał. Rozgarniając rękoma żwir, jął pełznąć wzdłuż ściany tunelu. Czuł przepływ wody, przed sobą widział światło.

— Zakręca w górę — poinformował go z podnieceniem Costas.

Jack, szorując aparatem oddechowym o kamienną ścianę, precyzyjnie przycisnął się z trudem obok głazu tarasującego drogę. Tunel za nim był jeszcze węższy, przypominał rurę ściekową. Był wygładzony przez wodę i okrągły w przekroju, ale miał tylko metr średnicy. Jack nigdy nie był w tak ciasnym miejscu. Gdyby nie cierpiał już na klaustrofobię, to tu na pewno by się jej nabawił. O wycofaniu się pod napierający od tyłu prąd nie było mowy, najmniejszy zator na drodze przypieczętuje ich los. Tuż przed sobą miał wachlujące płetwy Costasa. Spojrzał na głębokościomierz, potem na ścianę tunelu i znowu na głębokościomierz. Czterdzieści jeden metrów... trzydzieści siedem... Wznosili się, powoli, ale jednak. Nagle tunel zakręcił ostro ku górze i znaleźli się w komorze, ogromnej grocie

wypełnionej widmowymi kształtami, potężnymi kolumnami przywodzącymi na myśl odzianych na biało olbrzymów, którzy przywołują ich z podziemnego świata. Wysoko nad sobą Jack zobaczył plamkę zieleni mieniącej się w promieniach ich lamp. Znowu zamknął oczy, spłynęła nań fala ulgi, serce waliło teraz nie ze strachu, lecz z uniesienia. Wznosił się obok Costasa ku powierzchni, woda była tak przejrzysta, że zdawali się wisieć w niej niczym postacie z jakiejś sceny apoteozy. Od powierzchni dzieliło ich jeszcze z dziesięć metrów, kiedy uderzyli hełmami o sklepienie. Przez rozstępną w skale sączyło się światło wstającego dnia.

Tak więc to jeszcze nie koniec. Rozstępną był wąski, tak wąski, że przeciśnięcie się przezeń mogło przysporzyć trudności. Innego wyjścia z grotu nie było.

— Dlaczego przytrafia mi się to zawsze, kiedy nurkuję z tobą — warknął Costas. — Następnym razem ponurkujemy dla odmiany w morzu.

— Jeśli doczekamy następnego razu. — Jack spojrział w czarną otchłań pod nimi, a potem znowu na szczelinę. Zobaczył liście, rozfalowane zarysy gałęzi drzew zwieszających się nad powierzchnią wody. Serce wciąż mu waliło, ale już nie z uniesienia. Głupio by było dokonać tu żywota.

— Musimy się tam wydostać — powiedział Costas. — Ty pierwszy.

— Nie. Jesteś grubszy, ktoś musi cię przepchnąć przez tę szparę.

Costas odpiął aparat oddechowy i opuścił go na przewodzie powietrza. Potem ściągnął z głowy hełm i wszystko to, mijając Jacka, poleciało w głąbię, w zalegającą tam czerń. Jack objął Costasa za nogi i pchnął. Nic. Poczul się nagle bezradny, przemknęło mu przez myśl, że być może asystuje właśnie przy zgonie przyjaciela kilka metrów od powierzchni, uwieszony u jego nóg. Costas wierznął rozpaczliwie i poszedł

w górę. Jack odczekał chwilę, żeby uspokoić oddech, potem odpiął aparat, opuścił go na wężu, wziął kilka głębokich wdechów i zerwawszy z głowy hełm, wcisnął się w szczelinę.

Oczy wychodziły mu z orbit, widział nad sobą zamazaną poświatę poranka. Jeszcze jedno kopnięcie płetwami i przebił głową zielony kożuch glonów pokrywających małą sadzawkę obrośniętą wokół paprociami.

Na jej brzegu siedział zasapany Costas. Wyglądał jak stwór z czarnej laguny. Otarł z twarzy szlam, zanurzył w wodzie głowę i potrząsnął nią energicznie. Potem wyprostował się i podał Jackowi pomocną dłoń.

— Ty też się ogarnij. Po co straszyć tubylców.

Kiedy Jack wygramolił się na brzeg i otrząsał, Costas sięgnął za pazuchę skafandra i wyjął płaskie, metalowe urządzenie wielkości kieszonkowego kalkulatora. Postukał w nie, wyciągnął teleskopową antenkę i przyłożył aparacik do ucha.

— Jeśli chodzi o niespodzianki, to jesteś jak ten worek bez dna — wysapał Jack.

— Skrzyżowanie GPS-u z radionadajnikiem — wyjaśnił Costas. — Wystarczy nacisnąć klawisz SOS i Ben namierzy nas co do milimetra. Spróbuję też nawiązać łączność radiową i pogadać z nim, kiedy już ocenimy sytuację.

Obok sadzawki, z której się wynurzyli, przebiegał wyboisty szlak przez dżunglę. Deszcz wciąż padał, to słabnąc, to znów przybierając na sile. Costas uruchomił kompas, w który również wyposażony był jego aparacik, i szybko zorientował się w położeniu. Dziesięć minut później wczółgiwali się już na kopułę przykrywającą cenotę, zbliżając do zarośniętej przez dżunglę świątyni. Na końcu szlaku stał jeep, którym ich tutaj przywieziono. Obok grał w piłkę jakiś chłopiec z plemienia Majów, ale ich nie zauważył. Podkradli się do budowli, obeszl ją i przywarli plecami do ściany, Costas po jednej, Jack po

drugiej stronie wejścia. Nasłuchiwali. Cisza. Jack czuł w ustach smak soli. To spływające po twarzy krople potu mieszały się z deszczówką. Spojrzał na Costasa i kiwnął głową. Wśliznęli się środka i kryjąc w zalegającym pod ścianą cieniu, wyteżyli wzrok. Panował tu półmrok rozpraszany jedynie blaskiem świecy. Marii ani Lokiego nie było. Na butli z powietrzem, plecami do nich, siedział jakiś mężczyzna i czyścił pistolet. Jack dał znak Costasowi i wrócił do wejścia, by stanąć na czatach. Costas podczołgał się do mężczyzny, chwycił go ramieniem za szyję, drugą ręką zatkał usta. Pistolet upadł z klekotem na kamienną podłogę. Costas przyciągnął mężczyznę do siebie i warknął:
— No, gdzie reszta?

20

Dwadzieścia minut później przez szum ulewy przebił się ryk nadlatującego helikoptera i nad polanką zawisł Lynx. Prąd powietrza wzniesiony łopatkami jego wirnika przygniół do ziemi bujne poszycie dżungli. Z maszyny opuszczono w gęstwinę dwóch ludzi, a za nimi czerwoną skrzynkę z artykułami pierwszej pomocy. Potem Lynx pochylił się na dziób i odleciał, niknąc z powrotem w chmurach. Jack wybiegł ze świątyni, żeby wyciągnąć z zarośli skrzynkę i pomóc wygramolić się z nich Benowi.

— Nie wiedzieliśmy, co tu zastaniemy! — zawołał Ben, przekrzykując ulewę i chowając do kabury trzymany w pogotowiu pistolet. — Kiedy Costas przekazał nam przez radio współrzędne GPS, byliśmy trzy mile od was. Krążyliśmy nad wybrzeżem, niby to wypatrując miejsc ciekawych z archeologicznego punktu widzenia. A jedynym archeologiem na pokładzie był Jeremy. Zabrał się z nami na własne życzenie. Człowiek nie wlatuje bez zaproszenia w meksykańską przestrzeń powietrzną uzbrojony po zęby, zwłaszcza w nocy, a więc tylko ja miałem przy sobie glocka. Ale teraz, kiedy was znaleźliśmy, Lynx wrócił po grupę interwencyjną, no i powiadomiliśmy policję.

— Lokiego tu nie ma — powiedział Jack. — Ojciec kazał mu zejść za nami do grotty. Zabrał ze sobą Marię. Nie ufali nam. Ale Reksnysa możesz zabrać.

— Ja mam obowiązek przeprowadzić rozpoznanie okolicy. To w tej chwili najważniejsze. Jeremy będzie musiał zająć się jeńcem.

Jeremy gramolił się z zarośli, w których wylądował. Okulary mu zaparowały, wyszarpywał nogi z pnączy, które poplatały mu kostki i przytrzymywały. Jack wyprowadził ich z gęstwiny na szlak i ruszyli w stronę świątyni. Przed wejściem otrząsnęli się z wody, a Jeremy przetaił okulary. Costas stał w środku z lugerem wymierzonym w leżącego twarzą do ziemi, skrępowanego taśmą i zakneblowanego mężczyznę. Jeremy, nie zwracając na nich uwagi, w paru skokach dopadł do malowidła ściennego i przyjrzał się z bliska odsłoniętej teraz scenie z menorą, a potem scenie bitwy.

— Wikingowie! — stwierdził z entuzjazmem i okulary znowu mu zaparowały. — Miałeś rację. Coś fantastycznego.

I spójrz tylko. Jestem przekonany, że ten tutaj to kobieta.

— Przyjdzie na to czas. — Jack kiwnął głową do Costasa i ten oddał mu lugera. Ben przyklęknął nad Reksnysem i dodatkowo związał mu jeszcze nadgarstki nylonową linką. — Costas musi mnie teraz opuścić na dół, Jeremy. — Jack wcisnął Jeremy'emu w dłoń pistolet. — Potrafisz się tym posługiwać?

— Sześć miesięcy w obozie treningowym oficerów rezerwy w Stanford — odparł Jeremy, ponownie zdejmując okulary. — Żle ukierunkowany patriotyczny odruch po jedenastym wrześniu. To nie dla mnie.

Jack kiwnął głową.

— Pamiętaj, z kim masz do czynienia. Pamiętaj, co zrobili O'Connorowi i Marii.

— Mój dziadek przywiózł taki z wojny. — Jeremy założył

okulary, odciągnął zamek i zajrzał do komory. Ukłąkł, przyłożył Reksnysowi lufę do nasady kręgosłupa, chwycił go za włosy, odciągnął głowę w tył i nachylił się do ucha. — Mój przyjaciel Costas mówi, że groziłeś tym Marii. Długim, powolnym konaniem. — Poderwał Reksnysa na równe nogi i pchnął w stronę wyjścia. Zniknęli w deszczu.

Ben spojrzął na Jacka.

— Widać, że chłopak sobie poradzi.

— Dobra. Schodzę po Marię.

— Sam?

— Innego wyjścia nie ma. Naszych aparatów oddechowych już nie odzyskamy. Reksnys miał tutaj dwa zapasowe akwalungi, ale jeden zabrał Loki. Pewnie oddychają z Marią z jednej butli przez rozgałęziacz. Akwalung, który tu został, nie ma rozgałęziacza, a zresztą w butli jest za mało powietrza, żeby wystarczyło dla dwóch tam i z powrotem.

— Mogę połączyć się z Lynksem i powiedzieć, żeby dostarczyli tu sprzęt ze statku.

— Nie ma czasu. I tak za dużo go straciliśmy. — Jack zarzucił sobie butlę z powietrzem na plecy i spał na piersiach płaszcz stabilizatora pływalności. — Lokiego szlag już pewnie trafia. Lepiej by zrobił, zostając tu na górze, i on o tym wie.

Ten facet jest nieobliczalny. Jego ojciec to też bandyta, ale w porównaniu z nim amator. Loki czuje się rozdarty. Z jednej strony to wpojone mu ślepe posłuszeństwo ojcu, wszystkie te brednie o *felagu*, z drugiej — wrodzone instynkty. Został zmuszony do udania się w miejsce, gdzie nie czuje się pewnie. To nasza szansa. Ale to również oznacza, że nerwy mogą mu puścić. Dlatego nie ma czasu do stracenia. Tego by tylko brakowało, żeby wrócił do groty pod nami i zorientował się, co jest grane. Maria nie pożyłaby ani sekundy dłużej. Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

— Nie masz broni.

- Będę improwizował.
- A latarka?
- Zostawiliśmy z Costasem na trasie chemiczne znaczniki.
- Powodzenia.

Jack odchrząknął. Ben przewiązał go liną pod pachami. Costas sprawdził przewód powietrza i pas balastowy, po czym położył Jackowi dłonie na ramionach i spojrzał mu w oczy.

— Bitewne szczęście — powiedział.

— Bitewne szczęście. — Jack naciągnął maskę, usiadł na krawędzi dziury i zsunął się w mrok. Opuszczany przez Costasa i Bena, starał się koncentrować całkowicie na zadaniu, które przed nim stało. Z regulatorem w ustach przebił nogami lustro wody i popłynął w kierunku tunelu. Drogę wskazywały mu znaczniki, które przed zaledwie godziną upuszczali na dno groty. Tunel nie działał już teraz na niego aż tak deprymująco jak poprzednio. Spojrzał w górę i zachwycił się nadzwyczajną jasnością wapiennych ścian w miejscach, gdzie oblewała je poświata rozsiewana przez znaczniki świetlne, fantastycznymi formacjami stalagmitów i stalaktytów wyłaniającymi się to z jednej, to z drugiej strony na podobieństwo abstrakcyjnych rzeźb w lodzie.

Dziesięć minut po zanurzeniu się dostrzegł przed sobą plamę światła u wlotu do następnej groty. Było to inne światło, intensywniejsze od poświaty chemicznych znaczników. Ciągnąc za sobą po stropie pióropusz pęcherzyków powietrza, dotarł do końca tunelu i wynurzył się ostrożnie w małej bocznej niszy, na tyle wysokiej, że mógł wystawić z wody głowę. Pośrodku groty, w odległości jakichś dwudziestu metrów, zobaczył wysepkę z jej niesamowitymi wapiennymi formacjami. Źródło światła znajdowało się po przeciwnej stronie wysepki. Biło stamtąd szerokim snopem w sufit.

Pęcherzyki powietrza z regulatora mogły go zdradzić. Wyrzucał teraz sobie, że utopili swoje aparaty oddechowe

w podwodnej rzece. Będzie musiał płynąć na powierzchni i modlić się, żeby go nie zauważono.

Ściągnął maskę i przypiął ją do kurtki, potem rozejrzał się za czymś do uczernienia twarzy, za czymś, co zaabsorbowałoby odbłask, gdyby poświęcono na niego latarkę. Wyciągnął ostrożnie rękę i pomacał półkę przed sobą. Powąchał dłoń i zmarszczył nos. Saletra potasowa. Odchody nietoperza. Przesunął dłonią po półce jeszcze raz, i tym, co z niej zebrał, wysmarował sobie twarz.

Dopompował stabilizator, dmuchając w ustnik, bo nadymanie go powietrzem pod niskim ciśnieniem z regulatora mogłoby narobić niepotrzebnego hałasu. Potem odepchnął się od ściany i popłynął powoli w stronę wysepki.

W połowie drogi poczuł, jak wciąga go podwodna rzeka. Nurt był teraz o wiele silniejszy, niż kiedy zdecydowali się mu poddać z Costasem. Snop światła z latarki zatoczył łuk i zahaczył o jego twarz. Jack zastygł. Promień cofnął się. Jack odetchnął i popłynął dalej. Gdyby został teraz zauważony, nie miałby najmniejszych szans. Loki na pewno był uzbrojony. Wszystko zależało od zaskoczenia.

Dotarł do wysepki. Z przeciwległego brzegu doleciał głos wzmocniony i zniekształcony echem, ale niezaprzeczalnie męski. Warkliwy, nieprzyjazny. Jack zdjął z pleców butlę, ściągnął płetwy i podpełzł bokiem do miejsca, gdzie natrafili z Costasem na pierwszy niezwykły ślad. Zanurzył rękę w szczelinę na płyciźnie. Przedmiot wyszedł bez oporu, niepokryty osadem, zachowany w słodkiej wodzie tak samo dobrze jak tamten w łodzi. Podniósł się w mokrym, ociekającym czarnym skafandrze, z wareskim toporem bojowym w ręku.

Ruszył szybko po gruzłowej powierzchni wapiennej wysepki, neoprenowe podeszwy butów tłumiły kroki i zapewniały dobrą przyczepność do podłoża. Minął skamieniałe przed-

piersie z tarcz wikingów, wygięty łukowo kil ich łodzi, widmową postać poległego wojownika. Wdrapał się pod sam szczyt i wyrzwał na drugą stronę. Loki, odwrócony do niego plecami, stał w rozkroku nad Marią, która leżała na wznak i patrzyła nań wyzywająco. W lewej dłoni trzymał pistolet — browninga high power — w prawej miecz, którego sztych przystawił do jej serca. Był to wareski miecz, który Jack z Costasem widzieli w szczelinie obok topora.

Jacka przeszedł dreszcz zgrozy. W tym miejscu historia jeszcze się nie zatrzymała. Był oto świadkiem czegoś wtopionego chyba już nieodwracalnie w skałę Jukatana.

Ofiara z człowieka.

Z szybkością błyskawicy dopadł Lokiego i jednym potężnym cięciem topora odrąbał mu lewą rękę. Ramię z dłonią ściskającą pistolet wpadło do wody, zakręciło się i poszło na dno, niknąc w czarnej toni. Loki zachwiał się zdezorientowany, ale zaraz obrócił na pięcie i stanął oko w oko z Jackiem.

Twarz wykrzywiały mu zaskoczenie i furia. Z kikuta tryskała krew. Upuścił miecz, zatoczył się, uniósł rękę, która mu jeszcze została, do bliźny na policzku, potem znowu się zatoczył, schylił, podniósł miecz z ziemi... I rzucił się do wściekłego natarcia.

Niespodziewający się takiej szarży Jack ledwie zdążył zasłonić się toporem. Stał starła się ze stałą ze szczękiem, zgrzytem i brzękiem, odgłosem, który ostatni raz rozbrzmiewał tutaj przed tysiącem lat. Jack z najwyższym wysiłkiem parował ciosy, ale nie ustępował pola. Było tylko kwestią czasu, kiedy przeciwnik opadnie z sił. Loki już osłabł na tyle, że nie potrafił się oprzeć sile bezwładu, która ciągnęła go za mieczem przy każdym zadawanym cięciu. Z coraz większym trudem odzyskiwał potem równowagę. Odskoczył wreszcie i stał przez chwilę półprzytomny z bólu, ślaniając się na nogach i sapiąc ciężko. Ponownie chciał unieść miecz, ale nie dał rady, zatoczył się w tył, ku brzegowi wysepki.

Jack poprawił chwyt na stylisku, tak jak niedawno, kiedy innym jednosiecznym toporem na długim drzewcu ratował sobie i Costasowi życie w górze lodowej.

Bitewne szczęście.

Wziął zamach i postąpił dwa szybkie kroki w przód.

Wydało mu się, że na spadającym żeleźcu, w tym samym miejscu, gdzie na innym toporze wyryte było imię Halfdan, załśniły runy, linijka runów, którą zaczynała ta sama nordycka litera.

Topór bojowy potężnego króla. Piorun Północy.

Ostrze przecięło ze świstem powietrze, ugodziło Lokiego w bok głowy, po czym topór wysliznął się Jackowi z dłoni i wpadł do wody. Lokiemu głowa odskoczyła i zaraz powróciła sprężyste do pionu. Przez chwilę wydawało się, że wcale nie ucierpiał. Potem przecinająca mu policzek szrama rozstąpiła się szeroko od oczodołu po żuchwę, odsłaniając kości szczęki i zęby zaciśnięte w strasznym grymasie rzeźbionych czaszek z Chichen Itza. Pojawiła się krew, gęste, zawiesiste krople rozpryskiwały się jedna po drugiej o skalne podłoże.

Loki zrobił krok do przodu, pośliznął się na własnej krwi i runął ciężko na ziemię, waląc głową o stalagmit. Podźwignął się, podpierając na jednej ręce, zachwiały, zatoczył. Bok twarzy miał teraz całkowicie oddarty, gałka oczna zwisała na strzępkach tkanek. Dyszał chrapliwie, nierówno, i zawodził strasznie. Widać było teraz miejsce, gdzie żeleźce topora wbiło mu się głęboko w mózg. Zatoczył się po raz ostatni w tył i z głośnym pluskiem runął plecami w wodę, zabierając ze sobą miecz. Przez chwilę unosił się na powierzchni, popatrując tępo jednym okiem na Jacka. Żył jeszcze, usiłował pływać nieporadnie. Potem poszedł pod wodę i prąd porwał go w mrok. Wessany przez podziemny świat, znikł Jackowi z oczu.

Nie było już Lokiego.

Jack osunął się na ziemię i wyciągnął na wznak obok Marii. Dygotał na całym ciele, napięcie powoli ustępowało. Maria przywarła do niego kurczowo. Powierzchnia stawu wygładziła się, słychać było tylko rytmiczne kapanie przesiąkającej przez sklepienie deszczówki, wzmacniane przez akustykę grotu, ale uspokajające po niedawnym szczękę stali. Maria wpatrywała się w krystaliczną wodę przy brzegu. Potem sięgnęła i wyłowiła z niej płaski kamień wolny od naleciałości. Powierzchnia była porysowana. Usiedli oboje.

— To kamień runiczny — wyszeptła Maria.

— Potrafisz odczytać?

— Znaki są niewyraźne, wyskrobane w pośpiechu — mruknęła. — Coś jak ostatni wpis do dziennika ekspedycji, dla której nie ma już ratunku.

— Spróbuj. — Jack był skonany, ledwie wyduszał z siebie słowa.

Maria skoncentrowała się, przez chwilę mruzczała coś pod nosem, potem przeczytała na głos:

— *Zostali tylko Ulf, Finn i Halldor. Scraelingowie są już w pierwszej grocie. Niech Thor ma nas w swej opiece. Hann til ragnaroks.*

Jack czuł się wyprany z wszelkich emocji, zbyt wyczerpany, by zareagować na to, co usłyszał. Wyciągnął rękę i dotknął mokrego kamienia. Tylko na tyle było go stać.

— Może wyrzył to sam Harald Hardrada tuż przed tym, jak dopadli go Toltekowie — powiedziała Maria. — Powtórzyło się Stamford Bridge, tylko że tym razem to już naprawdę był koniec. — Obejrzała się na widmowe kształty wypełniające wysepkę, potem przeniosła wzrok na czarną toń, która pochłonęła Lokiego. Wzdrygnęła się mimowolnie. — Dotarli w ludzkiej powłoce aż tutaj, na próg podziemnego świata.

— Nawet wiem, co myśleli — wymruczał Jack. — „Jesteśmy na skraju świata duchów, na samej jego granicy”. Korci

mnie, żeby tam zejść, popłynąć za Lokim. Jakaś atawistyczna siła popycha mnie do podjęcia tego wyzwania. Odnoszę wrażenie, że tak blisko Haralda nigdy jeszcze nie byłem. — Jack rozejrzał się po migotliwych odbłaskach na ścianach groty, potem otrząsnął się i sięgnął po akwalung Lokiego pozostawiony na skraju wysepki. — A wiem, że to nie miejsce dla nas.

— To jeszcze nie koniec — powiedziała Maria.

— Powietrza masz tu aż nadto. Drogę do wyjścia wskażą ci znaczniki świetlne. Bułka z masłem. Będę płynął za tobą.

— Nie o to mi chodziło.

Jack przytroczył jej butlę do pleców, potem obmył sobie twarz z nietoperzego łajna. Maria zaczęła mówić, z początku powoli, z wahaniem, potem język się jej rozwiązał, zupełnie jakby od dawna przygotowywała ten tekst i tysiąc razy go sobie przepowiadała. Przez kilka minut Jack słuchał opowieści o niemieszczących się w głowie okropnościach, opowieści, która sprawiała, że potwory podziemnego świata stawały się tak realne, jakimi musiały jawić się wikingom, która zdawała się kształtować czającą się w ciemnościach grozę tego miejsca w siłę tak złą, że trzeba było rzucić jej wyzwanie.

Dwadzieścia minut później Jack gramolił się już z dziury w sali z malowidłem ściennym. Costas, który wyciągnął go z groty, przykucnął przed nim zdyszany. Przemoczona Maria siedziała kilka metrów od nich na kamiennej podłodze.

Pomimo upału drżała lekko i Costas podał jej ręcznik, kurtkę IMU oraz butelkę z wodą. Jack, upewniwszy się, że wszystko z nią w porządku, spojrzął na Costasa.

— Jak stoją sprawy? — spytał.

— Są tu Meksykanie — wysapał Costas. — Dwóch gości.

Przyjechali dziesięć minut temu jeepem. To *judiciales*, tajniacy. Niezbyt sympatyczni, gdybyś mnie pytał. Mówią, że leci tu

już helikopter. Okazuje się, że cały ten szlak przebiega przez terytorium Reksnysa, ale znajdujemy się spory kawałek od jego głównej bazy. Widać nie ufa ludziom ze swojej ochrony na tyle, żeby ich tu ze sobą przyprowadzić. W dżungli mieszka garstka miejscowych, Majów, ale ich mamy po swojej stronie. Kiedy ściągnie tu więcej policji i z „Seaquesta Drugiego” wróci Lynx z grupą interwencyjną w pełnym składzie, będziemy mogli odetchnąć. Ben przeprowadza właśnie rozpoznanie terenu. Jack pokazał głową na dziurę.

— Pewnie już się zorientowałeś, że na towarzystwo naszego przyjaciela Lokiego nie mamy co liczyć.

Costas uniósł brwi.

— Obraził się?

— Postanowił ustanowić rekord wytrzymałości w nurkowaniu jaskiniowym. Bez powietrza.

— Och, ten podziemny świat Tolteków — powiedział cicho Costas. — Nie chciałbym spędzać tam wieczności.

Jack odciągnął Costasa w ciemny kąt sali i zaczął coś do niego mówić przyciszonym głosem. Costas zerkał od czasu do czasu na Marię, minę miał coraz bardziej posępną. Po paru minutach Jack dał jej znak, żeby do nich podeszła. Costas wręczył jej jakiś przedmiot owinięty w szmatkę. Obejrzała go i szybko schowała pod kurtkę.

I w tym momencie do sali wpadł zdyszany, roztrzęsiony Jeremy.

— Szybko, szybko. Reksnys uciekł. Wziął dziecko na zakładnika. Grozi, że je zabije.

— Jak, u diabła...

— Ci meksykańscy policjanci przecięli mu więzy, a potem zniknęli, dali nogę.

— Cholera.

Na zewnątrz powstało jakieś zamieszanie i po chwili do świątyni wkroczył Reksnys, popychając przed sobą pięciolet-

niego chłopca, za nim dreptali przerażeni rodzice, błagając po hiszpańsku o zmiłowanie. Jeremi zatrzymał rodziców w progu, a Rek-snys wmaszerował do środka, prowadząc małego jeńca jak zwierzę na skórzanym pasku zadziergniętym na szyi. Przeparadował przed Jackiem Costasem i Marią z uniesioną wysoko głową i wrednym uśmieszkiem na ustach i zatrzymał się pośrodku sali.

— Mogę w sekundę skrócić temu pędrakowi kark. O tak. — Pstryknął palcami wolnej ręki. Zapomniał o audytorium i mówił z niemal dziecinnym zachwytem. Nagle rozejrział się. — Gdzie mój syn?

— Poszedł się kąpać.

Reksnys nie zwrócił uwagi na ironiczny ton Costasa. Przyciągnął chłopca do siebie.

— *Como te Harnaś?*

Chłopczykowi przerażenie odebrało głos.

Reksnys potrząsnął nim brutalnie.

— *Como te Harnaś!?*

— Daniel — wykrztusił przez ściśniętą krtań malec.

— Daniel. — Powtórzył powoli Reksnys i odsunął chłopca od siebie, żeby zaraz znowu go przyciągnąć i zacisnąć pasek na szyi. — Nietypowe imię, jak na Maję. W dzieciństwie znałem paru małych chłopców o tym imieniu. Daniel, Doron, Menachem. Dziewczynki też tam były. Ale niedługo. — Reksnys uśmiechnął się złośliwie, potem łypnął podejrzliwie na Marię, która odsunęła się od Jacka i Costasa i zatrzymała pod ścianą, tam gdzie ocknęła się po koszarnej podróży z Iony. Stała teraz na lekko rozstawionych nogach, twarzą do Reksnysa.

— Podejrzewam — powiedziała — że z tym było ci kiedyś o wiele łatwiej.

Powoli, z namaszczeniem, uniosła lugera i trzymając go oburącz, z palcem wskazującym lewej dłoni na spuście, wymierzyła w głowę Reksnysa.

Jeremy gapił się na nią szeroko otwartymi oczami.

Reksnys znowu się uśmiechnął.

— Nie wiesz, jak się tym posługiwać.

Maria przesunęła dźwigenkę bezpiecznika po lewej.

— Owszem, wiem.

— Nie jest naładowany.

— Jack? — powiedziała Maria, nie spuszcżając wzroku z

Reksnysa.

Jack wyciągnął małe pudełko z nadrukiem *Parabellum dziewięć milimetrów* i pokazał opróżnione do połowy wnętrze.

— Znaleźliśmy to w twojej kieszeni — powiedział. —

Zapomniałeś?

Reksnys wzruszył pogardliwie ramionami.

— Rzuć ten pistolet, bo mały umrze.

Maria zaczęła recytować cichym głosem zapamiętany w dzieciństwie tekst:

— „Meldunek Operacyjny o Sytuacji w ZSRR numer sto dwadzieścia dziewięć A. Einsatzgruppe D. Miejsce: Nikołajewo, Ukraina. Załącznik do meldunku numer sto dwadzieścia dziewięć dotyczącego działalności Einsatzkommandos w zakresie oczyszczania terenu z Żydów oraz likwidacji oddziałów partyzanckich. SS-Sturmbahnführer Andrius Reksnys osobiście stracił trzystu czterdziestu jeden Żydów. Uaktualniona liczba za ostatnie dwa tygodnie: trzydzieści dwa tysiące stu ośmiu”.

Zaległo milczenie. Maria celowała z lugera w głowę Reksnysa. Ten pozostał niewzruszony, patrzył tylko na nią z zimną nienawiścią, coraz mocniej zaciskając lśniący pasek na szyi chłopca.

— Czternasty maja tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego — ciągnęła Maria. — Piękny wiosenny poranek. Wszędzie wokół rozkwitają kwiaty, ptaki śpiewają. Ostatnia w szeregu nad dołem stoi młoda rodzina, ojciec, ciężarna matka

i czwórka małych dzieci. Pamiętasz? Twój ojciec pozwolił ci wykończyć tych maluchów.

— Niemożliwe! — wyrzucił z siebie Reksnys, spoglądając porozumiewawczo na obecnych. — Ta kobieta postradała zmysły. Nie było żadnych świadków. Nigdy się ich nie zostawiało.

— Robiłeś to pierwszy raz — ciągnęła beznamiętnie Maria. — Nie miałeś jeszcze wprawy w posługiwaniu się lugerem. Po trzech dniach najmłodsze z dzieci wyczołgało się spod trupów. Pocisk ugrzązł w czaszce. Słodka mała dziewczynka płacząca w blasku wiosennego dnia. — Łzy potoczyły się po policzkach Marii, ale głos jej nie zdrzął. — Znalazł ją i przygarnął żołnierz Wehrmachtu. Wróciła z jego wycofującą się jednostką do Berlina, pod opieką Niemców, ludzi brzydzących się tym, co robiło SS. Kiedy wszyscy polegli w walce, uratował ją brytyjski żołnierz. Po latach wyszła za mąż za hiszpańskiego dyplomatę i urodziła córkę. Tej wiosny zawiozłam ją do Nikołajewa, żeby położyła się jeszcze raz na tamtejszej przeuroczej łące, żeby była znowu ze swoimi braćmi i siostrami, z ukochaną mamą i z tatą. Powiedziała mi, że za nią tęsknili, że bardzo się starali ją odnaleźć i chronić. — Maria urwała, przełknęła z trudem i zamrugnęła, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy, ale pistoletu nie opuszczała. — Ta dziewczynka była moją matką.

— Bzdura. — Reksnys potrząsnął chłopcem, oczy mu latały, głos się zmienił, stał piskliwy. — Nie wiercie ani jednemu jej słowu. To Żydówka.

W sali zapadła martwa cisza. Reksnysowi nagle puściły nerwy, zaczął dygotać, pobladł, pot wystąpił mu na czoło. Odepchnął od siebie zakładnika. Jack chwycił chłopca i odprowadził do wyjścia. Reksnys zatoczył się w tył, odzyskał równowagę, wyprostował się, usiłował nad sobą zapanować.

— Bierzcie sobie tego gówniarza. — Przygładził drżącą dłonią włosy. Spróbował przyjąć ugodowy ton. — Wystarczy tego przedstawienia. Macie, co chcieliście. Mnie policja nigdy niczego nie udowodni. Możemy się rozejść. Gdzie mój syn?

— W podróży w jedną stronę do piekła — powiedział Costas.

— Gdzie mój syn?! — Do Reksnysa nie dotarł chyba sens tych słów, oczy nabiegły mu krwią, rozszerzyły się, pojawiła się w nich panika. Znowu zapadła cisza, a on przenosił przez chwilę wzrok z twarzy na twarz, a potem się zachwiał. — Nie!

Maria nie spuszczała go z muszki. Mierzyła prosto w głowę.

— Uklęknij — powiedziała spokojnie. — Twarzą do ściany. Teraz Reksnys już zupełnie się rozkleił. Padł na kolana, wargi mu drżały, oczy wyszły z orbit. W kroku spodni pojawiła się ciemna plama wydłużająca się szybko w dół nogawki.

— Nie. Błagam. Tylko nie to.

— Jestem Żydówką — powiedziała cicho Maria.

Nastąpił ogłuszający trzask. Reksnysowi głowa odleciała w tył. Zwalił się na podłogę w konwulsjach. W górę trysnęła łukiem fontanna krwi. Przez chwilę był jeszcze przytomny, oczy miał szeroko rozwarłe, nogi mu podrygiwały. Potem znieruchomiał. Krew, która opryskała ścianę, zaczynała ściekać strumyczkami czerwieni po spłowiiałych barwach sceny ofiarnej i zasilać kałużę krwi rozlewającej się po podłodze.

Reksnys znowu się poruszył. Zmartwieli. Zdawał się miotać w drgawkach, bezwładny jak szmaciana lalka, przesuwał się, był coraz bliżej Marii. Maria odrzuciła pistolet i stała jak sparaliżowana, potem nogi się pod nią ugięły. Jack podtrzymał ją i odciągnął. Nagle ziemia podskoczyła gwałtownie. Do zdezorientowanego Jacka dopiero po chwili dotarło, co się dzieje. Chichen Itza. Wstrząsy podziemne sprzed kilku dni. Reksnys nie ożył. To było trzęsienie ziemi. Na ścianie pojawiła się rysa i poszerzając się, rozdarła malowidło na dwoje.

Z groty pod nimi doleciała torturująca bębenki kakofonia grzmotów, trzasków i huków. Jack, niewiele myśląc, rzucił się do wyjścia, ciągnąc za sobą Marię. Słyszał, jak za jego plecami woda tryska gigantyczną fontanną pod niebo, a potem opada w przepastną dziurę, która powstała w ziemi w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała świątynia.

Po paru minutach Maria otworzyła oczy. Jack obserwował kropelki wody skapujące jej na twarz. Przez baldachim drzew nad nimi sączyło się światło słoneczne, słyszał powrzaskiwania ptaków. Odetchnął głęboko, delectując się chłodnym, czystym powietrzem, które napłynęło w ślad za deszczem. Myślał o matce Marii, o O'Connorze.

Już po wszystkim.

21

— Od skraju platformy do lustra wody mamy dwadzieścia trzy metry, plus minus kilka centymetrów. Trzeba będzie zmajstrować nie lada żuraw, żeby się tam opuścić.

— Skoro poradzili z tym sobie w latach pięćdziesiątych, to byłby wstyd, gdybyśmy teraz dali plamę. Wierzę w twój geniusz.

— Tak się składa, że mam akurat coś takiego na desce kreślarskiej.

Costas wyciągnął z tekturowego tubusa wielkoformatową odbitkę światłoczułą i rozwinął ją na rozgrzanym wapiennym gładzie, przyciskając jeden róg laserowym dalmierzem. Jack z rezygnacją przygotował się na wysłuchanie szczegółowego technicznego opisu wynalazku Costasa, na szczęście uratowało go pojawienie się Jeremy'ego i Marii na końcu drogi procesyjnej.

— Lunch! — Jeremy, niosący chłodziarkę turystyczną, zeskoczył na platformę i skrył się pod brezentową płachtę, którą rozpięli dla ochrony przed słońcem. Od burzy upłynęły już całe dwa dni, dni czystego, rześkiego powietrza, ale tego ranka powrócił dyszący żądzą zemsty upał i zrobiło się jak w saunie.

Jeremy otworzył chłodziarkę i zaczął wykladać na stół jedzenie i napoje. Jack podszedł do niego. Urażony Costas stał dalej nad cenotą, burcząc coś pod nosem, ale na widok posiłku dał za wygraną i zrolował światłokopię. Usiedli na ławie, Maria oparła się plecami o skałę za nimi.

— Co tym razem masz dla odmiany? — spytał Costas. — Jakiś toltecki przysmak? Może peklowane ludzkie serca w sosie własnym?

— Nie — wymamrotał z pełnymi ustami Jeremy. — Zwyczajną meksykańszczyznę. — Zwrócił się do Jacka. — Od popołudnia wpuszczają znowu turystów. — Przełknął i popił wodą. — Wstrząs, który odczuliśmy w dżungli, tutaj ledwie odnotowano, a więc doszli do wniosku, że jest już bezpiecznie. Zresztą za gorąco, żeby pracować. — Oderwał kolejną część chleba i wskazał nią na przepastną studnię ofiarną, nad którą stali przed chwilą Jack z Costasem. — Naprawdę tam schodzimy?

— Pod koniec roku — odparł Jack. — Jestem pewien, że na dnie nadal zalega mnóstwo bajkowych skarbów.

— Wszystko mam już rozpracowane. — Costas lśnił od potu pod swoją panamą, usta miał pełne jedzenia. — Pokażę wam, jak skończymy posiłek.

— Chętnie obejrzałbym miejsce ostatniej walki Haralda, to, co tam znaleźliście — powiedział Jeremy. — W tamtej drugiej cenocie.

— Nic z tego — mruknął Jack. — Wejście od jednej strony jest zawałone setkami ton kamienia, a żeby dostać się do niej od drugiej strony, musiałbyś walczyć z rwącym prądem. Znaleźliśmy miejsce ostatniej bitwy Haralda, jego Ragnarók, i to musi nam wystarczyć. Coś mi mówi, że wracając tam, przeciągnąłbym strunę, jeśli chodzi o moje bitewne szczęście.

— To posępne miejsce. — Maria wzdrygnęła się. — Nie masz czego żałować.

— Mnóstwo stalagmitów i tyle — podsumował Costas.

Jeremy spojrział z powątpiewaniem na studnię.

— Jeśli w ramach rekompensaty zamierzacie mnie opuścić do tej dziury w ziemi, to ja dziękuję. Nawet stąd wygląda odstręczająco.

— Mógłbyś wejść w skład ekspedycji jako dostarczyciel jedzenia.

— Co ty na to, Mario? — Jeremy pochylił się nad stołem, żeby na nią spojrzeć. — Dałabyś mi urlop z herefordzkiej biblioteki?

Maria odstawiała butelkę z wodą i uśmiechnęła się blade. Jack obserwował ją dyskretnie z drugiej strony stołu. Od śmierci Reksnysa tylko spała albo leżała. Lekarze z „SeQUESTA II” zajęli się jej obtartym policzkiem, miała teraz na nim opatrunek z gazy. Blizny na szczęście nie będzie. Co innego uraz psychiczny, ten pozostanie. Jack wiedział z własnego doświadczenia, że strata O’Connora dotrze do niej w pełni dopiero po powrocie do kraju, kiedy przyjdzie czas na refleksje. Dwa dni temu Maria mierzyła z pistoletu w głowę człowieka, który zlecił to morderstwo i który spędzał jej sen z powiek, zanim jeszcze poznała O’Connora. Jack, kiedy wyjawiała mu straszną prawdę o swojej rodzinie, ujrzał swoją przyjaciółkę w zupełnie nowym świetle. Jej matkę poznał przed kilkoma laty, kiedy oboje z Marią jeszcze studiowali, i założył, że tak jak ojciec Marii, jest sefardyjką. Do głowy mu nie przyszło, że mogłoby być inaczej. Podobnie jak wielu ocalałych z Holocaustu, jej matka znalazła jakiś sposób na zagrzebanie wspomnień z tamtego horroru gdzieś na dnie pamięci i przywołała je stamtąd dopiero, kiedy umierała. To by wyjaśniało, skąd Maria czerpała siłę oraz skąd brał się ten jej wieczny niepokój, ta niechęć do wiązania się z kimkolwiek. Teraz, kiedy wyrzuciła wreszcie z siebie to, co ją przez całe życie gnębiło, na pewno się zmieni. Rozprawa z Reksnysem

przyniosła coś w rodzaju poczucia spełnienia, zakończyła jej osobistą krwawą zemstę, ale była również szokującym doświadczeniem, które odcisnęło na niej swe piętno. Na szczęście meksykańska policja, widząc, kto jest górą, ochoczo zmieniła front, i Marię okrzyknięto bohaterką, która ocaliła życie małemu chłopcu. Jedynymi świadkami finałowej sceny byli Jack, Costas i Jeremy.

Maria spojrzała na Jeremy'ego.

— W Hereford swoje już zrobiłeś — powiedziała — ale uważaj na tych facetów z IMU. Pobędziesz z nimi jeszcze jakiś czas, i tak cię omotają, że powrotu już nie będzie. — Uśmiechnęła się blado i spojrzała na Jacka. — Co tam z menorą?

— Myślałem właśnie o symetrii dziejów — odparł Jack.

— O nie. — Costas przewrócił oczami i podniósł się z ławy. — Znowu zaczyna filozofować. Wracam do swoich rysunków.

— Nie. Zaczekaj. To ważne. Kto wie, czy nie w tym właśnie klucz do całej tej historii. — Costas usiadł ciężko, a Jack zebrał szybko myśli. — Nasunęło mi się to, kiedy zobaczyłem na tamtym malowidle procesję Tolteków zmierzającą do studni ofiarnej. Tak nieprawdopodobnie przypominali wcześniejszy o tysiąc lat rzymski pochód triumfalny uwieczniony na Łuku Tytusa. Pomyślcie tylko, w iluż to miejscach była menora, ile kultur miało z nią styczność. Na samym początku najważniejszy, po Arce Przymierza, symbol narodu żydowskiego. Potem rabują ją rzymscy cesarze i dla nich też staje się ważnym symbolem. Następnie Bizantyjczycy. Po nich Harald Hardrada i wikingowie. Za każdym razem mogła zostać przetopiona, ale nie została. Dla Rzymian była symbolem podboju, dominacji. Dla Bizantyjczyków częścią skarbu, który łączył ich z dawnym Rzymem, z korzeniami. Dla Haralda Hardrady była z początku symbolem jego męstwa,

potem stała się czymś bardziej mistycznym, niemal talizmanem. O jej pierwotnym żydowskim znaczeniu już wtedy nie pamiętano, ale nadal miała jakiś nadprzyrodzony wpływ, moc kształtowania ludzkich losów.

Costas słuchał uważnie.

— Czwarta krucjata, złupienie Konstantynopola — wtrącił. — Otóż to. Wśród wszystkich tych starożytnych dzieł sztuki, których poszukiwaniem się zajmujemy, były takie, które przejęte przez inną kulturę nabierały nowej, prestiżowej wartości. Weźmy, na przykład, Konie Świętego Marka w Wenecji. Początkowo starożytna rzeźba, a potem symbol średniowiecznego miastopństwa. Jej twórcom nawet się o tym nie śniło.

— Widzę, że rozumiesz, o co mi chodzi.

— A inne dzieła sztuki, takie jak te zatopione w Złotym Rogu? One żadnej prestiżowej wartości nie mają.

— Nie wiąże się też z nimi żaden niebezpieczny, niepożądany symbolizm. Dla krzyżowców, podobnie jak dla Watykanu, symboliczna moc menory zatoczyła pełne koło i wróciła do swoich żydowskich początków. Dlatego sądziliśmy, że istnieje szansa odnalezienia jej w Złotym Rogu.

— A potem, podążając śladem wikingów, trafiliśmy do Tolteków — podchwycił Costas. — Wiem, do czego zmierzasz.

— Toltekowie przywiązywali wielką wagę do symboli zwycięstw, symboli swojej waleczności i dominacji — powiedział Jack. — Naprawdę wielką. Spójrzcie tylko na architekturę tego miasta, na te rzeźby. No i kochali złoto. Może w kulminacyjnym momencie pochodu nie ofiarowali jednak menory bogom, lecz ją gdzieś ukryli, żeby pokazywać potem ludowi przy okazji najbardziej podniosłych ceremonii. Weźcie cesarza Wespazjana i jego tyśiąc lat wcześniejszy pochód triumfalny na rzymskim Forum. Podobnie jak Toltekowie,

złożył bogom w ofierze jeńców wojennych, wziętych do niewoli Żydów. Tak samo mógł postąpić z ich skarbem, przetopić go i wybić złote monety ze swoją podobizną. Nie uczynił tego, umieścił menorę w Świątyni Pokoju.

— Świątynia Wojowników — mruknął Jeremy. — Była najświętszym miejscem Tolteków, ale świątynią pokoju na pewno nie da się jej nazwać. Już bardziej kojarzy mi się z zamkiem Wawelburg w Bawarii, kwaterą główną SS.

— Wespazjanowi chodziło raczej o coś odwrotnego — wtrąciła Maria.

Costas pokiwał z entuzjazmem głową.

— Burza mózgów. W to mi graj.

Jack uśmiechnął się.

— A widzisz? Niewiele się to różni od projektowania jakiejś konstrukcji. Wy, inżynierowie, też macie swoich wyrobników i swoich geniuszy.

— Kiedy zatem Toltekowie wymierają — powiedziała w zamyśleniu Maria — menora tonie jednak w pomroce dziejów, tyle że nie wraz z upadkiem imperium rzymskiego, jak dotąd sądziliśmy, ale nieco później.

— Trop stygnie — przyznał Jack i spoglądając na Jeremy'ego, spytał: — Masz może jakiś nowy ślad?

Jeremy spojrział na niego niewidzącym wzrokiem, ale zaraz oprzytomniał i z leżącej na stole saszetki wyciągnął książkę.

— Co mówisz? Nie słuchałem, bo właśnie mi się przypomniało, że szukając wskazówek w tekstach Majów, natrafiłem na coś jeszcze. Początkowo nie dostrzegłem w tym związku, ale teraz spłynęło na mnie olśnienie. To możliwe, całkiem możliwe.

— No nie. — Costas spojrział na Jeremy'ego z udawanym przerażeniem. — Chyba nie uruczysz nas jeszcze jednym tajnym stowarzyszeniem?

— Bez obawy. — Jeremy dojadł chleb, otarł usta i popił

wodą. — Pamiętacie, że zajęcie Jukatanu zabrało Hiszpanom kilka lat, trwało o wiele dłużej niż podbój centralnego Meksyku. Cortes wylądował najpierw na Jukatanie, ale nie zabawił tu długo.

— Z braku złota — podsunął Costas.

— Owszem. Ale mógł wtedy coś przeoczyć, przeoczyć największy ze wszystkich skarbów.

— Mów, mów.

— Nie uwierzycie, ale ostatni z majańskich królów pokonany został dopiero w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym siódmym. Tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym siódmym — powtórzył z naciskiem Jeremy. — I był potomkiem w prostej linii królów tego miasta, Chichen Itza.

Jack zrobił wielkie oczy.

— Przecież to dwa wieki po Cortesie!

— Wydawało mi się, że Chichen Itza było już wtedy zniszczone — wtrącił Costas. — Że Majowie opuścili je na długo przed przybyciem Hiszpanów.

Jeremy pokiwał głową.

— I dobrze ci się wydawało. Opuścili je na kilka dziesięcioleci przed Cortesem, w piętnastym wieku. Tolteków dawno już nie było, powyrzynali się w jakiejś krwawej bratobójczej wojnie dwieście lat wcześniej. Nastąpiła po nich bardziej cywilizowana dynastia Majów zwana Itza, która nadała temu miastu swoje imię. Nie wiadomo, co działo się tutaj przez ostatnie lata ich panowania, ale w końcu Majowie, porzucając swoje świątynie, odeszli stąd na zawsze w dżungłę i wędrowali po niej przez lata, jak te zabłąkane plemiona Izraela.

— Może to było jakieś kolektywne załamanie nerwowe — podsunął Costas. — Wieki życia w jeżącej włos na głowie spirali gwałtu, w całym tym terrorze i obsesji na punkcie składania ofiar, musiały zrobić swoje. W końcu pękli.

Jeremy roześmiał się.

— No cóż, jakkolwiek z tym było, trafili wreszcie nad jezioro Peten. To ponad czterysta kilometrów na południe stąd, w dzisiejszej Gwatemali. Nieprzebyta dżungla, najdalej jak się dało od Hiszpanów. Przeprawili się łodziami na wyspę pośrodku jeziora i założyli tam nowe miasto Tah Itza. Mieszkali w nim przez wiele pokoleń nie niepokojeni, znani tylko garstce misjonarzy. Tah Itza zyskało sobie reputację miejsca mistycznego. Dla jednych Hiszpanów była to budząca grozę warownia w dżungli, bastion dzikich wojowników, którzy praktykują satanistyczne obrzędy, piekło na ziemi, dla innych skarbiec nieprzebranych bogactw, do którego prowadzi droga najeżona pułapkami, taka majańska Shangri-La albo Avalon.

— Znowu ten król Artur — mruknął Costas. — Nie wydaje mi się, żeby Tennysonowi przyszło do głowy umieszczać swój Avalon w meksykańskiej dżungli.

— Może zabrali ze sobą swój skarb — mruknął Jack. — Pogńębieni, odarci z dawnej świetności, ocalili jednak z Chichen Itza co się dało. Podobnie jak Izraelici nieśli ze sobą to, co było dla nich najświętsze, najcenniejsze.

— Może menora kojarzyła im się z bogiem-orłem, z powrotem króla — podchwyciła Maria. — Z tego, co Jeremy wyszukał w księdze Chilama Balama, wynikałoby, że Majowie zachowali w pamięci Haralda i wikingów. Reksnys mówił, że współcześni miejscowi Majowie za nic nie chcieli zejść do cenoty pod świątynią. Może Harald, walcząc po stronie Majów z ich gnębielami Toltekami, stał się w oczach tego ludu kimś w rodzaju mitycznego boga zbawiciela. Może dwieście lat po śmierci Haralda jakiś nieustraszony Maja ocalił menorę z tolteckiego piekła i ta trafiła w rezultacie w ręce kolejnej kultury.

— Chyba że Toltekowie zdążyli już złożyć ją w ofierze — zauważył Jack.

— Albo przetopić.

— Całą naszą wiedzę zawdzięczamy rękopisowi odkrytemu niedawno, pod koniec lat osiemdziesiątych, w Meksyku — podjął Jeremy. — To coś niebywałego, relacja jezuickiego misjonarza, brata Andresa de Avendano y Loyolli, który dotarł do Tah Itza w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym piątym.

Avendano był człowiekiem niepośledniego intelektu i fizycznej wytrzymałości. Zafascynował go lud, który miał nawracać, jego obyczaje i wierzenia. Pierwsi misjonarze nie cieszyli się tu dobrą sławą, ale gdyby nie tacy uczeni jak Avendano nie wiedzielibyśmy praktycznie nic o tych ludziach, zaginęłby słuch o całych populacjach. Ojciec O'Connor był kontynuatorem tej tradycji.

— Ciekawe, czy Patrick coś o tym wiedział — mruknęła Maria.

Jeremy otworzył książkę.

— Avendano pisze tutaj, że stanął tamtego roku na brzegu jeziora Peten. Towarzyszyło mu dwóch franciszkanów i dziesięciu nawróconych Majów. Ich oczom ukazał się niezwykle widok. — Jeremy zaczął czytać: „Wielka flotylla canoe w kształcie trójkąta, wszystkie przystrojone kwieciami, na każdej muzykanci wybijający pałeczkami rytm na bębenkach i grający na fletach. A w największej ze wszystkich siedział król Itza, którego nazywał się Pan Kanek, co znaczy dwudziestogwiazdny wąż”.

— Brzmi dostojnie — mruknął Costas. — A jakieś złoto było?

— To, co zobaczył Avendano, było materializacją wyobrażeń każdego Hiszpana o Nowym Świecie, tym, czego szukali i za co gotowi byli zaprzedać dusze konkwistadorzy sprzed dwustu lat. Nietrudno się domyślić, że Avendano był pod wrażeniem. Jego instynkty jezuita zostały przyćmione przez tę żądzę, która działała na hiszpańskich konkwistadorów jak krew na rekina.

Jack uśmiechnął się.

— Mów, mów.

— Stanął przed nimi ostatni z królów Majów. Postuchajcie tego. „Na głowie miał złotą koronę, a w uszach złote krążki, z których zwisały mu do ramion złote wisiory. Na ramionach miał obręcze z czystego złota, na palcach rąk złote pierścienie, a jego niebieskie sandały obszyte były złotymi dzwoneczkami”.

Costas gwizdnął przez zęby.

— Pewnie ugiął się pod ciężarem tych ozdóbek.

Jeremy zamknął książkę.

— Avendano nie udało się nawrócić Tah Itza. Dwa lata później miasto wpadło w ręce Hiszpanów.

— Twierdzisz, że Majowie, odchodząc z Chichen Itza, zabrali swój skarbiec? — spytał Costas.

— Na to by wyglądało.

— Od groma mieli tego złota jak na pogńębiony lud.

— Jedna sprawa...

Jack kiwał powoli głową.

— Jeśli Majowie tak zazdrośnie strzegli swoich świętych tekstów, tych ksiąg Chilama Balama wieszczących przybycie brodatych mężów ze wschodu, to równie dobrze mogli starać się ukryć wiele innych skarbów przed węszącymi wszędzie za złotem Hiszpanami. Taka twierdza na wyspie na jeziorze w głębi dżungli nadawałaby się na kryjówkę idealnie.

— Ale mogło to być już tylko złoto jako takie — zauważył Costas. — Cała ta prestiżowa wartość, całe znaczenie, jakie menora miała dla znienawidzonych Tolteków, wypaliły się. Majowie mogli ją przetopić w tej swojej kryjówce.

— I koło się zamyka — powiedziała cicho Maria.

— Jakie koło? — spytał Costas.

— Zastanówcie się. Hiszpanie zdobywają ostatnią twierdzę dynastii Itza. Dobierają się wreszcie do złota Majów. Tylko że

to wcale nie jest złoto Majów. I co z nim robią? Bo z pewnością nie zamierzają siedzieć z taką zdobyczą w dżungli.

— Wysyłają je do kraju — odpowiedział Jeremy.

— Ponownie przetapiają, biją monety i wysyłają statkami do Kadyksu i Sewilli — powiedziała Maria. — Setki funtów złota, bajeczny łup trafia prosto do kufrów hiszpańskiego króla. I do jeszcze jednej wielkiej siły stojącej za konkwistadorami.

— Do Kościoła katolickiego — mruknął Jack. — A część tego bogactwa przenika z powrotem do serca Kościoła, do Watykanu, czyli do Rzymu.

— Chwila, moment — zaprotestował Costas. — Bo ja się znowu pogubiłem.

— Nie rozumiesz? — Oczy Marii błyszczały. — Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, to menora wcale nie zaginęła.

Przed trzystu laty złoto, z którego została odlana w starożytnym Izraelu, powróciło tam, gdzie rozpoczynało swoją wędrówkę, w postaci sztab i artefaktów świętych dla nowego porządku świata. Może od tamtego czasu świeci nam w oczy w złoceniach Bazyliki Świętego Piotra, w złotych relikwiarzach watykańskiego skarbcza, w niezliczonych ozdobach i przyborach tych świętyń chrześcijańskiego świata, które raczył obdarować Kościół.

— I niewykluczone, że jego część trafiła z powrotem do Jerozolimy — wtrącił Jeremy. — Pamiętacie sagę o ofiarowaniu przez Haralda Hardradę darów Świątyni Chrystusa w Jerozolimie? Historia, której kulminacją stały się krucjaty, ingerencja zachodu w Ziemi Świętej, nie sprowadzała się jedynie do przemocy i grabieży. Kto wie, czy część złota dynastii Itza nie wróciła z biegiem czasu na Wzgórze Świątynne w Jerozolimie i nie pozostaje tam do dzisiaj.

Zbity z tropu Costas zerknął na swoje techniczne rysunki rozłożone na głazie nad cenotą.

— Moja sonda poddenna. Wszystkie moje plany. Czy ja dobrze rozumiem?

— To wszystko hipotezy — mruknęła Maria.

— I nie mamy żadnego dowodu, że Harald rzeczywiście tu był — zauważył Costas. — Malowidło ścienne diabli wzięli, miejsce ostatniej walki Haralda zostało na zawsze pogrzebane. Nikt nam nie uwierzy.

— Mamy to. — Maria wyciągnęła z kieszeni szortów wyglądony odprysk skały, kamień runiczny, który znalazła w cenocie.

— Nie ma na nim żadnej wzmianki o Haraldzie. — Costas wzruszył ramionami. — A i sam kamień nie pochodzi stąd, wygląda na łupek, który prawdopodobnie znaleźli w L'Anse aux Meadows.

— Ale my wiemy — powiedziała Maria.

— Ja będę obstawał przy hipotezie z Majami. — Jeremy'emu wciąż nie dawał spokoju los menory. — Lepsze już to, niż zastanawiać się, co byśmy zrobili z menorą, gdybyśmy ją znaleźli.

Jack wstał, podszedł na skraj ofiarnej platformy i spojrzął z góry na nieprzenikloną zieleń lustra wody. Potem odwrócił się do cenoty plecami i odpiął od paska spodni radionadajnik.

— Menorą może mimo wszystko spoczywać na dnie studni ofiarnej. Jeśli nie, to dotarliśmy do końca drogi. Zanim jednak zacznę się zastanawiać nad nowym projektem, muszę spłacić pewien dług staremu przyjacielowi. Dług bitewnego szczęścia. — Zerknął na Marię. — Nic już tu po nas.

22

Cztery dni później Jack siedział w kucki na rufie „Seaquesta II” i zatykając dłonią ucho przed szumem kilwaterny statku, rozmawiał z Maurice’em Hiebermeyerem dzwoniącym ze Stambułu.

— Rozumiem. — Jack znowu przycisnął słuchawkę do ucha. — Przygotuj wszystko i jutro wieczorem widzimy się w Złotym Rogu. Aha, i dziękuje ci, Maurice, za przejście stanowiska. Wspaniała robota. Masz u mnie kolejkę. Cześć.

Zmęczony wytężaniem słuchu przerwał połączenie, wstał i przestępując rozciągnięte na pokładzie liny, którymi po powrocie miał zostać zabezpieczony Lynx, ruszył w stronę ławeczki po drugiej stronie lądowiska dla helikopterów, gdzie siedzieli Costas, Maria i Jeremy. „Seaquest II” wracał do Arktyki, by podjąć tam przerwane badania naukowe w fiordzie lodowym Ilulissat, i trzeba było przetransportować na pokład kilku naukowców, którzy po drodze na Karaiby zeszli na ląd. Statek dzieliło teraz niespełna sto mil morskich od wybrzeży Nowej Fundlandii i helikoptera spodziewano się późnym popołudniem. Morze, choć rozkołysane, było w zasadzie spokojne, a niebo bezchmurne, ale w miarę jak posuwali się

na północ, robiło się coraz chłodniej, co dawało się im we znaki tym bardziej, że kilka ostatnich dni spędzili w parnej jukatańskiej dżungli. Maria i Jeremy włożyli ocieplane kurtki IMU i kryli się za nadburciem przed wiatrem.

— To był Maurice Hiebertmeyer — oznajmił Jack. — Wspaniałe wieści. Znaleźli w końcu artefakty zatopione po oblężeniu Konstantynopola w tysiąc dwieście czwartym.

— Złoto krzyżowców? — spytał z nadzieją Costas.

Jack uśmiechnął się.

— Olbrzymi posąg cesarza Wespazjana z połączanego brązu z inskrypcją dedykacyjną, z której wynika, że początkowo stał przed Świątynią Pokoju wzniesioną na rzymskim Forum po triumfie nad Żydami. Niezupełnie o to nam chodziło, ale archeologia taka już jest.

— To właśnie chciałem usłyszeć — Costas odetchnął z ulgą. — Przed moją sondą poddenną jeszcze wiele pracy. Bo przecież z żydowskiej Świątyni zrabowano, jeśli mnie pamięć nie myli, nie tylko menorę. Znajdziemy to wszystko. Wierzę w technikę IMU.

— Nie wiem, czy nie zawiesimy na jakiś czas tych poszukiwań — powiedział Jack. — Od naszego powrotu z Atlantydy Maurice starał się mnie zainteresować pewnym znaleziskiem z egipskiej pustyni, i w końcu uległem. To coś nieprawdopodobnego.

— Tylko nie kolejny papirus — zachnął się Costas. — Ostatni wpędził nas w niezłe tarapaty.

— Ten jest rzymski — powiedział Jack. — Tylko strzęp, fragment większej całości, ale zawiera fantastyczną wskazówkę.

— Znowu jakiś skarb?

— Słyszałeś o jakimś Aleksandrze Wielkim?

Costas dostrzegł w oczach Jacka znajomy błysk.

— Aha. Taką archeologię lubię. Możesz za mnie liczyć. Bo w żadną górę lodową nie dam się już zrobić.

— Trzymam cię za słowo. — Jack uśmiechnął się i odwrócił do Marii i Jeremy'ego. Na widok zachmurzonej twarzy Marii spowaźniał. — Już dawno chciałem cię zapytać, Mario, o twoje ukraińskie korzenie. Wiem, że żydowską diasporę stanowili tam aszkenazyjczycy, ale może się orientujesz, kim byli twoi wcześniejsi przodkowie? Bo zastanawia mnie pasja, z jaką podchodzisz do badania przeszłości wikingów.

Maria rozchmurzyła się i uśmiechnęła ze smutkiem.

— W zeszłym roku, po pochowaniu matki, spędziłam kilka dni w Kijowie. Obejrzałam, między innymi, słynne freski w katedrze Świętej Zofii. Książęta i księżne rządzący Kijowem w epoce wikingów, kupcy i wojownicy, którzy przyplływali rzekami z północy na długich łodziach. Jasnowłosi, brodaci, niespotykanie wysocy — wypisz, wymaluj Harald Hardrada i jego dwór.

— Waregowie — mruknął Jack. — Rusowie.

— Tuż przed śmiercią matka po raz pierwszy powiedziała mi coś o swojej rodzinie. O pewnym mieszanym małżeństwie sprzed wieków. To rodzinna legenda, z której wynikałoby, że wywodzimy się z ruskiej szlachty.

— Tak właśnie myślałem. — Jack uśmiechnął się.

— Wychodzi na to, że jestem w tym towarzystwie jedynym, w którego żyłach nie płynie krew wikingów — wtrącił Costas.

— To nie takie pewne. Graffiti pozostawione przez Halfdana w Hagia Sofia nie jest jedynym dowodem bytności wikingów w tamtym regionie. Na starożytniej rzeźbie w Atenach również widnieje wydrapana przed wiekami runiczna inskrypcja. Wygląda na to, że Harald i jego ferajna również do Grecji zawitali z gościnnymi występami. Oni byli chyba wszędzie.

Costas spojrzął na naszkicowaną własnoręcznie mapę, na którą naniósł miejsca, które odwiedzili ostatnio, podążając tropem Haralda Hardrada.

— W każdym razie na zachodniej półkuli.

Jack znowu spowaźniał.

— Rozmawiałem też przed chwilą z szefem ochrony IMU w Anglii — powiedział, zwracając się do całej trójki przyjaciół. — Maria, zanim została zaatakowana przez Lokiego, na wszelki wypadek przesłała e-mailem wstępny szkic dossier, które przygotowywali wspólnie z O'Connorem. W tej chwili Interpol dokonuje aresztowań dość licznej grupy prominentnych osobistości. Okazuje się, że *felag* był silnie zaangażowany w przestępczość międzynarodową: pranie brudnych pieniędzy, narkotyki, handel bronią, czarny rynek antyków. Jeden z tych ludzi zamieszany był nawet w zuchwały rabunek w Herkulanum nad Zatoką Neapolitańską. Wygląda na to, że nasz przyjaciel Reksnys nie był jedynym, który wykorzystywał siłę *felagu* do napychania własnych kieszeni.

— Nie za bardzo to współgra z heroicznymi ideałami Haralda Hardrady — mruknął Costas.

— Współczesny *felag* nie miał z tamtym oryginalnym nic wspólnego. — W głosie Jeremy'ego pojawiła się nutka pogardy. — Był organizacją przestępczą, bez dwóch zdań. Historycznie z wikingami łączyło ich dokładnie tyle, co nazistów.

— Dossier, które przygotowaliście z O'Connorem, pomogło Interpolowi powiązać te osoby — zwrócił się Jack do Marii. — I podejrzewam, że teraz, kiedy w grę wchodzi morderstwo, długo nie usłyszymy o *felagu*.

— A co z tym tajemniczym osobnikiem z Watykanu? — spytał Costas.

Jack kiwnął głową i cień zatroskania przemknął przez jego twarz.

— Niestety, z tym jednym wyjątkiem. Mało brakowało, a Reksnys zdradziłby nam jego tożsamość, chwając się w świątyni swoimi informatorami, w porę jednak ugryzł się w język.

O'Connor podejrzewał, kto nim jest, ale chciał się upewnić, zanim nam powie. Morderca zamknął mu usta. To było jedno małe zwycięstwo Lokiego. Ale kimkolwiek jest ten człowiek, możecie być pewni, że w tej chwili zaciera za sobą ślady i nie wychyli się aż do zakończenia śledztwa. Do tego czasu uda nam się może znaleźć w zapiskach O'Connora jakąś wskazówkę, która naprowadzi nas na jego trop.

— Ja wracam na Ionę, dokończyć dzieła. — Maria uśmiechnęła się przez łzy. — Ojciec O'Connor do końca zachował godność. Pamiętajcie, co powiedział o dewizie wikingów? Twój los jest przesądzony, a więc najważniejsze, byś godnie przeżył swe życie, nie zbacząc z drogi prawości. Wtedy wejdiesz do Walhalli i u boku bogów stoczysz ostatnią bitwę Ragnarók ze świadomością, że zachowałeś honor i nie wyrządziłeś krzywdy swym braciom.

— Hardrada rad by go widział w swojej drużynie — powiedział Jeremy.

— Taka strata — powiedziała Maria schrypniętym z emocji głosem, spuszczać znowu oczy. — Człowiek takiej wiedzy, taki humanista.

— Wiedza nie ginie — powiedział Jack i położył jej dłoń na ramieniu. — Jest przekazywana następnemu pokoleniu i stanowi podstawę dla nowych, rewelacyjnych odkryć. — Tu zerknął na Jeremy'ego. — Myślę, że ojciec O'Connor to uczynił.

— Skoro już mowa o rewelacjach. — Jeremy ożywił się i spojrzał na Jacka z rozbudzonym nagle entuzjazmem, poklepując paczkę, którą trzymał na kolanach. — Helikopter przywiózł mi to za ostatnim nawrotem z Goose Bay na Labradorze. Nie powiedziałam wam od razu, bo najpierw chciałem ją zobaczyć na własne oczy.

Jack uśmiechnął się ciepło.

— Wiedziałem, że trzymasz coś jeszcze w zanadrzu.

— Pamiętacie tamten dzień, kiedy odwiedziliśmy starego Eskimosa, a potem rozmawialiśmy o tajemniczym zniknięciu z Grenlandii w czternastym wieku nordyckich osadników? O tym, jak Scraelingowie zajęli całą zachodnią osadę?

— Mów, mów.

— Herefordzka biblioteka to jednak niewyczerpana kopalnia skarbów. Bez dwóch zdań. — Jeremy, zarumieniony z podniecenia, przytulił paczkę do piersi. — Norwescy naukowcy marzyli o tym od lat. To odkrycie porównywalne z odnalezieniem zaginionego skarbu Haralda. Leżała wśród innych starych papierzysk na zamurowanych schodach.

— Do rzeczy — ponaglił go Jack.

Jeremy odwinął paczkę z pęcherzykowej folii zabezpieczającej i pokazał wiekową, oprawną w skórę księgę.

— Niebawem. — Zwrócił się do Marii. — Zaginiona saga o zachodniej osadzie na Grenlandii, *Vestribygda Saga*. Spisana w czternastym wieku.

Marię zamurowało. Oniemiała, patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak Jeremy z nabożeństwem otwiera średniowieczną księgę na ostatniej stronie.

— Jest tu coś o tym, co się wydarzyło? — spytał Costas.

— Oczywiście — zapewnił go Jeremy.

Maria przebiegała szybko wzrokiem linijki tekstu.

— To powinno ci już wyglądać znajomo. — Pokazała Costasowi dwa słowa pośrodku strony. — *Haraldi konungi*, nasz prawdziwy król — powiedziała. — Harald Sigurdsson.

Costas gwizdnął przez zęby.

— Harald Hardrada! A więc Grenlandczycy pamiętali! Po trzech stuleciach!

— I spójrz na ten symbol przy jego imieniu.

— Nie podpowiadaj! Menora! — Costas uśmiechnął się szeroko, patrząc na wyróżniający się z łacińskich liter tekstu znak przypominający run. — Czyli koło rzeczywiście się

zamyka. Konstantynopol, Iona, fiord lodowy i Winlandia, Jukatan, a teraz z powrotem do zaśnieżonej biblioteki starej katedry, gdzie wszystko się zaczęło.

— To zamyka tę pętlę, a jednocześnie prowadzi do czegoś fantastycznego — powiedział Jeremy. — Posłuchajcie, co mówi tekst.

Maria, sunąc powoli palcem po linijkach, zaczęła tłumaczyć:

— „Anno Domini tysiąc trzysta trzydziesty drugi. Wodzowie Vestribygó postanowili podążyć za swoim prawdziwym królem Haraldem Sigurdssonem do Norórseta, a stamtąd przez morze na zachód”. — Podniosła wzrok znad stronicy. — Uciekali przed uciskiem Kościoła, przed daniną krucjatową, którą Kościół nałożył na nich w dwunastym wieku. Nordyccy Grenlandczycy byli z przekonania poganami. Dla nich prawdziwym królem był Harald Hardrada, a nie jakiś tam papież z dalekiego Rzymu.

— I dokąd poszli? — spytał Costas.

Maria znowu pochyliła się nad księgą.

— „Na północ, do wielkiego fiordu, z którego na swej łodzi odpłynął do Walhalli Halfdan Nieustraszony”.

— Boże — mruknął Jack. — Rzeczywiście jest tu o Halfdanie i jego długiej łodzi. — Zerknął na Costasa. — Czyli ta góra lodowa wcale nie była snem.

— Bardziej koszmarem.

— Było ich sto dwadzieścioro — mężczyzn, kobiet i dzieci. Załadowawszy na łodzi prowiant, popłynęli na północny zachód i słuch o nich zaginął. Przewodzili im Erling Sigvatsson, Bjarni Trodsson i Eindride Oddson.

— Znam te imiona — ożywiła się Maria. — Są wyryte na kamieniu runicznym z Kingigtorsuaq, znalezionym w dziewiętnastym wieku na wyspie na północ od fiordu lodowego. To jedyny kamień runiczny znaleziony na Grenlandii przed odkryciem długiej łodzi.

— Jak to czasami wszystko potrafi się układać w logiczną całość — mruknął Jack, kręcąc z niedowierzaniem głową.

— Znaczy, jak rozumiem, Bjarni z tymi dwoma poprowadzili uciekinierów z Grenlandii w kierunku Przejścia Północno-Zachodniego? — spytał Costas.

— Tak mówi saga.

— I co, udało im się?

— Nie widzę powodów, dla których miałyby się nie udać — powiedział Jack. — Byli najtwardszymi z morskich podróżników wszech czasów. Popatrz, dokąd po Stamford Bridge dotarł Harald ze swoją zdekompletowaną, pokierszowaną załogą. Opłynęli niemal zachodnią półkulę. Jeśli w roku tysiąc trzysta trzydziestym trzecim Zatoka Baffina i Morze Beauforta były wolne od lodu, to Grenlandczykom mogło się udać.

— Wikingowie na Pacyfiku w czternastym wieku. — Jeremy zamyślił się. — I to by było na tyle, jeśli chodzi o wyprawy odkrywcze starożytnych Chińczyków. Palmę pierwszeństwa przejęliby wikingowie.

— Mógłbyś się tam wybrać ze swoimi kolegami antropologami i przeprowadzić parę testów DNA — wymruczał Costas.

— Coś fantastycznego — podchwycił Jack. — Przez cały czas szukaliśmy samego Haralda, jego skarbu. Ale kto wie, czy jego największą spuścizną nie było wlanie nowego ducha w tamtych ludzi, ludzi z całego nordyckiego świata, którzy się z nim zetknęli. Jego krótki pobyt w ich krainie mógł ich natchnąć do tego stopnia, że wiele lat później nie czekali biernie na marny koniec, jaki by ich tu spotkał.

— Jeśli tak naprawdę było, to myślę, że szczyliłby się tym tak samo jak każdym ze swoich wielkich zwycięstw — powiedziała Maria, spoglądając na Jacka. — Przecież dzięki temu najwartościowsze jednostki z jego ludu do końca swojego heroicznego życia zachowałyby godność.

Jeremy zamknął książkę i wsunął ją do wyłożonej ochronną wyściółką koperty. Potem oboje z Marią podnieśli się z ławeczki i stanęli między Jackiem i Costasem. Przez chwilę cała czwórka patrzyła ponad rufą statku na wschód, gdzie hen, daleko na falach Atlantyku igrały promienie popołudniowego słońca. Jack odnosił wrażenie, że odległy, nabrzmiały historią horyzont Starego Świata, wzywa go do powrotu, ale wybrzeża Nowego Świata i morza za nim wabiły teraz z siłą, która jeszcze przed kilkoma dniami była nie do pomyślenia. Wspomnił konstantynopolski Złoty Róg i przeszedł go dreszcz podniecenia, bo uświadomił sobie, ile dokonali.

Costas trzymał jadeitowy wisior, który znaleźli przy szkielecie pod skałą, i patrzył na dwie srebrne monety osadzone w nim w charakterze oczu. Po chwili podniósł wzrok na Jacka.

— Znaczy, to wszystko, co odzyskaliśmy ze skarbu Haralda Hardrada? — spytał z lekko rozbawioną miną.

— Jedna wikińska i jedna rzymska moneta — mruknął z uśmiechem Jack. — Moim zdaniem całkiem nieźle, a twoim? Każda z osobna to tylko oderwany, niewiele znaczący fragment, ale zestawione ze sobą opowiadają fantastyczną historię, w którą jeszcze niedawno za nic bym nie uwierzył. Owszem, znaleźliśmy skarb Haralda. Te dwie monety warte są złota całego świata.

— Ostatnie pytanie — powiedział Costas. — Ta bizantyjska księżniczka, jeszcze jeden skarb wywieziony przez Haralda z Konstantynopola. Imienniczka Marii. Uważasz, że naprawdę była z nim do końca? Tak sobie myślę, że mogła przeżyć i zostać wzbudzającą postrach królową Tolteków. Dodałoby to smaczku całej historii.

— Po tym wszystkim jeszcze smaczku mu się zachciewa — mruknął Jeremy.

— Oglądając tamto malowidło ścienne sam mówiłeś, że wśród wikingów rozpoznajesz kobietę — przypomniał Costas Jeremy'emu i ten kiwnął głową.

— Mnie się to kojarzy z legendą o walkiriach — powiedziała Maria — dosiadających koni albo wilków kobietach ze świata duchów, które spośród poległych w bitwach wybierały bohaterów do Walhalli, i usługiwały im potem w wielkiej sali uczt. Moim zdaniem Maria pozostała z Haraldem do końca. Była księżniczką wojownikiem, jego druhną od wiosła, nie wyobrażam sobie, żeby nie towarzyszyła mu w drodze do życia po życiu. Tacy byli wikingowie. Pewnie jest teraz tam w górze, ucztuje z nim i resztą jego szlachetnej drużyny, z prawdziwym *felagiem*.

— Maria, Królowa Walkirii — mruknął Costas z kamienną twarzą. — Z tego, co widziałem, pasuje do ciebie jak ulał.

Jack uśmiechnął się.

— Pora podesłać im do towarzystwa kogoś jeszcze.

Statek zwalniał od jakiegoś czasu i teraz się zatrzymał. Fale rozmywały ostatnie wici jego kilwateru, unosząc je na południe. Z mostka zbiegł kapitan.

— Jesteśmy na pozycji, Jack — oznajmił. — Możesz robić swoje.

Jack kiwnął głową, spojrział taksująco na morze, po czym schylił się po owinięty kocem przedmiot leżący za nim na pokładzie. Odwinął go i w słońcu załśniło oślepiająco pozłacane żeleźce wareskiego topora bojowego, który zabrali z Costasem z długiej łodzi, ukochanej broni Halfdana, która ocaliła ich od pewnej śmierci w łodzi. Trzymał topór po raz pierwszy od czasu, kiedy wywindowano ich z fiordu na pokład helikoptera. Zacisnął dłoń na stylisku, uniósł broń na wysokość głowy i z przejścia ciarki przebiegły mu po krzyżu.

Obrócił powoli żeleźce do góry stroną, na której widniał przypominający proporzec symbol młota Thora, Mjollnira, zwieńczony wilczym łbem, z dwugłowym orłem Rzymu i Konstantynopola powyżej, wszystko to wryte w złocie. Przesunął dłonią po drugiej stronie ostrza, po runach wy-

drapanych przed tysiącem lat ręką samego Halfdana, kiedy ten w dniach chwały gwardii wareskiej służył pod swoim ubóstwianym wodzem w największym mieście, jakie kiedykolwiek widział świat.

Costas, Jeremy i Maria podeszli do Jacka bez słowa i zacisnęli dłonie na drzewcu.

— Bitewnego szczęścia — powiedział Costas.

— Bitewnego szczęścia — powtórzył cicho Jack.

Jack pomyślał o Złotym Rogu, gdzie przebywali przed kilkoma zaledwie tygodniami, i o niezwyklej przygodzie, która sprowadziła ich tutaj. Wspomnił znowu ojca O'Connora, który robił wszystko, by okiełznać mroczną stronę historii, i zapłacił za to straszliwą cenę.

Nad morzem unosiły się pierwsze kłaczki mgły, odcinając statek i szare fale od świata zewnętrznego. Można było odnieść wrażenie, że wpadli w uskok czasu. Na zachodzie, tuż za horyzontem, leżała Winlandia, najdalszy znany przyczółek wikingów. Jack mógłby przysiąc, że przez moment zamajaczyła mu przed oczami niknąca we mgle rufa długiej łodzi, łodzi z wygiętą dziobnicą, którą wieńczył łeb szczerzącego zęby wilka. Zupełnie jakby zatrzymali się w miejscu, gdzie rzeczywistość zlewa się z mitem, gdzie kończy się świat wikingów, a zaczyna świat duchów, zaczyna podróż w mrok i grozę przekraczające wyobraźnię Haralda i jego ludzi.

Jack zważył w rękach topór, a potem uniósł go i musnął wargami żeleźce. Gdzieś w tych okolicach pozostałość góry lodowej uwolni Halfdana i poniesie go ten sam morski prąd, który niegdyś niósł jego ukochanego króla ku ostatniej walce na końcu czasu. Halfdan nie może z pustymi rękami spotkać towarzyszy broni z dni, kiedy stawali ramię w ramię do walki, a Waregowie nie mieli równych sobie przeciwników.

Jack, trzymając stylisko oburącz, postąpił kilka kroków w przód, wziął powoli głęboki zamach, znieruchomiał na

moment z żeleźcem za plecami, a potem cisnął topór daleko przed siebie. Broń wzniosła się wysokim łukiem nad rufą i obracając się, zaczęła opadać. W pewnym momencie zaślniła trafiona promieniem słońca, który przebił się przez mgłę, i rozplynęła w oślepiającym blasku. Była jak zabłąkany grom z jasnego nieba, jak wirujący rozbłysk energii z ery herosów. Potem przecięła powierzchnię wody i znikła. Pozostały po niej tylko zmarszczki na falach, które szybko się wygładziły.

Jack poczuł się dziwnie lekko, zupełnie jakby zrzucił z boków wielki ciężar. Oparty o reling na rufie, patrzył na szarą powierzchnię morza i wymawiał bezgłośnie święte staronordyckie słowa, słowa, które utraciły swoje złowróżbne znaczenie i opowiadały najniezwykleszą w świecie historię.

— *Hann til ragnaroks.*

Menora. Wspaniały złoty świecznik zrabowany przez Rzymian w roku 70 naszej ery z żydowskiej Świątyni w Jerozolimie, pozostaje jednym z największych zaginionych skarbów historii, stawianym na równi ze świętym Graalem i Arką Przymierza. Jak wyglądała oryginalna menora, można zobaczyć na płaskorzeźbie zdobiącej Łuk Tytusa w Rzymie, i tylko tam. Triumfalny pochód przedstawiony na łuku opisał barwnie Józef [Flawiusz], Żyd, naoczny jego świadek i zaufany cesarza Wespazjana. Wśród łupów ze Świątyni znajdował się wykonany ze złota świecznik: „Ze środka podstawy wyrastał trzon, z którego odchodziły delikatne ramiona tworzące rodzaj trójzębu; każde zaś miało na końcu lampę wykutą z brązu. Było ich siedem, co podkreślało wielkie poszanowanie siódemki u Żydów" (*Wojna żydowska* VII, 149—150). Józef nie rozwodzi się wiele nad losem żydowskich jeńców — opisuje tylko egzekucję ich przywódcy, Szymona — ale twierdzi, że przynajmniej część łupu nie została przetopiona: w swojej nowo wzniesionej Świątyni Pokoju Wespazjan „kazał złożyć także złote naczynia ze świątyni żydowskiej, z których był dumny" (VII, 161—162). Z reszty skarbu wybito słynne monety

Judea capta, na których rewersie pokonana Judea klęczy pod rzymskim sztandarem, a powyżej widnieją litery IVDAEA.

Nie zachowała się żadna inna relacja naoczego świadka, która opisywałaby menorę ze Świątyni. Ale wiarygodnego dowodu na to, że menora jednak przetrwała — być może w jakimś tajemnym schowku, takim jak komora rzeczywiście odkryta w Łuku Tytusa — dostarcza nam historyk Prokopiusz (*circa* AD 500—562) w swoim opisie łupów zagarniętych przez bizantyjskiego generała Belizariusza po zdobyciu w roku 534 okupowanej przez Wandalów Kartaginy. Były wśród nich przedmioty zrabowane przez króla Wandalów, Genzeryka, podczas płądrowania Rzymu w roku 455, „skarby Żydów, które Tytus, syn Wespazjana, wraz z wieloma innymi, przywiózł do Rzymu po zajęciu Jerozolimy" (*Historia wojen* IV, ix, 4—11). Według Prokopiusza, Belizariusz przywiózł skarby do Konstantynopola — dzisiejszego Stambułu — i zaprezentował je cesarzowi Justynianowi na tamtejszym hipodromie. Prokopiusz twierdzi dalej, że pewien Żyd nakłonił cesarza Justyniana do ich zwrotu „sanktuarium chrześcijaństwa w Jerozolimie". Fakt, że Prokopiusz opisuje przybycie skarbów do Konstantynopola, sugeruje, że relacja jest autentyczna, ponieważ wielu współczesnych mu czytelników również było świadkami owego triumfu, ale wątek ze zwrotem części skarbu Jerozolimie nie wydaje się prawdopodobny i jest pewnie typowym dla owych czasów podkreśleniem chrześcijańskich cnót Justyniana. Nie ma żadnego wiarygodnego dowodu na to, żeby po roku 70 menora trafiła z powrotem do Jerozolimy.

Czwarta krucjata. Zaginione skarby żydowskiej Świątyni mogły zatem przetrwać ukryte w Konstantynopolu aż do średniowiecza. Przemawiałaby za tym lista antyków zniszczonych bądź zrabowanych w tym mieście przez krzyżowców w roku 1204, na której to

liście figuruje, między innymi, słynna kwadryga przetransportowana do Wenecji i nazywana obecnie Końmi Świętego Marka. Część krzyżowców pielgrzymowała już wcześniej do Rzymu i całkiem możliwe, że ich przywódca, Baldwin z Flandrii, widział menorę wyrzeźbioną na Łuku Tytusa i czytał dzieło Prokopiusza. Relacje z okresu złupienia Konstantynopola starają się usprawiedliwić tę bezprecedensową grabież zbożnymi celami, ale prawda może być taka, że perspektywa obfitego łupu okazała się zbyt silna, a Baldwin desperacko szukał przecież środków na opłacenie Wenecjan, którzy mieli przewieźć statkami jego krzyżowców do Ziemi Świętej.

Harald Hardrada. Pytanie, czy żydowskie skarby przetrwały w Konstantynopolu aż do roku 1204, czy nie, pozostaje nadal bez odpowiedzi. Półtora wieku przed czwartą krucjatą słynną wareską gwardią przyboczną bizantyjskiego cesarza dowodził rosty Harald Sigurdsson, znany historii jako Hardrada, „srog” i „twardy”. Harald, wiking, najemnik, wygnany z kraju syn króla Norwegii, miał wkrótce powrócić do ojczyzny, odzyskać tron i wsławić się jako siejący największy postrach ze wszystkich nordyckich wodzów. W imieniu cesarza prowadził kampanie na Sycylii i w Afryce Północnej i zgromadził ogromną osobistą fortunę. Saraceni nazywali go „Piorunem Północy”. Dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć czwartej krucjacie: wszedł do Jerozolimy, spacyfikował Ziemię Świętą, wykąpał się w rzece Jordan i złożył dary w świątyni nad grobem Chrystusa. Wyprawa do Jerozolimy miała prawdopodobnie miejsce w roku 1036 albo 1037 i uczyniła Haraldą Hardradę pierwszym i najskuteczniejszym ze wszystkich krzyżowcem, tyle że nie działającym z ramienia Kościoła zachodniego, lecz cesarza Bizancjum.

Po powrocie do Konstantynopola Harald wziął udział w „plądrowaniu pałaców”, odbierając tym sposobem zapłatę za swe

dokonania. Potem, pewnej nocy 1042 roku, uprowadził siostrzenicę cesarzowej Zoe, Marię — której ręki odmówiła mu ciotka dziewczyny — i uciekł ze swoimi wareskimi towarzyszami na dwóch łodziach, forsując wielki łańcuch, który przegradzał wejście do Złotego Rogu, konstantynopolskiego portu. Z jedyne go tekstu opisującego tę eskapadę wynika, że zbiegowie, kiedy poczuli się już bezpieczni, uwolnili Marię i ta wróciła do Konstantynopola, ale nie jest wykluczone, że dziewczyna towarzyszyła jednak Haraldowi w drodze powrotnej do Norwegii, a potem przez resztę jego niezwykłego życia, nawet kiedy poślubił kijowską księżniczkę Elżbietę i związał się z co najmniej jedną jeszcze kobietą, Thorą, która urodziła mu syna i dziedzica Olafa. Z biografii Harald a wynika, że miał on jakoby „córkę” o imieniu — cóż za zbieżność — Maria, która towarzyszyła mu w ostatniej podróży i podobno zmarła nagle „tego samego dnia i tej samej godziny, w której poległ ojciec” (*Saga o królu Haraldzie, Heimskringla* 98).

Niemal wszystko, co wiadomo o Haraldzie Hardradzie, pochodzi z *Heimskringli*, zbioru sag o norweskich królach spisane go na początku trzynastego wieku przez islandzkiego poetę i historyka Snorriego Sturlussona (1179—1241). Wersety tekstu oddzielone są w niej wizerunkami orła i wilka. Praktycznie tylko z *Heimskringli* i kilku zdań z *Anglo-Saxon Chronicle* można dowiedzieć się czegoś o bitwie pod Stamford Bridge niedaleko Yorku, gdzie 25 września 1066 roku norweska armia pod wodzą Harald a została rozgromiona przez króla Anglii Harolda Godwinssona, którego z kolei, kilka tygodni później, pobili pod Hastings francuscy Normanowie. Stamford Bridge był dla Norwegów katastrofą i wielu uważa tę klęskę za początek końca ery wikingów; podobno z trzystu długich łodzi, które popłynęły na podbój Anglii, powróciły tylko dwadzieścia cztery. Ostatnia wzmianka o żywym Haraldzie Hardradzie opisuje go otoczonego wiernymi druhami, rąbiącego „oburącz” w tłumie bitwy — być może wielkim toporem bojowym Waregów.

Z towarzyszy z gwardii wareskiej, którzy uciekli z Haraldem z Konstantynopola, dwaj nosili imiona Halldor i Ulf, i obaj byli Islandczykami. Wśród zbiegów mógł być również Halfdan, którego imię wy drapane runami widnieje na balustradzie w kościele Hagia Sofia w Stambule. Fragmenty łańcucha, który przegradzał wejście do Złotego Rogu, nadal istnieją. Wszędzie indziej dowody czynów Haralda są ulotne, ale wystarcza ich, by uprawdopodobnić to, co napisano o nim w *Heimskringli*. W Kościele Świętego Grobu w Jerozolimie widziałem wyryty w skale pielgrzymi krzyż przypominający kształtem Mjöllnir, młot Thora, symbol czczony niegdyś przez Norwegów pod chrześcijańską dominacją aż po daleką Islandię i Grenlandię, i nadal żywy wraz ze wszystkimi legendami o Lokim, Fenrirze i Walhalli.

Mappa Mundi. Tę cudowną trzynastowieczną mapę opisaną w rozdziale 2 można dzisiaj oglądać w specjalnie dla niej utworzonym muzeum sąsiadującym z katedrą Hereford i słynną biblioteką łańcuchową. Kiedy po raz pierwszy, jako chłopiec jeszcze, odwiedziłem katedrę, biblioteka mieściła się nadal w tej samej izbie nad północnym transeptem, gdzie w okresie powstawania mapy przechowywano archiwalne dokumenty i skarby. Pomyślałem sobie wtedy, że aż się prosi, żeby z północno-wschodniego rogu transeptu prowadziły do niej jakieś spiralne schody, i właśnie owe wyimaginowane schody wybrałem na miejsce fikcyjnego odkrycia dokonanego w tej powieści. Richard of Holdingham jest postacią historyczną, rzeczywiście wymienioną w lewym dolnym narożu mapy, chociaż o jego życiu niewiele wiadomo. Pozwoliłem sobie uczynić z niego „terminatora” mistrza fikcyjnego *felagu*, Jakuba de Voragine, arcybiskupa Genui, również postaci historycznej. Na to, że Richard nie był obecny przy ozdabianiu mapy, wskazy-

wałaby zamiana nazw Europy i Afryki, rażący błąd, który bez wątpienia nie uszedłby uwagi uczonego tego formatu.

Felag, czyli drużyna, to u wikingów grupa wojowników bez reszty oddanych swojemu przywódcy, związana przysięgą wierności. Sprzeniewierzającym się przysiędze wymierzano straszliwą karę *blóðörn*, „krwawego orła”. Snorri Sturlusson, trzynastowieczny biograf norweskich królów, opisał, na czym ona polegała. Oprawca „wbił przeniewiercy miecz w plecy obok kręgosłupa, przeciął mu wszystkie żebra aż po łędźwie i wyrwał płuca”. Wizja *tajnego felagu* istniejącego w średniowiecznej Anglii wywiedziona jest z antypatii, jaką żywili Anglicy wobec normańskich najeźdźców, oraz z nordyckiej tradycji kultywowanej w tych regionach Brytanii, gdzie osiedlili się wikingowie. Jednym z obszarów, gdzie te wpływy uwidaczniały się najsilniej, były zachodnie wysepki Szkocji, a na świętej wyspie Iona po dziś dzień wśród wczesnochrześcijańskich przyklasztornych mogił można oglądać nagrobki wikińskich wodzów.

Fascynacja nazistów wikingami jest powszechnie znana. Nazistowskim odpowiednikiem *felagu* było SS ze swoim niesławnym symbolem podwójnego runu *sig*. Misją SS stał się podbój wschodniej Europy, ziem znajdujących się ongiś pod panowaniem wikińskich ksiąząt Rusi i Kijowa, gdzie SS *Einsatzgruppen*, których członkowie często wywodzili się spośród ludności miejscowej — wymordowały, między innymi, ponad milion ukraińskich Żydów. Meldunek Operacyjny *Einsatzgruppe o Sytuacji w ZSRR Nr.129a*, cytowany w rozdziałach 12 i 20, jest fikcyjnym załącznikiem do rzeczywistego Meldunku Nr. 129, mającym nawiązać do fikcyjnego Reksnysa i jego zbrodniczej działalności. O okrucieństwie nazistów przekonałem się, odwiedzając Babi Jar pod Kijowem, gdzie

rozebrano do naga i rozstrzelano tysiące żydowskich rodzin, oraz oglądając zdjęcia i relacje naocznych świadków w muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej w Kijowie. Babi Jar jest dzisiaj uroczym placem zabaw dla dzieci, nad którym góruje gigantyczna, wyrzeźbiona w kamieniu menora.

SS *Ahnenerbe*, Ministerstwo Dziedzictwa Narodowego, naprawdę istniało. W ostatnich latach wyszły na jaw nowe nadzwyczajne dowody dotyczące działalności *Ahnenerbe* w latach trzydziestych, między innymi ekspedycji do Ameryki Południowej i Tybetu, gdzie nazistowscy naukowcy prowadzili pomiary kranologiczne. Wierzyli, że w tamtejszych izolowanych populacjach mogły się zachować dowody na istnienie w przeszłości aryjskiej rasy panów, którą wiązali z legendą Atlantydy i dziwaczną *Welteislehre*, teorią świata lodu. Heinrich Himmler, twórca SS, utrzymywał, że Aryjczycy wywodzili się z Islandii, i w roku 1936, a potem w 1938 wysłał tam ekspedycje *Ahnenerbe*. Ekspedycja *Ahnenerbe* do fiordu lodowego Ilulissat, o której mowa w tej powieści, jest fikcyjna, tak samo jak jej dwaj wymieniani tutaj członkowie, ale Grenlandia leży niedaleko Islandii i Himmlera niewątpliwie zafrapowałyby z czasem relacje słynnego badacza Grenlandii, Knuta Rasmussena, oraz jego studia nad kulturą Eskimosów.

Fiord lodowy Ilulissat, wpisany wraz z UAnse aux Meadows i Chichen Itza na listę światowego dziedzictwa UNESCO, dostarcza obecnie niezbitych dowodów na postępujący proces globalnego ocieplenia i znajduje się pod baczna obserwacją glaciologów i klimatologów. Starodawna wioska Eskimosów Sermermiut, „osada ludzi lodowca”, opisana w tej powieści, jak również Kasllingekloften, „gardziel samobójców”, istnieją w rzeczywistości. Górę lodową opisałem na podstawie własnych doświadczeń zebranych podczas pobytu w fiordzie lodowym Ilulissat oraz nur-

kowania pod lodem u wybrzeży Kanady. Nurkowie schodzili już w naturalne szczeliny powstające w lodowcach, a rozwój techniki umożliwia opisaną w tej powieści penetrację.

Drewno, tkanina i połączony metal mogą trwać w lodzie niemal w nieskończoność. Ideę, że w ten sam sposób zachować się mogło ciało nordyckiego wojownika, podsunął mi fakt ekshumowania z wiecznej zmarzliny na wyspie Beechey w roku 1984 nadzwyczaj dobrze zachowanych zwłok dwóch członków nieszczęsnej ekspedycji sir Johna Franklina do kanadyjskiej Arktyki z roku 1845.

Pogrzeby na łodziach były u Norwegów uświęcone tradycją. Rytuał spalenia łodzi wraz ze zmarłym opisuje barwnie arabski podróżnik z dziesiątego wieku Ibn Fadlan, który był świadkiem takiego pochówku wodza Rusów na Włodze, podczas którego na stosie wraz z małżonkiem spłonęła jego nałożnica. Inna relacja pochodzi od Snorriego Sturlussona. Tutaj łódź z bronią, zwłokami poległych w bitwie wikingów i ich śmiertelnie ranym wodzem, który osobiście nadzorował układanie własnego stosu pogrzebowego, została odholowana na pełne morze i tam podpalona.

Pomysł długiej łodzi uwięzionej w lodzie podsunęły mi spektakularne pochówki na łodziach z Gokstad i Oseberg w Norwegii, chociaż fikcyjna łódź Halfdana miała bardziej praktyczną konstrukcję. Snorri Sturlusson pisze, że dwie łodzie, na których Harald uciekł z Konstantynopola, były „wareskimi galerami”, czyli wiosłowymi długimi łodziami (*Saga o królu Haraldzie*, *Heimskringla* 12). Najlepiej zachowane egzemplarze łodzi wikingów z okresu opisanego w tej powieści fikcyjnej podróży wydobyto z dna morza w okolicach Skuldelev w Danii, gdzie zostały zatopione w roku 1070 w celu zablokowania wejścia do fiordu Roskilde. Jedną z tych jednostek była mocna łódź o głębokim zanurzeniu, przystosowana do żeglowania po otwartym oceanie. Możliwość podróży Norwegów do obu Ameryk potwierdzono eksperymentalnie, między innymi wyprawą replik takich łodzi do L'Anse aux Meadows

dla uczczenia tysięcznej rocznicy przybycia Leifa Erikssona do wybrzeży Nowego Świata.

Wysuniętą najdalej na północ osadą wikingów na Grenlandii była Vestribygð, „zachodnia osada”, leżąca jakieś pięćset mil na południe od fiordu lodowego Ilulissat. Jednak region fiordu lodowego i leżąca dalej na północ Norórseta były ważne dla gospodarki Norwegów i często przez nich odwiedzane. Jedyny kamień runiczny znaleziony na Grenlandii pochodzi z wyspy Kingigtorsuag leżącej bez mała czterysta mil na północ od fiordu lodowego, i można go dzisiaj obejrzeć w muzeum nieopodal Upernavik. Znaleziony został w kurhanie przez trójkę norweskich poszukiwaczy przygód — Erlinga, Bjarna i Eindrida — i pochodzi prawdopodobnie z początku czternastego wieku. Z moich podróży po tym wybrzeżu wynika, że w rozsianych na nim wioskach tubylców można znaleźć dalsze ślady bytności w tamtych stronach Norwegów. Faktem pozostaje, że norwescy myśliwi, polując w tych ekstremalnych warunkach na morsy, dla ich kłów, na wieloryby, na niedźwiedzie polarne dla ich skór i na narwale dla ich ciosów — „rogów jednorozca” zdobiących średniowieczne mapy — pomagali finansować krucjaty podatkami, które nałożył na nich król Norwegii, Sigurd Jorsalfar, Krzyżowiec, ustanawiając na Grenlandii w roku 1124 biskupstwo. Kościół nie popuszczał Grenlandczykom i kto wie, czy czasem niemożność sprostania tym wygórowanym wymaganiom nie stała się powodem zniknięcia Norwegów z Grenlandii pod koniec czternastego wieku.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że popłynęli przez Zatokę Baffina i dotarli do cieśniny Lancaster, przecierając Przejście Północno-Zachodnie na Morze Beauforta i dalej, na Ocean Spokojny. W całej kanadyjskiej Arktyce znajdowane są artefakty wikingów pochodzenia. Niektóre zostały niewątpliwie rozszabrowane przez Eskimosów z opuszczonych nordyckich osad na Grenlandii, ale reszta dowodzi podróży Nor-

wegów oraz ich kontaktów z miejscową ludnością. Jak dotąd w tamtejszych wodach nie została znaleziona żadna łódź wikingów, ale pewne niezwykle odkrycie w pobliżu czapy polarnej może sugerować jakiś wrak. W eskimoskiej wiosce na małej wyspce Scraeling, nagiej skale w pobliżu Wyspy Ellesmere'a — jakieś osiemset mil na północ od Ilulissat — znaleziono ponad pięćdziesiąt artefaktów norweskiego pochodzenia, w tym wełniane tkaniny, fragmenty kolczugi, gwoździe, nóż i groty włócznie, stolarski strug, fragmenty drewnianej baryłki i pionek do gry. Datowanie węglem C-14 sugeruje, że podobnie jak kamień runiczny z Kingigtorsuaq, pochodzą z końcowego okresu bytności Norwegów na Grenlandii. Można tu snuć porównania z poszukującą Przejścia Północno-Zachodniego ekspedycją Franklina, która w roku 1845 przetrwała na wyspie Beechey. Analiza próbek pobieranych z lodowca sugeruje, że średniowieczna „mała era lodowcowa” miała okresy ociepleń — w tym jeden na początku czternastego wieku — kiedy wody pomiędzy wyspami kanadyjskiej Arktyki mogły być wolne od lodu. Istnieje więc możliwość, że wikingowie, posuwając się szlakiem eskimoskich myśliwych, odkryli Przejście Północno-Zachodnie i właśnie tamtędy odeszli z Grenlandii.

Pewne jest, że grenlandzcy wikingowie blisko pięćset lat przed Krzysztofem Kolumbem dotarli do wybrzeży Ameryki Północnej i założyli tam pierwszą znaną europejską osadę odległą o tysiące mil na południowy zachód od Grenlandii. Nazwali to miejsce Wmlandia, co należy tłumaczyć raczej jako Kraina Łąk niż Kraina Winorośli, jak się powszechnie przyjmuje. Głównym celem ich wypraw było prawdopodobnie drewno, którego na Grenlandii ze świecą szukać. Osada L'Anse aux Meadows na Nowej Fundlandii, przez wielu utożsamiana z Leifsbiióir z nordyckich sag, to jedno z najniezwyklejszych odkryć archeologicznych wszech czasów. Wielka Święta Wyspa mogła być orientacyjnym punktem nawigacyjnym — na głównym lądzie znajdują się kurhany usypane być może przez Norwegów, a historia z kilem postawionym na sztorc na

przyłądki Kjalarnes zaczerpnięta została z *Sagi o Eryku* — chociaż dowodów na jej prawdziwość dotąd nie znaleziono. Dzisiaj opiekę nad L'Anse aux Meadows sprawuje Parks Canada i można tam obejrzeć długi dom zrekonstruowany obok pozostałości trzech domów mieszkalnych oraz kuźni odkrytych podczas wykopalisk prowadzonych w latach sześćdziesiątych. Wszystko wskazuje na to, że osada założona została w roku 1000 i nie przetrwała długo. Historia o Freydis i jej morderczej napaści pochodzi z *Sagi o Eryku* i *Sagi o Grenlandczykach*, dwóch źródeł spisanych przez wikingów z Winlandii, i kto wie, czy zła sława, jaką okryło osadę to dramatyczne wydarzenie, nie zniechęciła Norwegów do dalszego jej zamieszkiwania. Innym powodem, dla którego ją opuścili, mogli być Scraelingowie — „diabelskie nasienie”, miejscowi Indianie — oraz łatwiejszy dostęp do drewna na leżącym na północ Labradorze.

Jedynym autentycznym nordyckim artefaktem odkrytym w obu Amerykach na południe od L'Anse aux Meadows jest zużyta moneta znaleziona w indiańskiej wiosce niedaleko Penobscot w Maine. Zidentyfikowano ją jako norweską monetę króla Olafa — syna i dziedzica Haralda Hardrady, który towarzyszył ojcu w roku 1066 w wyprawie na Anglię — i może pochodzić z okresu opisywanej w tej powieści fikcyjnej wyprawy. W L'Anse aux Meadows ani na Grenlandii nie znaleziono żadnych wikingowskich monet i w jaki sposób ta właśnie trafiła prawie tysiąc mil od najdalszej ze znanych osad wikingów, pozostaje do dziś tajemnicą.

Nie ma żadnych dowodów na to, że żeglarze z drugiej strony Atlantyku dotarli do Jukatana w Meksyku przed Hiszpanami, którzy dokonali tego na początku siedemnastego wieku. Ale prorok Majów, Chilam Balam, „Prorok Jaguar”, przepowiedział podobno przybycie „brodatych mężów, mężów ze wschodu”. Większość

ksiąg Chilama Balama spisana została po hiszpańskiej konkwiście, rodzą się więc podejrzenia, że przepowiednia ta została zainspirowana, pozostaje jednak możliwość, że jest prawdziwa i oparta na wspomnieniu obcych, którzy zawitali tam przed Hiszpanami. Wiadomo tylko o jednej grupie „brodatych mężów, mężów ze wschodu”, która odwiedziła Nowy Świat przed wiekiem piętnastym — byli to Norwegowie; a dowody sugerują, że norweska eksploracja na zachód i na południe od Grenlandii swoje apogeum osiągnęła w jedenastym wieku.

Co do fikcyjnej świątyni w dżungli i znajdującego się w niej malowidła ściennego, to za wzór posłużyło tutaj niezwykle odkrycie dokonane w roku 1946 przez dwóch Amerykanów na Jukatanie w Bonampak, co w języku Majów znaczy „malowane ściany”. W zarośniętej przez dżunglę budowli znaleźli oni narracyjne malowidło ścienne o niebywałej wymowie, przedstawiające bitwę w dżungli, tortury i egzekucję jeńców oraz celebrację zwycięstwa, gdzie odziane na biało kobiety Majów ofiarowują własną krew, kalecząc sobie języki. Malowidło to datowane jest na okres największego rozkwitu kultury Majów, czyli mniej więcej na rok 800, jednak inne malowidło ze Świątyni Wojowników w Chichen Itza datuje się na okres panowania Tolteków, czyli jedenasty wiek. Wojownicy Tolteków lądują na nim w canoe na wybrzeżu terytorium Majów i dochodzi do walnej bitwy na lądzie, a następnie składana jest ofiara z serc pojmanych dowódców Majów.

Tym, którzy odwiedzają dzisiaj ruiny Chichen Itza, przewodnicy mówią, że Hiszpanie przesadzili z tymi ofiarami z ludzi albo że składali je tylko Toltekowie, a nie Majowie, których potomkowie nadal mieszkają na Jukatanie. Własne zdanie można sobie wyrobić przy Tzompantili, Platformie Czaszek, skąd nad rzędami wyrzeźbionych na niej odciętych głów widać ołtarz ofiarny Świątyni Wojowników i ceremonialną drogę prowadzącą do świętej cenoty, czyli studni ofiarnej. Wiele wyobrażeń tortur i egzekucji w sztuce Azteków i Majów sprzed przybycia Hiszpanów oraz współczesne

metody medycyny sądowej nie pozostawiają cienia wątpliwości: archeolodzy prowadzący badania w Meksyku ustalili, że posadzki azteckich świątyń nasiąknięte są żelazem, białkiem i materiałem genetycznym zgodnym ze składem ludzkiej krwi.

Na Jukatanie najbardziej przekonujących dowodów dostarcza archeologia podwodna. Na dnie studni ofiarnej z Chichen Itza, przebagrowanej w latach 1904—1911 i spenetrowanej przez nurków w latach sześćdziesiątych, leżą setki ludzkich szkieletów — mężczyzn, kobiet i dzieci — jak również nieprzebrane skarby: złote dyski, rzeźbione w jadeicie wisiory, kadzielnice z ludzkich czaszek, noże ofiarne, liczne wota w postaci figurek i nie tylko. Tak samo jest w innych cenotach Jukatana oraz kilku naturalnych studniach otaczających pierścieniem u północnego wybrzeża miejsce upadku ogromnego meteorytu. Wiele z tych cenot nie jest objęte ochroną i pada łupem szabrowników. Opis fikcyjnej cenoty, o której mowa w tej powieści, oparłem na własnych doświadczeniach z nurkowania w tamtym rejonie, a zwłaszcza w widowiskowych grotach i tunelach Dos Ojos, Groty Nietoperzy, nieopodal nadbrzeżnej twierdzy Majów Tylum.

Historia ostatnich dni królów Majów, które przypadły na dwa stulecia po hiszpańskiej konkwiście, oparta jest na relacji ojca Andresa de Avendano y Loyoli (*Relacja z dwóch podróży do Peten, w celu nawrócenia pogańskich plemion Ytzaex i Cehaches*), który był naocznym świadkiem niezwyklej sceny na zagubionym w dżungli jeziorze Peten w roku 1695 albo 1696. W roku 1988 ujrział światło dzienne jeszcze jeden fragment tej relacji cytowany w rozdziale 21. Prawdziwe pochodzenie złota Majów, o którym pisze Avendano i które znaleźli archeolodzy w studni ofiarnej w Chichen Itza, pozostaje tajemnicą.

Cytat w języku starofrancuskim z rozdziału 2 to autentyczna inskrypcja w dolnym lewym narożu herefordzkiej Mappa Mundi.

Cytat z Biblii w rozdziale 4 to fragment Księgi Wyjścia 25: 31—40. Dwa cytaty z *Sagi o królu Haraldzie* w rozdziale 5 pochodzą z *Heimskringli* Snorriego Sturlussona. Wiersz z rozdziału 13 to fragment poematu *Morte d"Arthur* Alfreda Tennysona (1809—1892). Zdanie z rozdziału 15 opisujące morską podróż Haralda jest zmyślane, ale jego frazy zaczerpnięto z trzynastowiecznej *Sagi o Eryku*, która opisuje nordyckie wyprawy do Winlandii. Staronordycka fraza *par liggr hann til ragnareks*, „I spoczywa tam aż do końca świata”, pochodzi z poetyckiej *Eddy* (*Gylfaginning* 34) również autorstwa wieszczki Snorriego Sturlussona, napisanej na początku trzynastego wieku.

Dwie srebrne monety opisane w rozdziale 15 — i jedna z nich w prologu — istnieją naprawdę. Można je obejrzeć, wraz z innymi wspomnianymi w tej powieści obiektami, na stronie internetowej www.davidgibbins.com.